POLSKA W POŁOWIE XVIII WIEKU

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts von Dr. Richard Roepell. Gotha. Fr. A. Perthes. 1876. 8-o. 237.

W zbiorowéj historyi państw europejskich, wydawanéj przed kilkudziesięciu latami przez A. L. E. Heerena i F. A. Ukerta, dziś na nowo podjętéj, rozpoczął był Dr. Richard Roepell w r. 1840, Dzieje Polski. Wyszła ich tylko część pierwsza, obejmująca pierwotną historyą do XIV wieku. Wiadomo powszechnie, iż zrażony niedostatkiem źródeł przygotowawczych, mniéj w ogóle dla cudzoziemców dostępnych, poprzestał dr. Roepell na tym początku, a wydawcy oddali ciąg dalszy panu Caro, który zwolna prowadzi dzieło do końca.

Pierwszy ten tom stanowiący najtrudniejsze zadanie, wyjaśnienia dziejów rodzącego się państwa, zaszczytnie u nas dał poznać znakomitego uczonego, który nie ograniczając się pracami już dokonanemi, samoistnie szukał światła w źródłach kronikarskich, dyplomatycznych i prawnych, usiłując ze śladów życia późniejszego, już rozwiniętego, dojść natury pierwiastków, które się na nie składały. Szczególniéj na organizacyą i kształcenie się społeczeństwa polskiego przed wiekiem X, pomysły dr. Roepella rzuciły światło nowe i dzieło jego słusznie wśród prac obcych nad dziejami polskiemi, wysoko postawiły. Dziśby się może, przy wyjaśnieniu nowych źródeł, wiele uzupełnić dało lub sprostować; ale w swym czasie historya Roepella była świetnem zjawiskiem. Pomimo że znajomość ogólna Słowiańszczyzny i jéj bytu, organizacya innych słowiańskich narodów mniéj były autorowi znane,— bystry jego umysł umiał wiele przeniknąć i odgadnąć, czego i późniejsza krytyka, uzbrojona wszechstronniéj naruszyć nie zdołała.

Zasługa ta dla dziejów polskich, skłoniła Akademią Umiejętności w Krakowie, do mianowania dr. Roepella czynnym swym członkiem, a wdzięczność za to uznanie jego pracy, wywołała wydaną świeżo historyą Polski w połowie XVIII wieku, o któréj mówić mamy.

Około nowszych dziejów Rzeczypospolitéj (w. XVIII) w ostatnich czasach wielu cudzoziemców się krzątało i szczególniéj z archiwów wiedeńskich wydobyto na świat wiele dokumentów ważnych; a pierwszeństwo dane wiekowi ośmnastemu łatwo się tłómaczy i dostępniejszemi z téj epoki źródłami, i ściślejszemi z sąsiedniemi mocarstwy stosunkami, i zajęciem, jakie obudzały wypadki same, niepospolitego w ogólnych dziejach znaczenia.

Dzieje Rzeczypospolitéj, zwłaszcza w drugiéj połowie tego wieku, były przedmiotem najrozmaitszych zdań, roztrząsań i sądów, na które wpływały stanowisko, narodowość, przekonanie pisarzy i cel, jaki osiągnąć chcieli. Nie zbywało ani na apologiach, ani na dyatrybach namiętnych, a ostatnich zwłaszcza znalazło się tém więcéj, im różnorodniejszych interesów bronić potrzeba było i postępowanie tłómaczyć. Raporta Essena, rezydenta saskiego, których Hermann obficie użył w Historyi Rossyi, są najlepszym przykładem, jak nawet dobrze informowany świadek, jednostronnie patrząc i sądząc namiętnie, niesprawiedliwym być może.

W głębszą anatomią rozwoju choroby państwowéj i społecznéj nie wchodząc, historycy obcy chwytali ostatnie jéj symptomata i kreślili już tylko dzieje rozkładu, jaki w końcu XVIII w. nastąpił. Badać przyczyny, które do pewnego stopnia zrozumiałym uczyniłyby wypadek w dziejach nadzwyczajny, mało kto mógł i zamierzał. Ztąd zwykle, ułamkowo ujęte, dzieje tych lat wypadały dziwnie jaskrawo i rażąco. Historycy niemieccy pisząc je, mieli zawsze na oczach *późniejszą* swą wyższość duchową i siłę, potrzebę obmycia się z pewnych zarzutów, spaść na Niemcy mogących, i nie szczędzili obwinień, zapominając, że nieraz od upadku tylko szczęśliwy los, a nie wewnętrzna potęga ich samych ochroniła. Wśród mnogich tych historyi obcego pióra, (nie zapominając Rhullièra i Ferranda) rzadko natrafiamy na sąd chłodny i zupełnie bezstronny, z powagą dziejowego wyroku ferowany—wszędzie przeważają strony ciemne, nie już dla wyjaśnienia stanu rzeczy, ale dla dogodzenia antypatyom nagromadzone...

Każde dzieło obcego pisarza o sprawach Rzeczypospolitéj obudza więc zajęcie wielkie. Są w życiu i organizmie narodów pewne tajnie dla obcych niedostępne, — niezrozumiałe dla nich, a najwyższéj wagi dla pojęcia wypadków będące; pierwszą więc

myślą, która się nastręcza czytającemu, jest: czy ten, co nas maluje, znał nas istotnie? Malarz wizerunku musi żyć z człowiekiem, aby wiernie schwycił jego rysy; dziejopis też wżyć się musi w narodu tajniki, aby go z powierzchownych cech nie sądził.

Z wielkiém zajęciem i ciekawością wzięliśmy do ręki pracę znakomitego historyka, spodziewając się od niego sprawiedliwości, choćby surowo domierzonéj, ale zupełnéj i z powagą sędziego wyrzeczonéj. Sto lat dało wielu uprzedzeniom zniknąć i namiętnościom wygasnąć. Nie możemy też powiedzieć, abyśmy się zupełnie w nadziejach naszych zawiedli: autor szukał prawdy w dobréj wierze, a jeżeli całéj znaleźć nie mógł, winne temu są źródła, do których położeniem swém był ograniczony. Wszystko, co z téj epoki żywa tradycya i pamięć zachowały—było mu niedostępném.

W dziejach, niestety, najpierwéj gasną światła, najprędzéj bledną strony jasne; ciemności trwają, a bystrego potrzeba oka, aby prawdę rozeznać wśród mroku.

Pan Roepell wybrał epizod dziejowy, poprzedzający wypadki stanowcze w Rzeczypospolitéj—stanowi on niejako przygotowanie do nich. Objął on w swém opowiadaniu dzieje od 1733 roku, to jest od śmierci Augusta II-go do 1763 r., zgonu Augusta III-go. Okres panowania najniedołężniejszego z królów, a raczéj przewrotnego ministra jego, wszechwładnego Brühla. Wyboru tego epizodu nie nazwalibyśmy najszczęśliwszym. Nie składa on w sobie całości i jest raczéj początkiem nowéj epoki, albo zakończeniem téj co ją poprzedzała, niż pełnym i skończonym obrazem. Dla tego autor był zmuszony, częstokroć kosztem tego, co do opowiadania należało niezbędnie, a co zbył krótkiemi słowy — dłużéj niż samą rzecz, wykładać jéj premissa — choć, pomimo to, dla mniéj przygotowanych czytelników, wiele spraw zagadkowemi pozostało. W innych częściach opowiadania, rzecz niedosyć jest rozwiniętą i wyczerpaną. Przy całéj swéj niedokładności, obraz nierównie żywszy, powiedzielibyśmy prawdziwszy, daje Rhullière. Jedyną częścią dla nas nowszą i mniéj znane szczegóły zawierającą, jest rozdział ostatni, w którym obficiéj zużytkowano depesze rezydenta pruskiego Benoit'a, ale pogląd jego specyficznie pruski, poddany ścisłéj kontroli, niezawszeby się sprawiedliwym okazał. Jednakże te wielce charakterystyczne depesze, rzucają pierwsze światło na ostatnie lata panowania Augusta III-go i zabiegi pruskie, już w roku 1762 z myślą zawładnięcia pewną częścią Rzeczypospolitéj rozpoczęte, i cierpliwie prowadzone do roku 1772, to jest do ich urzeczywistnienia. Nie ma dziś wątpliwości, iż plany Fryderyka II-go daleko wcześniéj osnute zostały, niż ślady ich wybadać się

dają, i że one właściwie były główną sprężyną wypadków, które polityce gabinetu petersburskiego niemal gwałt przeciwko interesom jego zadały.

Całe pismo dra Roepella, pomimo znakomitéj jego wartości i zalet—czyni wrażenie pracy spiesznie dokonanéj i, może mimowoli autora, mniéj wykończonéj, mniéj rozwiniętéj, niżeliśmy się po nim spodziewać mieli prawo...

Lecz przystąpmy do rzeczy i idźmy w ślad za dziejopisem naszym. Sam wybór epoki skazywał niejako autora na skreślenie najczarniejszego obrazu; a źródła, z których czerpał, nie wyłączając polskich, musiały wpłynąć na sąd jak najniekorzystniejszy. Dzieje Rzeczypospolitéj, objęte panowaniem Augusta III-go, inaczéj się wydawać nie mogły. Niepodobna odmówić autorowi dobréj wiary i skrzętnego poszukiwania prawdy—ani go obwiniać o przeoczenie stron jasnych, których znaleźć w tych czasach trudno;—a jednakże—czuć się daje—przeważa à priori powzięta idea, oddziaływająca na wizerunki ludzi i wypadków.

Z polskich źródeł, dosyć obfitych do téj epoki, niemal wszystkie znane były autorowi; z obcych, jakich użył, wszystkie też prawie są nam już znane,—rezultat więc obrazu nowym dla nas być nie mógł i nie jest. Postacie dziejowe i wypadki, występują tu w tém samém świetle, z temi samemi rysy, tak samo ucharakteryzowane, jakeśmy je widzieć nawykli. Obraz cały, w szczupłe ramy ujęty, ręką wprawną skreślony, nie obudza nadzwyczajnego zajęcia, będąc powtórzeniem, mało co odmienném i niepełniejszém od tego, co już posiadaliśmy.

We wstępie, od pierwszych jego wyrazów, widzimy z jakiém przekonaniem przystępuje dr. Roepell do dzieła, — stajemy w obec ruiny, do któréj Rzeczpospolitą doprowadziło panowanie dynastyi saskiéj. Winę panowania Augusta II-go przyznaje autor, ale unika nadania istotnego znaczenia czynom i wpływowi Augusta Mocnego, który słabnącéj Rzeczypospolitéj zadał cios śmiertelny, podkopując zarazem fundamenta budowy, burząc jéj sklepienia i nadwerężając ściany. Jakkolwiek od Jana Kazimierza widoczném było słabnięcie państwa—którego początek już do Zygmunta III-go odnieśćby należało,—po śmierci Jana III-go spadek po nim, w innych rękach, mógł do nowego odrodzić się życia. Były w nim jeszcze żywioły po temu. Zniszczyć je stało się zadaniem panowania Augusta II-go. W roku 1733, od którego właściwe opowiadanie się rozpoczyna, stan upadku i rozprzężenia był już taki, iż ratunek nawet dla najsilniejszéj dłoni, nader stawał się trudnym.

Rzeczpospolita nie władała już sobą, zostawał jéj ledwie cień jakiś samoistności. Kraj bez wojska stał otworem, wzmożenie się sąsiednich państw, wśród których geograficzne położenie go umieściło—upadek czyniło nieuchronnym W znacznéj też części temu położeniu, warunkom tym bytu zakreślonym z góry, przypisać należy i niemoc obrony i trudności odrębnéj egzystencyi. Zdobywczéj idei brakło, któraby się o inne postarała granice; w tych, w jakich się znalazła Rzeczpospolita, byt stawał się prawie niemożliwy.

Ze zmianą stosunków europejskich, ta bezsilność—geograficzna, jeśli ją tak nazwać można, występowała coraz dobitniéj i groźniéj. Szlachta pocieszała się tém, że współzawodnictwo sąsiadów nigdy nie dopuści najścia i podboju; nie przypuszczano porozumienia.

To, co o instytucyach Rzeczypospolitéj mówi dr. Roepell, powszechnie jest znaném. Wiemy, iż królewska władza osłabłą była i doprowadzoną do skrajnéj niemocy, że panowie mieli przewagę którą się dla swych interesów posługiwali, że główny żywioł, na którym stała Rzeczpospolita, szlachta moralnie była upadłą, że niedostatek regularnego wojska, wśród rosnących potęg militarnych, jaką była pruska, zwiastowały najgroźniejsze następstwa. Smutnych rysów do obrazu tego upadku społeczeństwa, dostarczyły pamiętniki Kitowicza i Koźmiana, obu dosyć skłonnych do widzenia czarno i kwaśno. Kitowicza możnaby polskim nazwać Essenem, tak zawsze pilno mu zbierać wszystkie brudy i plotki.—Wszystko-to prawdziwe może, ale jednostronne. Obszernie bardzo rozwiódł się autor nad znamionami smutnemi, nie poszukując dosyć przyczyny ich w zetknięciu się z dworem i obyczajami saskiemi za Augusta II-go;—za Jana III-go było jeszcze inaczéj i o wiele lepiéj.

Wiele rysów trywialnych weszło do tego obrazu, chociaż one nie były może niezbędnie dla dopełnienia go potrzebne a wstęp uczyniły kartą czarną... bez promyka nawet jasnego. Gdyby prawda tak wyglądała, pytamy, zkąd wzięłyby się żywioły, z których jakiekolwiek mogło nastąpić odrodzenie moralne? Autor kończy wnioskiem: „Wszystko to razem zsummowawszy musimy przyznać, że Rzeczpospolita w połowie XVIII wieku była już w najostatniejszym upadku. Społeczne i polityczne życie wszystkich jéj członków, nawskroś przejęte było chorobą; w wyższych sferach między „panami“ górowała duma, ambicya i samolubstwo, które do tego tylko prawie dążyło, by wpływ i siły, które im położenie dawało w życiu publiczném, obrócić na zadowolenie swych namiętności, żądzy przewodzenia i używania wedle fantazyi. Massy szlachty, w ogóle nieokrzesane były i surowe, zarazem do zuchwalstwa

i upodlenia skłonne, próżnowaniu i używaniu życia oddane—żyły, niewiele się troszcząc, z dnia na dzień; — chłopi w straszliwém pognębieniu, ucisku i nędzy, miasta w ruinach i zubożałe bez przemysłu i handlu, wychowanie i oświata w zaniedbaniu największém, szkoły i uniwersytety w ręku nieoświeconego, świeckiego i zakonnego duchowieństwa, które do żywego udziału w postępie naukowym podźwignąć się nie mogło; — religijne życie, polegające na formach zewnętrznych i w dewocyi drobnostkowéj zastygłe—przy tém wszystkiém naiwne przekonanie, że każdy szlachcic polski był najswobodniejszym na świecie człowiekiem, a Rzeczpospolita utrzymywała się nierządem...

„W istocie zaś, Rzeczpospolita, od czasu jak zrywanie sejmów stało się obyczajem, nie miała już mocy żadnéj ani stanowić o sobie, ani własną wolę objawić... jedném słowem, była ona interesom, intrygom, walkom stronnictw swych wielkich panów i sąsiednich mocarstw na łup oddana.“

Że jednak nie wszyscy byli zaślepieni do tego stopnia, aby niebezpieczeństwa stanu tego nie widzieli i nie nawoływali ku poprawie Rzeczypospolitéj—przyznaje to i sam autor—chociaż rodzenie się i rozwój idei reformy instytucyi i obyczajów, kreśli pobieżnie, z mniejszą daleko wyrazistością, niż obraz ogólnego zepsucia. Już Skarga, Starowolski, Modrzewski, prorokowali smutną przyszłość a żądali poprawy i upamiętania. Jan Kazimierz miał prorocze widzenie losów, jakie Rzeczpospolitą spotkać miały. Cały szereg poważnych imion ludzi, których głos był wołaniem na puszczy, wylicza Dr. Roepell, poczynając od Jabłonowskiego, Stanisława Leszczyńskiego do Garczyńskiego i Karwickiego. Wszyscy oni prawie, bardzo jasno widzieli chorobę—mniéj daleko lekarstwa, jakich stan chorego wymagał—oprócz jednéj zasady, na którą się niemal wszyscy godzili: potrzeby silnéj, skupionéj władzy i karności. Ale inwestytura jéj połączoną była z koniecznością ofiary i pewnéj summy swobód osobistych stanu uprzywilejowanego—szlachty—który sam na taką amputacyą nigdy zgodzić się nie mógł. Dotknięcie najlżejsze źrenicy wolności—liberum veto, wywoływało okrzyki zgrozy i oburzenia...

Reforma musiała się począć od ofiary, do któréj nikt nie był moralnie przygotowany.

Pierwsi, co praktycznie przedsięwzięli ideę reformy rządu krajowego i społeczeństwa, byli Czartoryscy, lecz—z góry przewidzieć było można, iż ona owoców nie przyniesie. W kraju znaleźli mało żywiołów, któremiby się do wykonania jéj posłużyć mogli; na wyrobienie ich czekać nie chcieli, ani zaczynać od początku—wo-

leli się oprzeć na sile zewnętrznéj, co już stawało się nie politycznem, chcieli dokonać reformy niejako mechanicznie, z góry, gdy ją rozpocząć należało z dołu—powtóre, pojęcie ich reformy było całkiem w duchu epoki i łączyło się zbyt ściśle z interesem własnym Familii (1)—jéj znaczenia i wielkości... Zamiast moralizować kraj, Familia demoralizacyi jego użyła jako narzędzia; ta fałszywa rachuba sprawiła, że reforma, co Familią podnieść miała, przez nią zabita została. Mieszanina osobistych interesów ze sprawą kraju, stanowiła tu słabą stronę—dwie te sprawy iść z sobą nie mogły, nie szkodząc jedna drugiéj.

Środki też użyte były zręczne chwilowo, w następstwach swych groźne.

Wzniesienie się Familii przyszło nagle; w końcu XVII wieku piastujący prymasowską godność ks. Floryan Czartoryski, był z rodziny niemal pierwszym, na wysokiém dostojeństwie w Rzeczypospolitéj. Rzeczywista domu potęga urosła szybko w rękach dwóch książąt, Augusta i Michała, kanclerza i wojewody ruskiego. Szczęśliwe małżeństwa dały majątkowe środki, polityka zrazu zręczna, czas i okoliczności do korzystania nastręczyła, z pomocą których, wpływ w Rzeczypospolitéj ustalić mogli. Jako współpracownik obok nich i czynny członek Familii, chwilowo jako wódz jéj, występuje mniéj znany, wysokich zdolności, świeżo wyrosły z ubogiego szlachcica, Poniatowski wojewoda mazowiecki. Naprzeciw Familii, rosnącéj w potęgę i wpływy, pomimo licznych jéj już połączeń z rodzinami, które dawniéj rej w Rzeczypospolitéj wodziły, staje cały zastęp Potockich, Radziwiłłów, Sapiehów i ich kolligacyi.

Śmierć Augusta II już zaskoczyła Rzeczpospolitą w tém obezwładnieniu, jakie to nieszczęsne panowanie zgotowało.

Tron po nim Francya przeznaczyła Leszczyńskiemu, w tém, jak we wszystkich swych działaniach, nie umiejąc i nie chcąc wystąpić stanowczo a wytrwale tak, aby polityka jéj jakikolwiek skutek osiągnąć mogła. Historya dyplomacyi francuzkiéj w Rzeczypospolitéj, począwszy od elekcyi powtórnéj Leszczyńskiego aż do zgonu Augusta III, była ciągle takiém pasmem bezsilnych zachcianek, połowicznych kroków, ustępstw i wahania—przyniosła ona wielu szkodę, a nikomu korzyści.

Sąsiednie mocarstwa nie chciały Leszczyńskiego na tronie, Francya niedosyć pragnęła go na nim utrzymać i w ofiary była

(1) *Familią* nazywano stronnictwo Czartoryskich.

skąpą. Silniejsze, bezpośrednie wpływy sąsiadów odrazu dawały przewidzieć następstwa. Rossya w wyborze Stanisława widziała *casus belli*, Prussy trzymały się neutralnie i wyczekująco, gotowe Saxonii sprzedać swe poparcie, ale nie dając go darmo. Zacny król Stanisław narażony próżno na niebezpieczeństwa i nadzieje, niepoparty przez tych, co mu pomoc obiecywali, po zawarciu w Wiedniu traktatu d. 3 Października 1735 r., wrócić musiał z jednym w życiu więcéj zawodem w sercu. W czasie tych wypadków, Familia z razu trzymała stronę Leszczyńskiego, późniéj koniecznością zmuszona uznała Augusta III. Po sejmie ugodnym (pacificationis), w uspokojeniu już wziąwszy udział czynny, razem z Poniatowskim, poszła ręka w rękę z dworem, popierając zarazem interesa władzy królewskiéj i reform, które już miała na myśli.

Obraz, jaki tu autor kreśli dwóch naczelników Familii, w tych samych niemal barwach znajdujemy odmalowany u Rhullièra, z talentem, któremu trudno było sprostać. Dopełniają go niektóre rysy z pamiętników króla. Jako próby charakterystyki autora, dajemy tu dwa najwybitniejsze wizerunki, ks. wojewody ruskiego i kanclerza (str. 50 i nast.).

„Jakkolwiek różniły się od siebie charaktery dwóch braci, byli oni wszakże oba—na to zgadzają się i ich przeciwnicy—rzadkich, wysokich zdolności, a wykształceniem wznosili się nietylko ponad massy przesądnéj i nieoświeconéj szlachty, ale i wyższe społeczeństwo, na równi z sobą stojące, prześcigali o wiele. Od młodości, nie oddając się rozpuście i marnotrawstwu jak inni, pracowici i oszczędni, finanse swe wiedli porządnie i majętności podnieśli, gdy znaczniejsza liczba wielkich panów, przy całém bogactwie swojém, żyła w nieładzie majątkowym, na wsze strony odłużona. Szczególniéj brat młodszy, wojewoda ruski, był wybornym gospodarzem. Wytrwale, z roztropnością wielką poświęcał się zarządowi ogromnych dóbr, a to z tak szczęśliwym skutkiem, że utrzymywano powszechnie, jakoby przeszło milion dukatów ciążących na nich długów spłacił, a dochody powiększył we dwójnasób. W ten sposób mógł mieć zawsze na podoręczu środki finansowe, któremi się Familia do politycznych swych celów posługiwała. Do tego, kassę miał zawsze otwartą, bo „panem a nie niewolnikiem był grosza.“ Oba bracia przy całéj gospodarności, porządku i oszczędności, odpowiednio swojemu stanowi i wysokiemu położeniu żyli, i świetnie gości przyjmowali w domu, a gdy tego potrzeba wypadła, wielce się szczodrymi okazywali. Sprężyną ich polityki było, wyszukiwać młodzież utalentowaną,

pociągać ją ku sobie, chętnie jéj do wykształcenia dopomagać, i dalszą jéj zajmować się karyerą. Wojewoda do tego szczególniéj był usposobiony. Okiem bystrém i pewném poznawać umiał ludzi, ich charaktery, przymioty i wady oceniać, miłość własną w sposób jak najdelikatniejszy łechtać, a serca i umysły młodzieży pozyskiwać. Jakkolwiek wojewoda był w sobie zamknięty, milczący i poważny, w obejściu się swém miał pewny urok—umiał w sposób ujmujący świadczyć. W istocie natura to była w głębi przeważnie chłodna, w któréj rozum daleko serce przechodził. We wszystkiém, co czynił, nawet w dobroczynności swéj, na oku zawsze cel miał jakiś osobisty—ale dar posiadał nie dać tego poznać po sobie, i własne zamiary i cele tak okrywać, że często dawał się prosić o to, czego sam najmocniéj żądał. Ostrożność, jaką zachowywał w mówieniu, głęboki rozum, który wszystkiemi jego krokami kierował, ilekroć tylko (co się bardzo rzadko trafiało) zbytnio się nie pospieszył — jego szlachetny a zarazem prosty sposób tłómaczenia się, talent wreszcie niedopuszczenia ani cienia wątpliwości, że nie tak myślał jak mówił—cały świat uwodziły.

„Uchodził powszechnie za wzór rozumu, prawości i łagodności, jako wyższy nad wszelką namiętność i słabości ludzkiéj natury. Umiał nawet w najzajadlejszych przeciwników Familii i jéj interesów wmówić, że z ich strony na wyjątkowe względy zasługuje. Ztąd nie jemu, ale bratu przypisywano wszystko, co nieprzyjaciół Familii najmocniéj raziło i bolało, gdy on właśnie z całéj Familii był jedynym, który zasadę panowania i samolubstwa najsilniéj utrzymywał, jak tylko widział, że może coś przeprowadzić tak, aby ręka, co cios zadała, niewidzialną została.

„Wcale innym był kanclerz. Naturę miał serdeczną, wesołą, dowcipny był i towarzyski, a myśli swe lubił bez ogródki wypowiadać otwarcie. W szkole starego feldmarszałka Fleminga, który go w interesa wtajemniczył, a sam był wesołego humoru, pełen ostréj ironii i gryzącego sarkazmu—przyzwyczaił się od lat młodych do otwartości, a że cały świat wiedział, jak wielki miał wpływ u Fleminga, wielu te jego tony znosiło. Zostawszy niezależnym, zachował humor ten sam. Uważał się uprawnionym niejako, każdemu, nawet tym, którym życzył i czynił dobrze, bezwzględną mówić prawdę, nie barwiąc jéj wcale, ironicznie lub szydersko. Naturalnie, wielu się tém mocno obrażało, ale w ogóle dawano mu w tém swobodę, a w ostatku upatrywano cnotę katońską, i w istocie miał największe zdolności, stanowi swemu i położeniu odpowiednie. W znajomości polskiego prawa politycznego i cywilnego nikt go nie przewyższył—z wielką cierpliwością stron

umiał słuchać, a sąd wydawał doraźny i trafny. Przy obsadzaniu trybunałów, urzędów i starostw, najzdolniejszych umiał wynaleźć, i o ile wpływ jego sięgał, wybierać ich polecał. Mało na to zważał, z jakich rodzin, dostojniejszych czy mniéj znanych, ludzie ci pochodzili; wybierał nawet takich, którzy urodzeniem i stosunkami z przeciwną partyą polityczną związani byli. Jednakże był w tém tak oględny, aby nigdy liczba ich planom jego groźną nie była; zawsze mu to jednak rozgłos jednało bezstronności i zwiększało liczbę jego zwolenników. Na głowę stronnictwa był, można powiedzieć, stworzony. Nie zrażał się żadną pracą cielesną i umysłową, plany swe i zamiary z wytrwałością najupartszą przeprowadzając. Dopóki go wiek i doznane klęski nie osłabiły, nigdy nie tracił nadziei powodzenia, a gdy źle szło, zawsze lepszą stronę rzeczy dojrzeć umiał i téj się trzymał. Nikt nad niego na sejmach lepiéj szlachty nie umiał wodzić. Swą wesołością, dowcipem, otwartością, rzeźwością i wymową, tłumy pociągał za sobą. Oprócz tego, jak nikt, znał seciny i tysiące szlachty, nietylko po imieniu i nazwisku, ale ich kolligacye, potrzeby, interesa,— i umiał, doskonałym będąc znawcą ludzi, w mgnieniu oka dostrzedz, z któréj strony mógł kogo ująć i jak kim zawładnąć.“

Dr. Roepell pisząc to, nie mógł jeszcze znać pamiętników Matuszewicza, świeżo wydanych (1), o których niepodobna tu, choć nawiasowo nie wspomnieć, jako o nadzwyczaj ważnym materyale do obrazów tych czasów. One jedne przedstawiają go *nam*, w barwie właściwéj—lecz do użycia dla cudzoziemca, wielce byłyby niebiezpieczne, gdyż nie łatwoby mu było rysy w nich główne od podrzędnych rozeznać, a fałszywe pojęcie zabarwiłoby obraz niewłaściwie. Pamiętniki te na obszerny rozbiór zasługują, stanowiąc niewyczerpaną dla historyka skarbnicę.

Kanclerz i wojewoda ruski występują w nich w żywém świetle, osobliwie pierwszy,—a niejednoby się znalazło u Matuszewicza do uzupełnienia téj charakterystyki. Cóż to za obraz wewnętrznego stanu Rzeczypospolitéj kreśli tysiącem drobnych rysów kasztelan brzeski!—jak dosadnie maluje się tu gorączkowy byt szlachecki, stosunki jego do panów, zajęcia i sprawy!—nadewszystko w porównaniu do Paska, rozeznać się daje genesis tego życia i stanu, w podobnych barwach, w zarodzie już widnym za Jana Kazimierza.

---

(1) Pamiętniki Mar. Matuszewicza 1714–1756. wyd. p. A. Pawińskiego. Warsz. 1876. 3 tomy.

Po tym wstępie, przystępując do skreślenia obrazu działalności Familii, jako partyi dworu, autor w kilku rysach wystawia główne jego postacie, króla, królowéj i wszechmocnego ministra Brühla. Stojące na pierwszym planie figury te, mimo że dosyć są znane, wymagały może staranniejszego portretowania, przynajmniéj Brühl, który był duszą, sprężyną, myślą i ręką... aktorem głównym dramatu. Augusta III na seryo w rachubę brać niepodobna, a królowa też od upadku Sułkowskiego za działającą liczyć się nie może. Brühl tu władał wszystkiém, władał Saxonią i Polską, i oboje wyzyskując postawił na brzegu przepaści. Jest to postać samą oryginalnością swą ciekawa, po któréj, nad spodziewanie, została szkoła i tradycya; żywe jéj ślady jeszcze za naszych widzieliśmy czasów (1). Nikt nad Brühla złych stron ludzkich zręczniéj zużytkować nie umiał, lepiéj ze słabości korzystać i na swe dobro je obracać. Był to minister-artysta, grający swą rolę kostiumową aż do zgonu z nadzwyczajném nią przejęciem. Większa zręczność przy płytkim rozumie ledwie się przypuścić daje. W polityce nigdy nic naprzód nie umiejąc przewidzieć, oszukując wszystkich, nawet tych, którym służył, chwiejąc się, chwytając bez planu, padając i podnosząc co chwila, z cynizmem niezrównanym umiał lat trzydzieści przetańcować na wyprężonéj linie, i utrzymać się na niéj do śmierci.

Nie mogło być nic zgubniejszego dla takiéj Rzeczypospolitéj jaką on tu znalazł po Auguście II, nad takiego jak Brühl ministra. Łatwo przewidzieć, że w interesie jego była słabość kraju, którą spożytkowywał, sprzedajność ludzi, prywata i brak wykształcenia—choroby Rzeczypospolitéj, były dlań źródłami dochodów.

Czartoryscy, których podnosił, zdali mu się narzędziem do, godném; on też im obiecywał się być sprzymierzeńcem, którego sądzili, że subsydyami, jak Francya Augusta, zaspokoją i uczynią z nim co zechcą. Obie strony jednak się przerachowały.

Czartoryscy zbliżyli się do dworu, służąc mu przeciwko opozycyi, na któréj czele stał Józef Potocki. Na chwilę przejednana z nim Familia, przy wyborach Leszczyńskiego, teraz znowu walkę rozpoczynała. Hetman ufny w swą władzę, obok polityki dworu występował ze swą własną, wręcz jéj przeciwną. Dwór dobrze był z Rossyą, hetman się do wojny z nią usposabiał, niemal otwarcie, Turków i Tatarów namawiając. Pokój w Belgradzie

(1) Mutatis mutandis—hr. Beust.

zawarty i zwycięztwa Münnicha, koniec temu wszystkiemu położyły. W r. 1740 śmierć Karola VI nanowo je odżywiła. Brühl zawsze chwiejny, uspokoiwszy sumienie króla rzymskiém rozgrzeszeniem, myślał wystąpić przeciw Austryi, spadku dla królowéj się domagając, choć Saxonia go się uroczyście wyrzekała. Potocki ze śmierci cesarzowéj Anny, regencyi Birona korzystając i z wojny Rossyi ze Szwecyą, gotował się znów wystąpić. Rozrzucano po kraju manifesta podburzające, i dwór był przerażony tém wystąpieniem hetmana, ale usilowania jego nie byłyby zapobiegły knowaniom Potockiego, gdyby kraj, lękający się wojny, cały niemal nie zaprotestował przeciw niéj, w imię układów 1717 r.

Brühl tymczasem wiódł daléj na swój sposób ową ekwilibrystyczną politykę z dnia na dzień, którą praktyczną nazywał. Z nieprzyjaciela Austryi nagle przerzucił się na jéj sprzymierzeńca i uznał sankcyą pragmatyczną (1743), zwracając się przeciw tym Prussom, z któremi niedawno trzymał. Saxonia pragnęła wszelkiemi siłami wciągnąć w tę wojnę i Rzeczpospolitą. Na sejm wniesiono o powiększenie liczby wojska, Familia poparła życzenia dworu, a Poniatowski rozrzucił po kraju swój List Szlachcica Polskiego do Przyjaciela, który jako pierwszy zarys reformatorskich planów Czartoryskich, na szczególną zasługuje uwagę.

List Poniatowskiego, drukowany po polsku bezimiennie, dr. Roepell daje w notach cały, we francuzkiém tłómaczeniu. Ciekawa to broszura, szczególniéj ze względu na niezmierną oględność, z jaką została zredagowana, na ostrożność słowa, niejasność myśli, obwijanie jéj staranne, widoczną obawę, by się szlachcie nazbyt radykalną nie wydała... Jedno w niéj tylko bardzo jasne — potrzeba zwiększenia sił Rzeczypospolitéj, a razem obmyślenie na nią funduszów takie, ażeby kieszeń szlachecka jak najmniéj na tém ucierpiała. Inne punkta programu reform, wchodzą ubocznie i zaledwie, jakby na próbę, napomknięte tylko.

Od pierwszych wyrazów listu, anonim stawia się na stanowisku stronnika dworu i króla. W sąsiedztwie wybuchająca wojna obudza w nim trwogę, przedewszystkiém chciałby, na wszelki wypadek, widzieć aukcyą wojsk Rzeczypospolitéj, aby ona na szwank wystawioną nie została. Zastrzega jednak, że nikomu wojny nie wypowiada, z nikim jéj nie pragnie, — lęka się — najścia — „i chce mieć od niego silną obronę. Jedynym środkiem zapobieżenia mu jest znaczne powiększenie wojska naszego. Jest to rzeczą niewątpliwą i bezpieczną, trzeba więc to wykonać co najprędzéj, inaczéj zmuszeni będziemy silniejszym ulegać i prawom się ich poddawać.“

Wynalezienie funduszów na utrzymanie wojska potrojonego obwarunkowane tém, by szlachty nie tykać i nie opodatkowywać, było rzeczą trudną i w liście szlachcica, występuje dosyć niejasno. Powiększenie skarbu Rzeczypospolitéj opiera się tu na cłach pogranicznych, od których żadnéj nie przypuszcza autor egzempcyi, na nałożeniu podatków i pogłównego na Żydów, na nowym obrachunku kwarty ze starostw, czopowém i szelążném powszechném i propinacyjnéj opłacie;—na dziesiątym groszu patryotycznym (na wzór ofiary kasztelana kijowskiego). Arsenały, broń, amunicyą— wszystko nanowo niemal stworzyć było potrzeba.

Oprócz tego ubocznie i ostrożnie proponowane są inne reformy wielkiéj doniosłości. Autor zastrzegając się przeciwko posądzeniu o brak gorliwości religijnéj i ostygnięcie dla wiary, wnosi o zmniejszenie liczby klasztorów i duchowieństwa zakonnego, o reformę jego, o nieprzyjmowanie do nowicyatów młodzieży przed dwudziestu pięciu laty skończonemi. Równie epizodycznie prawie wspomniana reforma sejmików i poprawa sądownictwa ziemskiego, uorganizowanie trybunałów i sprawiedliwości. W tém wszystkiém brak metody, brak jasności; czuć, że piszący daleko więcéj miał do powiedzenia niż się powiedzieć ośmielił, że na sercu leżały mu nierównie radykalniejsze zmiany niż te, które na dobie możliwemi, na początek uznawał. Myśli Familii występują tu jeszcze w szacie dosyć mglistéj, lecz nie mogły po raz pierwszy, nie wywołując oburzenia, przedstawić się inaczéj. Mnóstwo przedmiotów zaledwie dotknięto, jakby rozbudzając tylko ich roztrząsanie; najwybitniejszą jest—aukcya wojska.

Dwór miał może zamiary jakie wojenne, Czartoryscy służąc mu, wciskali tu myśl swoję. Sejm przez nich prowadzony, był też za powiększeniem sił Rzeczypospolitéj, niektórzy nawet odzywali się, aby iść w pomoc Austryi, jednakże massy szlachty obawiały się i nowych traktatów i wplątania się w sprawy obce, któreby na ofiary narażały.

Prussy i Francya, mając oko na roboty dworu, usiłowały im przeszkodzić—opozycya postanowiła sejm zerwać.

Matuszewicz opisuje sejm ten zupełnie zgodnie z innemi źródłami, z właściwym sobie kolorytem. W istocie charakterystyczne to sceny. Czartoryscy z Brühlem, chcąc wywołać oburzenie przeciwko Prussom, postarali się o to, aby dwaj posłowie, Karwowski i Wilczewski, wystąpili, zadając im przekupstwo. Wilczewski wśród sessyi, rzucił worek ze złotem, oświadczając, że i jego skorumpować chciał poseł pruski, jak innych, których pieniędzm sobie kupował. Rachowano, że postrach ten, zmusi opozycyą doi

milczenia, aby o konszachty z Prusakami pomawianą nie była. Na następnéj sessyi przyszło do czytania regestru przekupionych, na których czele postawiono Ossolińskiego chorążego nadwornego. Grodzicki poseł kaliski wymieniony także, przerwał Wilczewskiemu czytanie, wykrzyknikiem:—„Łżesz, szelmo!“ Cała ta sprawa, rozjątrzywszy bardzo, obróciła się ostatecznie przeciwko Czartoryskim i Brühlowi. Sejm trzymany *in passivitate* do ostatniéj godziny przez Hłaskę, gdy na zapalenie świec nie pozwolono, rozszedł się z niczém. Aukcya wojska odłożoną być musiała.

Znając Brühla przewrotność i przedajność, Francya i Prussy starały się go przeciągnąć ku sobie, obiecywano mu złote góry, spowiednik króla ks. Guarini przyrzekał pomoc do dziedzicznéj korony dla dynastyi saskiéj—ale Brühl tym razem stał uparcie przy Austryi. Zawarto poczwórne przymierze w roku 1745 dnia 8 Stycznia, między którego artykułami sekretnemi było także zapewnienie następstwa na tron polski dla syna królewskiego. Zamyślano już o podziale Pruss, odzyskaniu Szlązka, przyłączeniu do Saxonii Magdeburga, gdy wszystkie te marzenia rozbiły zwycięztwa pruskie i pokój drezdeński 1745 roku, za który milion talarów trzeba było zapłacić.

Polityka natychmiast zmieniła kierunek, Saxonia zbliżyła się do Francyi, łącząc małżeństwem córkę królewską z Delfinem. Brühl jednak, wierny swemu systemowi siedzenia na dwóch stołkach, wkrótce, acz nieśmiało, znowu się ku Austryi zwracać zaczął. W Polsce Czartoryscy i dwór coraz silniejszą znajdowali ze strony Potockich i ich sprzymierzeńców opozycyą. Wchodzi w ramy historyi téj walki stronnictw epizod dramatyczny, sławny ów pojedynek Tarły z Poniatowskim, który tak wielki miał rozgłos w kraju, o którym takie mnóstwo gazetek, wierszy i pamfletów krążyło. Bohaterem téj sceny był późniejszy podkomorzy Poniatowski, który przy pierwszém spotkaniu z Tarłą, rażony spadając z konia wołał: — Kocham pana wojewodę! — a później sam, czy z czyjąś pomocą (bo różnie o tém mówiono), przebił swego przeciwnika. Zabicie Tarły poruszyło kraj cały przeciw Familii, umiano z tego wypadku broń przeciwko niéj uczynić.

Potoccy, z nimi Radziwiłłowie, Sapiehowie, Ogińscy o pomstę wołali.

Domyślać się można, że już naówczas przewagi wielkiéj i buty Czartoryskich uląkłszy się, Brühl z Mniszchem zamyślali stworzyć osobną partyą dworu, obchodząc się bez tych niebezpiecznych sprzymierzeńców. W charakterze Brühla było szukać coraz nowych narzędzi i środków i trzebić potajemnie drogi nowe.

Sejm 1746 roku, na którym laska marszałkowska przy Potockich się utrzymała (Matuszewicz ledwie o nim napomyka) znowu rozszedł się o świece, a na następnym 1748 roku dwór swojego kandydata do laski przeprowadził i wniósł aukcyą wojska, korrekturę praw i podatki. Opozycya starała mu się dokuczać ile możności. Sejm ten, czynny na nim, obszerniéj opisał Matuszewicz. Znowu te nieszczęsne świece, na których zapalenie się nie zgadzano, wniwecz całą pracę obróciły.

Była to, jak świadczy wzmiankowany świadek naoczny, chwila największego Czartoryskich faworu. Brühla uczynili szlachcicem polskim, robiąc mu fałszywą genealogią. Kleiły się wiele na przyszłość obiecujące kolligacye, młodą i piękną Izabellę Poniatowską wydawano za sześćdziesięcioletniego Branickiego, Czartoryska wychodziła za Sapiehę, wojewodę podlaskiego. Wszystko zdawało się sprzyjać Familii i zapewniać jéj wpływ nieograniczony, któremu opozycya z trudnością sprostać mogła; Brühl był w ich ręku, ale Brühla właśnie nie znali dobrze.

Na trybunałach, sejmikach, wszędzie Familia brała górę. Sejm roku 1750 przygotowany był naprzód i obmyślany tak, aby do reform i zaprowadzenia porządku otworzył drogę i dał środki Sejmiki, na których Potoccy mieli przewagę, postarano się zrywać wszystkie, sejm miał się zmienić w konfederacyą, aby mógł większością głosów rozstrzygać – zwiększenie podatków i ograniczenie *liberum veto* (na które się Austrya zgodziła), było głównie na celu. Wacław Rzewuski wojewoda poznański, miły dworowi i Czartoryskim, przeznaczony na marszałka, złożył senatorską godność, aby był posłem wybrany. Opozycya chwyciła się téj pozornéj abdykacyi, i po trzydniowéj walce, nie dopuściwszy go do laski, sejm zerwała. Do działania i czynu żadna strona nie miała siły, przeszkodzić mógł każdy, kto chciał.

Reformy więc tak pożądane, pozostały znowu postulatami, ale Czartoryscy szli do góry i rośli, — a Brühl coraz się więcéj trwożył ich przewagą. Najważniejsze stanowiska, najwyższe w kraju dostojeństwa, Familia albo jéj kolligaci i przyjaciele zajmowali; prymas Komorowski, hetman Branicki, Rzewuski, mający polną buławę, do jéj stronnictwa się liczyli. Saxonia już jednym węzłem połączona z Francyą, obudziła w Paryżu pragnienie zapewnienia sobie i stałego z Polską aliansu. Usiłowano tu pozyskać króla i ministra przeciwko związkowi Austryi, Anglii i Rossyi. Tymczasem zawczasu już naradzano się o przyszłém na tron następstwie po Auguście III i kandydatów stawiono. Około Brühla snuły się intryg sieci, które on na korzyść swoję wyzyskiwać się

starał. Mówiono o wprowadzeniu na tron ks. Karola Lotaryńskiego, (brata cesarza Franciszka I-go). Wszystko to w kraju rozgłosu nie miało, a partyą francuzką w Rzeczypospolitéj, sam niemal hetman Branicki reprezentował — Czartoryscy przy nim jako stróża mieli siostrzenicę, spodziewając się zawsze, iż słabnącym starcem zawładnie.

Zbliżający się sejm 1752 roku, w czasie którego Francya zabierała się zyskiwać sobie stronników, wywołał ze strony Anglii przysłanie uzdolnionego i zręcznego dyplomaty Sir Hanburego Williams'a, który miał się starać Rzeczpospolitą nakłonić do przystąpienia do traktatu austro-rossyjskiego 1746 roku. Francya usiłowała temu zapobiedz—Broglie i Williams stawali do walki. Williams był w najlepszych stosunkach z Familią, Broglie z pomocą Branickiego i Mokronowskiego, spodziewał się stworzyć sobie partyą. W roku 1752 pierwsze zatargi Brühla z Czartoryskimi, były przepowiednią poróżnienia. Szło o podkanclerstwo litewskie, o które się dwóch Sapiehów ubiegało, z których jeden był zięciem księcia kanclerza, drugi powinowatym Potockich. Brühl z Mniszchem już widocznie o wyswobodzeniu się od Familii myśleli. Brühl do tego wybuchu był już zapewne dawniéj przygotowany. Grożąc mu niedopuszczeniem do wyboru marszałka sejmowego, Familia dla siebie wymogła obietnicę pieczęci. Brühl na ten raz uległ jeszcze. Rzeczy już szły na ostro, pisze Matuszewicz: „ks. kanclerz widząc się w stanie wielkiéj mocy, i grafowi Brühlowi, ministrowi królewskiemu, ostro się stawił, i już nie prosząc, ale z fukiem wymuszając, chciał wszystkiemi łaskami królewskiemi dysponować, i t. d.“ Na sejmie tym miano ograniczyć *liberum veto* tak, by zapadłe jednogłośnie uchwały, na niém nie cierpiały i miały moc prawną. W uniwersałach nieoględnie wyrażone to króla żądanie, dało broń opozycyi, która o odbieranie swobód szlacheckich podniosła krzyki. Z jednéj i drugiéj strony szkodząc sobie, zrywano sejmiki. Opozycya jednak napróżno od Pruss i Francyi wyglądała poparcia. Branicki stawał wbrew przeciwko aliansowi z Rossyą, o które zamiary dwór go posądzał, choć król i Brühl wypierali się téj myśli. Sejm zerwany został i królowi zadano złamanie pactów conventów.

Czartoryscy zręczniejsi od swych przeciwników, przy poparciu posłów rossyjskiego i angielskiego, sposobili się z wielką oględnością do zawiązania konfederacyi. Po zerwaniu sejmu, ułożono manifest w ten sposób, by mógł służyć za akt związku i puszczono go, zbierając nań podpisy. Była to konfederacya tylko bezimienna. Spodziewano się, że i hetman Branicki, dla pocieszenia króla,

podpis swój na manifeście położy. Stało się, że nieopatrzny starzec, nie domyślając się znaczenia manifestu, pod niebytność zwykłego swego doradcy Mokronowskiego, dał podpis podchwycić. Ale Mokronowski wezwany z kolei, rozczytawszy się w akcie, zabrał go, hetmanowi wytłómaczył i oryginał zniszczył.

Wszystkie plany i rachuby zostały w ten sposób zniszczone, a co więcéj, między Familią a hetmanem nastąpił rozbrat zupełny. Czartoryscy omyleni zostali w nadziejach, Francya i Prussy dopięły celu. Broglie krzątał się coraz czynniéj, usiłując partyę stworzyć.

Między Brühlem a Familią stał teraz Mniszech, który sam zamierzał być wodzem stronnictwa dworskiego, chociaż nie miał po temu zdolności. Powoli starano się przyciągać oponentów dla postawienia ich przeciw Czartoryskim, jednano sobie Potockich, Radziwiłłów, Ogińskich, Rzewuskich. Sprawa ordynacyi Ostrozkiéj, głośny ten i gorszący frymark i bezprawie, pomogła stronnictwom do wytoczenia sobie nowéj walki, a Brühlowi do wyzyskiwania tych, co na łupieży dóbr ordynackich urosnąć chcieli.

Branicki zamanifestował się przeciw podziałowi nieprawnemu ordynacyi, Broglie w imię praw królowéj francuzkiéj (Leszczyńskiéj). Nie możemy się tu o téj ciekawéj czasu swojego sprawie rozszerzać; pisze o niéj, oprócz innych, Matuszewicz. Sejm 1754 r. występował znowu z temi samemi postulatami, instrukcye poselskie nastawały na utrzymanie ordynacyi, przeciw tranzakcyi kolbuszowskiéj. Tymczasem Strawiński, poseł z Upity, zamanifestował się przeciw kompetencyi sejmu w sprawie ordynacyi, do trybunałów należącéj.

Brühl, Broglie i Branicki, sprawy ordynacyi ułożyli po swéj myśli,—nie bez zapewnionych dla ministra korzyści — i w chwili, gdy się Czartoryscy wcale tego nie spodziewali, komissyą ordynacką złożono bez nich, z samych ich przeciwników.

Było to rzucenie rękawicy. Familia jak piorunem była rażona tym gwałtownym zwrotem Brühla przeciw sobie. W wigilią wypadku nikt możliwości jego nie przypuszczał.

Od téj chwili Czartoryscy stawali jako przeciwnicy dworu i nieprzyjaciele Brühla; role zostały zmienione: Potoccy, Radziwiłłowie, hetman stali po stronie dworu i ministra.

Familia zwróciła sią ku Rossyi, szukając tam opieki i poparcia i znajdując ją. Groźby wypowiedzenia wojny i złożenia z tronu Augusta III-go słyszeć się dały. Poseł rossyjski otrzymał polecenie napomnienia Brühla o sprawiedliwy szafunek łask królewskich i nominacyi, które stronnictwo francuzkie pochłaniało. Zrazu

oparł się minister, zaprzeczając obcemu mocarstwu prawa mieszania się do spraw kraju wewnętrznych, grożąc nawet, że król raczéj złoży koronę, niżby się miał poddać rozkazom, które jego władzy uwłaczały. Jednakże — podziału łask do czasu ostrożniéj dokonywano, dwór stał się na pozór łagodniejszym.

Branicki tymczasem opanowany przez Brogliego, sposobił się sam do zawiązania konfederacyi, do któréj późniéj i król miał przystąpić. Myślano o zawarciu z Turcyą przymierza. Była to chwila, gdy polityka francuzka najczynniéj się w Polsce krzątała. Kandydatura ks. Contego była na dalekim planie, ale nadewszystko odciągnięcie Rzeczypospolitéj od Rossyi—Augustowi III-mu żyjącemu subsydyami obcemi, ofiarowano je w zamian za wzbronienie wojskom Rossyi przejścia przez ziemie Rzeczypospolitéj. Oparcie się siłą było tak dalece niepodobne, iż do układów nie przyszło.

Gdy się to działo, w polityce pruskiéj nastąpił zwrot nagły, i w roku 1756, przeszły Prussy do związku z Anglią. To zmieniło zupełnie sytuacyą. Branicki zawiesił wszelkie przygotowania i nie dał się już daléj popchnąć posłowi Francyi. Broglie nieświadomy zawiązanych już układów między Francyą a Austryą, działał ciągle wedle dawnych instrukcyi.

W roku 1755, razem z Williamsem, młody Stanisław Poniatowski wyjechał do Petersburga w chwili, gdy wszystkie dworów stosunki zmienić się miały. Rossya zamiast projektowanego traktatu z Anglią, zawarła alians z Austryą i Francyą. Stosunki też Francyi w Polsce uledz musiały zmianie, choć Ludwik XV zapewniać kazał, że zawsze równie mu są drogie swobody Rzeczypospolitéj i że stawać będzie w ich obronie. Niewiele na tém polegać było można; Broglie znajdował się w przykrém i trudném położeniu.

Rossya, opierając się na stronnikach swych i znając słabość Rzeczypospolitéj, o przemarsz wojsk swoich wcale się nawet z dworem układać nie myślała. Generał Wejmarn pojechał z tém do Puław, a Czartoryscy skorzystali ze zręczności, aby się bliżéj porozumieć z dworem petersburskim. „Ojczyzna nasza, mówili do Wejmarna—wdzięczną będzie cesarzowéj, gdy istnienie Rzeczypospolitéj zwiąże ona tak ściśle z interesami państwa swojego, aby żadna zmiana w Rzeczypospolitéj bez porozumienia się z Rossyą zajść nie mogła.“ Odmalowali oni przed wysłannikiem smutny stan Rzeczypospolitéj, intrygi Brühla, Mniszcha francuzkie przekupstwa i zabiegi — wystawili ofiary, jakie już ponieśli, i potrzebę subsydyów dla utrzymania stronnictwa i konstytucyi 1716 — 1717 r.

Wojna siedmioletnia już się była tymczasem rozpoczęła; Fryderyk II-gi nie wypowiadając jéj Saxonii, gdy Brühl tak śmiałego kroku nie mógł przypuszczać nawet, trzema wojsk korpusami wkroczył i zajął kraj zwycięzko. Wojska saskiego, na papierze istniejącego, szczupła garść zdezorganizowana, opierać się nie była w stanie; rozbrojono je i zabrano, królowi i Brühlowi wydano pasporta „na sejm“ do Warszawy.

Chciano się opierać z pomocą konfederacyi wnijściu wojsk rossyjskich—napróżno; wciągnęły one bez żadnéj ze strony kraju przeszkody. Stronnictwo Czartoryskich umysły ukołysać się starało.

Pomijamy wspomniany przez autora pobyt stolnika litewskiego w Petersburgu, który na rozwój ówczesny spraw krajowych żadnego nie miał wpływu — dodał tylko może stronnictwu Familii pewności siebie i odwagi do dalszego działania. Intrygi francuzkie, którym się nie wiodło, tém zuchwalsze snuły plany dogadzające chwilowym fantazyom Ludwika XV-go. Marzono zawsze o zrzuceniu z tronu Augusta III-go i o kandydaturze jednego z synów Filipa V-go króla hiszpańskiego. Francya poddawała tylko idee, ani pomocy, ani subsydyów, ani żadnéj nie chcąc uczynić ofiary. Zachcianki te zmieniały się co chwila, żadnéj podstawy nie mając, ani środków wykonania. Broglie zacięciéj tylko nalegał na Brühla o odwołanie Poniatowskiego z Petersburga; a król uległszy przed wojewodą mazowieckim, tłómaczył się, że to uczynił mimowoli, zmuszony posłusznym być, gdyż—chleba nie miał, a Francya go jałmużną karmiła.

Nareszcie nieznośne wymagania Brogliego, zmusiły Brühla prosić o jego odwołanie. Było to wyrokiem śmierci dla francuzkiego stronnictwa, które jak widać z Matuszewicza, co się też doń liczył, zawsze nadzwyczaj było słabe i mało znaczące.

W roku 1757—1758 wojska rossyjskie wedle wymagań strategicznych swobodnie ziemie Rzeczypospolitéj zajmowały i opuszczały. Rzeczpospolita ani mogła, ani się opierać chciała. Groźném się to stawało dla Fryderyka II-go. Uciążliwości kraju nie wchodziły w rachunek, wojna i jéj konieczności tłómaczyły je. Fryderyk też ze swéj strony neutralności Rzeczypospolitéj nie szanował, nachodząc ją jak chciał i zalewając fałszywą monetą, która miejsce wykupowanéj zastępowała. Dwór pragnął wciągnąć w wojnę Rzeczpospolitą, ale szlachta wolała najazd niż obronę i jéj następstwa. To pewna, że neutralność ówczesna straszniejsze nad samą wojnę sprowadzała klęski i że chwycenie się któréjkolwiek strony mniéjby ofiar wymagało.

„Naród nie chciał wojny, powiada Roepell—w massach ugruntowało się przekonanie, że niezawisłość i całość kraju najlepiéj były ubezpieczone, gdy w żadne zawikłania zewnętrzne się nie mieszała, i że wzajemna zazdrość sąsiadów najlepiéj ją strzegła, a siły się przez to nie wyczerpywały.“

Familia, opierając się na silnéj opiece — ostrzéj coraz występowała przeciw dworowi. Brühl zdawał się unikać stanowczéj walki, chwilami starał się łagodzić, miał nawet może myśl pozyskania napowrót Czartoryskich, gdyż stosunki z Rossyą stawiły go w fałszywém położeniu. Do Petersburga, który oszczędzać i jednać sobie chciano, wyprawiono syna królewskiego, pragnąc mu zapewnić po Bironie księztwo Kurlandzkie, w czém Czartoryscy usiłowali przeszkodzić, ale mimo nich książę Kurlandyą otrzymał—niestety — na to, aby tém boleśniéj wkrótce wyrzec się jéj musiał. Czartoryscy ze swojéj strony wyprawili księcia Adama, Brühl także szukał tam opieki przeciwko poruszeniu, którego się lękano. Obie strony skarżyły się i intrygowały w Petersburgu. Czartoryscy więcéj na przyszłe zmiany niż na teraźniejszość rachowali.

Dwór spotykał ich nietylko tu, ale na każdym kroku przeciw sobie. Następca Brogliego, de Paulmy, otrzymawszy instrukcye które go do biernéj zupełnie roli ograniczały, znalazł w nich między innemi i tę przestrogę, że „*anarchia w Polsce interesom Francyi była dogodną,*“ i że coś przeciwko niéj poczynać nie widziano potrzeby.

Wśród walki dworu z Familią i dwu stronnictw—nastąpił rodzaj przerwy i zawieszenia broni, spowodowany obawą zarówno Czartoryskich jak ich przeciwników, aby dwor z pomocą Rossyi i wojsk jéj nie skruszył swobód Rzeczypospolitéj i nie targnął się na jéj ustawy, aby nie wciągniono Rzeczypospolitéj w wojnę i nie pobito Pruss, które ówczesnym politykom zdawały się do równowagi potrzebne. Przez chwilę więc — dziwnym sposobem działano zgodnie. Czartoryscy, Branicki, Potoccy, rwali sejmiki i sejmów nie dopuszczali. Dwór i Brühl stali prawie osamotnieni, brakło im sprzymierzeńców. Sejm 1761 roku nie powiódł się lepiéj nad inne, chociaż dwór na opiekę wojsk rossyjskich rachując, miał nadzieję posłów swoich przeprowadzić. Nie miał jednak odwagi do stanowczego działania, i zamiary marnie spełzły. Czterdziestu posłów podpisało manifest, że sejm zwolany został przez koronę, bez dołożenia się senatu.

„Trzy meteory“ stały przy królu tylko: Brühl, Mniszech i Sołtyk, usiłując zamknąć usta coraz głośniéj skarżącym się na pono-

szone od wojsk obcych uciski. Wysłano jeszcze w roku 1760 Rogalińskiego, starostę obornickiego, prosząc o likwidacyą i wynagrodzenie; otrzymano obietnice, wyznaczona została komissya, ale rachunki długie lata się ciągnęły. Szlachta utrapiona wojną, coraz mocniejszy żal za nią czuła do dworu;—zwracano się nawet z rozpaczy ku Prussom, ale te mniemane sympatye ku Fryderykowi II-mu, o których pisze dr. Roepell, czerpiąc o nich wiadomość z raportów rezydenta Benoit'a, w jego podobno tylko wyobraźni istniały. Rozdraźnienie umysłów w Warszawie, o którém tenże rezydent donosi, a które miało nawet zastraszyć generała Wojejkowa, widocznie przez agentów pruskich było wywołane i podtrzymywane sztucznie, bo w narodzie nigdy — nawet czasu czteroletniego sejmu, — istotnéj wiary i sympatyi dla Pruss dostrzedz nie można, a sejm 1793 roku, najlepiéj dowodzi, jakie żywiono uczucia. Fryderyk II-gi już naówczas skarbiąc sobie przyszłość, przewidując ją, z młodym stolnikiem litewskim starał się zawiązać stosunki i serce jego dla siebie pozyskać. Śmierć cesarzowéj Elżbiety dnia 5 Stycznia 1762 roku, nowy obrót wywołała. Brühl był przerażony, widząc już zmiany, jakie nastąpić musiały. Niezmiernie pokornie i uniżenie proszono w Petersburgu, o utrzymanie od lat sześćdziesięciu istniejących stosunków przyjaznych. Starszy syn Brühla wysłany został w poufnéj missyi. Skłaniano się do jakiego takiego pokoju. Z drugiéj strony Austrya i Francya starały się Rzeczpospolitą nastraszyć przyszłym aliansem Pruss z Rossyą. Już naówczas Fryderyk II-gi miał proponować (pisze Roepell) oddanie Austryi Glatzu i Górnego Szlązka, zapewniając sobie indemnizacyą z Polski, na co jakoby Marya Teressa „przez miłość dla Rzeczypospolitéj" zgodzić się nie chciała (str. 147). Działo się to na lat dziesięć przed owém wysłaniem księcia Henryka do Petersburga. Widzimy, jak myśli i plany Fryderyka II-go wcześnie powzięte, prowadzone wytrwale, umiejętnie dokonywane były.

Syn Brühla źle został przyjęty w Petersburgu, gdzie Czartoryscy byli w łaskach. Brühl stary napróżno już skłaniał się ku Familii i usiłował ją pozyskać, była nadto silną, aby się z nim rachować potrzebowała, a panowaniu Augusta III-go i ministra rychły koniec przewidywano.

Uląkł się przyszłości i hetman Branicki, ze skargami i żalami szląc do Paryża, zkąd mu Choiseul zimno odpisał, że nie było wcale w interesie Francyi, wywoływać do czynu Rzeczpospolitą. Umysły się jednak z czasem nieco uspokoiły. Po zawarciu pokoju między Rossyą a Prussami (który ocalił monarchią Fryderyka), wojska rossyjskie zaczęły wychodzić z granic Rzeczypospolitéj.

Smierć Michała Radziwiłła, hetmana litewskiego i odkrywające się do wakansów widoki, znowu stronnictwa do żywéj pobudziły walki. Do buławy polnéj, która po Massalskim zawakowała, do województwa wileńskiego, Radziwiłłowie i dwu Sapiehów stawali jako współzawodnicy. Oprócz tego Potocki, Pociej, Ogiński rościli sobie prawa. Zabiegano o protekcyą do Petersburga, z pieniędzmi biegano do Brühla, ale rozdawnictwa do sejmu odłożone zostały. Wysłano na sejm uniwersały, gdy w Petersburgu zaszła zmiana przez wstąpienie na tron cesarzowéj Katarzyny. Brühl otrzymał zarazem wiadomość o niéj, i o utrzymanym wymarszu wojsk rossyjskich z Polski. Familia uczuła się silniejszą jeszcze, a Brühl, pisze Benoit, „o mało z gniewu nie pękł.“ W opowiadaniu dr. Roepella, ta część, do któréj przeważnie użył depesz rezydenta pruskiego Benoit'a, najsilniéj jest też tém źródłem zabarwiona. Dowiadujemy się z nich o wczesnych stosunkach króla Fryderyka z panem stolnikiem, który też z Benoit'em był na dobréj i poufałéj stopie. Instrukcye kazały się o to starać rezydentowi. Sprawa kurlandzka przybrała zaraz inny charakter, wojska rossyjskie zajęły kraj, a cesarzowa nie uznała legalnéj inwestytury ks. Karola i żądała, aby się usunął.

Położenie Brühla i dworu nigdy przykrzejszém nie było. Czartoryscy występowali nieprzejednani, szlachta srożyła się rozjątrzona, usiłowania pojednania były próżne. Sam Brühl przyznawał, że trzy czwarte posłów miał przeciw dworowi i sobie.

Wymagano od Brühla z naciskiem rozdania wakujących urzędów, wedle żądań Familii, nie chcąc mu w zamian dać żadnych obietnic. Dwór, zawsze wedle depeszy Benoit'a, miał nawet prosić posła pruskiego, aby on pomógł do zerwania sejmu, którego więcéj się obawiał niż pożądał. Wierzymy w to, że rezydent mógł się chwalić podobném żądaniem dworu, ale rzeczywistość faktu zdaje się nam wielce wątpliwą. Benoit ani naówczas, ani późniéj nie miał wpływu ani znaczenia, któreby mu dozwalało coś podobnego przedsiębrać.

Znany jest z Rhullièr'a ten sejm, na którym stolnik Poniatowski wystąpił zadając młodemu Brühlowi, że nie był polskim szlachcicém, sceny w izbie sejmowéj, w któréj o mało do krwawego nie przyszło starcia, i spotkanie się równoczesne starego Brühla z Czartoryskimi u hetmana Branickiego. Warszawa przedstawiała obraz niemal dwóch obozów pod bronią gotowych do bratobójczéj walki. Przytomność umysłu Mokronowskiego tylko większym zapobiegła zgorszeniom, i sejm rozszedł się zerwany. Dwór już był blizkim powołania wojsk saskich na ratunek. Manifestowali

Czartoryscy i Poniatowski, remanifestem odpowiedział dwór i hetman. Na radzie senatu kanclerz Czartoryski, silnie popierany przez Andrzeja Zamoyskiego, występował otwarcie przeciwko Brühlowi, lecz większość senatorów na stronę dworu się skłoniła. Czartoryscy coraz śmielsi mieli już na myśli tylko skonfederowanie się, i choć Rossya i Prussy, które teraz działały zgodnie, wstrzymywały ich, przygotowywali się do tego ostatecznego kroku. Kaiserling i Goltz postępowali ciągle wedle jednych instrukcyi i myśli, a kandydatura na tron Poniatowskiego już nie była tajemnicą.

Tymczasem zawarty w Hubertsburgu pokój d. 15 Lutego 1763, zakończył siedmioletnią wojnę. W Polsce sprawa Kurlandzka boleśnie dotykała króla w osobie syna. Napróżno protestowała Rzeczpospolita przeciwko wprowadzeniu Birona, Czartoryscy na radzie wystąpili przeciwko ks. Karolowi, i choć większość senatu była za utrzymaniem syna królewskiego, nic to nie pomogło, bo sił do poparcia go zabrakło. Zwołano tylko sejm extraordynaryjny, na który król uniwersały bez daty podpisawszy, co najprędzéj pośpieszył do ulubionego Drezna. Kraj patrzał zupełnie obojętnie na losy ks. Karola, i ledwie czterdziestu szlachty litewskiéj ruszyło mu z odsieczą. Wystąpienie Czartoryskich przeciwko dworowi uniewinnia Roepell, tłómacząc je planami reform, których związku ze sprawą kurlandzką dopatrzyć trudno, chyba że poświęcając tę prowincyą, spodziewali się za to poparcia w dalszych swych krokach. Wspomina tu autor o piśmie Konarskiego. „O skutecznym rad sposobie,“ łącząc myśli w niém zawarte z planami Czartoryskich, i podając zarys dzieła według Szujskiego. W istocie Konarskiego idee nie pozostały bez wpływu. D. 18 Września 1762 r. Benoit donosił, że ks. Konarski wielu znajdował zwolenników. D. 22 Czerwca 1763 r. pisze o nim znowu: „Ks. Konarski, który od roku czy dwóch reformę konstytucyi polskiéj wnosi, znajduje teraz tak wielu zwolenników, jak wprzódy miał przeciwnych. Mówią, że naród WKMości (stosuje się to do króla pruskiego!) obowiązanym będzie za to, iż go zmusił stać się godną poszanowania potęgą. Rozprawiają tylko o konstytucyi angielskiéj, którą chcą za wzór wziąć sobie.“ W kilka dni potém, Benoit donosi jeszcze: „Cała Polska opanowana ideą konfederacyi, która ma mieć na celu zreformować nadużycia, a przedewszystkiém trybunały.“ Świadczy rezydent pruski, iż Familia i stolnik myśli téj byli zwolennikami i że konfederacyi pragnęli.

Przewidywano już blizkie interregnum, troszcząc się o to, w czyich rękach będą urzędy główne Rzeczypospolitéj, wpływ na jéj losy wywrzeć mogące. Plan konfederacyi Czartoryskich posłany

został do Petersburga, żądano w pomoc jéj, broni na piętnaście tysięcy ludzi w Smoleńsku lub Kijowie i 50,000 dukatów—Kaiserling posiłki przyrzekał.

Tymczasem w Wilnie z okazyi nowego trybunału, sposobiono się niemal do orężnéj walki; oba stronnictwa gromadziły siły jakby do boju przyjść miało. Nie w porę to zapewne i nie na rękę było Familii, która ciągle około przygotowania konfederacyi pracowała, ofiarowano w zamian za pomoc w Petersburgu, przyznanie tytułu cesarskiego i uznanie Birona, zresztą zupełne oddanie się pod opiekę cesarzowéj i nową regulacyą granic. Wszystkie już przygotowania do konfederacyi, która reformę miała przeprowadzić, były uczynione, gdy nagle cesarzowa rozkazem swym—zawiązanie konfederacyi do śmierci króla powstrzymać kazała. Jest wielce prawdopodobném, iż rady króla Fryderyka wpłynęły na to, i idei reform, któreby nowe siły Rzeczypospolitéj dać mogły, nie dopuściły. Daje się to czytać z depeszy Benoit'a, widocznem jest z całego toku rzeczy i stosunków z królem pruskim, który planów swych z oczu nie stracił.

Nagle dał się uczuć Familii niespodziewany zupełnie zwrot i zmiana planów w Petersburgu. Oświadczono się przeciwko reformom i zmianom radykalnym, a nawet z intencyą porozumienia ze dworem.

Gdy wiadomości te doszły Czartoryskich, kanclerz przerażony i zgryziony—zachorował. Napróżno starał się go Kaiserling pocieszyć tém, że nie szło o ideę konfederacyi samą, ale o chwilę do niéj wybraną. Familia udała się z memoryałem nowym do Petersburga i prośbą o zatrzymanie wojsk w kraju dla poparcia stronnictwa. Kaiserling posłuszny instrukcyom nowym starał się partye zbliżyć i pojednać z sobą.

Widocznie zmieniły się idee—konfederacya odłożoną została na stronę, a ugody się rozpoczęły. Szły one trudno, zwłaszcza z Familią, która w swą siłę ufała; po długich korowodach podpisano układy z jednéj strony przez prymasa Łubieńskiego, z drugiéj przez hetmana.

W Petersburgu poseł polski otrzymał obietnicę indemnizacyi dla księcia Karola, zalecenie, aby szafunek łask był dla obu stronnictw równym, i zapewnienie, że konfederacyi cesarzowa zapobiedz się będzie starała.

Kaiserling spodziewał się, że w ten sposób pokój zostanie zabezpieczony. Położenie Familii byłoby nader przykre, po tylu ofiarach i nadziejach zawiedzionych, gdyby nie pocieszające wyrazy, jakiemi ich starano się podźwignąć. W istocie zachodziła raczéj

kwestya czasu niż zasady—idea reformy była odroczoną, ale nie zatartą. Tak sądziła Familia—tymczasem szło już jéj tylko o utrzymanie się na stanowisku i na reassumpcyą trybunału w Piotrkowie sposobiono się z obu stron z ogromnemi siłami, gdy—wieść nadeszła z Drezna o śmierci króla.

„Nowa epoka w losach Polski się rozpoczynała,“ kończy Dr. Roepell.

Taka jest treść tego szkicu, czyli fragmentu dziejowego, którym nas znakomity historyk niemiecki obdarzył. Jest to obraz pobieżnie, wprawną skreślony ręką, ale nie wyczerpujący;—nosi on na sobie cechę pośpiechu i żal obudza, że okoliczności nie dozwoliły autorowi dać nam więcéj nad zarys ułamkowy jednéj chwili smutnéj w dziejach Rzeczypospolitéj.

REFORMA MIAST W ROSSYI.

Podług Ustawy z dnia 16 (28) Czerwca 1870 roku

przez

ANTONIEGO OKOLSKIEGO.

W rzędzie reform, jakiemi nacechowane zostały ostatnich piętnaście lat w Rossyi, ważne nader miejsce zajmuje przekształcenie porządków miejskich, zaprowadzające do miast samorząd z mocy nowéj ustawy miejskiéj z dnia 16 (28) Cerwca 1870 roku. Przez ukaz tejże daty ustawa miejska bezpośrednio wprowadzona została w 45 miastach po większéj części gubernialnych Cesarstwa, z wyłączeniem miast stołecznych t. j. Petersburga i Moskwy, tudzież Odessy, dla których późniéj miały być wydane dodatkowe przepisy. Artykuł 2-gi tegoż ukazu postanowił wprowadzić ustawę miejską w jak najkrótszym czasie i do innych miast gubernii rossyjskich i syberyjskich. W roku 1874 było już 423 miast, które przekształcono w duchu nowéj ustawy.

Co się tycze w tym względzie gubernii Zachodnich i Nadbaltyckich, tenże ukaz polecił ministrowi spraw wewnętrznych po porozumieniu się z miejscowymi gubernatorami, uczynić stosowne kroki w drodze prawodawczéj (art. 3). Do Moskwy zaś i Peters-

burga ustawa powyższa została zastosowana w skutku przepisów z d. 20 Lipca 1872 r.

Nowa ustawa miejska ma być także wprowadzona do miast Królestwa Polskiego, Dziennik bowiem Warszawski podaje wiadomość, że w końcu przeszłego 1875 r. komissya ad hoc ustanowiona zagasiła już w gmachu magistratu miasta Warszawy swe obrady nad sposobem zastosowania nowéj ustawy do miast Królestwa Polskiego. Ważność téj zbliżającéj się reformy, obchodzącéj nietylko ludność miejską (1), ale całą społeczność kraju, mianowicie zaś wzgląd, iż ustawa powyższa ma i u nas zyskać moc obowiązującą, skłaniają do bliższego zastanowienia się nad nią, nad jéj znaczeniem i doniosłością.

I.

Dla należytego ocenienia ustawy miejskiéj z dnia 16 (28) Czerwca 1870 r., wypada nam w treściwym rysie przedstawić koleje, jakie w ciągu rozwoju dziejowego przechodziły miasta i instytucye miejskie w ogóle aż do chwili obecnéj.

Pomijamy urządzenia municypalne w starożytności, gdyż te miały wówczas zupełnie inne niż obecnie znaczenie; były one instytucyami państwowemi nie miejskiemi, i z nowemi niemają nic wspólnego. Chcąc wykazać źródło urządzeń miejskich nowszych czasów, należy go szukać w dziejach społeczeństwa średniowiecznego, począwszy od X-go stulecia.

W owym czasie władza monarchiczna słaba, nierozwinięta, nie mogła podołać tym zadaniom, które obecnie każdy rząd dobrze ukonstytuowany bierze na siebie. Nie mogła ona zapewnić ani bezpieczeństwa prawnego osób lub majątków, ani nawet wolności osobistéj. Coraz silniéj rozwijający się feudalizm nie przyczyniał się do wzmocnienia władzy królewskiéj, owszem coraz bardziéj rozluźniał węzły łączące lenników i posiadane przez nich ziemie z państwem. W skutku tego panowie feudalni z biegiem czasu zdołali przywłaszczyć sobie władzę nad znajdującemi się w obrębie ich posiadłości miastami, jeżeli nie mieli jéj już poprzednio z tytułu podboju, i nakładali na miasta bądź sami, bądź przez swych urzędników podatki, wymierzali sprawiedliwość, wymagali

(1) W Królestwie po zamianie 326 miasteczek na osady wiejskie, pozostało 126 miast z ludnością około 1,000,000.

rozmaitych danin, powinności i t. d. Nie rządzili się w téj mierze względami słuszności, sprawiedliwości. Nie krępując się żadném prawem, sami prawo stanowili. Nie dziw, iż nadużycia, łupieztwa, zdzierstwa były wówczas na porządku dziennym. Ztąd klassy niższe nietylko po wsiach były przyprowadzone do zupełnego poddaństwa, ale i po miastach znajdowały się, w stanie pognębienia, zależności od wyższych, to jest arystokracyi feudalnéj i duchowieństwa, wobec których prawie żadnych praw nie miały. Nadto arystokracya feudalna, nie poprzestając na uciemiężeniu klass niższych w sposób, że się tak wyrażę, ulegalizowany, dopuszczała się rozmaitych nadużyć w inny sposób. Owe czasy należy uważać za stan ciągłéj walki, wojny, w którym znajdowało się rycerstwo feudalne. Wojny prowadzone przez możnych odbijały się przedewszystkiém na słabych, uciemiężonych, którzy płacili ich koszta ceną swego mienia, wolności i życia. Przeciwko łupieztwom i zdzierstwom nie pomagały żadne środki, ani krzyk, ani pokój Boży, ani klątwy rzucane przez kościół.

Miasta znów, wśród których zostało trochę wspomnień klassycznego świata, których ludność powoli zlała się z różnorodnych często nieprzyjaznych żywiołów, w jednę całość czującą swą siłę i potrzebę lepszego stanu rzeczy, wśród któréj wyrobiła się solidarność interesów, nie mogły poddać się biernie takiemu wyzyskiwaniu i nadużyciom. Owszem w miarę pomnożenia się dobrobytu i zamożności, jako płodów rozwiniętéj działalności na polu przemysłu i handlu, miasta coraz silniéj czuć musiały konieczność zabezpieczenia się od ucisku, zapewnienia bezpieczeństwa osób, życia i majątku. Powstało ztąd tak zwane *l'affranchissement des communes,* wyswobodzenie się miast, fakt ogromnego dziejowego znaczenia, a z nim razem i *urządzenia miejskie.* Ruch miast dążących do wyswobodzenia się widać najprzód we Włoszech, mianowicie w Lombardyi i Toskanii w XI a nawet w X-ém stuleciu; w XII-m zaś wieku miasta włoskie zupełnie wyzwoliły się z pęt feudalnych. Do tego samego rezultatu doszły w XII-m i XIII-m wieku miasta hiszpańskie, francuzkie i niemieckie. Walkę o niepodległość swoję miasta toczyły z rozmaitém szczęściem i za pomocą rozmaitych środków. Niektóre zdołały zabezpieczyć swoje swobody na mocy dobrowolnego układu zawartego z panami feudalnymi, inne za pomocą oręża musiały je wywalczać. Ogólną jednak cechą charakterystyczną tego dążenia miast było to, iż szło ono ręka w rękę ze wzmagającą się władzą królewską, monarchiczną, która w walce swéj z feudalizmem, musiała szukać sprzymierzeńców i znajdowała ich w miastach. Dla tego władza kró-

lewska nietylko w owe czasy nie sprzeciwiała się wyswobodzeniu miast, ale owszem niejednokrotnie wspierała je w tém dążeniu, nadając przywileje albo biorąc bezpośrednio pod swoję opiekę. Miasta znów dążąc do wyzwolenia się z pod feudalnego ucisku, były, przez samą naturę rzeczy, zmuszone do tworzenia rozmaitych organów, instytucyi, zarządzających wspólnemi interesami, wybierających podatki i t. d. Instytucye te, jak nas uczą dzieje, nietylko odpowiadały ówczesnym potrzebom miast, ale co więcéj, doszły właśnie wtedy do tego stopnia rozwoju, iż i obecnie jeszcze służą pod wielu względami za pierwowzór do kształcenia się ich w miastach.

Dwie główne potrzeby wywołały potrzebę instytucyi miejskich w średnich wiekach: mianowicie brak bezpieczeństwa na zewnątrz i brak bezpieczeństwa osób i majątków czyli należytego wymiaru sprawiedliwości na wewnątrz. To też powstające instytucye municypalne, mają na widoku głównie zaspokojenie tych dwóch potrzeb. Inne magistratury miejskie powstają w następstwie, w miarę rozwoju miast i życia społecznego miejskiego.

Dla zadosyćuczynienia pierwszéj potrzebie, miasta konstytuowały się wojennie, nakładały na ludność zdatną do boju obowiązek bronienia miasta nietylko z murów miejskich w czasie napadu lub oblężenia nieprzyjacielskiego, ale i w czystém polu, stanowiły dowódców, urządzały ceghauzy czyli arsenały, powierzały cechom obronę pewnych bram i t. d. Nad urządzeniami temi wszakże nie widzimy potrzeby zastanawiać się obszerniéj, gdyż jak wiadomo, w następstwie miasta utraciły, i to słusznie, prawo utrzymywania wojska, tak iż obecnie instytucye wywołane tą potrzebą nie mają dla nas żadnego znaczenia.

Inaczéj się ma z innemi organami, które powstały dla zadosyćuczynienia drugiéj ze wspomnionych przez nas potrzeb. Pierwotne prawo sądzenia w mieście należało do urzędników naznaczanych przez panującego, którym do pomocy, poczynając od VIII, IX-go stulecia zaczęto dodawać ławników, tak zwanych skabinów (Schoeffen), którzy po większéj części również przez zwierzchnią władzę byli mianowani. W następstwie, skoro miasta doszły do poczucia swéj siły, zapragnęły wymiaru sprawiedliwości nie przez urzędników zupełnie sobie obcych, niezwiązanych z niemi żadnym interesem i naznaczanych przez panującego albo pana feudalnego, ale przez własnych sędziów, przez obywateli miasta wybranych. Cel ten został prawie ogólnie przez miasta osiągnięty w końcu XI-go i na początku XII-go wieku; ponieważ jednak z wymiarem sprawiedliwości wówczas było połączone wykony-

wanie rozmaitych czynności administracyjnych, jak rozkład i zbieranie podatków miejskich, budowa i utrzymanie w stanie obronnym murów i budowli miasta, dozór nad drogami, mostami, przemysłem, handlem i t. d., przeto urzędnicy wybieralni objęli po swych poprzednikach nietylko władzę sądową, ale i wykonawczą, administracyjną. Władza ta z postępem czasu objęła główny ster nad interesami miasta i jego zarządem. Urzędnicy ci nosili wówczas różne nazwy: konsulów, podestów, trybunów, majorów, burmistrzów—pomimo zaś téj różnicy w nazwie i w mniejszym lub większym zakresie obowiązków, główną cechą charakterystyczną ich było, że w ręku ich skupiała się władza wykonawcza, zarząd interesami miejskiemi.

Nieco późniéj powstał drugi organ zarządu miejskiego tak zwana Rada miejska, *Consilium credentiae*, *consiglia di credcneza*, *Stadtrath*. Rada ta utworzyła się w ten sposób, iż skoro konsulowie lub inni urzędnicy, którym powierzony był zarząd, nie byli w stanie załatwiać wszystkich interesów miejskich, miasta zostały podzielone na części, okręgi, kwartały, parafie: na czele zaś każdego z tych okręgów postawiono osobnego urzędnika mającego wykonywać drobniejsze czynności administracyjne. Z czasem urzędnicy ci dla załatwienia spraw wspólnie ich okręgi obchodzących, poczęli się zbierać na ratuszu, gdy zaś zebrania te z przypadkowych, niestałych, zamieniły się na peryodyczne, stałe, utworzyli oni powyższą Radę. Jeżeli wreszcie wspomnimy, iż dla rozstrzygania wielu najważniejszych kwestyi obchodzących całe miasto, np. dla ustanowienia przepisów mających obowiązywać wszystkich obywateli, zbierali się wszyscy posiadający prawo obywatelstwa miejskiego, to będziemy mieli trzeci organ instytucyi municypalnych średniowiecznych, tak zwane *Consiglio generale*, *Consiglio magiore*.

Tak samo i u nas w XIII i następnych wiekach powstają w miastach instytucye na wzór zachodnio-europejskich, zwłaszcza niemieckich utworzone. Widzimy więc tu magistraty złożone z burmistrza i rajców, zarządzających interesami miejskiemi, z wójtów sądowych, ławników wymierzających sprawiedliwość, prócz tego innych urzędników, jak ratmanów, ceklarzy, wiertelników i t. d., którym powierzane były pewne specyalne obowiązki. Całe obywatelstwo miejskie czyli tak zwane wówczas pospólstwo przez swych delegatów od cechów i korporacyi, zbierało się na ratuszu dla ustanowienia przepisów prawnych, wilkierzy, odczytania postanowień królewskich i t. d.

W miastach więc średniowiecznych wyrobiły się głównie trzy organa instytucyi municypalnych, mianowicie: burmistrz, rada mniejsza i rada większa, czyli zebranie wszystkich obywateli. Każdy z powyższych organów miał osobne prawo i obowiązki. Prócz tego były także i inne organa, tworzące się w miarę potrzeby lub miejscowych stosunków. Jakkolwiek zaś powiedzieliśmy, iż wyrobiły się naówczas trzy organa, nie idzie jednak za tém, aby w każdém mieście one istniały, albo żeby w każdém były jednakowo ukształtowane. Oryginalność, jaskrawość życia średniowiecznego odbijała się i na instytucyach miejskich; dla tego też jak w architekturze średniowiecznéj, gotyckiéj spotykamy najdziwaczniejsze i najfantastyczniejsze kształty i formy, tak i w instytucyach municypalnych owych czasów znajdujemy tę samą rozmaitość, pstrociznę. O jednostajności wówczas nie można było myśleć.

Miasta średniowieczne, doszedłszy do posiadania własnych swoich urządzeń, dobiły się tak pod względem prawodawczym, jak i pod administracyjnym zupełnéj prawie niezależności od państwa albo od panów feudalnych. Pod względem prawodawczym mięszały się one do wszystkich stosunków prawnych obywateli i urządzały je za pomocą swoich postanowień, nie poprzestając na uchwalaniu pojedynczych rozporządzeń, ale wydając całe kodeksa, statuta. Pod względem stosunków zewnętrznych przywłaszczyły one sobie wszystkie prawie atrybucye najwyższéj władzy, utrzymując stosunki z zagranicą albo z innemi miastami na stopie państw udzielnych, zawierając traktaty, wypowiadając wojnę, podbijając siłą albo przyjmując pod swoję opiekę inne miasta; gdzie zaś nie wystarczały siły pojedynczego miasta, tworząc potężne związki, ligi, jak miast lombardzkich, nadreńskich, szwabskich, jak związek hanzeatycki, które nie wahały się stawić czoła nawet najpotężniejszym naówczas władcom Europy. Taką samą niezależnością cieszyły się naówczas miasta i pod względem administracyi wewnętrznéj, wymierzając sprawiedliwość, bijąc pieniądze, nakładając stosownie do swego uznania podatki, pobierając cła, jednóm słowem zarządzając interesami miejskiemi zupełnie niezależnie. W skutku tego miasta tworzyły prawie zupełnie niezależne państwa w państwie, republiki; niektóre zaś dobiły się zupełnéj niepodległości, którą nawet do ostatnich czasów utrzymały. Dziwić się także nie można, iż miasta, wywalczywszy sobie taką niepodległość pod względem politycznym, doszły do znakomitéj potęgi pod względem materyalnym i moralnym; jak bowiem z jednéj strony

niepodległość polityczna znakomicie przyczyniała się do wzrostu przemysłu, handlu, a ztąd zamożności i bogactwa: tak z drugiéj znów, właśnie ta zamożność materyalna dawała pochop mieszczanom do lepszego zabezpieczenia swych swobód, dostarczając im środków do prowadzenia skutecznéj walki. To też handel i przemysł w miastach pod tym podwójnym bodźcem doszły do niesłychanego przedtém rozwoju: nauki i sztuki zakwitły, wynalazki popchnęły ludzkość na nowe drogi.

Świetna historya miast zaczęła wszakże blednąć w końcu XVI i na początku XVII stulecia. Różne tego były powody: jedne czysto wewnętrznéj natury, drugie zaś pochodziły z zewnętrznych okoliczności. Do pierwszych zaliczyć można rozstrój wewnętrzny, moralny, który jak robak podciął w korzeniu życie i instytucye miejskie i doprowadzić je musiał do upadku. Miasta średniowieczne powstawały i wzmagały się, gdy stały na czele postępu, gdy prawdą był aksyomat: *l'air des villes fait libre*, w skutek którego coraz to nowa ludność przypływała do miast z gmin wiejskich, uciekając ztamtąd od niewoli i odżywiając świeżemi sokami organizm miejski. Skoro jednak z końcem XV już wieku, cechy zaczęły utrudniać przystęp do siebie nowym przybyszom, starały się o odgrodzenie i zabezpieczenie od wszelkich obcych wpływów, popadły w stagnacyą, nieruchomość i przez to zamknęły sobie drogę do dalszego postępu. Odrębność i wyłączność cechowa zniszczyła w miastach pierwiastek wolności, główny żywioł ich początkowéj siły, podkopała ich bogactwo materyalne, wywierając zarazem najgorszy wpływ pod względem moralnym. W skutek tego urzędy miejskie przechodzą na własność dziedziczną przemożnych rodzin, albo stają się własnością cechów, korporacyi; ogół zaś ludności, dla któréj urzędy te są niedostępnemi, traci zupełnie zamiłowanie do życia pnblicznego i przestaje zajmować się sprawami miejskiemi.

Do tego samego rezultatu musiały doprowadzić spory i zatargi o władzę. Z początku, kiedy miastom szło o wywalczenie swéj niepodległości lub zabezpieczenie jéj od zamachów feudalnych, działały one zgodnie w jednym kierunku, przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu. Interes wszystkich mieszczan jednoczył się w tym wspólnym dla wszystkich celu. W następstwie wszakże, kiedy cel ten został osiągnięty, kiedy miasta nie potrzebowały się obawiać nieprzyjaciela zewnętrznego, walka o władzę, o przeważny wpływ na interesa miejskie wypełnia dalszą ich historyą, prowadząc zarazem do upadku starych swobód municypalnych. W skutku tego wiele miast dostało się pod panowanie rodzin, które skorzystawszy

z niezgód i zatargów wewnętrznych, potrafiły ustalić swoję władzę dziedzicznie. Tak naprzykład stało się z Medyolanem, Florencyą, Mantuą i innemi we Włoszech.

Jedną znów z najważniejszych przyczyn zewnętrznych upadku miast i instytucyi miejskich, był zmieniony stosunek państw do miasta. Pierwotnie władza państwowa, monarchiczna popierała dążenie miast do wyswobodzenia się dla tego, iż widziała w nich, jak to już zauważyliśmy, naturalnych sprzymierzeńców przeciwko potężnym lennikom, z którymi z początku sama nic wskórać nie mogła. Skoro jednak władza ta wzmocniwszy się zdołała ukrócić samowolę panów feudalnych, nie mogła dłużéj znosić, aby miasta stanowiły dalej państwa w państwie, aby groziły ciągle oderwaniem się od całości Ztąd też wyrodziło się dążenie téj władzy do ścieśnienia i ograniczenia niepodległości miast, które wypełnia dalszy przebieg historyi miast aż do XIX wieku. Przyczyniła się także do upadku miast Reformacya bądź przez to, iż zasiała wśród mieszczan niezgodę, iż rozdzieliła ich na dwa przeciwne obozy; bądź przez to, że wojny w skutku niéj wynikłe zniszczyły miasta, przepołowiły ich ludność, zrujnowały ich zamożność, w rezultacie zaś odjęły im nawet środki do skuteczniejszego oporu przeciw zamachom na ich niezależność.

O powolnym upadku miast i instytucyi municypalnych przekonywa nas na każdym kroku historya ostatnich trzech wieków.

Tak we Francyi już w XV wieku odjęto miastom prawo utrzymywania siły zbrojnéj; w XVI w. państwo miesza się do finansów miejskich, poddając je swojéj kontroli, następnie zaś, do wymiaru sprawiedliwości i zarządu interesami miejskiemi. W skutku tego z dawnéj autonomii, niezależności miast pozostał cień tylko w instytucyach i urzędach miejskich, zajmowanych przez obywateli. Że urzędy te nie miały dawnego znaczenia, że były martwą tylko formą, z któréj żywy duch uleciał, przekonać się możemy z tego, że nie były one obsadzane drogą wolnego wyboru, ale po większéj części kupowane za pieniądze od państwa, które widziało w tém źródło swego dochodu; lub były dziedziczne w pewnych rodzinach (1). Państwo frymarczyło niemi bez względu nawet na pozory sprawiedliwości, odbierając je miastom dowolnie, ażeby w następstwie odprzedać je napowrót za wyższe pieniądze. Zresztą

(1) Mais ce qui porta le coup de mort aux communes, c'est fut la venalite des offices municipaux. *Leroy-Beaulieu.* L'administration locale en France et Angleterre, p. 78. Paris, 1872.

miasta nie mogły ani nakładać na swoje potrzeby samodzielnie podatków, ani zarządzać swym majątkiem, w najmniejszéj nawet rzeczy będąc poddane nadzorowi i kontroli intendentów królewskich, w których ręku spoczywała rzeczywista władza.

Tak samo było w Niemczech, gdzie firstowie, kurfirstowie i inni feudalni lennicy, dobiwszy się zupełnéj prawie niezależności od cesarza, odegrali względem miast tę samą rolę, którą miała władza królewska we Francyi. Najdaléj w zniszczeniu autonomii municypalnéj zaszły Prussy, w których już za Fryderyka Wilhelma I dochody miejskie pomieszano z państwowemi, remanenta miejskie postanowiono przelewać do kass państwa; ażeby zaś mieć z tego źródła jak najwięcéj dochodu, pozostawiono najnaglejsze potrzeby miast bez żadnego uwzględnienia. Państwo naznaczało na urzędy miejskie swoich urzędników, nawet tam gdzie pozornie utrzymało się co do tego starodawne prawo wyboru. Działalność zresztą tych urzędów była sprowadzona do minimum, i pod każdym względem potrzebowała zatwierdzenia ze strony władz państwowych. Najgorszym zaś stosunek ten był w miastach tak zwanych garnizonowych, w których na burmistrzów naznaczano wysłużonych wojskowych, i w których władze wojskowe rządziły zupełnie samowolnie.

W skutek tego upadku miast spotykamy też najprzód w XVIII wieku przepisy wydawane przez państwa, które miały na celu urządzić stosunki miejskie w ogóle, tak, aby mogły być zastosowane do wszystkich miast znajdujących się w obrębie pewnego państwa. Do takich zaliczyć należy rozporządzenia wydane w Bawaryi w 1748 r., Wirtembergu 1758 r., Austryi między 1783—1786 r., Prussiech w Allg. Landrecht 1791 r., Rossyi ustawę miejską z 21 Kwietnia 1785 r. i inne. Zauważyć także należy, iż działalność prawodawcza téj epoki, różni się zasadniczo od poprzedniéj. W średnich wiekach każde miasto miało swoję ustawę, która powstala historycznie z potrzeb miejscowych, któréj tytułem był albo przywiléj nadany przez panującego lub pana feudalnego, albo układ zawarty z osobą wykonywającą zwierzchnią nad miastem władzę. W XVIII wieku przeciwnie, spotykamy dążność do zastosowania jednéj ogólnéj ustawy do wszystkich miast, a nawet do gmin wiejskich bez wyjątku, bez względu na różnice w ludności lub inne warunki miejscowe. Dążność ta do ujednostajnienia wszystkich stosunków i urządzeń miejskich przejawiła się jednak najsilniéj dopiero w XIX stuleciu pod wpływem rewolucyjnego prawodawstwa francuzkiego. Prawodawstwo to, jak już Tocqueville wykazał, widząc w gminach wiejskich i miejskich nie jakieś organiczne ca-

łości, samodzielne jednostki, żyjące do pewnego przynajmniéj stopnia własném życiem, znające swoje potrzeby i swoje interesa; ale okręgi tylko, albo podziały administracyjne kraju, na których mieszka pewna ilość ludzi, niezwiązanych z sobą żadnemi szczególnemi interesami, które w skutku tego można tworzyć zupełnie dowolnie: zastosowało do wszystkich jednakową ustawę, przeprowadzając przytém najzupełniejszą centralizacyą i pozbawiając miasta wszelkiéj niezależności. Prawodawstwo to zresztą dokończyło tylko, że się tak wyrażę, pod względem formalnym dzieła przeprowadzonego już w gruncie rzeczy przez absolutyzm monarchów francuzkich.

Francuzkie prawodawstwo (1) zostało albo bezpośrednio wprowadzone do podbitych przez Napoleona I krajów, albo przyjęte dobrowolnie lub naśladowane przez inne, które wpływowi francuzkiemu uległy. Urządzenia miejskie podług prawodawstwa tego składały się głównie z mera i rady miejskiéj. Mer, w którego ręku skupiała się cała władza wykonawcza, zarząd interesami miejskiemi, był naznaczany przed rząd i od niego bezpośrednio zależny. Rada miejska, *conseil municipal*, złożona z członków wybieralnych, była instytucyą nie mającą stanowczego wpływu na interesa miejskie, gdyż nosiła na sobie charakter przeważnie doradczy. Te dwa organa należy uważać za podstawę urządzeń municypalnych we Francyi i samorządu miejscowego—pomimo wszelkich późniejszych sporów i prób czynionych względem zaprowadzenia decentralizacyi i zapewnienia większéj samodzielności gminom i miastom. Głównym punktem, około którego toczyła się walka w następstwie, przyjmująca charakter przeważnie polityczny, i ożywiająca się za każdym przewrotem tak częstym w tym kraju, było mianowanie merów. Każdy rząd wsteczny starał się mianowanie ich uczynić od siebie zawisłém; każdy rząd liberalny oddawał znów prawo wyboru samym miastom (2). To też dziwić się nie można iż przy takiém ograniczeniu i ścieśnieniu, życie municypalne mogło dosięgnąć we Francyi należytego stopnia rozwoju z wielką krzywdą nietylko dla społeczeństwa, ale i dla samego państwa.

Zbytecznie byłoby wymieniać tu prawodawstwa, które ule-

---

(1) Loi du 28 pluviôse, an VIII.

(2) Tak np. jeszcze podług prawa z 18 Lipca 1831 r., a nawet prawa z 21 Marca 1837 r., merowie byli naznaczani przez króla albo przez prefekta, stosownie do ludności gminy—tak iż dopiero artykuł 72 prawa z 3 Lipca 1848 r., dozwolił radom miejskim wybierać z pośród siebie merów. Prawo jednak z 5 Maja 1855 r. oddało nominacyą merów w gminach liczących więcéj nad 3,000 ludności cesarzowi, w innych zaś prefektowi.

gając wpływowi francuzkiego, postanowiły przepisy nad miarę ścieśniające antonomią miast; dosyć powiedzieć, że najdaléj pod tym względem zaszedł bawarski edykt z 24 Września 1808 r. Tak samo i u nas, w epoce Księztwa Warszawskiego, pod wpływem francuzkim samorząd miast datujący z dawniejszych czasów, został nader ograniczony. Przekonać się o tém można choćby z art. 67 Konst. z 1807 r. podług którego administracya miejska miała należeć do burmistrza, przez króla bezpośrednio mianowanego. Jakkolwiek zaś na mocy téjże Konstytucyi były utworzone rady municypalne, instytucye te tak ze względu na sposób ich tworzenia się, jak i ze względu na służące im atrybucye, nie mogły w należytym stopniu zabezpieczać interesów miast. Podług art. 68 téjże Konst. członków rad municypalnych naznaczał król z podwójnéj liczby kandydatów przedstawionych przez zgromadzenie gminne, podług zaś art. 8 dekretu z 10 Lutego 1809 r. głównym ich obowiązkiem było: czynić *wnioski* do rady powiatowéj względem okoliczności mogących mieć wpływ na oznaczenie kwoty, w któréj municypalność miała się przykładać do nałożonych na powiat ciężarów publicznych; *naradzać* się nad potrzebami minicypalności i *układać opinią* co do poprawy administracyi miejscowéj; układać stan dochodów i wydatków municypalnych i *proponować* miejscowe składki; czynić rozkład dochodów z własności minicypalnéj i odbierać rachunki od burmistrza lub prezydenta miasta. Z tego widzimy, iż rady miejskie w owéj epoce były w prawie przedstawiać tylko wnioski, propozycye, opinie, że w skutek tego miały głównie charakter doradczy, w rzeczach zaś większéj wagi same nie decydowały, gdyż wnioski swoje za pośrednictwem prefekta były obowiązane przedstawiać pod zatwierdzenie ministra spraw wewnętrznych.

Jednocześnie wszakże z największém ograniczeniem miast pod względem samorządu miejscowego, objawia się reakcya tak pod względem lepszego na ten przedmiot zapatrvwania się w teoryi, jak i pod względem urządzenia go na drodze prawodawczéj. To samo państwo, które w XVIII wieku najwięcéj ścieśniło autonomią miast, mianowicie Prussy, najwcześniéj także przyszło do innego na tę rzecz poglądu. Pod wpływem klęsk zadanych przez Napoleona, Prussy doszły do przekonania, iż zbyteczna centralizacya i biurokracya nietylko nie są w stanie ocalić państwa w chwili przewrotów i burz politycznych, ale że owszem na największe niebezpieczeństwa mogą je narazić, niszcząc i tępiąc samodzielność, inicyatywę samego społeczeństwa; że rękojmią prawdziwéj siły i pomyślności państwa stanowią odpowiednie instytu-

cye samorządu miejscowego: gminne, miejskie, prowincyonalne, z których państwo czerpie swoje najzdrowsze soki żywotne; że w skutku tego urządzeń i samorządu miejskiego nie należy tępić, ale owszem krzewić i wzmacniać. Pod wpływem tych zapatrywań wyszedł edykt z 19 Listopada 1808 r. (1), dzieło znakomitego ministra Steina, przez który samorząd nietylko miejski w szczególności, ale i gminny w ogóle, został na nowych podstawach oparty. Za przykładem Pruss poszły po wyswobodzeniu się z pod władzy Napoleona i inne państwa, niemieckie jak Hanower, Oldenburg, Kurhessya, Brunświk, w których po większéj części wskrzeszono dawne ustawy miejskie. Inne znów jak Bawarya (2), Wirtemberg (3), Baden (4), Saxonia (5), wydały nowe prawa urządzadzające stosunki miejskie. Prussy same poddały rewizyi swą ustawę w 1831, 1841 i 1845 r. Nowy popęd do działalności prawodawczéj na tém polu dał 1848 r., w skutku czego wydane zostały rozmaite ustawy urządzające samorząd miast. Z ustaw tych zasługują na wzmiankę: austryacka z 17 Marca 1849 r., zmieniona w następstwie przez rozkaz gabinetowy z 31 Grudnia 1851 r. i przez ustawę z 5 Marca 1862 r. i prusska z 11 Marca 1851 r., zmieniona dla miast sześciu wschodnich prowincyi przez prawo z 30 Maja 1853 r., dla miast zaś Westfalii i Nadreńskiéj prowincyi przez prawa z 15 Maja i 19 Marca 1856 r. (6). Tak samo i inne kraje zachodniéj Europy jak Francya w 1831, 1837, 1848, 1855, 1867 i 1871 (Loi du 14 avril 1871), Belgia w 1842 i 1848 r., Włochy w 1865 r., Hiszpania w 1845 r., starały się zaprowadzić nowe ustawy miejskie, lepiéj odpowiadające duchowi czasu i potrzebom społeczeństwa.

Nawet Anglia, w któréj samorząd miejski nietylko w ciągu ubiegłych trzech wieków nie był ograniczany, jak to miało miejsce na stałym lądzie Europy, ale utrzymywał się ciągle i rozwijał na właściwych sobie podstawach; któréj instytucye samorządu nadały niezwykłą siłę i pomyślność wewnętrzną i z tego powodu wywarły znakomity wpływ na reformy stałego lądu, w epoce lep-

---

(1) Ordnung für sämmtliche Städte der preussischen Monarchie vom 19 Nov. 1808.

(2) W 1818 i 1834 r. a wreszcie w 1869 przez Gemeindeordnung für die Pfaltz, Gesetz vom 29 April, 1869, i drugie prawo tejże daty. Gemeindeordnung für die Landestheile diesseits des Rheins.

(3) Edykt z 1822 r.

(4) W 1831 r.

(5) W 1832 i 1838 r.

(6) Do tego dodać należy Gesetz für die Städte und Flecken in der Provinz Schleswig-Holstein, vom 14 April 1869.

szego ich pojęcia i ocenienia: nawet Anglia, powtarzam, nie została obcą temu ruchowi jaki się okazał w prawodawstwie XIX stulecia, mającemu na celu właściwsze określenie stosunków i urządzeń miejskich. I Anglia także bądź przez Municipal-Corporations Act z 1835 r., bądź przez inne prawa odnoszące się do oddzielnych przedmiotów miejscowego zarządu, starała się o poprawę swoich odwiecznych urządzeń gminnych i miejskich.

Wobec reform dokonanych w Cesarstwie Rossyjskiém, nie. podobna było urządzeń miejskich w dawnym pozostawić stanie, Jeżeli nie poczucie wewnętrzne potrzeby zmiany ustawy z 1785 r. opartéj na obcych dzisiejszym zapatrywaniom zasadach, bo na uwzględnieniu interesów stanowych, to ta solidarność pojęć i interesów, łącząca obecnie wszystkie ludy ucywilizowanego świata, nieznana prawie zupełnie średnim wiekom, w skutku któréj zdobycze na polu cywilizacyi i kultury zrobione przez jeden naród, wkrótce stają się ogólném wszystkich dobrem i przechodzą na własność wszystkich,—musiała wcześniéj czy późniéj doprowadzić do zmiany pod tym względem. Potrzeba zmiany tém silniéj czuć się w Rossyi dawala, iż po reformach 1861 r., które powołały do nowego życia massy ludności wiejskiéj, które nadały im wpływ na zarząd interesami miejscowemi, samorząd, niepodobna było pozostawić ludności miejskiéj w dawnym stanie i odmówić tych praw, jakie nadane zostały ludności wiejskiéj. Jako owoc poczucia tych potrzeb wewnętrznych, téj solidarności łączącéj wszystkie ludy ucywilizowane na drodze postępu, należy uważać ustawę miejską z 16 (28) Czerwca 1870 r. Te okoliczności doprowadzają nas do przekonania, iż ustawa z 1870 r., ogólnie biorąc, musi nosić na sobie ten sam charakter co i współczesne jéj ustawy miejskie na zachodzie Europy. Jak więc ustawy miejskie na zachodzie Europy, za główny cel miały poprawienie błędu ostatnich trzech wieków, którym było zniszczenie zupełne samorządu miejskiego i zapewnienie miastom należytego wpływu na zarząd ich interesami, tak samo i ustawa z 1870 r. nie mogła mieć innego zadania. Ma się rozumieć, iż jakkolwiek na Zachodzie takie położono sobie zadanie, nie można było myśleć tam o takim samorządzie miast, jakiego przykłady przedstawiają nam średnie wieki, kiedy miasta przywłaszczyły sobie atrybucye władzy najwyższéj państwowéj. Na Zachodzie szło o takie określenie granic działalności miejskiéj, któraby odpowiadała potrzebom miast i nie niszczyła jedności państwa, o pogodzenie wymagań państwowych i interesów miejskich. Różne ustawy miejskie kwestyą tę w rozmaity, mniéj lub więcéj zadawalający sposób rozstrzygnęły. Że ustawa miejska z 1870 r. wymaganiom

tym w ogóle biorąc odpowiada, że nadaje miastom w znakomitych granicach samorząd, że stoi prawie na równi z niemieckiemi a przewyższa francuzką, o tém przekonać się będziemy mogli ze szczegółowego jéj przedstawienia.

II.

W poprzednim zarysie rozwoju instytucyi miejskich, staraliśmy się wykazać na podstawie niejako historycznych danych, ogólną charakterystykę ustawy miejskiéj z 16 (28) Czerwca 1870 roku, i stosunek jéj do podobnych ustaw obowiązujących na zachodzie Europy. Z przedstawienia tego okazało się, biorąc na uwagę współczesność powstania ustawy z innemi zachodnio-europejskiemi, i ogólne dążenie prawodawstwa nowszych czasów, że głównym celem ustawy z 1870 roku było oddanie miastom zarządu ich własnemi interesami, stworzenie instytucyi *samorządu* miejskiego. Że instytucye takie w każdém państwie chcącém położyć zdrowe, silne podwaliny dla swego rozwoju są konieczne, o tém nikt na zachodzie Europy nie wątpi. Potrzeba, konieczność miejscowego samorządu jest na zachodzie Europy prawdą tak ogólnie uznaną, iż obecnie idzie tam nie o to, czy samorząd ma istnieć lub nie; lecz o to, w jakich należy zamknąć go granicach, tak aby nie ścieśniając zbytecznie autonomii gminnéj, miejskiéj, nie narazić państwa na uszczerbek, ażeby interesa miejscowe przyprowadzić do zgody, do harmonii z interesami ogólnemi, państwowemi. Jako dowód tego zapatrywania się, może służyć nawet obecnie rozwiązane zgromadzenie narodowe francuzkie, które, jakkolwiek dało liczne przykłady wstecznictwa, w prawie jednak z 14 Kwietnia 1871 r. o zarządzie municypalnym, a więcéj jeszcze w prawie z 10 Sierpnia tegoż roku, o urządzeniu rad departamentowych, starało się rozszerzyć granice miejscowego samorządu, sprowadzonego do najmniejszych rozmiarów za czasów drugiego cesarstwa.

Gdyby prawdy te były u nas równie uznane jak na Zachodzie, w takim razie uważalibyśmy się za zwolnionych od czynienia wszelkich uwag teoretycznych nad istotą i podstawą samorządu miejskiego lub korzyściami, które z niego dla społeczeństwa i państwa mogą wypłynąć. Gdy jednak społeczeństwo nasze od tylu czasów odwykło od stosowania samorządu w praktyce, a w skutku tego nie czuło dotykalnéj potrzeby zajmowania się kwestyą tą teo-

retycznie (1), nie od rzeczy może więc będzie zamieścić kilka uwag o istocie samorządu, o tém z czego wypływa i na czém się opiera, tudzież o korzyściach, jakie z niego państwo i społeczeństwo osiągnąć mogą.

Nie wdając się tutaj w obszerniejsze teoretyczne wywody i ograniczając się do tego czego wymaga ściśle konieczność jasnego wytłomaczenia się, powiedzmy, iż większość teoretyków w *samorządzie* widzi *zarząd samodzielny własnemi interesami pewnéj miejscowości, jak np. gminy wiejskiéj lub miasta, za pomocą urzędów honorowych, stosownie do praw kraju; przyczém koszta z tego powstałe ponosi sama gmina.* Zastanawiając się bliżéj nad powyższém określeniem, widzimy, iż pierwszą jego składową częścią, jest samodzielny zarząd własnemi, ogół mieszkańców pewnéj miejscowości obchodzącemi interesami. Przez samodzielny zarząd rozumiemy znów, iż obywatele pewnéj miejscowości bądź sami bezpośrednio, bądź za pośrednictwem wybranych przez siebie i z pośród siebie, urzędników czynności te załatwiają stosownie do swego uznania, swoich potrzeb i korzyści. Samodzielny jednak zarząd nie znaczy, iżby obywatele ci, wszelkie sprawy do nich się dotyczące roztrzygali bez żadnego ograniczenia. Są sprawy tak ważne, tak związane z dobrem i interesami innych gmin, to jest całego kraju, iż jakkolwiek obchodzą one także mieszkańców pewnéj gminy, zostały przez prawodawstwo obowiązujące wyłączone z pod decyzyi mieszkańców jednéj tylko gminy. Są znów inne, w których ze względów wyższéj polityki, należy ścieśnić wolną dyspozycyą gmin i miast, i poddać ich decyzye zatwierdzeniu władzy wyższéj. Prawodawstwo więc obowiązujące winno określić, które przedmioty stanowczo są pozostawione do dyspozycyi mieszkańców gminy, miasta, w których mogą oni stanowić z zastrzeżeniem nadzoru dla wyższéj władzy, które wreszcie są stanowczo z ich kompetencyi wyłączone. To zaś prawodawstwo pod tym względem za najlepsze uważać należy, które trzymać się będzie właściwych w téj mierze granic, nie rozszerzając niepotrzebnie swego nadzoru, lub wyłączając z atrybucyi miejscowego samorządu te czynności, które słusznie jemu samemu się należą. Okazuje się już ztąd, iż samorząd nie znaczy samowolnego rozstrzygania pewnych kwestyi, ale sta-

(1) Z książek traktujących o téj kwestyi w polskim języku, wspominamy tu Dra Alexandra Rembowskiego, „O Gminie, jéj organizacyi i stosunku do Państwa" 1873. Warszawa. Z prac zaś mniejszych rozmiarów, autora niniejszego artykułu: O znaczeniu miast i instytucyi miejskich. Dwie lekcye publiczne. Ekonomista 1867.

nowienie względem nich stosownie do praw obowiązujących, co jest drugą jak się wyraziliśmy składową częścią pojęcia samorządu. Gdyby miasta i gminy względem wszelkich kwestyi rozstrzygały tylko według swego uznania, w takim razie jedność państwa byłaby na szwank narażona, w takim razie państwu groziłoby rozpadnięcie się, rozbicie się na tyle części, ileby w niém było miast lub gmin wiejskich. Prócz tego, zauważyć należy, iż są takie kwestye, które wszędzie w jednakowy sposób winny być rozstrzygnięte, co do których pojedyncza gmina nie może inaczéj decydować. Z tego zaś dochodzimy do przekonania, iż samorząd znaczy załatwianie pewnych czynności, zarządzanie pewnemi interesami o tyle, o ile to nie sprzeciwia się prawom w kraju obowiązującym, o ile jest z niemi zgodne.

Co się tycze dwóch ostatnich składowych części pojęcia samorządu, to jest zarządzania za pomocą urzędów honorowych i ponoszenia kosztów z tego powstających przez mieszkańców saméjże gminy, to zrozumienie ich i pojęcie nie przedstawia żadnych trudności. Oczywistą jest rzeczą iż jeżeli gmina, miasto, mają same zarządzać swemi interesami, nie mogą tego czynić za pomocą urzędników nie od siebie zawisłych, państwowych, ale tylko albo sami bezpośrednio, albo za pomocą wybranych z pośród siebie mężów zaufania. Że zaś pełnienie urzędu takiego jest obowiązkiem każdego obywatela, który na każdym ciąży i do którego każdy może być powołany, oczywistém jest, iż urzędy takie są honorowe, niepłatne. W nowszych tylko czasach pod tym względem zaszła pewna zmiana, mianowicie, iż urzędy miejscowego samorządu zaczynają być płatne. Co się zaś tycze ponoszenia kosztów z tego wynikłych przez mieszkańców tylko pewnéj gminy, to obowiązek ten jest zupełnie słusznym i sprawiedliwym. Jeżeli dla załatwienia pewnéj czynności, interesu są potrzebne koszta; to koszta te winny być ponoszone przez tych, którzy z tego korzystają. Z tego zaś wypływa, iż mieszkańcy jednéj gminy nie mogą być obowiązani do ponoszenia kosztów zarządu drugiéj, któréj interesa nic ich mogą nie obchodzić, z któréj urządzeń wcale nie korzystają, i że koszta te winny być poniesione przez mieszkańców téj saméj gminy, w któréj powstały i na któréj korzyść są obracane.

Określiwszy w ten sposób miejscowy samorząd, przejdźmy obecnie do różnicy w zapatrywaniu się na miasto a raczéj na gminę w ogóle, bez względu na to, czy to będzie gmina wiejska, lub miejska, jaka wynika w miarę tego jak przyjmiemy albo odrzucimy samorząd. Z tego także przejdziemy wprost do źródła,

z którego samorząd wypływa i z którego poznać możemy konieczność jego istnienia.

Prawodawstwa XVIII i XIX stulecia, które zniszczyły zupełnie samorząd miejscowy, kierowały się tém zapatrywaniem, iż gmina, miasto, nie jest żadną samodzielną jednostką, cząstką organiczną państwa, mającą swoje wyłączne potrzeby, interesa, żyjącą swojém życiem, ale tylko podziałem, okręgiem administracyjnym, terrytoryalnym państwa, który można utworzyć zupełnie dowolnie, nie biorąc wcale na uwagę interesów i potrzeb miejscowych, i którym można zarządzać tak samo jak i wszystkiemi innemi podobnemi mu okręgami administracyjnemi. Z tego zapatrywania się na gminę jak na okrąg administracyjny, wypływało znów to, iż zdawało się niekoniecznėm załatwianie jéj interesów przez urzędników miejscowych — owszem myślano, iż urzędnicy państwowi mogą, jeżeli nie lepiéj, to przynajmniéj równie dobrze jak urzędnicy miejscowi zarządzać niemi, zwłaszcza jeżeli urzędnicy państwowi mieli działać według jednego planu naprzód z góry obmyślanego i przepisanego. Odsunięcie więc tych, którzy byli najbardziéj zainteresowani w zarządzie miejscowym, to jest obywateli saméj gminy, od załatwiania wszelkich czynności tegoż zarządu, oddanie ich urzędnikom państwowym, centralizacya wszelkich interesów we władzach zwierzchnich, nadzorujących i kontrolujących, były wynikiem tego zapatrywania, iż gmina jest tylko dowolnym podziałem, okręgiem administracyjnym kraju.

Że zapatrywanie takie, oprócz tego iż doprowadziło kraje hołdujące mu do zgubnych następstw wynikłych w skutku zniszczenia samorządu miejscowego, jest mylne i niesprawiedliwe, zdaje się kwestyi ulegać nie może. Miasto, gmina, jest cząstką organiczną państwa, stanowiącą do pewnego stopnia osobny organizm, który żyje i rozwija się samodzielnie, który ma wyłączne swoje cele, potrzeby, interesa, swoję indywidualność, w skutku czego każde miasto, gmina, wyróżnia się z pośród otaczających go innych miast i gmin. Że miasto, gmina nie jest jakiém przypadkowém tylko połączeniem, aglomeratem pewnéj ilości ludzi, niemających nic wspólnego między sobą, że nosi na sobie ten organiczny charakter, o tém przekonać się możemy z tego, iż mieszkańcy miasta, gminy, prócz tego iż mieszkają obok siebie na jednéj przestrzeni, co możnaby uważać za rzecz czysto przypadkową, są związani z sobą ściśle pewnemi wspólnemi interesami, które nietylko zmuszają ich łączyć się w jednę całość mającą też same potrzeby, zadania i cele; ale co więcéj, przyjść do poczucia swéj odrębności i różnicy interesów, nieraz nawet ich przeciwieństwa,

względnie do mieszkańców innych miast i gmin. Dla wykazania iż połączenie to nie jest jakiémś pojęciem abstrakcyjném, idealném, że nie jest żadną fikcyą, jakby się mogło zdawać tym, którzyby chcieli sądzić o tém z punktu widzenia ciasnego egoizmu, że w skutku tego miasto jest organizmem, wypływającym z potrzeb i natury ludzkiego społeczeństwa, pozwolimy sobie przytoczyć kilka przykładów.

Tak naprzykład, weźmy na uwagę najgłówniejszą a zarazem najbardziéj realną potrzebę człowieka, to jest dostarczanie sobie środków pożywienia. Potrzeby téj mieszkańcy miast, w ogóle biorąc, sami nie zaspakajają, gdyż po większéj części środków tych nie produkują, a używają tych, których im dostarczają mieszkańcy wsi, rolnicy. Pod tym względem interesem wszystkich mieszkańców miasta, jako kupujących, jest dostarczać sobie środków tych jak najtaniéj; interes ten wszakże jest w oczywistéj kollizyi, sprzeczności z interesem mieszkańców wsi, gminy sąsiedniéj, że się tak wyrażę, o miedzę graniczącéj z miastem, którzy, jako sprzedawcy, zainteresowani są w tém, aby wyprodukowane przez siebie środki żywności, zboże, jarzyny i t. p. sprzedawać jak najdrożéj, ażeby osiągnąć z nich jak największą korzyść. Z tego już widzimy, iż mieszkańcy miast są związani jednym wspólnym interesem, który stoi w sprzeczności z interesem mieszkańców gmin sąsiednich. W skutku tego mieszkańcy miasta czują swą odrębność, mają wspólną potrzebę, tworzą osobną całość wyróżniającą się z pośród otaczającéj ich ludności.

Połączenie jednak mieszkańców miast przez powyższy interes, potrzeba zabezpieczenia sobie tanio środków żywności, doprowadza ich do czynienia wspólnych usiłowań w celu osiągnięcia wspólnéj korzyści. W tym celu zmuszone są one budować drogi, ułatwiać środki kommunikacyi dla przewozu produktów, zapewnić bezpieczeństwo handlującym w mieście, ażeby sprowadzić konkurencyą w dostawie ich i tym sposobem zapobiedz zbytnim wymaganiom mieszkańców gmin podmiejskich. Urzeczywistnienie wszakże tych środków, przechodzi możność pojedynczego człowieka, wymagając znacznego nakładu kapitałów i sił moralnych, naprzykład utrzymywania inżynierów, dla tego może być skutecznie tylko przez wszystkich obywateli miasta, całe miasto przeprowadzone.

Tak samo potrzeba zabezpieczenia nietylko po przystępnéj cenie środków pożywienia, ale i tego, żeby środki te były zdrowe, wolne od wszelkiego podrobienia, mogącego wywrzeć szkodliwy wpływ na zdrowie, zmusza mieszkańców miast do urządzenia służ-

by zdrowia, rewizyi na targach, nadzoru w ogóle nad sprzedażą środków żywności.

Do tego samego dojdziemy rezultatu, biorąc na uwagę drugi element niezbędny do utrzymania życia i zdrowia ludzkiego, to jest wodę. Jak wykazuje statystyka, śmiertelność w miastach niezaopatrzonych w dobrą, zdrową wodę, bywa daleko znaczniejsza aniżeli w tych, w których jest obfitość czystéj, odpowiadającéj warunkom hygienicznym wody. Gdyby znów każdy mieszkaniec miasta, uważając się za niepołączonego żadnym interesem ze swoimi współobywatelami, chciał sam zaopatrzyć się w świeżą, zdrową wodę, często byłoby to dla niego połączone z wielu trudnościami, niekiedy zaś okazałoby się niepodobném do osiągnięcia. Urządzenie studni na swoim gruncie oprócz tego, iż byłoby połączone ze znacznym kosztem, mogłoby się okazać niedostateczném, bądź z powodu natury gruntu nieobfitującego w wodę, bądź z powodu innych okoliczności, jak np. znajdowania się w blizkości cmentarzy, fabryk, ścieków psujących, w gruncie przemakalnym nawet dobrą wodę. Środek ten zresztą może być wystarczającym w małych miasteczkach albo gminach wiejskich, gdzie woda służy tylko do codziennego użytku dla ludzi lub inwentarza; niedostatecznym zaś będzie w większych miastach, gdzie z powodu fabryk, kąpieli i t. p. zakładów, niebezpieczeństwa pożaru, potrzebną jest woda w większéj ilości. Zaprowadzenie wodociągów sprowadzających zdrową wodę nieraz z miejsc odległych, przechodziłoby siły pojedynczego człowieka. W takim stanie rzeczy naturalném jest, iż mieszkańcy jednego miasta, związani z sobą wspólną potrzebą, winni wspólnemi siłami starać się o zadosyćuczynienie jéj, za pomocą kosztownych nieraz wodociągów. Że oni także winni dostarczać na to środków pieniężnych, okazuje się z tego, iż tylko ich potrzeby będą przez to zaspokojone. Mieszkańcy innych miast i wsi nietylko odleglejszych, ale nawet gmin podmiejskich, którzy z urządzenia wodociągów nie korzystają, a może nawet mając obfitość wody u siebie na gruncie, nie widzą w tém żadnej potrzeby, nie mogą być zobowiązani do dostarczania na to środków pieniężnych. I tutaj więc widzimy, iż miasto występuje jako całość, wyróżniająca się od innych miast i gmin sąsiednich, mająca swoje potrzeby i swoje cele.

Takich jednak wspólnych potrzeb, interesów łączących mieszkańców miasta w jednę całość, jest bardzo wiele. Liczba zaś ich powiększa się coraz bardziéj w miarę pomnażania się ludności, dosięgania wyższego stopnia kultury, rozwijania się stosunków społecznych. Tak wszyscy mieszkańcy pewnego miasta są najsilniéj

zainteresowani w tém, aby w mieście było czyste powietrze, w razie bowiem przeciwnym, bezpośrednim rezultatem tego, będzie powiększenie się śmiertelności. Do tego jednak konieczne jest stosowne utrzymanie ulic, ścieków, odpowiednie budowanie domów, zaprowadzanie ogrodów i placów publicznych, rozciągnięcie nadzoru nad fabrykami i t. p. Tak samo wszyscy mają wspólny interes w należytém oświetleniu miasta, gdyż z powodu niedostatku tegoż, życie ich i majątki mogą być na szwank narażone. Zabezpieczenie znów majątków, wymaga ścisłego stosowania się do przepisów policyi budowniczéj, utrzymywania urządzeń mających na celu zapobieżenie wyniknięciu pożarów albo gaszenie ich i t. d.

Myliłby się jednak bardzo ten, ktoby biorąc na uwagę przytoczone powyżéj przykłady, chciał sądzić, iż mieszkańcy miasta są połączeni tylko węzłami, interesami, że się tak wyrazimy, realnéj natury. Są także inne, idealniejsze potrzeby i interesa, które zmuszają mieszkańców jednego miasta do zjednoczenia swych usiłowań dla dopięcia wspólnego celu. Tak np. gdyby każdy chciał kształcić dzieci swoje prywatnie w domu, dla większości okazałoby się to zupełném niepodobieństwem. Ztąd wynika potrzeba zakładania wspólnemi siłami, na koszt miasta szkół publicznych, bibliotek, muzeów, galeryi obrazów i t. p.

Miasto znów jako całość ma swoję własność, swój majątek, którym potrzebuje zarządzać. Tak w małych miasteczkach, stojących, że się tak wyrażę, na pograniczu z gminą wiejską, własność ta może się składać z lasów i pastwisk, z których mieszkańcy miasta wspólnie korzystają. W następstwie wszakże własność ta powiększa się. Należą do niéj drogi i place publiczne, ogrody, budowle publiczne, jak więzienia, szpitale, szkoły, muzea, teatra, wodociągi i t. d. Miasto wreszcie ma swoje dochody czerpane bądź z nieruchomości i kapitałów, bądź też z podatków ustanawianych na zaspokojenie potrzeb miejskich.

Powyżéj przytoczone przykłady nie wyczerpują bynajmniéj wszystkich interesów wspólnych mieszkańcom pewnego miasta. Wykazują one tylko jak mieszkańcy ci są ściśle wielorakiemi interesami, potrzebami, celami połączeni, jak wybitnie w skutku tego wyróżniają się od mieszkańców innych miast lub gmin. Nie wszystkie zresztą te interesa, potrzeby, mogą istnieć w każdém mieście lub w każdéj chwili. W zawiązkach swego istnienia gmina, miasto, ma ich niewiele, tak np. z początku zwykle ograniczają się one do zarządu wspólnym majątkiem, lasem, pastwiskiem, do utrzymania kościoła. W następstwie w miarę rozwoju miasta, powiększenia się ludności, wynikają coraz bardziéj skomplikowane inte-

resa i potrzeby, wymagające więcéj zachodu w załatwieniu, więcéj środków materyalnych dla ich zaspokojenia. Interesa te dotyczą wreszcie nietylko chwili obecnéj, ale odnoszą się także do przeszłości i przyszłości miasta. Że interesa te nie powstają sztucznie, ale wypływają z saméj natury rzeczy, jest rzeczą oczywistą. Dla tego też miasta, gminy, nie można uważać za jakiś sztuczny wytwór, za podział tylko administracyjny kraju, ale za wynik naturalny potrzeb społeczeństwa, za organiczną cząstkę państwa, żyjącą życiem samodzielném. Rozważając tę organiczną naturę miasta, niepodobna niezgodzić się z trafném wyrażeniem Tocqueville'a, który mówiąc o tém wyrzekł: *C'est l'homme qui fait les royaumes, la commune parait sortir directement des mains de Dieu.*

Jeżeli jednak miasto tworzy tak organiczną całość, jeżeli ma swoje wyłączne potrzeby i interesa; to samorząd miejscowy należy uważać za naturalny wypływ z téj organicznéj jego natury. Jak bowiem każdy człowiek najlepiéj może znać swoje potrzeby i zaradzić im skutecznie, tak samo obywatele miejscy najlepiéj mogą zarządzać, albo sami bezpośrednio, albo za pomocą mężów zaufania, urzędników wybieralnych, swemi wspólnemi interesami, w których pomyślném załatwieniu nikt prócz nich nie jest bardziéj zainteresowany. Odmawiać pod tym względem prawa albo zdolności miastu, byłoby rzeczą nietylko niesłuszną, ale nawet szkodliwą dla państwa i społeczeństwa. Z tego więc widzimy, iż samorząd miejscowy, to jest zarządzanie własnemi interesami przez miasto, jest wynikiem koniecznym, niezbędnym organicznéj jego natury.

Nie ulega znów wątpliwości, iż państwo zapatrując się z tego punktu na urządzenia miejskie, oddając miastu samorząd, zrzekając się na jego rzecz niektórych swoich praw, nietylko nie działa wbrew interesom miejskim lub państwowym, lecz owszem przeciwnie, zapewnia i miastom i sobie wielorakie korzyści.

Nie mając zamiaru zastanawiać się obszernie nad wszystkiemi korzyściami, które z samorządu mogą wypłynąć dla miasta i państwa, ograniczymy się do zwrócenia uwagi czytelników na niektóre z nich, odznaczające się swoją doniosłością.

Tak dla miasta, najpierwszą, najważniejszą korzyścią będzie to, iż interesa jego będą dobrze załatwiane, czego nie można się spodziewać, albo przynajmniéj w takim stopniu wtedy, kiedy zarząd interesami temi należy do urzędników państwowych. Pochodzi to ztąd, iż urzędnicy państwowi, jeżeli nawet przypuścimy w nich należyte uzdolnienie, nie mogą posiadać w téj mierze co urzędnicy wybieralni miejscy, chęci do gorliwego wykonywania

swych obowiązków. Urzędnicy państwowi nie są tak ściśle jak ostatni związani i połączeni z miastem, nie są tak zainteresowani w dobrém załatwianiu interesów obchodzących miasto, gdyż cele ich i pragnienia nie ograniczają się jego murami. Dążeniem urzędników państwowych może być odznaczenie się w celu otrzymania lepszéj, wyższéj posady, opuszczenia miasta i przeniesienia się na inny urząd. W skutku tego pobyt swój w niém, uważają tylko za chwilowy, są to, że się tak wyrazimy, ptaki wędrowne, które czasowo tylko mogą się zainteresować miejscem swego pobytu, nieżywiąc dla niego głębszych, silniejszych uczuć.

Przeciwnie urzędnicy miejscy, są tak jak wszyscy obywatele miasta, najściślejszemi węzłami z niém połączeni. Większość ich tu się urodziła, większość także tu i umrze. W murach miasta mieści się ich mały światek, do którego przywiązują się całą siłą przyzwyczajenia. Tu oni znajdują pole do odznaczenia się, ambicyi, tu mogą się spodziewać nagrody za swoje prace i trudy w miłości i szacunku współobywateli. Interes własny zresztą zmusza ich do zarządzania dobrze rzeczami wspólnie wszystkich obchodzącemi. Nie dziw więc, iż znajdując się pod wpływem tak różnych pobudek, muszą oni starać się o najlepsze wywiązanie się z włożonych na siebie obowiązków.

Nie należy także lekceważyć drugiéj korzyści, jaką społeczeństwo odnosi z samorządu, polegającéj na rozpowszechnieniu pojęć prawnych w narodzie. Przez to dotykalnie, praktyką codziennego życia społeczeństwo uczy się swych praw i obowiązków, co wywiera nieoceniony wpływ na charakter jego moralny, na uszlachetnienie go pod każdym względem.

Nie ulega też wątpliwości, iż i państwo znakomite odnieść może korzyści z samorządu. Na pierwszém miejscu pod tym względem, umieściłbym zwolnienie z odpowiedzialności za zarząd interesami miejskiemi. Jeżeli państwo interesami temi zarządza, w takim razie każde niepowodzenie pod tym względem, każdy błąd popełniony przez urzędników, kładziony jest przez społeczeństwo na karb państwa. W takim razie na państwo pada zasłużona lub niezasłużona odpowiedzialność, za nieudolność, a nawet za złą wiarę jego urzędników. Następstwo wszakże takie, dając ciągły powód do niezadowolenia, wywiera nadzwyczaj zgubny wpływ na stosunek między państwem i obywatelami, stosunek, który w każdém państwie znajdującém się w normalnych warunkach, winien się opierać na szacunku i miłości. Mniéj ważném pod względem moralnym, jakkolwiek ważném pod względem materyalnym, następstwem wynikającém dla państwa z samorządu miejsco-

wego jest znaczna oszczędność w kosztach na administracyą. Jeżeli bowiem miasta same interesami swemi zarządzają, w skutku tego same też winny dostarczać potrzebnych na to środków materyalnych; państwo nie jest obowiązane do tego się przykładać.

Wreszcie zauważyć wypada, iż państwo tworząc instytucye miejscowego samorządu, powołuje najzdolniejsze siły, najżywotniejsze soki narodu do życia publicznego— przez co zapewnia mu rozwój normalny, spokojny, ale sięgający do podstaw samych życia narodowego.

Takie w ogólnych zarysach korzyści mogą wypłynąć dla społeczeństwa i państwa z instytucyi miejscowego samorządu; takich też następstw można się spodziewać po ustawie z 16 (28) Czerwca 1870 roku.

III.

Po tych krótkich uwagach, które miały na celu wyjaśnić w ogóle istotę i charakter urządzeń miejskich, zwróćmy się bezpośrednio do rozpatrzenia ustawy z r. 1870 w szczegółach. Przedewszystkiém ustawa zawiera w sobie przepisy określające w ogóle stosunek miasta i jego zarządu do państwa, a w skutku tego atrybucye zarządu miejskiego, sposób jego działania i nadzór wykonywany ze strony państwa (1).

Podług tego zarząd interesami miejskiemi należy do władzy miejskiéj, pod nadzorem gubernatora (art. 1). Do atrybucyi zarządu miejskiego należą przedmioty: 1-e, odnoszące się do urządzenia samych władz miejskich i ekonomii miasta; 2-e, dotyczące wewnętrznego urządzenia miast, mianowicie: budowania się miasta stosownie do zatwierdzonego planu, urządzenia i utrzymywania ulic, placów, bruków, trotuarów, ogrodów publicznych, bulwarów, wodociągów, kanałów, stawów, mostów, przepraw i oświetlenia miasta; 3-e, przedsiębranie środków mających na celu zabezpieczenie dobrobytu mieszkańców, a w skutku tego: urządzenie targów, rynków, bazarów i w ogóle środków mających na widoku zaopatrzenie miasta w żywność, zabezpieczenie zdrowia publiczne-

(1) W Petersburgu tylko i Odessie prawa i obowiązki gubernatora względem zarządu miejskiego należą do osobnego urzędnika, mianowicie naczelnika miasta (Градоначальника). Art. 1 przepisów o zastosowaniu ustawy miejskiéj do Petersburga, Moskwy i Odessy z 20 Czerwca 1872 r.

go, przedsiębranie środków ostrożności przeciwko pożarom i innym tym podobnym klęskom, oraz wynagradzanie wynikłych z tego powodu szkód, przedsięwzięcie środków zabezpieczenia i rozwinięcia miejscowego handlu i przemysłu, a w skutku tego urządzenie przystani, giełd i instytucyi kredytowych (1); 4-e, urządzanie na koszt miasta zakładów dobroczynnych i zarządzanie niemi na podstawie przepisów wydanych dla ziemskich instytucyi, staranie na tych samych zasadach o oświecenie publiczne, urządzenie teatrów, bibliotek, muzeów i innych tym podobnych zakładów; 5-e, dostarczanie władzy wyższéj wiadomości i wniosków odnoszących się do potrzeb i korzyści miejscowych, tudzież czynienie przedstawień względem tych przedmiotów; 6 e, inne obowiązki które przez prawo będą włożone na miejscowy zarząd (art. 2). Miejscowy zarząd względem tych wszystkich przedmiotów, które należą do jego atrybucyi, działa zupełnie samodzielnie (art. 5) w granicach miasta i należących do niego gruntów (art. 4). Jego jest także obowiązkiem wynajdowanie odpowiednich środków w celu zadosyćuczynienia tym obowiązkom (art. 3). Jakkolwiek zaś zarząd miejski interesami miejskiemi leżącemi w granicach jego atrybucyi zarządza samodzielnie, nie wynika ztąd, żeby pod tym względem nie miał żądać w wypadkach przez prawo wskazanych zatwierdzenia ze strony władzy wyższéj (art. 5), lub nie miał stosować się do praw istniejących i mających moc obowiązującą dla wszystkich, obywateli. Dla tego też każde jego rozporządzenie wydane wbrew tym prawom, uważa się za nieważne (art. 9), zarząd zaś miejski za nadużycie władzy, za niewykonanie legalnych rozporządzeń władzy wyższéj, za naruszenie praw korporacyi albo osób prywatnych i w ogóle za wszystkie działania przeciwne prawom obowiązującym, podlega odpowiedzialności w sposób przez samą ustawę przewidziany, o którym zresztą mówić będziemy w następstwie (art. 10). W razie znów niewykonania przez zarząd miejski tych czynności, które podług praw obowiązujących uważają się za obowiązkowe i od których uwolnić się nie może, gubernator winien dać stosowne ostrzeżenie zarządowi, poczém jeżeliby środek ten okazał się bezskutecznym, w razie uznania konieczności tego przez zarząd gubernialny do spraw miejskich, może niezwłocznie przystąpić do wykonania tych czynności, nawet na koszt miasta, donosząc zarazem o tém ministrowi spraw wewnętrznych (art. 12).

---

(1) Co do tego zarządy miejskie winny się stosować do ustawy o bankach miejskich z 6 Lutego 1862 r.

Z drugiéj strony niezależność miasta, w granicach przez prawo określonych, zabezpieczona jest przez ustawę w ten sposób, iż oprócz podatków nałożonych na mieszkańców miasta przez instytucye ziemskie, miejskie albo stanowe, żadne inne ani podatki, ani obowiązki w naturze nie mogą być ustanawiane inaczéj tylko w drodze prawodawczéj (art. 7). Jeżeliby zaś bez względu na to podatki takie albo obowiązki były na miasto nałożone, albo władze rządowe, instytucye ziemskie lub stanowe wydały nielegalne względem miast rozporządzenia, zarząd miejski winien się przedewszystkiém udać do gubernatora, w celu wyjednania uchylenia takiego nadużycia. Jeżeliby przedstawienie to pozostało bez skutku, albo nadużycie pochodziło z nielegalnego postępowania samego gubernatora, w takim razie zarząd miejski winien się udać ze skargą wprost do 1-go departamentu rządzącego senatu, w terminie trzechmiesięcznym od daty otrzymania wiadomości o nielegalném rozporządzeniu (art. 8).

W stosunkach swoich z władzami rządowemi, instytucyami ziemskiemi i stanowemi, zarząd miejski zostaje na stopie, że się tak wyrażę, wzajemności, tak iż winien wykonywać wszelkie legalne żądania tych władz i instytucyi; naodwrót znów instytucye te i władze winny wykonywać legalne żądania zarządu miejskiego. W razie niezadosyćuczynienia przez jednę lub drugą stronę legalnemu żądaniu, strona czująca się być pokrzywdzoną może uczynić stosowne przedstawienie do gubernatora, który postępuje z niém stosownie do przepisów, o których późniéj wspomnimy (art. 6).

Najbliższy nadzór nad miastem, jak widzieliśmy, należy do gubernatora, za którego też pośrednictwem miasta winny czynić wszelkie przedstawienia do władz wyższych, względem potrzeb i interesów miejskich. Gubernator przedstawienia takie ze swoją opinią winien przesyłać władzy wyższéj, to jest ministrowi spraw wewnętrznych, w przeciągu miesiąca od ich otrzymania (art 13). Dla zdecydowania jednak rozmaitych kwestyi mogących powstać przy wykonywaniu zarządu miejskiego, ustawa zaprowadza osobną instytucyą, tak zwany zarząd gubernialny do spraw miejskich (губернское по городскимъ дѣламъ присутствіе). Zarząd ten pod prezydencyą gubernatora składa się z wice-gubernatora, zarządzającego izbą skarbową, prokuratora sądu okręgowego, prezesa zjazdu sędziów pokoju, prezesa zarządu gubernialnego ziemskiego i burmistrza miasta gubernialnego (1). Prócz tego, jeżeli zarząd

(1) Pewne zmiany w tym zarządzie zaprowadzane są, kiedy idzie o decydowanie spraw odnoszących się do Petersburga i Odessy—art. 2 i 3 przepisów 20 Czerwca 1870 r.

ma decydować względem sporów wynikłych między władzami miejskiemi i rządowemi, to na posiedzeniu jego winien być obecny naczelnik tėj władzy, do którėj spór się odnosi. Jeżeli zaś spór odnosi się do pretensyi pieniężnych i rachunkowych, w takim razie w zarządzie przyjmuje udział i zarządzający izbą kontroli. Obowiązki sekretarza w zarządzie pełni sekretarz miasta gubernialnego (art. 11).

Tak w ogóle określa ustawa prawa zarządu miejskiego i stosunek jego do władz rządowych i państwa.

Przejdźmy teraz do rozważenia, jakie są organa zarządu miejskiego według ustawy, jak się one tworzą, tudzież jakie są ich prawa i obowiązki.

IV.

Mówiąc o instytucyach miejskich w średnich wiekach, wykazaliśmy już, iż w owe czasy, potrzeby naturalne doprowadziły do utworzenia trzech organów zarządu miejskiego. Z temi samemi trzema organami spotykamy się po większėj części i w prawodawstwach zachodnio-europejskich, i w ustawie miejskiėj z roku 1870. Organami temi są: 1-e zgromadzenie miejskie wyborcze (городское избирательное собраніе); 2-e rada miejska (городская дума) i 3-e magistrat (городская управа) (2).

Pierwszy z tych organów, to jest zgromadzenie wyborcze jeden tylko ma obowiązek, mianowicie wybór członków rady miejskiėj (гласныхъ), która rzeczywiście przedstawia ogół obywateli, całe miasto (art. 16). Zastanawiając się nad zgromadzeniem wyborczém, przedewszystkiém rozważyć nam należy warunki, którym mieszkańcy miasta winni odpowiedzieć, ażeby przyjąć w niém udział. Warunki te w ogóle można podzielić na dwie kategorye: mianowicie, na takie, które koniecznie posiadać ma mieszkaniec miasta, aby mógł uczestniczyć w zgromadzeniu wyborczém, których *brak* przeszkadza mu do tego; i na takie, których posiadanie właśnie stanowi przeszkodę do korzystania z tego prawa. Do pierwszych warunków należą: 1-e poddaństwo rossyjskie, w skutek

---

(2) Городская управа w dosłownėm tłómaczeniu znaczy zarząd miasta; gdy jednak tłómaczenie takie mogłoby dać powód do nieporozumienia, z powodu, iż pod wyrażeniem tém można by rozumieć także w ogóle czynności odnoszące się do zarządu miejskiego t. j. zarząd interesami miasta, woleliśmy przeto użyć utartéj u nas nazwy magistrat, dla oznaczenia organu, mającego czynności te wykonywać.

czego cudzoziemcy zamieszkali w mieście i odpowiadający innym warunkom nie mogą być wyborcami; 2-e ukończenie 25 lat wieku; 3-e posiadanie w granicach miasta nieruchomości, z której się opłacają podatki miejskie, albo prowadzenie handlu lub zakładu przemysłowego na mocy właściwego świadectwa, albo uiszczanie na rzecz miasta opłat za świadectwa na prowadzenie handlu, drobnego przemysłu lub zajęcie subjekta handlowego 1-go rzędu, jeżeli przytém osoby te zamieszkiwały w mieście w przeciągu ostatnich dwóch lat; 4-e niezaleganie w opłatach miejskich (art. 17). Z osób posiadających własność nieruchomą niepodzielnie, każda ma prawo uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém, a to stosownie do swego udziału; z kilku zaś osób, na imię których zostało wydane jedno świadectwo kupieckie, z prawa tego korzysta tylko głowa rodziny, na imię której świadectwo było wydane (art. 22).

Powyższe warunki miały na celu przypuścić do zgromadzeń wyborczych, a przez to zapewnić wpływ na zarząd interesami miejskiemi tym właśnie osobom, które z losami miasta są najściślej związane. W skutku tego przedewszystkiém nadano to prawo właścicielom nieruchomości leżących w obrębie miasta. Przemysłowcy zaś i handlujący wtedy tylko prawo to zyskują, gdy przez dłuższe, mianowicie dwuletnie zamieszkiwanie, dali poznać, iż zamiarem ich jest osiedlić się w mieście na stałe, gdy w skutku tego należy przypuszczać, że są zainteresowani w dobrobycie i pomyślności miasta. Gdyby warunku tego nie wymagano, w takim razie mieliby prawo należeć do zgromadzenia wyborczego, a przez to i wpływać na interesa miejskie i ci mieszkańcy innych gmin, którzy wykupili świadectwa na prowadzenie handlu lub prowadzenie zakładu przemysłowego w mieście, w którém nie mieszkają i w skutku tego nie są połączeni z niém żadnym bliższym interesem. Zauważyć należy, iż zdanie rady państwa z 16 (28, Czerwca 1870 r. (punk III Nr. 5), upoważniło ministra spraw wewnętrznych do przedstawienia projektu względem ustanowienia w niektórych przynajmniéj miastach podatku z mieszkań od lokatorów, na rzecz miasta pobierać się mającego, i w skutku tego dopuszczenia opłacających powyższy podatek do zgromadzenia wyborczego. Dopuszczenie takie pod każdym względem byłoby słusznem i sprawiedliwém, gdyż i lokatorowie także jakkolwiek mogą nie posiadać własności nieruchoméj w mieście, lub nie prowadzić handlu, są przecież w najwyższym stopniu zainteresowani w dobrém zarządzaniu interesami miejskiemi, zwłaszcza jeżeli przez dłuższy pobyt w mieście okażą, iż myślą w niém osiedlić się na

stałe. Jeżeli znów miasto pociąga ich do opłat na swoję korzyść, winno jako wynagrodzenie zapewnić im wpływ na zarząd interesami miejskiemi. Zresztą i miasto samo może odnieść z tego korzyści. W wielu miastach osiedlają się ludzie intelligentni, jak np. obywatele, byli urzędnicy, kupcy, którzy się wycofali z interesów i t. p., którzy nie podchodząc pod powyżéj wymienione kategorye osób opodatkowanych, nie mają prawa głosu w zgromadzeniu wyborczém. Ludzie ci jednak, zwłaszcza w mniejszych miastach, byliby bardzo szacownym nabytkiem dla samorządu miejskiego, z powodu właśnie iż zamieszkali w takich miastach drobni przemysłowcy, handlarze, mieszczanie-rolnicy mogą nie posiadać należytego moralnego uzdolnienia.

Do drugiéj kategoryi warunków należą te, w skutku których nawet osoby odpowiadające powyższym warunkom, albo utracają prawo uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém, albo ograniczone są w jego używaniu. Do pierwszych, to jest utracających prawo uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém, należą: 1-e oskarżeni o występki, za które grozi kara połączona z utratą praw stanu, albo z wykluczeniem ze służby, albo obwinienie o przestępstwa wymienione w art. 169 — 177 ust. o karach wymierzanych przez sędziów pokoju, jak kradzież, oszustwo, przywłaszczenie ruchoméj własności i t. p., jeżeli nie zostali zwolnieni od odpowiedzialności na mocy wyroku sądowego; 2-e wykluczeni ze służby w ciągu trzech lat od chwili wykluczenia; 3-e zostający pod śledztwem w zarzucie popełnienia tych samych przestępstw; 4-e upadli, do chwili oznaczenia charakteru upadłości, w następstwie zaś wszyscy upadli za wyłączeniem bankrutów prostych; 5-e pozbawieni godności duchownéj za złe prowadzenie się, albo wyłączeni z zebrań gminnych i szlacheckich na mocy postanowienia tych klass ludności do których należą (art. 18). Podstawą wszystkich tych wyłączeń jest oczywiście to, iż powyższe osoby nie przedstawiają dostatecznéj, moralnéj rękojmi, ażeby im można było zapewnić wpływ na zarząd interesami miejskiemi.

Do drugiego rzędu osób, to jest ograniczonych w używaniu prawa uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém miejskiém, należą ci urzędnicy, którzy jakkolwiek z innych względów posiadają to prawo, są jednak w używaniu jego zawieszeni, dopóki piastują urząd, z powodu którego mogliby wywrzeć wpływ na zgromadzenie, wybory, i na wolność jego decyzyi. Do takich należą: gubernator, członkowie zarządu gubernialnego do spraw miejskich za wyłączeniem burmistrza miasta gubernialnego, członkowie rządu gubernialnego i urzędnicy miejscowéj policyi (art. 19).

Są wreszcie osoby, które nie mogą prawa uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém wykonywać osobiście, ale tylko przez pełnomocników. Do nich należą: 1-e kobiety; 2-e nieobecni; 3-e pełnoletni podług prawa cywilnego to jest ci, którzy ukończyli 21 lat, nie doszli jednak wieku dającego prawo do uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém, to jest 25 lat; 4-e małoletni (art. 20); 5-e osoby moralne, jak władze rządowe, instytucye, korporacye, towarzystwa, spółki, kościoły i klasztory, jeżeli posiadają w obrębie miasta własność nieruchomą, z któréj opłacają podatki miejskie lub wykupują świadectwa na prowadzenie handlu (art. 21). Pełnomocnikami powyżéj wymienionych osób mogą być wogóle ci tylko którzy sami z siebie, na podstawie art. 17, 18 i 19, posiadają prawo uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém, z pewnemi wszakże wyjątkami. Tak np. pełnomocnikami kobiet mogą być ich ojcowie, mężowie, chociażby nie odpowiadali warunkom wymienionym w art. 17 p. 3 to jest nie posiadali nieruchoméj własności w mieście i nie opłacali na rzecz miasta podatków, byle tylko nie byli pozbawieni tego prawa na zasadzie art. 18 i 19. Za małoletnich znów głosować mogą ich opiekunowie albo kuratorowie, jeżeli odpowiadają ogólnym warunkom (art. 20). Pełnomocnictwo o którém mowa, pisze się na prostym papierze, podpis tylko mocodawcy winien być poświadczony albo stosownie do przepisów ustawy notaryalnéj, gdzie ustawa ta została wprowadzona, albo w przeciwnym razie przez miejscową policyą.

Osoby wszakże, które podług powyższych zasad mają prawo uczestniczyć w zgromadzeniu wyborczém, nie wykonywają go w jednakowym stopniu. Pod tym względem ustawa sądząc, iż wyborcy najwyżéj opodatkowani, niosący na rzecz miasta największe ofiary, powinni mieć zapewniony największy wpływ na zarząd interesami miejskiemi; iż wpływu tego byliby pozbawieni jako mniéj liczni, gdyby głosowali w jedném zgromadzeniu razem z przeważającymi liczebnie mniéj opodatkowanymi: starała się przez stosowne urządzenie, téj wadliwości każdego zgromadzenia wyborczego zaradzić. Urządzenie to opiera się na znanéj w teoryi potrzebie uwzględniania *mniejszości*, *minorités*, która w różnych prawodawstwach doprowadziła do rozmaitych przepisów (1), w ustawie zaś z 1870 r. doprowadziła do tego, iż wszyscy wyborcy dzielą się na trzy nierówne liczebnie zgromadzenia wyborcze, z których

(1) Niektórzy są takiemu urządzeniu przeciwni, twierdząc, iż każdy wyborca, winien mieć głos równoważny drugiemu. Tak np. Tellkampf w dziele Selbstverwaltung und Reform der Gemeinde und Kreis-Ordnungen in Preussen. 1872, str. 47.

każde wybiera jednakową ilość to jest $^1/_3$ członków rady miejskiéj, a przez to ma zapewniony równy wpływ na zarząd interesami miejskiemi. Podział powyższy uskutecznia się w ten sposób, iż wszyscy obywatele mający prawo uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém, zapisują się na jednę ogólną listę wyborców w porządku, stosownie do ilości uiszczanych przez się na rzecz miasta opłat, tak iż na początku jéj będą umieszczeni najwyżéj opodatkowani, na końcu zaś płacący najmniéj podatków miejskich. Lista ta dzieli się w następstwie na trzy części: do pierwszéj będą należeli[ci wyborcy, którzy razem wzięci opłacają $^1/_3$ ogólnéj summy podatków, których w skutku tego będzie najmniéj, do drugiéj następni opłacający razem drugą $^1/_3$ podatków, których już będzie więcéj, do trzeciéj pozostali, których będzie najwięcéj, opłacający znów ostatnią $^1/_3$ podatków miejskich (art. 27) W miastach jednak mniéj ludnych wyborcy mogą być dzieleni nie na trzy, ale tylko na dwie części, zmiana wszakże taka może być dozwolona przez ministra spraw wewnętrznych, na przedstawienie rady miejskiéj (art. 25). Stosownie do powyższego podziału wszyscy wyborcy dzielą się na trzy lub dwa zgromadzenia wyborcze. Lista i podział jéj winien być zatwierdzony przez radę miejską (art. 24).

Listę wyborców służącą za podstawę powyższego podziału winien magistrat utrzymywać w porządku i zaprowadzać w niéj wszelkie zmiany, zaszłe w składzie osobistym wyborców, na dwa miesiące zaś przed wyborami winien ogłosić ją wraz z podziałem wyborców na trzy kategorye publiczności, w sposób przez radę miejską oznaczony (art. 26). Jeżeli wyborcy uważają, iż lista została niedokładnie ułożona, albo podział niewłaściwie uskuteczniony mogą co do tego wnosić zażalenia do magistratu w ciągu dwóch tygodni od daty ogłoszenia. Magistrat znów jeżeli znajdzie skargi te uzasadnionemi, może uwzględniwszy je, stosowne zmiany w liście zaprowadzić—w przeciwnym razie obowiązany jest przedstawić skargi wraz z listą i z uczynionym przez siebie co do tego wnioskiem pod rozpoznanie rady mieskiéj (art. 27). Rada miejska po sprostowaniu listy, jeżeli to uzna za stosowne, przesyła ją magistratowi na cztery tygodnie przed zebraniem się zgromadzeń wyborczych (art 28). Na decyzyą jednak rady miejskiéj co do przedstawionych pod jéj rozpoznanie zażaleń, można podać w terminie siedmiodniowym licząc od daty ogłoszenia, skargę do gubernatora, który winien przedstawić ją pod rozstrzygnięcie zarządowi gubernialnemu do spraw miejskich (art. 29).

Skoro wszelkie spory co do dokładności listy w powyższy sposób będą usunięte, magistrat zwołuje zgromadzenia wyborcze

w terminie przez radę miejską oznaczonym (art. 16). Zgromadzenia te zbierają się tylko co cztery lata, w celu wybrania członków rady miejskiéj, co zresztą, jak to już zauważyliśmy, stanowi jedyny ich obowiązek. Zobaczmy obecnie, w jakim porządku odbywają się w nich wybory.

W zgromadzeniu wyborczém prezyduje burmistrz (городской голова) (1). Burmistrzowi do pomocy w zbieraniu i obliczaniu głosów każde zgromadzenie może dodać od 2—4 osób z grona swego wybranych (2). Wyborcy winni przedewszystkiém udowodnić tożsamość swéj osoby, w sposób przez burmistrza przepisany; ci zaś, którzy prócz tego występują w charakterze pełnomocników, winni okazać swoje pełnomocnictwa (art. 30). Obywatele, którzyby nie mając do tego prawa, przyjęli udział w zgromadzeniu wyborczém, albo dopuścili się nadużyć, jak *np.* przekupstwa w celu zyskania głosów, podlegają karom w kodeksie kar gł. i popr. przewidzianym. Tymże karom podlegają i ci, którzyby do wyborów przypuścili osoby niemające do tego prawa, albo na odwrót usunęli od korzystania z niego tych, którym ono rzeczywiście służyło (art. 33 i 34). Zgromadzenie uważa się za ważne, jeżeli wyborcy zbiorą się w liczbie przewyższającéj ilość mających się wybrać członków rady miejskiéj. Jeżeliby znów z powodu niezebrania się wyborców w liczbie dostatecznéj, zgromadzenie nie mogło przyjść do skutku, w takim razie naznacza się drugi termin zebrania, nieprędzéj jednak niż za 7 dni, w którym już, bez względu na ilość zebranych wyborców, wybory winny być dopełnione (art. 41). Zgromadzenie wybiera na członków rady miejskiéj albo z liczby tych osób, które same kandydaturę swą wystawiły, albo które przez innych wyborców zaproponowane zostały (art. 37). Wybory odbywają się tajemnie za pomocą balotowania (art. 31). Za wybranych uważają się ci, którzy otrzymali największą ilość głosów, a przytém najmniéj połowę wszystkich obecnych wyborców. Jeżeliby w taki sposób nie wybrano potrzebnéj ilości członków, w takim razie kandydaci, którzy otrzymali największą, a jednak niedostateczną ilość głosów, poddają się po-

---

(1) W tekscie jest użyte wyrażenie городской голова, co należałoby tłómaczyć przez naczelnika miasta; ponieważ jednak w niektórych miastach, jak to widzieliśmy, jest oprócz powyższego urzędnika jeszcze osobny градоначальникъ, naczelnik miasta, przeto używać będziemy w dalszym ciągu dla uniknienia nieporozumienia nazwy burmistrza, jako utartéj u nas i każdemu mniéj więcéj co do swego znaczenia znanéj.

(2) Liczba tych osób w Petersburgu i Moskwie jest nieograniczona – art. 5 przepisów z 10 Czerwca 1872 r.

wtórnemu balotowaniu. W tym ostatnim wypadku ci, którzy otrzymali największą ilość głosów, chociażby nie zyskali połowy głosów obecnych wyborców, uważają się za wybranych (art. 38). Rezultat wyborów winien być wniesiony do osobnego protokółu, który odczytuje się zgromadzeniu i podpisuje tak przez burmistrza jak i przez wszystkich uczestniczących w wyborach (art. 39). Tak sporządzony protokół przesyła się do magistratu, który z protokółów otrzymanych ze wszystkich zgromadzeń wyborczych, układa ogólną listę wybranych do rady miejskiéj, którą podaje do wiadomości publicznéj (art. 48). Zauważyć także należy, iż wyborcy w żadnym wypadku nie mogą dawać wybranym instrukcyi co do sposobu ich postępowania (art. 41). Na nadużycia popełnione przy wyborach mogą być wnoszone skargi do magistratu w przeciągu 7 dni od daty wyborów (art. 43). Ze skarg tych jedne, mianowicie tyczące się nieprawidłowego wyboru członków rozstrzygają się przez nowowybraną radę (art. 44); inne zaś dotyczące nadużyć pod innym względem, przez zarząd gubernialny do spraw miejskich (art. 45),

V.

Drugim organem zarządu miejskiego jest *rada miejska*, składająca się pod prezydencyą burmistrza z pewnéj liczby członków wybranych przez zgromadzenia wyborcze. Liczba członków rady miejskiéj jest ustosunkowana w ogóle do cyfry ogólnéj wyborców. I tak: w miastach, w których liczba wyborców nie dochodzi 300 członków, rady miejskiéj winno być przynajmniéj 30. W większych miastach liczba członków rady miejskiéj powiększa się w miarę większéj ilości wyborców, tak, iż na każde 150 wyborców przybywa 6 członków. W każdym razie liczba ich nie może przechodzić 72 (art. 48). W Petersburgu tylko rada miejska składa się z 250, zaś w Moskwie ze 180 członków (1). Na członków rady miejskiéj mogą być wybierani wszyscy, którzy posiadają prawo uczestniczenia w zgromadzeniach wyborczych, nawet na mocy pełnomocnictwa (art. 35). Wyborcy nie są ograniczeni w wyborze tém, aby byli obowiązani wybierać osoby należące do tego samego zgromadzenia wyborcze-

(1) Art. 6 przepisów z 20 Czerwca 1872 r. o zastosowaniu ustawy miejskiéj do Petersburga, Moskwy i Odessy.

go, owszem mogą oni wybierać i z liczby osób należących do innych zgromadzeń wyborczych (art. 36). Ograniczenie istnieje tylko co do liczby członków wyznań niechrześciańskich, których liczba może stanowić tylko $^{1}/_{3}$ ogólnéj cyfry członków (art. 35).

Członkowie rady miejskiéj wybierają się na cztery lata, w razie zaś wyjścia z urzędowania lub śmierci którego z nich w tym przeciągu czasu, nie dopełniają się nowe wybory, ale do pełnienia tych obowiązków powołuje się osoba, która otrzymała w jedném ze zgromadzeń wyborczych największą ilość głosów, i w każdym razie najmniéj połowę głosów obecnych wyborców (art. 49).

Co się tycze praw i obowiązków rady miejskiéj, to w ogóle rzec można, iż ona przedstawia całe obywatelstwo miejskie, miasto, dla tego obraduje nad wszystkiemi przedmiotami odnoszącemi się do zarządu interesów miejskich, które przez prawo zostały jéj powierzone (art. 54). Prawa rady miejskiéj podzielić można na takie, które odnoszą się do wydawania postanowień, mających obowiązywać wszystkich mieszkańców miasta; i na takie, które dotyczą właściwego zarządu interesami miejskiemi, administracyi lokalnéj. Z tego widzimy, iż podział ten odpowiada dwom głównym funkcyom każdego organizmu społecznego, a nawet i państwa, to jest władzy prawodawczéj i wykonawczéj. Tak jak państwo ma prawo samo stanowić przepisy swego postępowania, to jest prawa, i następnie wykonywać je; tak samo każdy organ samorządu, w ciaśniejszych ma się rozumieć granicach, winien prawo to posiadać. Na skutek tego, rada miejska ma prawo wydawać w sposób przez ustawę określony postanowienia i rozporządzenia policyjne, mające moc obowiązującą dla wszystkich mieszkańców miasta, byle tylko postanowienia te nie ubliżały prawom ogólnie obowiązującym państwowym (1). Do przedmiotów, względem których według ustawy (art. 103) rada miejska może wydawać takie postanowienia należą:

1. Utrzymywanie w czystości i porządku ulic, placów, bruków, chodników, mostów, ścieków, kanałów, stawów, studni i t. d. nie wyłączając nawet tych, które znajdują się na gruntach osób prywatnych, instytucyi albo władz rządowych.

2. Środki mające na celu utrzymanie w porządku i całości

(1) Dopóki rada miejska rozporządzeń tych nie postanowi, winny być zachowywane przepisy czasowe zawarte w instrukcyi ministra spraw wewnętrznych z 16 Lipca 1871 r. za Nr. 6496 i odnoszące się do policyi budowniczéj, sprzedaży artykułów żywności, zapobieżenia pożarom i policyi zdrowia.

a zarazem zabezpieczenie od uszkodzeń budowli i gmachów publicznych, pomników, ogrodów, bulwarów i t. d.

3. Urządzenie przystani, przepraw, przewozów, dróg żelaznych konnych, sposób ich urządzenia i eksploatacyi, ustanowienie przepisów dla dorożek, omnibusów i w ogóle odnoszących się do przemysłu zajmującego się przewozem osób i towarów.

4. Przepisy względem utrzymania w czystości dziedzińców, zlewów i kloak.

5. Urządzenie i utrzymywanie w porządku szlachtuzów i sposobu korzystania z nich.

6. Środki mające na celu zabezpieczenie czystości w miejscach sprzedaży środków żywności i napojów, tudzież zabezpieczenie ich od fałszowania.

7. Środki przeciwko psuciu wody.

8. Przepisy odnoszące się do porządku na targach, jarmarkach i t. p.

9. Przepisy względem urządzenia dachów, pieców, kominów i w ogóle mające na celu zabezpieczenie od pożaru.

10. Oznaczenie miejsc, w których nie wolno utrzymywać składów drzewa, siana, słomy, oleju, spirytusu i innych łatwo zapalnych przedmiotów i oznaczenie sposobu zachowywania ich.

11. Środki zabezpieczające od chorób zaraźliwych, epidemicznych, a także od zaraźliwych chorób bydła.

12. Przepisy mające na celu zachowanie przyzwoitości w miejscach publicznych (1).

Co się tycze sposobu stanowienia powyższych rozporządzeń, to zauważyć należy, iż przed zatwierdzeniem ich ostatecznem przez radę miejską, winny one być za pośrednictwem magistratu zakomunikowane miejscowemu naczelnikowi policyi, który może uczynić względem nich swoje uwagi. Ze swojéj strony miejscowy naczelnik policyi również może przedstawić pod rozpoznanie rady miejskiéj projekta rozporządzeń policyjnych, które uzna za potrzebne (art. 134). Jeżeliby rada miejska i miejscowy naczelnik policyi nie doszli względem wydać się mających rozporządzeń do porozumienia, w takim razie spór ztąd wynikły załatwia zarząd guber-

(1) Prócz tego na podstawie art. 19 przepisów z 20 Czerwca 1872 r. w Moskwie i Petersburgu rada miejska może stanowić przepisy względem: 1) urządzenia nieszkodliwego dla zdrowia fabryk. izb czeladzi rzemieślniczéj i w ogóle lokali, w których mieści się ludność robotnicza; 2) środków mających na celu zabezpieczenie od powodzi; 3) od zwierząt domowych; 4) od nieregularnéj komunikacyi na ulicach, placach i rzekach; 5) o czasie otwarcia i zamknięcia handlów i sklepów w niedziele i dni świąteczne.

nialny do spraw miejskich (art. 105). Rozporządzenia przyszłe do skutku, winny być zakomunikowane gubernatorowi, który, jeżeli znajdzie w nich co przeciwnego prawom obowiązującym, winien poddać je pod rozpoznanie zarządu gubernialnego do spraw miejskich. Jeżeli znów gubernator uzna rozporządzenia te za zgodne z prawami obowiązującemi, postanawia o wydrukowaniu ich w miejscowéj gazecie gubernialnéj, poczém rozporządzenia te mogą być jeszcze mieszkańcom miasta ogłoszone w sposób przez radę miejską oznaczony (art. 106). Nad wykonaniem tych rozporządzeń winny czuwać organa miejscowéj policyi (art. 107), które dla tego obowiązane są donosić magistratowi o wszelkich dostrzeżonych przez nie nadużyciach (art. 108); magistrat znów może pociągać wykraczających pod tym względem do odpowiedzialności sądowéj (art. 110). W skutku tego osoby naruszające powyższe rozporządzenia, mogą uledz karom w kod. kar gł. i popr. oznaczonym, jeżeli jednak czyn ich w kodeksie nie był przewidziany, w takim wypadku ulegają karom przewidzianym w art. 29 ustawy o karach wymierzanych przez sędziów pokoju, to jest karze pieniężnéj do 100 rs.

Co się tycze praw drugiego rodzaju, to do nich według art. 55 należy:

1. Mianowanie urzędników miejskich służących z wyborów i wykonywanie rozmaitych czynności miejscowego samorządu, wskazanych szczegółowo przez ustawę (art. 16, 24—28, 44, 46, 48, 64, 73, 74, 76, 82, 83, 85, 95, 97, 111 i 112). Do urzędów, na które wybiera i naznacza rada miejska, należą przedewszystkiém urzędy burmistrza i ławników (art. 82 i 83) (1), tudzież sekretarza rady miejskiéj (art. 82). Prócz tego jednak rada miejska może naznaczać i innych jeszcze urzędników miejscowego samorządu. I tak, jeżeli uważa iż dla lepszego zarządu pewną gałęzią interesów miejskich, potrzebne jest ustanowienie oddzielnéj komissyi, albo naznaczenie specyalnego do tego urzędnika, może to uczynić na podstawie art. 74. Tak samo rada miejska mianuje członków deputacyi handlowych, gdzie takowe istnieją, i komissyi taksacyjnych, tam gdzie ustanowienie takiéj komissyi będzie uznane przez nią za potrzebne (art. 85). Wreszcie rada miejska może mianować na niektóre inne urzędy, gdzie takowe istnieją, np. dyrektorów banku miejskiego, opiekunów i intendentów zakładów dobroczynnych, deputatów dla roz-

(1) Nazwę членъ городской управы, używając wyrażenia utartego, przetłómaczyliśmy na ławnika.

działu ziemskich ciężarów, delegowanych do miejscowego zarządu policyjnego i t. p. (uwaga do art. 85).

2. Naznaczanie pensyi i ilości jéj urzędnikom miejskim.

3. Ustanawianie, zmniejszanie albo powiększanie podatków i opłat na rzecz miasta uiszczanych, w granicach zakreślonych przez ustawę (art. 128—135 i 137).

4. Zwalnianie od opłaty zaległości w tychże opłatach (allewiacye).

5. Zamiana powinności, ciężarów, które dotychczas były niesione przez mieszkańców miasta w naturze, na opłatę pieniężną.

6. Stanowienie względem mających się zaciągnąć pożyczek i innych zobowiązań stosownie do przepisów art. 67 i 124.

7. Przyjmowanie na rzecz miasta darowizn.

8. Ustanawianie wydatków miejskich i w ogóle budżetu miejskiego (art. 139—142, 144 i 145).

9. Rewizya i zatwierdzanie sprawozdań z dochodów i wydatków miasta, z zarządu majątkiem miejskim i w ogóle z działań władzy wykonawczéj miasta.

10. Stanowienie przepisów względem zarządu majątkiem i instytucyami miejskiemi tudzież zależącemi od niego zakładami dobroczynnemi lub innemi użyteczności publicznéj.

11. Stanowienie ogólnych przepisów działania dla władzy wykonawczéj miasta, to jest magistratu i innych urzędów i udzielanie im stosownych instrukcyi.

12. Zatwierdzanie rozporządzeń co do przedmiotów wymienionych w art. 103, o których poprzednio już mówiąc o władzy wydawania rozporządzeń, wzmiankowaliśmy.

13. Przedstawianie do zatwierdzenia zmian w planie miasta, tudzież projektowanie nowych planów tam, gdzie ich dotychczas nie było. Zatwierdzanie tego należy w miastach gubernialnych do ministra spraw wewnętrznych, zaś w innych miastach i miasteczkach do gubernatora (art. 113) (1). Do obowiązków rady miejskiéj pod tym względem należy także zatwierdzanie planów domów prywatnych i zezwalanie na przebudowania i reperacye, tudzież nadzór nad ich wykonaniem (art. 114). Ona także wydaje dozwolenia na urządzenie przystani dla wyładowywania towarów, urzą-

(1) Zmiany te w Petersburgu i Moskwie należą od Najwyższego zatwierdzenia, na przedstawienie ministra spraw wewnętrznych — art. 22 przepisów z 20 Czerwca 1872 r.

dzenie łazienek, kąpieli (1), teatrów (2); fabryk zaś, tych tylko, które mogą być zakładane wszędzie bez niebezpieczeństwa dla mieszkańców i które nie pomieszczone zostały w spisie fabryk, wyłączonych pod tym względem z atrybucyi rady miejskiéj, ułożonym przez ministra spraw wewnętrznych po porozumieniu się z ministrem finansów (art. 115).

14. Czynienie przedstawień do władzy wyższéj względem wszystkiego, co uzna za potrzebne lub korzystne dla miasta.

Do tego dodać należy urządzenie policyi handlowéj i określenie sposobu jéj działania, które w miastach gubernialnych winno być zatwierdzone przez ministra spraw wewnętrznych, w innych zaś przez gubernatora (art. 111).

Posiedzenia rady miejskiéj nie odbywają się peryodycznie w terminach stałych, ale przedewszystkiém wtedy, kiedy burmistrz uzna to za potrzebne. Prócz tego rada miejska może być zwołana na żądanie gubernatora, a także i wtedy, kiedy 1/3 część członków jéj tego zażąda (3). To ostatnie rozporządzenie miało widocznie na celu zapobiedz nadużyciom ze strony burmistrza, gdyby z jakichkolwiek powodów nie chciał zwoływać rady miejskiéj. W każdym razie dwa posiedzenia na rok, w terminach naznaczonych przez samą radę z zatwierdzenia gubernatora, są obowiązkowe, mianowicie w celu ustanowienia budżetu przychodów i wydatków miasta, tudzież przejrzenia sprawozdań magistratu co do jego działalności (art. 56). Radę miejską zwołuje burmistrz, zawiadamiając poprzednio gubernatora tak o terminie zebrania, jak i o przedmiotach, które mają być poddane pod jéj rozpoznanie (art 57). Na posiedzeniach rady miejskiéj mogą być obecne oprócz członków i inne jeszcze osoby, mianowicie członkowie magistratu, a nawet i zupełnie obce osoby, jeżeli zostaną zaproszone przez radę miejską dla udzielenia jéj objaśnień (art. 62). Osoby te wszakże nie mają prawa głosu, za wyłączeniem członków magistratu, którzy mogą przyjąć udział w głosowaniu, jeżeli jednocześnie są członkami rady miejskiéj (art. 50). W razie znów jeżeli rada miejska

(1) Na urządzenie przystani, kąpieli, łazienek, zakładów gazowych, budek i namiotów przenośnych, kloak publicznych, potrzeba w Petersburgu oprócz postanowienia rady miejskiéj jeszcze zgody naczelnika miasta, w Moskwie oberpolicmajstra—art. 26 przepisów z 20 Czerwca 1872 r.

(2) Co do teatrów w Moskwie i Petersburgu zachowuje się dotychczasowy porządek—art. 25 przepisów z 20 Czerwca 1872 r.

(3) W Petersburgu potrzeba do tego żądania przynajmniéj 25, w Moskwie zaś 20 członków rady miejskiéj—art. 8 przepisów z 20 Czerwca 1872 r.

ma wydać postanowienie względem pociągnięcia do odpowiedzialności burmistrza albo ławników, osoby te nie mogą być obecne na posiedzeniu (art. 51). Wyżéj już powiedzieliśmy, iż w radzie miejskiéj przezyduje burmistrz (1), w niektórych jednak wypadkach nie może on pełnić tych obowiązków, jakkolwiek może być obecny na posiedzeniu. Do wypadków tych należą: jeżeli idzie o przejrzenie sprawozdań magistratu, albo o naznaczenie pensyi urzędnikom miejskim (art. 52). W tych wypadkach zamiast burmistrza prezyduje ten członek rady miejskiéj, który w pierwszém zgromadzeniu wyborczém otrzymał największą ilość głosów (art. 53). Do ważności kompletu rady miejskiéj potrzebna jest obecność przynajmniéj $^1/_3$ części wszystkich członków, w niektórych jednak razach, o których mówi art. 67, wymagana jest obecność przynajmniéj polowy członków (art. 63) (2). Nikt w radzie miejskiéj nie może mieć więcéj nad jeden głos, tak iż głosowanie na mocy plenipotencyi zupełnie jest niedozwolone (art. 64).

Co się tycze porządku przedstawiania spraw pod rozpoznanie rady przychodzących, i sposobu, w jaki to się odbywa, art. 58 stanowi, iż przedmioty te mogą być jéj przedstawiane: 1) na wniosek burmistrza albo członków rady miejskiéj; 2) na wniosek magistratu; 3) na skutek przedstawień albo wezwań władz rządowych; 4) i na skutek próśb i zażaleń osób prywatnych. Członek rady miejskiéj chcąc przedstawić jakiś wniosek, winien zawiadomić o tém burmistrza na trzy dni przynajmniéj przed posiedzeniem; w przeciwnym bowiem razie, jakkolwiek wniosek jego może być rozbierany, postanowienie jednak co do niego może zapaść dopiero na jedném z następnych posiedzeń (art. 60). Przepis ten tłómaczy się tém, iż potrzeba pozostawić czas burmistrzowi do zebrania i przedstawienia radzie wszystkich odnoszących się do tego wniosku informacyi, témbardziéj, iż przy wezwaniu na posiedzenie burmistrz winien zawiadomić tak członków rady o przedmiotach mających być wziętemi pod rozwagę (art. 57), którzy również potrzebują czasu dla przygotowania odpowiednich informacyi, jak i gubernatora. Jakkolwiek zaś nie chciano tamować wolności członków rady miejskiéj w czynieniu wniosków, których potrzeba

(1) W Petersburgu tylko i Moskwie mogą być do prezydowania w radzie miejskiéj powołane przez Najwyższy rozkaz inne osoby, gdyby jednak to nie nastąpiło, prezydencya należy do burmistrza—art. 7 przepisów z 20 Czerwca 1872 r.

(2) W Petersburgu i Moskwie do ważności kompletu potrzeba tylko $^1/_3$ członków, za wyłączeniem przypadków w art. 67 wskazanych — art. 9 przepisów z 20 Czerwca 1872 roku.

mogła się okazać na samém posiedzeniu, z drugiéj jednak strony, należało przedsięwziąć środki ostrożności przeciwko zbyt pośpiesznym postanowieniom, i dla tego decyzya względem takich wniosków została odłożona do jednego z późniéjszych posiedzeń.

Rada miejska sama dla siebie stanowi przepisy postępowania, przyczém winna się stosować do ogólnych co do tego przepisów, obowiązujących w ziemskich, szlacheckich i innych zebraniach (art. 69). W każdym razie ustawa zaprowadziła co do tego niektóre przepisy, których rada postanowieniem swém zmienić nie może. Tak np. do ważnego kompletu rady m. potrzeba obecności przynajmniéj $^1/_3$ członków (art. 63); w niektórych jednak wypadkach wskazanych w art. 63 wymaganą jest obecność połowy członków. Wszelkie kwestye decydują się prostą większością głosów; w razie równości zdań, głos prezydującego przeważa (art. 66). Od téj ogólnéj zasady ustanowione są tylko pewne wyjątki w art. 67, co do których potrzebna jest większość $^2/_3$ głosów. Wyjątki te ustanowione są co do następnych wypadków: 1-o gdy idzie o zbycie albo nabycie na korzyść miasta nieruchomości; 2-o gdy idzie o zaciągnięcie na rzecz miasta pożyczki, przyjęcie rękojmi albo danie poręczenia; 3-o o zamianę naturalnych powinności i ciężarów na pieniądze; 4-e o uwolnienie urzędników miejskich od pełnionych przez nich obowiązków i o oddanie ich pod sąd (art. 67). Po zapadnięciu uchwały w radzie m. burmistrz winien kopią jéj przedstawić niezwłocznie gubernatorowi, który jeżeli nie znajdzie w niéj nic przeciwnego prawu, przesyła ją do gazety gubernialnéj w celu ogłoszenia drukiem. Tak samo rada m. może postanowić ogłaszanie drukiem swoich uchwał, jeżeli otrzymała na to pozwolenie władzy wyższéj (art. 69), burmistrz zaś pod osobistą odpowiedzialnością może ogłaszać drukiem sprawozdania w kwestyach, które mają być poddane pod rozpoznanie rady miejskiéj (art. 59).

VI.

Trzecim wreszcie głównym organem władz miejskich jest magistrat (1), którego główném zadaniem jest przyprowadzenie do skutku, wykonanie uchwał rady m. Magistrat składa się pod pre-

(1) Городская управа, którą to nazwę stosownie do utartego terminu w ten sposób tłómaczymy.

zydencyą burmistrza (1) z pewnéj oznaczonéj przez radę m. liczby członków, ławników, których powinno być najmniéj dwóch (art. 70). Wyjątkowo tylko w maloludnych miasteczkach, w którychby okazało się niedogodném tworzyć liczniejszy skład magistratu, obowiązki jego można powierzyć samemu tylko burmistrzowi (art. 71). Z drugiéj strony, co się może przytrafić w miastach większych i o czém zresztą już poprzednio wspominaliśmy, rada m. może powierzać wykonanie pewnych czynności albo osobnym komissyom, albo pojedynczym osobom (art. 73 i 74). Takie komissye winny zostawać pod prezydencyą jednego z członków magistratu, jeżeliby zaś magistrat uznał za stosowne prezydencyą tę powierzyć komu innemu, w takim razie winien uczynić stosowne o to przedstawienie do rady m. W razie jednak zatwierdzenia osoby téj przez radę należy ona tém samém do magistratu (art. 75). Burmistrza, ławników, tudzież odpowiednią liczbę zastępców, którzy mają pełnić ich obowiązki w razie choroby lub wyjścia z urzędowania przed terminem na który wybrani zostali, a także sekretarza rady m. wybiera rada (art. 82, 83, 84). Na urzędy te mogą być wybierani nietylko członkowie rady, ale w ogóle obywatele posiadający prawo uczestniczenia w zgromadzeniu wyborczém nawet na mocy pełnomocnictwa; sekretarz zaś może być wybrany nawet z liczby osób nieodpowiadających warunkom w punkcie 2 i 3 art. 17 oznaczonym. W każdym razie, przeciwko wyborowi tych osób nie powinna zachodzić żadna z przeszkód w art. 18 i 19 wymienionych (art. 86). Członkami magistratu nie mogą być prócz tego jednocześnie ojciec i syn, teść i zięć, tudzież rodzeni bracia (art. 87). Starozakonni nie mogą być wybierani na burmistrzów, członków zaś magistratu należących do tego wyznania, może być tylko $^1/_3$ część (art. 88). Wreszcie członkami magistratu nie mogą być: 1-o duchowni, 2-o prezesi i członkowie sądów, za wyłączeniem sędziów pokoju, 3-o prokuratorowie i ich pomocnicy, 4-o urzędnicy klassowi (art. 89). Inni urzędnicy zostający w służbie rządowéj, mogą być wybierani na urzędy miejskie; powinni jednak na to uzyskać pozwolenie właściwéj władzy (art. 90). Ograniczenie to nie stosuje się do urzędników ziemskich albo stanowych. Miasto pod względem członków magistratu jest zupełnie niezależne, tak iż osoby w należyty sposób wybrane, nie potrzebują żadnego zatwierdzenia ze strony władzy wyższéj, do objęcia swych obowiązków. Wyłączenie ustanowione jest tylko względem burmistrza

---

(1) W Petersburgu i Moskwie oprócz burmistrza jest jeszcze towarzysz burmistrza—art. 12 przepisów z 20 Czerwca 1872 roku.

i jego zastępcy, jako przedstawicieli miasta w stosunkach z władzą wyższą, co do których potrzebne jest zatwierdzenie: w miastach gubernialnych ministra spraw wewnętrznych, w innych zaś gubernatora (art. 92) (1). Wybory tylko mogą być skarżone przez członków rady m. do zarządu gubernialnego spraw miejskich (art. 93). Przed objęciem obowiązków tak burmistrz jak i ławnicy winni wykonać przysięgę podług swego wyznania na sumienne wykonywanie obowiązków; jeżeli zaś należą do wyznań nie przyznających przysięgi, dają tylko odpowiednie piśmienne zobowiązanie (art. 96). Burmistrz i ławnicy wybierają się na lat 4, po upływie zaś dwóch lat połowa ich wychodzi. Zresztą wychodzący członkowie mogą być napowrót obrani (art. 94). Rada m. oznacza sama czas na jaki wybiera sekretarza (art. 95), tudzież porządek mianowania urzędników kancelaryjnych tak w magistracie jak i w radzie m. Urzędnicy ci pełnią obowiązki na podstawie dobrowolnéj umowy (по найму) (art. 97). Ławnicy, członkowie komisyi taksacyjnych, deputacyi handlowych, noszą przy wypełnianiu swych obowiązków osobny znak, burmistrz zaś mundur przepisany (art. 98). Urzędnicy zarządu miejskiego za wyłączeniem sekretarza rady m. w miastach gubernialnych, który jest zarazem referentem w zarządzie gub. do spraw miejskich w sprawach miast dotyczących, nie mają praw urzędników zostających w służbie rządowéj (art. 99) (2). Wreszcie zauważyć należy, iż burmistrzowi i ławnikom nie wolno brać na siebie entrepryz i dostaw miejskich z pewnemi wyjątkami (art. 102).

Co się tycze obowiązków magistratu w powyższy sposób urządzonego, obowiązki te polegają na zarządzie bezpośrednim interesami miasta, w granicach oznaczonych przez Ustawę miejską i rozporządzenia rady m. (art. 72). W skutku tego, do niego należy załatwianie czynności bieżących, wynajdowanie środków polepszeń w miejscowéj administracyi, wykonywanie postanowień i rozporządzeń rady m., dostarczanie jéj potrzebnych wiadomości, układanie projektu budżetu miejskiego, pobieranie dochodów miasta i wydatkowanie ich, przedstawianie o tém sprawozdań radzie m.

---

(1) Burmistrz w Petersburgu i Moskwie naznacza się z dwóch kandydatów przedstawionych od rady miejskiéj, przez cesarza, towarzysz zaś burmistrza przez ministra spraw wewnętrznych —art. 13 przep. z 20 Czerwca 1872 r.

(2) Burmistrz może się wydalać z miejsca urzędowania, donosząc tylko gubernatorowi, jeżeli idzie o wyjazd do 2 miesięcy; na czas dłuższego wyjazdu winien prosić o jego zezwolenie (art. 100). Ławnicy o wyjeździe swym zawiadamiają burmistrza, zaś urzędnicy kancelaryjni winni prosić go o pozwolenie (art. 101).

która może polecić ogłoszenie ich drukiem (art. 72). Rada m. oznacza porządek, w jakim magistrat ma wykonywać włożone nań obowiązki, a zarazem wskazuje przedmioty, które winny być decydowane kollegialnie przez magistrat albo pojedynczo przez burmistrza i ławników. Rozdzielenie znów obowiązków włożonych na magistrat między pojedynczymi członkami, należy do samego magistratu. Przedmioty, które winny być decydowane kollegialnie, rozstrzygają się większością głosów; jeżeli jednak burmistrz będzie uważał decyzyą magistratu za przeciwną prawu, w takim razie może wykonanie jéj wstrzymać, samą zaś sprawę za pośrednictwem gubernatora przedstawić pod rozpoznanie zarządu gubernialnego do spraw miejskich (art. 77). W wypadkach znów nagłych i niecierpiących zwłoki sam burmistrz może przedsiębrać właściwe środki, jakkolwiek mogłyby się odnosić do tych przedmiotów, które wymagają decyzyi kollegialnéj. W tym jednak razie winien zawiadomić o tém magistrat na najpierwszém posiedzeniu (art. 78). Jeżeli magistrat spotka trudności w wykonaniu postanowień r. m. może wstrzymać się z ich wykonaniem, czyniąc zarazem stosowny wniosek do rady; jeżeliby jednak rada potwierdziła swoje postanowienie, magistrat winien zastosować się do niego bezwarunkowo (art. 79). Prócz tego magistrat znajdując postanowienie rady m. przeciwném prawu, może się również wstrzymać z jego wykonaniem, czyniąc odpowiednie do niéj przedstawienie; gdy zaś przedstawienie to nie odniesie skutku, może całą sprawę wytoczyć do zarządu gub. do spraw miejskich (art. 80). Wszelkie stosunki władz miejskich z gubernatorem, załatwiają się za pośrednictwem burmistrza; z innemi zaś władzami, za pośrednictwem burmistrza albo ławników (art. 81).

VII.

Miasto mając potrzeby i cele wymagające dla zaspokojenia ich środków pieniężnych, musi mieć także swoje dochody, swój majątek. Z natury znów samorządu wypływa, iż winno ono zarządzać tym majątkiem samodzielnie. Ustawa z 1870 roku pod względem majątkowym zakreśla szerokie granice autonomii miasta; może być nawet, iż uwzględnia w niém przeważnie charakter gminy ekonomicznéj, nie administracyjnéj. Miasto pod tym względem uważa się za osobę prawną, która ma prawo nabywać majątek nieruchomy i ruchomy, pozbywać się go, dochodzić swoich

praw majątkowych na drodze sądowéj, na podstawie ogólnych praw cywilnych (art. 116). Zobowiązania majątkowe, zaciągnięte w imieniu miasta przez magistrat jako jego przedstawiciela, w granicach zakreślonych mu przez radę m., mają moc obowiązującą dla całego miasta, które za nie winno odpowiadać (art. 117).

Majątek miasta może się składać z nieruchomości, ruchomości, dochodów z nich, tudzież z podatków i opłat ustanawianych na korzyść miasta. Oznaczenie sposobu, w jaki należy używać, i na co potrzeba obracać ten majątek, zależy od rady m., która przytém winna zwracać uwagę na to, aby majątek miejski przynosił dochód (art. 119).

Co się tycze majątku nieruchomego, składającego się z rozmaitych gruntów należących do miasta, zauważyć należy, iż grunta znajdujące się pod placami, ulicami, trotuarami, ogrodami publicznemi, kanałami, rzekami przechodzącemi przez miasto i t. d., pozostają w używaniu publiczném (art, 120); w skutku czego gruntów tych nie może miasto pozbywać, bez stosownéj zmiany w planie, zatwierdzonéj przez władzę wyższą (art. 121). Jeżeliby rada m. grunta te chciała oddać w wyłączne używanie osób prywatnych, albo wznieść na nich budowle, tamujące lub ograniczające przejazd po nich lub przechód, w takim razie odnośne postanowienie rady winno być zatwierdzone w miastach gubernialnych przez ministra spraw wewn., w innych zaś przez gubernatora. Przepis ten jednak nie odnosi się do budek policyjnych, namiotów i innych budynków mniejszego rozmiaru (art. 122).

Pod względem dochodu z ruchomości, ustawa upoważnia radę m. do oznaczania wysokości opłaty za używanie środków kommunikacyi urządzonych na koszt miasta, za zatrzymywanie się statków w przystaniach miejskich; postanowienie jednak co do tego winno być zatwierdzone przez ministra spraw wewn., po porozumieniu się z ministrem finansów (art. 123). Opłata znów od używania wag i miar miejskich, nie może przewyższać 1 kopiejki od puda, czetweryka albo wiadra mierzonych albo ważonych przedmiotów (art. 119). Prócz tego na korzyść miasta idą: 1-o opłaty ustanowione na korzyść miasta przy sporządzaniu, zaświadczaniu, protestowaniu i wykonywaniu rozmaitych aktów; 2-o opłaty ustanowione od cechowania miar i wag; 3-o procent od sprzedawanych z licytacyi przez władze miejskie ruchomości w stosunku 2%; 4-o opłata ustanowiona w niektórych miastach od przewożonych i wywożonych towarów; 5-o zasiłki od rządu albo od ziemstwa (art. 136). Magistrat może z upoważnienia rady deponować fundusze miejskie w instytucyach kredytowych prywatnych albo rządowych,

i nabywać za nie papiery publiczne procentowe (art. 125). Fundusze te albo w papierach wartościowych, albo w gotowiźnie mogą być zachowywane stosownie do instrukcyi rady albo w kassach miasta, albo w kassach rządowych, albo w kassach instytucyi kredytowych (art. 126).

Co się tycze podatków na rzecz miasta, to ustawa dozwala radzie miejskiéj ustanawiać niektóre z nich własną swoją władzą. Do tych należą: 1-o podatek szacunkowy od nieruchomości, 2-o od świadectw na prowadzenie handlu lub zakładu przemysłowego, 3-o od traktyerni, restauracyi, zajazdów i sklepów z wiktuałami. Inne znów mogą być wprowadzane, ale tylko wtedy, kiedy postanowienia rady co do sposobu pobierania ich i wysokości, będą zatwierdzone w drodze prawodawczéj. Do tych należą: 1-o opłata od dorożek i w ogóle osób zajmujących się przewozem, 2-o od koni i ekwipażów prywatnych, i 3-o od psów (art. 128). Prócz jednak wymienionych powyżéj podatków, rada m. może czynić przedstawienia o zatwierdzenie w drodze prawodawczéj podatku z komornego, przyczém winna oznaczyć szczegółowo tak procent mającego się pobierać podatku, jakoteż i mieszkania, które od niego zwolnione być mają (art. 135). Wreszcie rada może się starać o zatwierdzenie w porządku prawodawczym i innych podatków nie wymienionych wyraźnie w ustawie z 1870 r. (art. 157).

Co się tycze podatku szacunkowego od nieruchomości, ustanowiony on został jako odpowiadający podatkowi gruntowemu z nieruchomości wiejskich. Wysokość jego oznacza rada, nieprzechodząc przytém oznaczonéj przez ustawę granicy, mianowicie 10% od czystego dochodu albo 1% od wartości nieruchomości. Od opłaty tego podatku wolne są pałace cesarskie z należącemi do nich zabudowaniami; gmachy rządowe ale tylko o tyle, o ile rzeczywiście zajęte są przez władze rządowe, tak iż te, które przynoszą dochód np. z najmu lokali, albo zajęte są na mieszkania urzędników, podlegają ogólnemu prawidłu; budowle należące do instytucyi dobroczynnych i naukowych o ile są przez nie zajmowane; zabudowania kościelne wszelkich wyznań nieprzynoszące dochodu; grunta przeszłe na własność kolei żelaznych ze wzniesionemi na nich budynkami, które z czasem mają przejść na rzecz rządu; a wreszcie wszystkie nieruchomości, które z powodu małéj wartości, będą przez radę m. od tego uwolnione (art. 130). Rada ustanowiwszy ten podatek, winna zarazem oznaczyć termin wnoszenia go do kassy miejskiéj, magistrat zaś obowiązany jest dopełnić rozkładu i zawiadomić o tém obywateli przynajmniej na miesiąc przed terminem. Za każdy miesiąc spóźnienia w opłacie

tego podatku naznaczona jest kara w stosunku 1% od ilości podatku, przyczém tak kara jak i sam podatek egzekwuje się w sposób dla egzekucyi podatków rządowych przepisany, przez sprzedaż ruchomości albo nawet nieruchomości zalegającéj w opłacie (art. 131 i 138). Tak samo i inne zaległości w podatkach i opłatach miejskich, egzekwują się sposobem administracyjnym (art. 138).

Podatek za prawo prowadzenia handlu może być ustanowiony od wszelkich świadectw na prowadzenie handlu, i od wszelkiego rodzaju patentów wydawanych na podstawie ustawy akcyznéj. Ilość jego oznacza się w procencie w stosunku do takichże podatków opłacanych na rzecz skarbu, mianowicie od świadectw kupieckich 1-éj i 2-éj gildy 25%, od innych 10%, od patentów zaś wydawanych na podstawie ustawy akcyznéj 20%. Podatek ten pobiera się jednocześnie z opłatą skarbową (art. 133), nietylko od świadectw wydawanych osobom zamieszkałym w samém mieście, ale także i od tych, które zamieszkują w powiecie (art. 132).

Wreszcie zauważyć należy, iż jeżeli powyższe dochody i podatki nie wystarczają na potrzeby miasta, z przyczyny, dajmy na to, jednorazowych większych wydatków na przedsięwzięcia użyteczności publicznéj, jak zaprowadzenie kanalizacyi, wodociągów, bulwarów i t. p., rada może zaciągać na rzecz miasta pożyczki i dawać poręczenia. W każdym jednak razie ażeby rada m. nie mogła obciążyć miasta zbytecznie długami, które doprowadziłyby je do finansowéj ruiny a mieszkańców miasta obciążyły za wielkiemi podatkami; ustawa postanowiła pewne pod tym względem ograniczenia. Ograniczenie to polega na tém, iż odnoszące się do tego postanowienie rady winno być przedstawione pod zatwierdzenie ministra spraw wewn., jeżeli tylko idzie o pożyczkę lub w ogóle zobowiązanie w summie przewyższającéj dochód miasta za ostatnie dwa lata, albo kiedy mające się zaciągnąć zobowiązanie z dawniejszemi przewyższa takiż sam dochód. W tym wypadku rada m. winna wskazać źródło dochodu, z którego spodziewa się pokryć się zaciągnąć mającą pożyczkę (art. 124).

Co się tyczy wydatków miasta, te według ustawy dzielą się na dwie główne kategorye, to jest: obowiązkowe, którym miasto winno przedewszystkiém zadosyć uczynić, i nieobowiązkowe, które można przedsiębrać dopiero po zaspokojeniu pierwszych.

Do pierwszych należą podług art. 139 następujące:

1-o. Utrzymanie zarządu miejskiego stosownie do postanowienia rady m.

2-o. Utrzymanie gmachów, budynków i pomników miejskich.

3-o. Opłata procentów od pożyczek miejskich.

4-o. Wypłata zasiłków z kassy miejskiéj różnym instytucyom i zakładom naukowym, dobroczynnym i w ogóle użyteczności publicznéj, jeżeli do tego przez prawo miasto jest zobowiązane, tudzież wypłata zasiłków do kass państwa podług budżetu.

5-o. Wydatki z powodu kwaterunku wojskowowego i inne wojenne ciężary, tudzież na oświetlenie i opalenie więzień i utrzymanie ich nadzorców o tyle, o ile przez prawo będą na miasto nałożone.

6-o. Udział w tymże samym wypadku, na utrzymanie miejscowéj policyi.

7-o. Utrzymanie straży ogniowych przy miejscowéj policyi, tam gdzie one istnieją.

8-o. Dostarczanie albo najem pomieszczenia dla miejskiego zarządu policyi w tych miastach, gdzie zarząd ten oddzielony jest od powiatowego, i dla straży ogniowéj, oświetlenie i opalenie, a także wyasygnowanie pieniędzy na najem lokalu dla miejscowéj policyi i straży ogniowéj.

9-o. Zadosyćuczynienie w naturze innym potrzebom miejscowéj policyi i straży ogniowéj, jak np. zaopatrzenie w żywność, amunicyą, zapewnienie utrzymania w szpitalach i t. p.

10-o. Utrzymanie straży ogniowej miejskiéj, tam gdzie dotychczas istnieje, lub gdzie zaprowadzoną zostanie.

11-o. Utrzymanie ulic, placów, bulwarów, mostów, przepraw, kanałów, wodociągów i oświetlenie miasta w takim co najmniéj stanie, w jakim się znajdowały przed zastosowaniem ustawy z 1870 roku.

12-o. Wyznaczenie miejsc na wywożenie nieczystości i zakopywanie zdechłego bydła (1).

Skoro miasto zadosyćuczyni wydatkom obowiązkowym, resztę swoich dochodów może obracać stosownie do uznania rady na przedsięwzięcia mające na celu pożytek lub wygodę miasta, o ile to nie sprzeciwia się prawom obowiązującym (art. 140).

Budżet dochodów i wydatków ułożony przez magistrat, rozpatruje i zatwierdza rada, poczém budżet ten w ciągu dwóch tygodni od zatwierdzenia, winien być ogłoszony w sposób przez prawo wskazany (art. 68 i 141), to jest: przedstawia się gubernatorowi, który stanowi o wydrukowaniu go w gazecie gubernialnéj.

---

(1) W Petersburgu, Moskwie i Odessie do wydatków obowiązkowych miasta zaliczają się jeszcze koszta utrzymania sędziów pokoju i aresztów dla skazanych na taką karę wyrokami sędziów pokoju — art. 28 przepisów z 20 Czerwca 1872.

Gubernator winien przestrzegać: 1-o aby w budżecie nie znajdowały się podatki niedozwolone, dozwolone zaś nie były oznaczone w wysokości wyższéj nad prawem przepisaną; 2-o aby własność rządowa lub koronna nie była opodatkowana wyżéj niż takaż własność prywatna; 3-o aby naznaczone były summy konieczne na wydatki obowiązkowe (art. 143). Magistrat w czynieniu wydatków winien stosować się do zatwierdzonego w ten sposób budżetu, jeżeliby zaś zaszła potrzeba wydatkować na jakiś cel więcéj, niż było oznaczone w budżecie, magistrat obowiązany jest zażądać szczególnego do tego upoważnienia; w razie nieudzielenia przez radę m. takiego upoważnienia przy samém zatwierdzaniu budżetu (art. 144). Tak samo magistrat za upoważnieniem rady może w zamian za rozmaite zobowiązania względem zarządu wojskowego i cywilnego (o których mówi art. 139), wydać temuż pewną summę pieniężną, za zgodą z nim oznaczoną, w skutku czego miasto zwalnia się od ponoszenia wszelkich z tego tytułu dodatkowych wydatków (art. 145).

Rachunkowość i kontrola wszelkich dochodów i wydatków prowadzi się według przepisów ustanowionych przez radę m. (art. 146), tak iż fundusze miejskie nie ulegają rewizyi ogólnych władz państwowych; magistrat tylko w terminach przez nią oznaczonych winien przedstawiać roczne sprawozdanie o stanie funduszów miejskich (art. 147).

VIII.

Żadne prawo, choćby najlepsze, nie przyniesie pożądanego skutku, nie zapewni należnych korzyści społeczeństwu, jeżeli nie będzie wykonywane zgodnie z wolą prawodawcy, z duchem i literą prawa. Dla tego każde prawo winno zawierać zarazem i rękojmią dobrego wykonania, rękojmia zaś ta odnośnie do zarządu miejskiego, znajduje się w przepisach określających odpowiedzialność sądową urzędników tegoż zarządu, i sposób uchylania ich rozporządzeń, jeżeli te niezgodnie z prawem zapadły, tudzież w przepisach ustanawiających odpowiedzialność karną urzędników, w razie popełnienia przez nich przestępstw służbowych.

Co się tycze odpowiedzialności sądowéj w ogóle, ustawa zapewnia ją w sposób właściwy, nadając prawo osobom prywatnym, towarzystwom i instytucyom, w razie jeżeli prawa ich cywilne zostały naruszone przez rozporządzenia lub czyny miejskiego zarządu, dochodzić wynagrodzenia szkód i strat na drodze sądo-

wéj, na ogólnéj zasadzie (art. 148), to jest: stosownie do odnośnych przepisów ustawy procedury cywilnéj z 1864 r. Tym sposobem władza sądowa, bezstronna, stanowi o słuszności lub bezzasadności pretensyi osoby czującéj się być w prawach swoich pokrzywdzoną; odpowiedzialność zaś taka urzędników zarządu miejskiego stanowi dla społeczeństwa najskuteczniejszą rękojmią, że prawa jego będą szanowane, że zarząd miejski nie będzie się dopuszczał nadużyć w wykonywaniu swoich obowiązków.

Ponieważ jednak odpowiedzialność cywilna urzędników administracyjnych jest u nas rzeczą dotychczas zupełnie nową i nieznaną; ponieważ będzie ona mogła znaleźć zastosowanie dopiero na mocy ustawy postępowania sądowego cywilnego z 20 Listopada 1864 roku, która jak wiadomo, ma u nas zyskać moc obowiązującą z dniem 1 (13) Lipca 1876 roku: przeto nie od rzeczy będzie wskazać tu choć w kilku słowach, w jakich przypadkach odpowiedzialność taka może mieć miejsce, i jaki jest w tym razie sposób postępowania.

Co do pierwszego, powiedzieć można, iż do odpowiedzialności takiéj można pociągać urzędników zarządu miejskiego w każdym razie, kiedy przez ich rozporządzenia lub czyny będą naruszone prawa cywilne; także kiedy z ich niedbalstwa, nieoględności lub opieszałości wyniknie szkoda dla osoby trzeciéj (art. 1316 ustawy pr. cyw. z 1864 r.).

W wypadkach takich osoba pokrzywdzona, winna wnieść skargę w sposób przez ustawę postępowania sądowego cywilnego przepisany, do sądu okręgowego, jeżeli urzędnik, którego czynność jest zaskarżana, zajmuje urząd niższy, do klassy IX włącznie; zaś do izby sądowéj, jeżeli urzędnik ten zajmuje urząd od klassy VIII do V (art. 1317). Do wytoczenia powództwa służy termin trzymiesięczny od daty zawiadomienia skarżącego o rozporządzeniu szkodliwém jego prawom, lub sześciomiesięczny od daty wprowadzenia rozporządzenia tego w wykonanie, jeżeli wykonanie nie zostało poprzedzone przez zawiadomienie (art. 1318). Kopia skargi winna być zakomunikowana urzędnikowi, którego czynność lub rozporządzenie są zaskarżone, w celu otrzymania od niego w terminie oznaczonym odpowiedniego wyjaśnienia (art. 1319), poczém sprawa wprowadza się na zasadzie ogólnych przepisów (art. 1323) z tym tylko wyjątkiem, iż do sądzenia takich spraw ustanawia się w sądzie okręgowym i izbie sądowéj osobny komplet, złożony nietylko z członków sądu, ale i z niektórych urzędników administracyjnych art. 1320). Strony obecne przy wprowadzeniu sprawy, mogą czynić

ustne wyjaśnienia (art. 1324), na wyroki zaś w ten sposób zapadłe można zanosić apellacyą do wyższéj władzy sądowéj (art. 1326).

W wypadkach znów, w których z natury przedmiotu wypływa niemożliwość zaskarżenia w sposób powyżéj oznaczony nielegalnych rozporządzeń magistratu albo burmistrza skargi na nie zanoszą się do rady m., zaś na postanowienia téj ostatniéj do gubernatora, który odsyła je pod rozpoznanie zarządu gub. do spraw miejskich (art. 150). Jeżeliby jednak skarga miała być podana na postanowienie rady m., która w myśl szczególnych przepisów ustawy z 1870 roku ulega zatwierdzeniu ministra spraw wewn. albo gubernatora, w takim razie skarga ta może być zaniesiona tylko do I-o departamentu rządzącego senatu (art. 149). Tak samo władze rządowe, instytucye ziemskie i stanowe, mogą zaskarżać postanowienia i rozporządzenia władz miejskich, jeżeli przez nie naruszone zostały ich prawa, obowiązki albo granice kompetencyi. Sam wreszcie gubernator może także zaskarżyć postanowienie lub rozporządzenie władz miejskich, jeżeli w nich dostrzeże przeciwne prawu warunki. We wszystkich powyższych wypadkach skargę albo zażalenie rozpoznaje zarząd gubernialny do spraw miejskich (art. 151). Wykonanie zaś postanowień rady m. w ten sposób zaskarżonych i poddanych pod decyzyą zarządu gub. do spraw miejskich, gubernator może wstrzymać, niedłużéj jednak niż na miesiąc od dnia otrzymania przezeń tegoż postanowienia (art. 155). Osoby prywatne, władze wojskowe i inne, a także i gubernator, jeżeli nie są zadowoleni z decyzyi zarządu gub. do spraw miejskich, stanowiącéj względem ich skargi lub zażalenia, mogą zaskarżyć ją do I-go departamentu rządzącego senatu (art. 153). Termin do zaskarżenia takiéj decyzyi jest sześciotygodniowy, licząc dla osób prywatnych od dnia ogłoszenia im decyzyi, dla władz rządowych i innych od dnia otrzymania przez nie kopii decyzyi, dla gubernatora zaś od dnia podpisania decyzyi (art. 154). Bez względu jednak na zaniesioną skargę, decyzye zarządu do spraw miejskich podlegają tymczasowéj egzekucyi, chyba że w saméj decyzyi inaczéj jest postanowione (art. 152).

Jeżeli wreszcie urzędnicy zarządu miejskiego wymienieni w art. 73, 82, 85 ustawy, popełnili przestępstwa służbowe, ulegają za nie odpowiedzialności sądowéj na drodze karnéj (art. 156). Oddanie pod sąd powyższych urzędników, za wyłączeniem burmistrza, zależy od decyzyi rady m. (art. 157). Z drugiéj strony gubernator jeżeli dostrzeże przeciwne prawu działania członków zarządu miejskiego, może donieść o tém zarządowi gub. do spraw miejskich, i żażądać wydania decyzyi względem oddania ich pod sąd. W tym

jednak wypadku decyzya taka winna być zakomunikowana radzie, która może się z nią nie zgodzić i odwołać się do I-o departamentu rządzącego senatu w terminie sześciotygodniowym od chwili jéj otrzymania (art. 158). Burmistrz może być oddany pod sąd tylko na skutek postanowienia w tym względzie I-o departamentu rządzącego senatu, wydanego na podstawie decyzyi rady m. albo zarządu gub. do spraw miejskich (art. 159). Burmistrz i ławnicy za przestępstwa służbowe są sądzeni przez izbę sądową. Wszyscy zaś urzędnicy zarządu miejskiego. a nawet służący na mocy umowy, za przestępstwa te podlegają z art. 161 karom wyszczególnionym w art. 329—387 kodeksu kar gł. i popr. (1).

VIII.

W taki sposób ustawa z 1870 roku urządza instytucye samorządu miejskiego w Cesarstwie. Z krótkiego tego przedstawienia mogliśmy dojść do przekonania, iż miasta podług téj ustawy cieszą się znakomitym wpływem na zarząd interesami miejskiemi, a nawet w granicach przez prawo oznaczonych, zupełną niezależnością w załatwianiu niektórych z nich. Ustawa z 1870 roku nadaje miastom w Cesarstwie władze miejskie pochodzące z wyborów, które w skutku tego winny się składać z osób używających poważania u swoich współobywateli, które zapewne przez niewłaściwe postępowanie, zaniedbywanie swych obowiązków nie zechcą zawieść położonego w nich zaufania. Rada m. i magistraty podług ustawy, opatrzone są bardzo obszernemi atrybucyami odnoszącemi się do wszystkich prawie interesów obchodzących mieszkańców miasta. Wprawdzie i ustawa z 1870 roku pomimo swoich ogromnych zalet nie jest także wolną od pewnych usterek, do których możnaby zaliczyć, uwzględnienie w mieście interesów przeważnie ekonomicznych i w skutku tego nadanie miastu, może nawet za wybitnie, charakteru gminy ekonomicznéj, nie administracyjnéj. Pomijając jednak te usterki jako nie wchodzące w zakres naszéj pracy, przyznać musimy, iż miasta w Cesarstwie bezwątpienia właściwe korzyści z nadanych sobie urządzeń odniosą.

Zwróciwszy się obecnie do naszych miejscowych stosunków, przekonać się musimy, iż miasta u nas nie mają takich instytucyi

(1) Odpowiadającym art. 343—397 kod. kar gł. i popr. z 1847 r. obowiązującego w Kr. Polskiém

i że w skutku tego nie mogą myśleć o dosięgnięciu takich rezultatów, do jakich miasta w Cesarstwie ze swemi urządzeniami, dojść są w stanie. Nie możemy tutaj wdawać się w obszerny rozbiór prawodawstwa urządzającego u nas stosunki miejskie, gdyż to przechodziłoby o wiele szczupły zakres naszéj pracy, sądzimy jednak, iż z krótkiego pobieżnego rzutu oka na zarząd miast naszych, dojdziemy także do tego niewątpliwego przekonania, iż miasta u nas nie mają najmniejszego wpływu na zarząd swojemi własnemi interesami, że interesa te załatwiają się bez żadnego z ich strony udziału (1).

Urządzenia obecnie istniejące w miastach u nas, głównie opierają się na postanowieniach zapadłych po 1815 roku, mianowicie na postanowieniu Namiestnika z 3 Lutego 1816 roku przepisującém organizacyą władz królestwa (2), tudzież na takiémże postanowieniu z 30 Maja 1818 roku określającém organizacyą i atrybucye magistratów (3). Jakkolwiek zaś w następstwie wydano bardzo wiele postanowień i przepisów odnoszących się do zarządu interesami miejskiemi, zmieniających lub uzupełniających powyżéj przytoczone, zawsze jednak obecnie jeszcze stanowią one podstawę, na któréj władze miejskie się opierają.

Zobaczmy więc jakie władze w miastach ustanowione zostały przez powyższe postanowienia do zarządu interesami miejskiemi. Na mocy ich zostały utworzone w miastach urzędy municypalne (4), nazwane w następstwie magistratami (5), które w miastach wojewódzkich gubernialnych, składały się z prezydenta i radnych, w innych zaś z burmistrza i ławników (6). Prezydentów mianował panujący, burmistrzów zaś komissya spraw wewnętrznych (7). Radni i ławnicy we wszystkich miastach mianowani byli przez komissyą spraw wewn. na przedstawienie komissyi wojewódzkich (rządów gubernialnych), z obywateli miejscowych własność nieruchomą posiadających, którzy zarazem pełnić mieli obowiązki kas-

---

(1) Przepisy odnoszące się do tego przedmiotu zawierają się w sześciu tomach zbioru przepisów administracyjnych Kr. Pols., wydanych przez b. Radę stanu.

(2) Zbiór przepisów administracyjnych Kr. Pols. Wydział Spraw Wewnętrznych i duchownych. Gospodarstwo miejskie T. I, str. 13.

(3) Tamże, str. 19.

(4) Art. 1 post. z 30 Maja 1818 r.

(5) Art. 4 ukazu z 29 Września (11 Października) 1842 r.

(6) Art. 3 post. z 30 Maja 1818 r.

(7) Art. 67 post. z 3 Lutego 1816 r.

syerów i sekretarzy miejskich (1). Liczba ich jednak nie mogła przenosić 4 (2). Prezydenci, burmistrze i kassyerowie pobierali płacę, któréj wysokość oznaczała komissya spraw wewn; radni zaś i ławnicy, tam tylko gdzie na to fundusze miejskie pozwalały (3).

Nie wchodząc tutaj w bliższy rozbiór atrybucyi magistratów, dla ogólnéj ich charakterystyki dość nam w tém miejscu powiedzieć, iż prezydenci, burmistrze albo ich zastępcy są wykonawcami rozkazów komissyi wojewódzkich (rządów gubernialnych) (4), i jako tacy ogłaszają wszelkie rozkazy rządowe i pełnią powierzone im obowiązki (5). We wszystkich przedmiotach administracyjnych i policyjnych, gdzie idzie o prostą egzekucyą, prezydent lub burmistrz sam decyduje, w innych zaś przedmiotach dotyczących dobra miasta lub jego funduszów, jako też rozkładu ciężarów publicznych, winien naradzać się z radnymi lub ławnikami (1). Prezydenta wreszcie lub burmistrza wykraczającego w swych obowiązkach, jako też i cały skład magistratu, komissya wojewódzka (rząd gubernialny) zawiesić jest mocna, na skutek czego nastąpić może oddanie urzędników tych pod sąd, w porządku prawem przepisanym (6).

Z tego widzimy, iż władza zarządzania miastami i ich interesami leży u nas w ręku prezydentów lub burmistrzów, którzy w niczém nie zależą od obywateli miejskich, są bowiem mianowani przez władzę wyższą rządową, od niéj otrzymują rozkazy, przed nią tylko są odpowiedzialni za swoje czynności. Żywioł miejski w tém tylko znajduje uwzględnienie, iż jest pewna liczba, najwięcéj 4 radnych lub ławników, z którymi burmistrz naradza się wtedy, gdy idzie o interesa ekonomiczne miasta. Że jednak urządzenie to nie ma istotnego znaczenia, że nie zapewnia obywatelom miasta wpływu na zarząd jego interesami, widzimy z tego, iż radni i ławnicy nie są przez obywateli miejskich wybierani, z osób mogących posiadać ich zaufanie, ale tak, jak inni urzędnicy państwowi przez rząd mianowani. Jedyną ich kwalifikacyą jest posiadanie nieruchomości w mieście, ale tę kwalifikacyą może posiadać każdy urzędnik państwowy. Dlatego też gdy o charakterze

(1) Art. 4 post. z 30 Maja 1818 r.
(2) Art. 5 tegoż post.
(3) Art. 6 tegoż post.
(4) Art. 64 post. z 3 Lutego 1816 r., art. 65 tegoż post.
(5) Art. 12 post. z 30 Maja 1818 r.
(6) Art. 14 tegoż post.

urzędu radnych i ławników rozstrzyga przeważnie sposób ich naznaczenia, i gdy nie są oni przez obywateli miasta wybierani, należy ich uważać za takichże urzędników państwowych, jak innych przez rząd mianowanych, témbardziéj, iż otrzymują oni płacę; członek zaś rady m. jako instytucyi miejscowego samorządu, płacy nie pobiera, pełniąc swe obowiązki, jako urząd honorowy, bezpłatnie.

Takie odsunięcie obywateli miasta od wszelkiego wpływu na zarząd interesami miejskiemi i powierzenie go urzędnikom zupełnie od miasta niezależnym, żadnym interesem z nim niezwiązanym, nie mogło pozostać bez szkodliwego wpływu na załatwianie ich w praktyce. Dlatego zdarzało się często, iż w urzędach miejskich zbierali się mieszczanie „w zamiarze naradzenia się, jak się wyraża odezwa komissyi spraw wewnętrznych do gubernatorów, czy to nad sposobem urządzenia lub użycia jakowego dochodu, wspólną własnością będącego, czyli też nad środkami podawania rządowi wniosków różnego rodzaju w szczególnych wypadkach; zgromadzenia jednak takie, wobec wyraźnych przepisów prawa oddających zarząd miasta magistratowi i uznających go za jedynego przedstawiciela miasta, były uznawane za nielegalne i jako takie wzbraniane (1).“

Sama jednak natura rzeczy, konieczność, doprowadzała do tego, iż różnemi czasy były czynione pewne próby prawodawcze, w celu zapewnienia miastom większego wpływu na zarząd ich interesami. Do prób takich zaliczyć należy: utrzymanie rad miejskich już w epoce Księztwa Warszawskiego, o czém poprzednio wspominaliśmy (2); postanowienie Statutu Organicznego z 1832 r., według którego, zarząd miasta miał być poruczony zwierzchności przez zgromadzenie miejskie obieranéj (art. 41); tudzież zaprowadzenie w ostatnich czasach, w niektórych miastach rad miejskich, na mocy Najwyższego ukazu z dnia 24 Maja (5 Czerwca) 1861 r. (3). Że instytucye miejskie w epoce Księztwa Warszawskiego nie zapewniały miastom we właściwéj mierze wpływu na zarząd własnemi sprawami, kwestyi zdaje się ulegać nie może. Pochodziło to ztąd, iż instytucye te były naśladowaniem urządzeń francuzkich,

---

(1) Odezwa komissyi rządowéj spraw wewnętrznych, duchownych i dobra publicznego do wszystkich gubernatorów z dnia 11 (23) Grudnia 1835 r.—Zbiór przepisów adm. Kr. Pols. T. I str. 231.

(2) Dekret z 10 Lutego 1809 r. urządzał rady miejskie w Warszawie, Toruniu, Poznaniu i Kaliszu (Dziennik praw Ks. Warsz. T. I, str. 187), zaś dekret z 23 Lutego 1809 r. w innych miastach i gminach wiejskich (Dzien. praw Ks. Warsz. T. I. str. 220)

(3) Zbiór przepisów adm. Kr. Pol. T. I str. 49.

które wówczas cieszyły się niezasłużoną popularnością nietylko u nas, ale i w całéj Europie, gdyż nosiły one na sobie, stosownie do zasad administracyi francuzkiéj, charakter przedewszystkiém doradczy, a nie stanowczy (1). Instytucye znów, o których wspominał Statut Organiczny, nie weszły w wykonanie. Co się zaś tycze instrukcyi utworzonych w 1861 r., nie ulega wątpliwości, iż ustępują one pod wielu względami urządzeniom nadanym miastom w Cesarstwie przez ustawę z 1870 r., że te ostatnie o wiele przewyższają pierwsze, i że w skutku tego daleko lepiéj interesom miast odpowiedzieć mogą. Ażeby wykazać, że zdanie to jest zupełnie bezstronne, że jest oparte na pewnych danych, pozwolimy sobie porównać w krótkości obiedwie ustawy, tak pod względem organizacyi władz przez nie ustanowionych, jako też i pod względem ich atrybucyi.

Rozpatrując ustawę z 1861 r., widzimy, iż zarząd miasta powierza ona tak jak ustawa z 1870 r. dwom głównym organom, to jest: magistratowi i radzie miejskiéj. Instytucye te miały być zaprowadzone w Warszawie, we wszystkich miastach 2-go rzędu i w niektórych 3-go, stosownie do uznania rady administracyjnéj (art. 1). Rada miejska podług téj ustawy składa się w Warszawie z 24 członków, wybranych przez zgromadzenie wyborcze miejskie, w miastach 2-go rzędu z 12, w miastach zaś 3-go rzędu tylko z 8 członków (art. 2). Sądzimy jednak, iż liczba członków rady miejskiéj w ten sposób oznaczona jest za mała i niedostateczna. Zdanie zaś powyższe opieramy na tém, iż w radzie miejskiéj powinno mieć miasto możliwość przedstawiania różnorodnych opinii, co nie będzie mogło nastąpić, jeżeli rada ta będzie się składała z niewielu tylko członków (2). W nielicznéj radzie jedna przeważna osobistość może łatwiéj stanowczy sobie wpływ zapewnić i kierować wszystkiém według swego uznania. Tak samo nieliczna rada daleko łatwiéj może być, iż się tak wyrażę, opanowana przez jakąś partyą, kote-

---

(1) Jedną z najważniejszych zasad administracyi francuzkiéj jest rozdzielenie funkcyi, iż się tak wyrazimy, działania od rozważania, doradzania, *action* od *déliberation* i powierzenie każdéj z tych funkcyi osobnemu organowi. Dla działania jest organ jednoosobowy, urzędnik, w którego ręku skoncentrowane jest wszelkie działanie, władza wykonawcza; dla rozważania organ kolegialny. Rozdział ten przeprowadzony jest z ścisłą systematycznością zacząwszy od ministrów, a skończywszy na merze najmniejszéj gminy, który obok siebie ma *conseil municipal* z charakterem doradczym.

(2) Tak np. we Francyi minimum członków rady miejskiéj jest 10, maximum 36. Z tego też powodu czyniono im pewne zarzuty. Tak np. kilku znawców tego przedmiotu wyraża się o tém, mówiąc w ten sposób: On verra que leur resultat était d'organiser dans toutes les localités des petites oligarchies de peu de membres et parfois

ryą, która w ten sposób może w swoim duchu stanowczy wpływ na zarząd interesami miejskiemi wywierać. Zresztą zauważyć należy, iż rada miejska dla należytego funkcyonowania, powinna mieścić w swojém gronie osobistości posiadające rozlicze techniczne, specyalne wiadomości, które z pożytkiem mogłyby być zużytkowane w rozmaitych komissyach, mających na celu bądź zarządzanie pewną gałęzią gospodarstwa miejskiego, bądź danie opinii o kwestyi technicznéj ogół miasta obchodzącéj. Potrzeby tego rodzaju w miastach ludniejszych są bardzo liczne i w skutku tego wymagają liczniejszego składu rady miejskiéj. W przeciwnym razie rada miejska albo celu swego nie dopełni, albo zbytecznie obarczy obowiązkami swoich członków. Przez to znów mogłyby wyniknąć zgubne dla samorządu miejscowego następstwa w ochłodzeniu gorliwości obywateli w pełnieniu przyjętych na siebie obowiązków. Daleko więc lepiéj, zdaniem naszém, kwestyą tę rozwiązuje ustawa z 1870 r., stanowiąc, iż rada miejska winna liczyć najmniéj 30 członków, i że liczba ta stosownie do ludności i wzrastających z tego powodu interesów, powiększa się o 6 na każde 150 wyborców do 72 członków, co stanowi *maximum*.

Toż samo można powiedzieć o terminie, na jaki członkowie rady miejskiéj są wybierani, i o sposobie, w jaki odnawianie się téj instytucyi ma miejsce. Pod tym względem ustawa z 1861 r. stanowi, iż członkowie rady miejskiéj wybierają się na lat sześć, i że w Warszawie odnawiać się mają corocznie przez nowe wybory w $^1/_6$ części, w innych zaś miastach w połowie co lat 3. Ustawa z 1870 r. przeciwnie termin trwania rady miejskiéj oznacza krótszy, mianowicie na lat 4, stanowiąc zarazem, iż po upływie tego przeciągu czasu, cała rada miejska winna się odnowić. Ostatnie rozporządzenia znajdujemy z tego powodu odpowiedniejszemi, iż w ciągu kilku lat mogą wyniknąć nowe potrzeby, mogą się zmienić względem pewnych kwestyi zapatrywania wyborców, należy im więc dać w krótszym czasie możność wybrania sobie nowych reprezentantów, którzy właśnie lepiéj mogą przedstawiać te nowe potrzeby, interesa i zapatrywania. Jeżeli znów członkowie rady miejskiéj okażą się nieudolnymi i zawiodą położone w nich zaufanie, korzystniejszą jest dla interesów miast prędsza ich zmia-

même des triumvirats: c'etait là une organisation defectueuse, car la première qualité d'une assemblée déliberante, c'est qu'elle soit en nombre suffisant pour que toutes les opinions puissent se produire, se discuter et s'éclairer. Leroy-Beaulieu: L'administration locale en France et en Angleterre, p. 95.

na, témbardziéj iż z drugiéj strony, zmiana ta nie może wywrzeć niekorzystnego wpływu na zarząd miejski, gdyż członkowie odpowiadający swemu stanowisku, swym obowiązkom, mogą być napowrót obrani. W ogóle mówiąc, w urzędach pochodzących z wyborów, koniecznóm jest, aby wybierani, po upływie pewnego czasu stawali przed wyborcami i zdawali sprawę ze swego działania— jeżeli jednak termin ten będzie oznaczony za długi, jeżeli wyborcy nie będą mieli sposobności odwołać wybieranych, to odpowiedzialność ta moralna zmniejsza się, mogąc się stać zupełnie zwodniczą i bezskuteczną. W każdym zaś razie zauważyć należy, iż w prawodawstwach usposobionych nieprzyjaźnie dla samorządu miejscowego, przejawia się kierunek oznaczania dłuższego terminu dla wszelkiéj reprezentacyi. Tak naprzykład we Francyi, członkowie rad miejskich wybierani byli poprzednio na lat 5, prawo jednak z 1867 r. przedłużyło ten termin do 7 lat, tak iż dopiero prawo z 1871 r. skróciło ten termin do 3 lat. Tak samo sądzilibyśmy, iż rada miejska winna odnawiać się w całości, gdyż tak jak każde ciało reprezentacyjne, winna ona przedstawiać opinie przeważające w danéj chwili w pewnéj miejscowości—czego jednak nie osiągniemy, jeżeli tylko w pewnéj części będzie mogła się odnowić. Prócz tego zaś wspomnieć należy, iż każde wybory wywołują pewną agitacyą, któréj żywość jest do pewnego stopnia dowodem, iż wybory brane są na seryo, że społeczeństwo przywiązuje do nich należną wagę, jest dowodem żywotności tego społeczeństwa—jeżeli jednak agitacya ta zbyt często będzie się powtarzała, może wyrodzić chorobliwe, że się tak wyrazimy, *politykowanie*, które do niczego nie prowadząc, wnosi tylko niepokój i niezgodę do życia publicznego pewnego społeczeństwa.

Co się tycze magistratu, ten według ustawy z 1861 r. miał się składać w Warszawie i w miastach 2-go rzędu z prezydenta i trzech radnych, zaś w miastach 3-go rzędu z prezydenta i dwóch radnych (art. 4). Nie spotykamy jednak tutaj komissyi lub urzędów, które może tworzyć rada miejska podług ustawy z 1871 r., i które zwłaszcza w większych miastach, mogą się okazać niezbędnemi dla dobra miejscowéj administracyi. Najważniejszą jednak, najgłówniejszą, zasadniczą różnicą między jedną a drugą ustawą, jest sposób mianowania członków magistratu. Podług ustawy z 1861 r. prezydenta w Warszawie miał mianować cesarz na przedstawienie rady administracyjnéj, we wszystkich zaś innych miastach komissya rządowa spraw wenętrznych (art. 5). Co się tycze radnych, to tych rady miejskie mogły wprawdzie przedstawiać, nominacya jednak w Warszawie należała do rady administracyjnéj, w miastach 2-go rzędu

do komissyi spraw wewnętrznych, zaś w miastach 3-go rzędu do właściwego rządu gubernialnego (art. 6). W ten sposób rady miejskie nie miały żadnego wpływu na mianowanie prezydenta, na radnych zaś przedstawiały tylko kandydatów. Prezydent więc był właściwie urzędnikiem rządowym, przez rząd mianowanym. Taki sam prawie charakter mieli także i radni.

Przeciwnie ustawa z 1870 r. szeroko stosuje do tworzenia magistratu zasadę wybieralności, oddając radzie miejskiéj bez żadnego ograniczenia prawo wybierania radnych i innych urzędników, nie ścieśniając jéj w wyborze nawet tém, aby osoby te należały do jéj składu, pozostawiając wolność wybierania nawet osób po za nią stojących, jeżeli one przez swoje przymioty zasłużyły na jéj zaufanie, za jedyny stanowiąc warunek, aby osoby te należały do zgromadzenia wyborczego. Tak samo burmistrza wybiera rada miejska z tém tylko ograniczeniem, iż urzędnik ten, jakkolwiek przez nią wybrany, winien być przez władzę wyższą zatwierdzony. Ograniczenie to jednak da się tém wytłómaczyć, iż burmistrz przedstawia miasto na zewnątrz w stosunku z władzami państwowemi, i dlatego winien posiadać pewne, że się tak wyrazimy, osobiste przymioty, których władza wyższa może od niego wymagać. Oczywistém jest jednak, iż burmistrz i radni winni być koniecznie przez radę miejską wybierani. Konieczność ta wypływa ztąd, iż są oni wykonawcami tylko tego, co rada miejska postanowi. Zasada więc ogólnéj wolności wyboru, będąca podstawą wszelkiego pełnomocnictwa, winna być i tutaj zastosowaną. Radzie miejskiéj jako pełnomocodawcy, winno być wolno wybrać na burmistrza i radnych, to jest swoich pełnomocników, te tylko osoby, w których pokłada zaufanie, które na to swoim charakterem, przymiotami, talentami zasłużyły. Jeżeli zasada ta nie będzie zastosowana, wtedy nie można myśleć o spokojném załatwianiu interesów miasta, niepodobna uniknąć zgubnych kollizyi między radą miejską i magistratem, burmistrz bowiem i radni czując się niezależnymi od rady, będą się uważali za wyższych nad nią, nie będą wykonywali jéj postanowień lub wykonywać je będą opacznie, stosownie do swych planów lub interesów. Jasną jest rzeczą, iż stan taki nie może pozostawać bez zgubnego wpływu na zarząd interesami miejskiemi. Gdy zaś ustawa z 1870 r. w szerszym daleko zakresie stosuje do urzędów miejskich zasadę wybieralności, przeto nie wahamy się oddać jéj pierwszeństwa pod tym względem, przed ustawą z 1861 roku.

Do tego samego rezultatu zdaniem naszém dojść winniśmy, rozważając atrybucye organów zarządu miejskiego. Nie będziemy

się tutaj wdawali w wyliczanie pojedyncze przedmiotów należących do atrybucyi tych instytucyi według jednéj i drugiéj ustawy, gdyż przez to rozszerzylibyśmy zbytecznie zakres naszéj pracy. Zastanowimy się tylko nad granicami, zakreślonemi przez prawo dla działalności tych organów, w celu przekonania się, o ile mogą one działać samodzielnie, a o ile postanowienia ich, uchwały, czynności będą ważnemi wtedy tylko, kiedy zyskają aprobatę, zatwierdzenie władzy wyższéj.

Zwróćmy się do ustawy z 1861 r. Widzimy, iż nakreśla ona dosyć ciasne granice dla samodzielnéj działalności magistratur miejskich. Tak według art. 20, uchwały rady miejskiéj potrzebują zatwierdzenia władzy wyższéj kiedy idzie: 1) o sprzedaż, zamianę, obciążenie, wieczyste lub dłuższe nad lat 12 wypuszczenie w dzierżawę nieruchomości miejskich i o zmianę ich przeznaczenia; 2) o zaciągnienie pożyczki i dochodzenie na drodze sądowéj praw miasta, a nawet obronę ich lub zakończenie sporu w drodze układów; 3) o przyjęcie darowizn i legatów na rzecz miasta lub należących do niego zakładów, uczynionych, kiedy te przewyższają 500 rub.; 4) względem wszelkich przedmiotów pociągających za sobą wydatek dla Warszawy 3,000 rub., dla miast 2-go rzędu 450 rub., dla miast 3-go rzędu 150, lub wydatek etatem nieprzewidziany. Że ograniczenia te zanadto ścieśniają samodzielność rady miejskiéj, że nawet po większéj części są zbyteczne, zdaje się kwestyi nie ulegać. Tak np. jaki cel może mieć wymaganie zatwierdzenia uchwały rady miejskiéj, kiedy przez nią postanowiono bronić praw miasta przeciw niesłusznéj napaści? Rada miejska nie występuje tu nawet czynnie, ale przez czyn osoby trzeciéj, któremu zapobiedz nie może, przez wszczęty przez nią proces, zmuszona jest także do przedsięwzięcia właściwych kroków sądowych w celu przyniesienia za sobą obrony. Sądzilibyśmy jednak, iż dochodzenie takich praw, rozpoczęcie procesu winno być pozostawione wyłącznie radzie miejskiéj, która najlepiéj może ocenić, czy w danym wypadku wystąpienie takie jest korzystném lub nie. Témbardziéj zaś bylibyśmy tego zdania, iż pozostawienie miastu wolności wytaczania procesów, nie grozi mu wielkiemi stratami. Jeżeli bowiem proces będzie wygrany, to miasto na tém skorzysta, w razie zaś przeciwnym poniesie tylko koszta procesu, które ostatecznie nie mogą być w stosunku do dochodów miejskich zanadto uciążliwemi. Przeciwnie podług ustawy z 1870 r., miasto ma pod tym względem pozostawioną zupełną swobodę działania, stosując się tylko do ogólnych zasad procedury cywilnéj. Używa nawet pewnego przywileju w tém, iż obronę praw swoich może powierzyć

nie adwokatowi, ale szczególnemu swojemu pełnomocnikowi (art. 116, 118). Co do przyjęcia darowizn, miasto, podług ustawy z 1870 roku w osobie rady miejskiéj, która o tém stanowi, jest zupełnie niepodległe (art. 55 punkt 7); co się zaś tycze nabycia na rzecz miasta, albo pozbycia się własności nieruchoméj, zaciągnienia pożyczek i zobowiązań obciążających miasto, ustanowione jest przedewszystkiém ograniczenie, iż postanowienie co do tego rady miejskiéj winno zapaść większością $^2/_3$ głosów, w obecności przynajmniéj $^1/_2$ członków (art. 67). Prócz tego podlegają zatwierdzeniu władzy wyższéj uchwały rady miejskiéj wtenczas, kiedy idzie o pozbycie lub oddanie w wyłączne użytkowanie gruntów miejskich zostających pod ulicami, trotuarami, mostkami, przeprawami i t. p. (art. 120, 121, 122). Ograniczenie jednak to wypływa z tego, iż podobne grunta znajdują się w używaniu nietylko mieszkańców miasta, ale w używaniu ogółu, że stanowią do pewnego stopnia własność nietylko miejską, ale publiczną, że przez to mogłyby być utrudnione środki komunikacyi obchodzące wszystkich. Pod względem znów zaciągania pożyczek, miasto jest ograniczone w ten sposób, iż postanowienie jego co do tego przedmiotu wymaga zatwierdzenia władzy wyższéj wtedy, kiedy idzie o obciążenie miasta w summie wyrównywającéj dwuletniemu jego dochodowi (art. 124). W skutku tego naprzykład Warszawa miałaby prawo ogólnego dysponowania do wysokości przeszło miliona rubli, gdyż dochód jéj przewyższa 500,000 rubli. Pod względem wreszcie czynienia wydatków z dochodów miejskich, miasto według ustawy z 1870 r., nie jest ograniczone summami 3,000, 450 i 150 rubli, co względnie do dochodów, może stanowić bardzo małą ich cząstkę; ale po zaspokojeniu wydatków uznanych za obowiązkowe, może rozporządzać niemi stosownie do swego uznania, bez żadnego ograniczenia (art. 139 i 140).

Jeżeli jednak atrybucye rady miejskiéj są podług ustawy z 1861 r. w ciaśniejszych zawarte granicach aniżeli w ustawie 1870 roku, to naodwrót prawa prezydenta, są obszerniejsze w stosunku do rady miejskiéj w pierwszém prawodawstwie, aniżeli w prawie z 1870 r., z uszczerbkiem samorządu miejscowego. Tak np. podług ustawy z 1861 r. prezydent sam miał prawo zawieszania uchwał rady miejskiéj (art. 20), a nawet, pomimo zdania większości rady, mógł odmówić zamieszczenia na porządku dziennym przedmiotów przechodzących w jego mniemaniu granice atrybucyi rady (art. 16), przez co miał pozostawione obszerne pole dla okazywania swéj samowoli. Przeciwnie podług ustawy z 1870 r., nie prezydent sam, ale cały magistrat, kiedy uważać będzie postanowienie rady za

przeciwne prawu, lub za niemogące być wykonaném z powodu nieprzewidzianych trudności, winien nie wykonywając go, uczynić o tém stosowne przedstawienie do rady miejskiéj, i dopiero kiedy przedstawienie to pozostanie bez skutku, przedstawić spór pod rozpoznanie władzy wyższéj (art. 79, 80). Co się zaś tycze drugiego z powyżéj przytoczonych punktów, to prezydent nie może przeszkodzić wzięciu pod obrady przez radę miejską projektu przedstawionego przez jednego z jéj członków, gdyż jak widzieliśmy, projekta takie mogą być czynione na samém posiedzeniu rady bez poprzedniego zawiadomienia o tém prezydenta (art. 60). Jedyne ograniczenie co do tego członków rady polega na tém, iż rada nie może na tém samém posiedzeniu decydować względem uczynionego wniosku—jeżeliby zaś okazało się, iż stanowiła względem przedmiotów nienależących do jéj atrybucyi, uchwała taka może być uznana za nielegalnie zapadłą i unieważniona w sposób przez prawo wskazany.

W każdym razie zauważyć należy, iż rada miejska według ustawy z 1861 r. miała w ogóle stanowisko chwiejne, że się tak wyrazimy prekaryjne, że nie była dostatecznie w swojém istnieniu i samodzielności zabezpieczoną od wpływu władz administracyjnych. O tém przekonać się możemy z przepisu art. 17, według którego rada administracyjna mogła, jeżeli to uznała za stosowne, rozwiązać radę miejską, mianować z osób należących do zgromadzenia wyborczego miejskiego czasową radę do sprawowania zarządu gospodarczego miasta, i nakazać nowe wybory, w ciągu sześciu miesięcy odbyć się mające. Żadnego podobnego przepisu nie spotykamy w ustawie z 1870 r., podług któréj, jeżeli uchwała rady miejskiéj jest przeciwną prawu, może być w sposób legalny zaskarżoną i unieważnioną (art. 149, 150); jeżeli znów członkowie jéj dopuścili się przestępstwa w pełnieniu swych obowiązków, mogą być w sposób przez ustawę wskazany oddani pod sąd, który o ich winie ma postanowić (art. 156); żadna jednak władza administracyjna samowolnie nie może oddalać ich od obowiązków.

Jeżelibyśmy zwrócili uwagę na sposób odbywania posiedzeń rady miejskiéj, to i pod tym względem zdaniem naszém winnibyśmy dojść do przekonania o niedostateczności przepisów ustawy z 1861 roku. Podług niéj, posiedzenia rady miejskiéj miały się odbywać przy drzwiach zamkniętych, tak iż jedno tylko posiedzenie na rok mogło mieć miejsce publicznie, za zezwoleniem namiestnika. Na tém posiedzeniu magistrat winien był zdawać sprawę z zarządu miasta, sprawozdanie zaś jego mogło być drukiem ogłoszone (art. 13). Na zwykłych znów posiedzeniach miały być utrzymywane

protokóła, protokóła te jednak nie miały być publikowane (art. 15) Z tego jednak widzimy, iż czynności rady miejskiéj nie odznaczały się zbyteczną publicznością, że o tém co się działo, co było debatowane i postanowione na posiedzeniach rady, ogół obywateli mógł się dowiedzieć z niepewnego tylko źródła, to jest z posłuchów. Ze sprawozdania znów odczytanego na publiczném posiedzeniu, można było dowiedzieć się o tém, co magistrat zrobił, co się już stało, ale nie można było powziąć wiadomości o jego planach i projektach na przyszłość. Nie ulega wszakże wątpliwości, że takie tylko zawiadamianie ogółu obywateli o czynnościach władz miejskich, nie wystarcza zupełnie potrzebie, że niezbędnym warunkiem dobrego zarządzania interesami miasta, jest zapewnienie pod tym względem większego udziału publiczności. Nie uważalibyśmy wprawdzie za prowadzące do tego celu i odpowiednie, zaprowadzenie publicznych posiedzeń rady miejskiéj. W tym wypadku, zwłaszcza w naszym kraju, odwykłym od życia publicznego, obawialibyśmy się, aby posiedzenia rady miejskiéj nie stały się teatrem próżnéj wymowy, sposobem do zyskania sobie za pomocą czczych deklamacyi popularności, aby poważne obrady nie wyrodziły się, że się tak wyrazimy, w sejmikowanie, co bezwątpienia wywarłoby niekorzystny wpływ na sam zarząd interesami miejskiemi, stanowiący właśnie główny cel tych instytucyi. Sądzimy wszakże, iż projekta do zmian, urządzeń, ulepszeń w administracyi miasta, z korzyścią mogłyby być ogłaszane, dlatego aby mieszkańcy naprzód mogli o nich powziąć wiadomość i wyrazić swoję co do nich opinią. Publikacya taka dla samych władz miejskich mogłaby być korzystną, gdyż dałaby możność wyjaśnienia niejednéj kwestyi, wyjawienia zdań przez specyalistów, techników i t. d. Tak samo koniecznem jest ogłaszanie protokółów posiedzeń rady miejskiéj, przez to tylko bowiem wyborcy, ogół obywateli, mogą się przekonać o sposobie postępowania w radzie tych, których obdarowali swojém zaufaniem, o tém, czy zaufaniu temu odpowiedzieli, i czy zasłużyli sobie na ponowny wybór.

Wymaganiom tym czyni zadosyć ustawa z 1870 roku, według któréj nawet te wnioski, które mają być dopiero rozbierane na posiedzeniu rady, mogą być przez burmistrza przedtém jeszcze ogłoszone drukiem (art. 59). Co się zaś tycze uchwał rady miejskiéj, te oprócz obowiązkowéj publikacyi w dzienniku gubernialnym, mogą być jeszcze ogłaszane w sposób przez radę miejską postanowiony (art. 68).

Chcąc się utrzymać na stanowisku bezstronności, nie możemy pominąć jednego przepisu ustawy z 1861 r., który o ile się nam

zdaje, lepiéj odpowiada wymaganiom praktycznym, aniżeli odpowiednie rozporządzenia ustawy z 1870 r. Mamy tu na myśli peryodyczność posiedzeń rady miejskiéj. Podług pierwszéj z tych ustaw, prezydent razem z członkami rady winien był oznaczać dni, w których miały się odbywać peryodyczne posiedzenia — prócz tego zaś w rązie uznanéj przez siebie potrzeby, albo na skutek żądania $^1/_3$ członków rady, mogło mieć miejsce posiedzenie nadzwyczajne (art. 10). Przeciwnie podług drugiéj ustawy, peryodycznych posiedzeń wcale nie ma, z wyjątkiem dwóch na rok, dla ustanowienia budżetu miejskiego i wysłuchania sprawozdań z czynności magistratu. Zresztą posiedzenia zwołują się albo kiedy burmistrz uzna to za stosowne, albo na żądanie gubernatora, albo na żądanie przynajmniéj $^1/_5$ członków rady miejskiéj (art. 56).

Nie wiemy, o ile przepis ten okazał się odpowiednim w praktyce w Cesarstwie; sądzimy także, iż burmistrz, urzędnik wybrany przez radę miejską i przed nią głównie odpowiedzialny, nie będzie nadużywał swoich praw, ażeby obchodził się bez zwoływania jéj na posiedzenia, i przez to zmuszał ową $^1/_5$ członków do wniesienia takiego żądania. W każdym wszakże razie uważalibyśmy za stosowniejsze, ustanowienie posiedzeń peryodycznych. Zdarzyć się bowiem może, iż burmistrz bądź powodowany osobistą ambicyą bądź innemi pobudkami, będzie zwoływał radę miejską na posiedzenia, tylko zmuszony koniecznością; w innych zaś razach będzie się bez niéj obywał.

Nie ulega wątpliwości, iż stan taki może wywrzeć niekorzystny wpływ na zarząd interesami miasta; nie ulega także wątpliwości, iż wypadki takie mogą się zdarzać, gdyż wypływają one ze słabości natury ludzkiéj, którym i wybrany burmistrz może podlegać. W razie znów takiego wypadku, radzie miejskiéj pozostaje tylko uciec się do legalnego środka i zażądać w imieniu $^1/_5$ swoich członków, zwołania. Oczywistém jest jednak, iż tak przeciwne tendencye mogą doprowadzić do starcia, kollizy[1] między radą miejską i burmistrzem, co nie jest rzeczą pożądaną w interesie samego miasta. Wszelkie jednak grożące z tego powodu niedogodności i niebezpieczeństwa, byłyby zdaniem naszém zupełnie usunięte, gdyby rada miejska miała prawo oznaczać peryodyczne posiedzenia, na których załatwiane byłyby wszelkie sprawy bieżące, nadzwyczajne zaś posiedzenia w szczególnych wypadkach mogłyby być prócz tego zwoływane na żądanie pewnéj części członków rady miejskiéj.

Bez względu na przewagę w tym punkcie ustawy z 1861 roku dotychczasowego przedstawienia i porównania powinniśmy dojść,

do rezultatu, iż ustawa z 1870 r. jest lepsza i bardziéj potrzebom miast odpowiadająca. Według naszego rozumienia przynajmniéj, jest to pewnikiem nieulegającym wątpliwości. Dlatego też niewdając się ani w dalsze porównanie obudwóch ustaw, ani w wykazywanie szczegółowe korzyści, jakie dla miast w szczególności i dla społeczeństwa w ogóle mają z ustawy 1870 roku wyniknąć, gdyż te, sądzimy, iż każdy z czytelników oceni, zakończymy naszę, może być za obszerną pracę, wyrażeniem jednego życzenia i jednéj nadziei. Życzeniem jest: aby ustawa z 1870 r. najprędzéj do kraju naszego bez zmian została zastosowaną; nadzieją zaś jest to, iż ludność miast naszych, przez właściwe zrozumienie ustawy z r. 1870, przez poważne na nią zapatrywanie się i poczucie włożonych przez nią obowiązków, przez sumienne jéj wykonywanie, zdoła osiągnąć te korzyści, jakich z ustawy téj społeczeństwo ma prawo oczekiwać.

O PAWLE EDMUNDZIE STRZELECKIM

WEDŁUG RODZINNYCH I TOWARZYSKICH WSPOMNIEŃ

przez

NARCYZĘ ŻMICHOWSKĄ.

„De mortuis aut veritas, aut nihil.“

II.

Każda rodzina ma w swojém łonie jakiegoś „ducha niespokojnego,“ który ją przez lata całe pod grozą hańby lub nieszczęścia trzyma; tyle razy przynajmniéj i w tak wielu już rodzinach spotykaliśmy się z tą plagą, że dla pośpiechu wyjątki pomijamy i spostrzeżeniem naszém ogół obejmujemy. Cóż ogółowi na zażegnanie wspólnych niebezpieczeństw poradzić? Gdyby to można znać i rozumieć naturę owych tajemniczych bolidów, znalazłoby się jakiś środek ratunku; lecz w tém biada właśnie, że więcéj nierównie wiemy o składzie z nieba spadłych lub jeszcze po niebie krążących meteorów, niż o którymkolwiek z owych wcielonych kłopotów domowego ogniska. Zkąd się to wzięło? pytają trwożnie zdumieni rodzice, bracia i siostry, stryjowie i ciotki. W kogo się to wdało? Syn takich poczciwych i spokojnych ludzi! Córka tak starannie wśród samych dobrych przykładów wychowana!... Co tu począć z nimi? a jeśli nic się nie pocznie, to co z nich będzie? Tak — najgłówniejsze zapytanie właśnie, co z nich będzie? Tego nikt a nikt przewidzieć nie może, temu żadna a żadna próba pedagogiczna nie zapobieży. Bywają z nich rozbitki, bywają grzyby zjadliwe wydzielające miazmata, bywają różne gatunki pasożytów roślinnych lub zwierzęcych, czasem bywają chmury i pioruny, ale też czasem dyamenty. Nie wolno wprawdzie spuszczać się na tę ostatnią wygraną Między duchami niespokojnymi, za-

wsze więcéj Kartuszów niż Kortezów; „utrapienie domowe“ stokroć częściéj w szpitalu na delirium tremens kończy, niż śladem Hastingsów wielkorządztwo Indyi obejmuje, jednak zdaje nam się, że wartoby mu tę furtkę losu uchylić. Dla córek nie mamy jeszcze wyraźnie sformułowanéj kuracyi. W każdym razie zjawisko bywa rzadsze, bardzo rzadkie; ale dla synów to już nieraz przychodziły nam pomysły, które w obecnéj chwili przełomu biografii Strzeleckiego żywiéj niż kiedykolwiek nam się uprzytomniają. Czy chcecie wiedzieć co z synami zrobić? Łagodność ich uzuchwala; surowość rozwściekla; źli towarzysze podniecają, dobrzy śmieszą ich lub psują się od nich: nie ma innéj rady, tylko do Anglii z nimi! do Ameryki! do Nowéj Hollandyi! Tam jedynie będą się mogli rozwinąć w konsekwencyi ze swoją niewiadomą, niezbadaną, niepojętą saméj sobie naturą. Jeśli nic nie ma w nich do odratowania szybcéj wyczerpią się i znikną — jeśli jest choć atom jeden szlachetny i niezarażony, łatwiéj na wierzch się wydostanie, zsilnieje i nad złemi pierwiastkami zapanuje. Złe ma wielkie uroki swoje, nęci, olśniewa. Trudno temu zaprzeczyć; złe niezłych nawet ciągnie ku sobie, lecz nie zdajemy sobie dość jasno sprawy z tego, że i dobre ma wielką władzę pokusy. Niepodobna wyspekulować takich warunków położenia, w którychby człowiek nie miał sposobności, gdy zechce złe broić; wszystko na tém zależy, by mu dostarczyć warunków, w których gdy *zechce*, natychmiast będzie miał sposobność dobre spełniać i tworzyć. Wolności! wolności czynienia dobrze dostarczcie dzieciom waszym — to jedyna deska zbawienna przeciw łatwości czynienia źle. Społeczeństwa starego lądu ciężko pracować musiały nad ugięciem rozkiełznanych sił barbarzyństwa, sił dzikości nawet; jak wstąpiły na drogę obwarowywania grubemi szańcami występku, tak i cnotę do twierdzy wsadziły. Za morzami, za oceanami, na stepach, w puszczach i górach może ona dopiero szeroko skrzydła rozwinąć, wysoko aż ku szczęściu wzlecieć i zasłużonym blaskiem wzrok wahających się oczarować. Więc za morza, za oceany, w puszcze, w góry duchy niespokojne!

Strzelecki zaczął od tego, że pojechał do Anglii, naturalizował się jako poddany angielski i podobno wstąpił do uniwersytetu oxfordzkiego (1).

Coby to za dobrodziejstwo było dziś dla nas, gdybyśmy przez

---

(1) List jego własnoręczny z 1873 roku 15 Maja zawiera te słowa: Quant à ma nationalité, je suis sujet anglais depuis 45 ans.“

szczelinę chociaż jednego drobnego szczegółu, jednego słówka, jednéj wzmianki ubocznéj, spojrzeć mogli w te lata chemicznego procesu, gdy się podejrzanego charakteru plenipotent książęcy na dżentelmana angielskiego, na geografa, eksploratora i odkrywcę przekształcał. Czy mu kością w gardle stanęły gorzkie owoce niesumiennéj lekkomyślności? czy chciał tylko z początku oczy ludzkie tumanić, a potém zwolna sam się w służbę prawdy zaciągnął? Czy smutne przejścia, zdrady zauszników, potępiające głosy uczciwych ludzi napędziły mu lepszych myśli do głowy i poważniejszą stronę życia przed oczy mu stawiły? Nigdy się tego nie dowiemy. Pisał on wprawdzie pamiętniki swoje według najlepszéj metody: dzień po dniu, wrażenie po wrażeniu, na gorąco, jak było w chwili bieżącéj—ale pamiętniki spalono! historya ich, do historyi testamentowéj już należy. Wiemy jedynie, że istniały; że mogły najciekawsze i najpożyteczniejsze—ma się rozumieć nam, nie Anglikom—przekazać wskazówki, — lecz to wszystko stracone. Z najważniejszego regestru została gdzieniegdzie ogólna summa wyraźnie odkreślona; cyfry jéj składnikowe na zawsze tajemnicą będą. Sam pobyt w Oxfordzie naprzyklad; piszą do nas, że tam trzy lata spędził, zdał egzamin i stopień doktorski otrzymał. Wszelkie okoliczności odpowiednio się z tém składają. Przy największych zdolnościach młody człowiek, który szkół nie skończył, a choć mógł wiele czytać w czasie swego wezyratu na Litwie i Białorusi, to pewnie o naukach przyrodniczych nadzwyczaj mało czytał: przy największych tedy zdolnościach nie potrafiłby tak odrazu siłą intuicyi, natchnienia i zapału w geologa się przedzierzgnąć. Intuicya, natchnienie, zapał, niezawsze i w lingwistyce poważniejsze studya zastąpią. Wyborne i konieczne do praw etyki, na nic się choćby przy gramatyce nie zdadzą. Mickiewicz bez zaprzeczenia znał „wielkie prawdy nieznane dla tłumu," jednak się w etymologii assyryjskiéj pomylił trochę. Cóż tu dopiero o matematyce, o chemii, o fizyce wspominać! Strzelecki jednak opanował te wszystkie wiedzy ludzkiéj podwaliny i stropy; musiał jakiś czas życia wyłącznie na to odłożyć i musiał się uczyć. Według udzielonych nam wiadomości, miał przez czas jakiś na oxfordzki czy też na edymburski uniwersytet uczęszczać. Mieliśmy onego czasu sposobność jeśli nie bezpośrednią, to bardzo blizko pośredniczącą drogą, zapytać go o dokładniejsze w tym względzie szczegóły. Nie wyzyskaliśmy owéj sposobności... dla téj saméj przyczyny, dla któréj i ty szanowny czytelniku i ty szanowna czytelniczko nie wyzyskaliście téj, co wam się zdarzyła: wtedy... no, już sobie przypomnieliście łatwo. Wspólny to nam stary obyczaj.

Udało nam się wszelako zdobyć jeden pewnik przynajmniéj na własném świadectwie Strzeleckiego oparty: wkrótce po swojém do Anglii przybyciu wybrał się na zwiedzenie północnéj Szkocyi, a wybrał daleko więcéj, jak się zdaje, w charakterze obeznanego ze swym przedmiotem agronoma, niż rozkoszującego się pięknością krajobrazów turysty. Mógł zaiste być jednym i drugim, lecz nie mamy dowodu, aby się zachwycał skałami, po których bohaterowie Walter-Scotta jelenie ścigali, aby we mgły tumanach, przy blasku księżycowym o Fingalu i smętnéj Malwinie rozmyślał. A przeciwnie mamy dowód, że mu się bardzo podobało jedno owczarniane gospodarstwo (sheep-farm) i zaraz na miejscu ważne, treściwe, znać bystrém okiem zebrane spostrzeżenia do swéj książeczki notatkowéj zapisał.

O tym szczególe dowiedzieliśmy się z VIII części „Opisu Nowéj Południowéj Walii,“ gdyż sławny eksplorator zastanawiając się nad uprawą, rodzajem i sposobem wyzyskania rozległych obszarów jéj gruntu, względem pastwisk, hodowli owiec i możliwych ulepszeń rady swoje podaje. Przypuszczamy w téj chwili, że jeśli który z panów gospodarzy czytać będzie niniejszy życiorys, to właśnie owe rady zaciekawią go trochę; całego ustępu jednak niepodobna tłómaczyć dla braku miejsca; a dla braku kompetentnego sądu, jeszcze niepodobniéj wybrać główniejsze punkta dość trafnie, by dały jasne i wierne o rzeczy pojęcie: najogólniéj więc tylko wspomnimy, że Strzelecki zaleca osadnikom jakość wyżéj od ilości cenić; niech o pół mniejsze będą ich stada, ale o dwa razy zwiększona każdéj sztuki, co do mięsa i wełny, wydajność. Wskazuje odpowiednie ku temu środki, i przy sposobności chwali bardzo urządzenie owczarni pana Patryka Sellara z hrabstwa Shutherland: „Runa jego owiec od 4 do 5 funtów, a ćwiartki jego baraniny w gorszym gatunku od 12 do 17, w lepszym od 18 do 26 funtów ważyły!“ Strzelecki wielkim wykrzyknikiem zakończa to sprawozdanie; dla nas biograficzną wartość mają tylko wstępne jego słowa 1845 roku drukowane:

„Piętnaście lat temu (a zatem 1831 r.) kiedy piszący zwiedzał północną Szkocyą, zwiedził także Tongue i owczarniane gospodarstwo (sheep-farm) Strathnaver, wzdłuż Loch-Naver i rzeki tegoż imienia leżące. „Co się tycze urządzenia samejże fermy, książeczka notatkowa podaje mu następujące fakta:

„Wzgórzysta okolica Strathnaveru żywo rozbudza o Szlązku wspomnienia........ (kropki są autentyczne i alinea wiernie zachowana).

„Pastwiska dla owiec przeznaczone, również jak w okolicach

Leszna lub Wartenberga, podzielone na rań letnią i zimową.“ (Opuszczamy dalsze specyalnéj treści szczegóły, nie opuścimy jednak wyrazów, które o kilkanaście wierszy niżéj stoją). „Główny tu nacisk kładą na dobór tryków i sortowanie jagniąt; staranniéj się to odbywa niż na Szlązku, lub u nas w Księztwie Poznańskiém.“

Jak naturalnie z pod pióra mu się wysunęło owo: u nas! Gdy po latach piętnastu notatkę przepisywał jeszcze dla niego „u nas“ znaczyło wielkopolskie kraje!

A nam teraz sama notatka, co znaczy? Do pewnego stopnia znaczy: akt uniewinniający księcia Franciszka. Jakimkolwiek mógł być pan plenipotent, to pewna przynajmniéj, że pan rządca był wybornym agronomem—już przed rokiem 1830. Z drugiéj strony czy książę Eustachy miał słuszność, czy nie miał słuszności w zarzutach plenipotentowi czynionych, to także jest pewném, że téj sprawy przed sądy cudzoziemskiéj opinii nie wywlekał i ziomka swego w pokoju zostawił. Rzecz zdaje się niezdumiewająca; po prostu godziwa tylko. Nie przeczymy, że godziwa tylko, ale niemniéj zdumiewająca. Według statystycznych obliczeń naszego doświadczenia, sto razy łatwiéj coś bardzo dobrego pomimo wielu trudności dokonać, niż czegoś złego ludziom, gdy siła i okoliczności po temu, nie zrobić.

Książę Eustachy właśnie siłę i okoliczności miał za sobą; cała arystokracya, najznakomitsze potęgi finansowe Wielkiéj Brytanii, jak solidarnie się między sobą trzymają, tak solidarnie byłyby księcia Eustachego poparły. Z pierwszą na równi go stawiało prawo urodzenia, z drugiemi przez małżeństwo swoje bliższe zawarł stosunki; i tu i tam zrzeczenie się majątku po zmarłéj żonie, głęboki szacunek, prawie rzecby można ogólną popularność mu zjednało: słowo, pół słowa księcia Eustachego, a zamknęłyby się przed Strzeleckim złociste podwoje magnatów, nawet gościnne dwory prowincyonalnéj „gentry:“ tego półsłowa książę Eustachy nigdy nie wymówił. Nieraz bezwątpienia doszła go wzmianka o dawnym ulubieńcu ojcowskim; coraz podobniejszą ewentualnością stawało się spotkanie go w domu u którego ze wspólnych znajomych—mogło się zdarzyć, iż przy tymże samym stole, z téjże saméj butelki portweinu do szklanek naleją im kiedy—nie zdarzyło się ani razu, lecz zdarzyć mogło; rachunek prawdopodobieństwa ciągle groził summą téj nieprzyjemności, a przecież książę milczenia dochował.

Jakim sposobem Strzelecki już w pierwszych latach swego pobytu, znalazł drogę do arystokratycznych kółek najarystokratyczniejszego w Europie społeczeństwa? to chyba jego szczęściu

do ludzi przypisać musimy. Rozstąpiono mu się dlatego właśnie, że był tak zupełnie innym od drugich; potém zatrzymano go dlatego, że był tak zupełnie do drugich podobnym, ale to podobnym z ruchu, z postawy, z wyrazu twarzy, z zasad i sposobu życia, a nawet podobnym do najlepszych—z zasługi. Pierwszy byle jaki domorosły parweniusz, między Wartą a „szumnym“ Dniestrem anglomanią cierpiący, niezawodnie poprzestałby na życzliwéj protekcyi jakiej lady, a przyjaźń prawdziwego lorda zenitem szczęściaby mu się wydała. Strzelecki głębiéj jeszcze angielszczyzną się przejął; istnie po angielsku zrozumiał on to, że najżyczliwsza protekcya nie wzniesie tak wysoko i tak bezpiecznie, jak udowodnienie osobistéj wartości, a niczyja przyjaźń nie zastąpi prawa. Za przykładem ambitnych czystéj krwi Anglików, wziął się do nauki, do pracy, założył sobie cel wzniosły, a dla Anglii użyteczny, wśród trudów, z narażeniem życia go osiągnął, i został takim dżentelmanem, że niktby się w nim cudzoziemca nie domyślił, zatrzymał tylko polskie nazwisko i galicyjski tytuł hrabiego. „Co do tytułu, pisze w ostatnim liście swoim z 23 Sierpnia 1873 roku, tak się rzeczy miały: Podczas méj nieobecności w Europie, starszy mój brat dziś już nieżyjący, odnalazł w papierach naszych rodzinnych, że należymy do galicyjskiego szczepu tamtejszych hrabiów Strzeleckich i że słuszném prawem podobnyż tytuł nam się nosić godzi. Dzienniki z Poznańskiego, w którém zamieszkiwał, i berlińskie także, wzmiankując o postępie mych odkryć i podróży, podniosły to twierdzenie, a gdy angielskie je powtórzyły —ten pierwszy głos z Poznania echem po echu się odbijając, doszedł Anglii, jéj osad i mnie samego jako fakt spełniony. Za powrotem moim 1844 roku ogłoszenie czynionych w Australii poszukiwań, zbyt mię zajęło i czasu mi nie starczylo, by koniec położyć tym, które na polu genealogiczném przedsięwzięto. Spostrzegłszy późniéj, że starania mego brata, pierwéj nim formę legalną uzyskaćby mogły, wymagają umyślnych agentów w Poznaniu, we Lwowie, w Wiedniu i w Berlinie, że łożonym kosztom, praktyczna wartość spodziewanych korzyści nigdy nie odpowie, bez wahania opuściłem ten interes, témbardziéj, że prawo angielskie i nie zna i nie uznaje obcych tytułów, poddanym swoim nadawanych. To też kiedy w roku 1845 wydałem swoję książkę o Australii, nazwisko tylko moje krótko i bez dodatków na niéj położyłem. Z grzeczności jedynie, w roku następnym, lord Colchester, prezes Towarzystwa (geograficznego) przyozdobił je tytułem hrabiego.“

Pan Piotr, pani Izabella, zawsze jednak utrzymywali, że

pierwsze „poszukiwania genealogiczne“ w skutku wyraźnych życzeń Pawła przedsięwzięto.

Jeśli rzeczywiście Paweł zgłaszał się kiedy o coś podobnego, to już chyba po roku 1839 nastąpić musiało. Przez długie lata poprzednie, rodzina nic prawie o nim nie wiedziała. Czasem bardzo groźne, czasem bardzo świetne dolatywały o nim wieści; za czystą prawdą nikt zbyt pilnie nie gonił. To jego zwyczaj, mówiono sobie na uspokojenie sumienia, on tak ciągle raz poraz znika, i znów się niespodziewanie wynurza. Miano słuszność. Paweł znów się niespodziewanie wynurzył, a do tego, wynurzył ze Stanów Zjednoczonych!—Wracało ztamtąd kilku tułaczy naszych, rozpowiadali wesoło o swoich biedach i kłopotach — wszyscy młodzi jeszcze byli — żartowali opowiadając, lecz tam w Ameryce nie o żarty chodziło. Tam okropna tęsknota po starym lądzie trapiła, a powrót bez pieniędzy niemożliwy, a pieniądze niemożliwe bez zarobku, a zarobek trudny bez stosunków i znajomości języka, co gorzéj, zarobek zmudny dla dotkniętych nostalgią. Los szczęśliwy zdarzył, że spotkali jakiegoś Polaka, Strzeleckiego, on ich wziął w opiekę, miał też jakieś z bankierami stosunki, niektórym znalazł umieszczenie; dla wszystkich takim serdecznym, przyjacielskim, uczynnym się okazał! Im samym pomógł wrócić do Europy! „Jakże wygląda ów Strzelecki? zkąd rodem? pyta jeden ze słuchaczy. Zkąd rodem? nie wiedzą, nigdy się o tém nie zgadało, o różnych stronach kraju wspominał i każdą znał równie dokładnie. A jak dokładnie! Rzadko się widzi tak ze wszech miar pociągającego człowieka: wzrost, postawa na piedestał, oczy szafirowe wprost do serca schować, prześliczny mężczyzna!—To niezawodnie Pawełek! woła wtedy pytający, rodzony siostrzeniec Kiedrzyńskiego, ten sam właśnie, co lepiéj znał od innych historyą warszawskiéj ucieczki. Istotnie spotkany przez wychodźców sympatyczny przyjaciel, był Pawłem Strzeleckim. Siostrzeniec Kiedrzyńskiego, przy zdarzonéj sposobności ustną wiadomość o nim z Francyi w Poznańskie wyprawił, Może tam inną drogą inna jaka doszła, a spotkawszy się w przelocie, obie od wzajemnego uderzenia zmętniały; to pewna, iż gdyśmy niezadługo na miejsce spotkania przybyli, już ze wszystkiego razem ułożyła się wyborna keepsakowa powiastka. Co najdziwniejsze to to, iż w głównéj jéj części u księcia Eustachego trochę się zapożyczono. Według powiastki, Strzelecki pracował w banku jakiegoś Amerykanina, ożenił się z córką jego jedynaczką; dostał milion dolarów posagu; stracił wcześnie żonę, która mu wszystko zapisała, a teraz w nieutulonym żalu pogrążony, nigdzie sobie rady dać nie może i na jakąś Ahasweru-

sową wędrówkę się wybiera. Dziś już wiadomą jest rzeczą, że Strzelecki nigdy nie był żonatym, po żadnéj bankierównie nie dziedziczył, a więc swoje miliony winien był—w każdym razie nie żonie; wędrówki też nie rozpoczynał, bo już ją dawno rozpoczął, a szczególniéj w żadnym smutku nie był pogrążony, bo właśnie najpiękniejsze chwile jego życia snuły się nitką wybawczą z niejasnéj przeszłości, ku blaskom wszelkiego rodzaju trwałym i znikomym, akademickim i dworskim. Strzelecki podróżował. Jak się ludzie rodzą z krwistym lub żółciowym temperamentem, tak niezawodnie Strzelecki z temperamentem podróżniczym się urodził. I nietylko z temperamentem, ale śmiało można powiedzieć z instynktem. Miał on wszystkie zalety dla podróżników niezbędne: miał silne zdrowie, nieustraszoną odwagę, wielką przytomność umysłu w przygodach, zręczność gimnastyczną obok siły muskularnéj, hartowność, zdolną w potrzebie ze spartańską obojętnością głód, upał i zimno znosić; a prócz tego miał jeszcze prawdziwy, co się zowie jaskółczy pociąg do wylotu; jak Beduin, jak Kirgiz potrzebował zmiany miejsca, ruchu i przestrzeni. Musiało to być jakieś dziedziczne, rodzinne usposobienie. Kilku osobom z jego bliższego pokrewieństwa było ono także właściwe; nie mogło na tak szeroką skalę działania swego rozwinąć, nie spotkało równie przyjaznych okoliczności, lecz niemniéj przeto zaświadczyło się czynami, które bodaj czy nie większych wymagały ofiar. Jego siostra do najpóźniejszego wieku zachowała taką łatwą do przejechania się o mil kilkadziesiąt gotowość, jaką się dziś rzadko u daleko od niéj młodszych spotyka. Widzieliśmy ją po raz ostatni w Warszawie, nie mogliśmy się nazazdrościć świeżości jéj wrażeń i niestrudzonéj energii; wszystkiego była ciekawa: teatra, wystawy, cyrki, wszystko ją zajmowało, i po wszystko chodziła... piechotą — a pewnie już jéj wtedy ósmy krzyżyk się kończył. Z pośród jéj wnuków, jeden chłopiec ze szkół, listem tylko pożegnawszy rodziców, w świat ruszył i przepadł bez wieści—jedna znów młoda osoba przy szczupłych z własnéj pracy funduszach, całą Europę lub przynajmniéj Europę od Bałtyku nad Tyrreńskie morze zwiedziła. Jakiś brat jéj cioteczny, młodziutki marynarz, rozbił się na okręcie do Strzeleckiego właśnie należącym i utonął. Wszyscy mniéj więcéj z tego szczepu pochodzący, objawiają pewną skłonność do wychodźtwa, przesiedlania się w dalekie okolice; nic ich to nie kosztuje urodzić się nad Notecią, a zamieszkać nad Renem lub Dźwiną, nad Wieprzem lub Szeszupą. Czyżby w nich dotychczas duch pierwszego pana Piotra, ciągle jakąś Dziewankę naddniestrzaną opuścić pragnął?

Tymczasem, gdy w Poznańskiém różne o panu Pawle kleiły się podania, on rzeczywiście takie—mniéj romansowe, a pono bardziéj dramatyczne przebywał koleje. Po trzech latach stałego w Anglii zamieszkania, zwyczajem Anglików wybrał się na ląd stały i czas jakiś w Neapolu przepędził. Czy późniéj wprost z Neapolu wybrał się w swoję podróż około świata? czy jeszcze wstąpił do Londynu? nie wiemy. Przypiskom tylko gdzie-niegdzie w opisie Nowéj Walii porozrzucanym i kilku słowom dedykacyjnéj podzięki, winniśmy to, co po chwilę obecną o kierunku jego wędrówek napisać można. Zaczął od Ameryki nadatlantyckiéj; wzdłuż z północy ku południowi. Koło 1835 roku po sawannach się błąkał, zasypiał pod cieniem indyjskich wigwamów, a w wielkich miastach ludzi ucywilizowanych, spotykał czasem, jako wiemy swych ziomków i cieszył się ze spotkania. Dnia 22 Stycznia 1836 roku był w Rio-Janeiro i widział okręt handlarzom niewolników przez angielskiego kapitana odebrany. Buenos-Ayres w Sierpniu tegoż roku nawiedził, i był świadkiem rozstrzelania 110 krajowców z rozkazu dyktatora Rozasa. Jakie wrażenie te dwa obrazy na nim zrobiły, to się z załączonego nieco daléj tłómaczenia przekonać będzie można. D. 23 Kwietnia 1837 roku był w Mexyku; prowincya Sonory z niespodzianki w niespodziankę, z zadziwienia w zadziwienie go wprawiała. Według książek i opowieści sądząc ten zakątek hiszpańskiéj Ameryki, wyobrażał go sobie schronieniem dzikich Indyan, puszczą i samotnią, aż tu wszędzie spotykał ludzi białych w ucywilizowane społeczeństwa połączonych, gościnnych jak chcą przepisy Koranu, moralnie i umysłowo rozwiniętych jak ci, którym niepodległość na oścież wrota postępu rozwarła i do pracy zachęciła. Hacienda de Los Labores wydała mu się najpiękniejszą ze wszystkich jakie zwiedził w Meksyku. Gdzieindziéj, panowie dla zysku tylko zarządzali rolném gospodarstwem swojém; nie mieszkali w niém nawet; od czasu do czasu przybyli jedynie, by zobaczyć co się dzieje, ściągnąć dochody i znów do miasta wracali. Tutejszy gospodarz miał prawdziwe zamiłowanie swego powolania, jak drzewa jego ogrodu nie byłby mógł się oderwać od gruntu, na którym wyrósł, od ziemi, która go żywiła. A śliczny to był i rozległy kawał téj ziemi, cała dolina, wszystkie otaczających ją gór pochyłości, jedno z drugiém ośm mil (franc.) kwadratowych wynosiło. Kiedy wieczorem Don Joaquim de Astiazera gościa swego na pole wyprowadził, obcy wędrowiec nie mógł dość się nalubować rozwiniętym przed jego oczyma widokiem. Po jednéj stronie łany pszenicy równéj jak aksamit strzyżony, po drugiéj obszar kukurydzą falujący; wszędzie gromady

wesołych pracowników zbiorem obfitych plonów zajęte— wszędzie wśród gromad kobiety i dzieci pilnie upadłe kłosy zbierające. Cudzoziemiec agronom, natychmiast ten ostatni szczegół zauważył, bo nigdzie pierwéj z nim się nie spotkał w Mexyku: „A więc pan zużytkowałeś ręce kobiet i dzieci, choć to w ogóle za niemożliwe tutaj uważają. Prawdziwie cudu pan dokazałeś!“ odzywa się do swego przewodnika; lecz przewodnik uśmiechając się trochę dumnie z błędu go wywodzi. „Dla siebie oni pracują, do nich kłos spadły na mocy odwiecznego zwyczaju należy. Żniwiarze moi wiedzą jak ten zwyczaj szanuję; za każdą sposobnością umyślnie przysparzają żonom swoim i drobnéj dziatwie roboty. Czwartą część sprzętu można liczyć na ten niby przypadkowy ubytek, a że drugą czwartą w zapłacie im daję, więc równo po połowie się dzielimy. Bóg dobry, nie zrujnują mię oni przecież, co rok mi ziemia bogatsze żniwa rodzi.“ Nic a nic się nie zgorszył nasz podróżnik takim Boozem nowożytnym. Starannie zapisał sobie ile korcy czego jaka przestrzeń gruntu wydaje: jakich narzędzi używają przy orce, jakich małych sierpów przy żęciu, jak młócą kopytami koni wpędzonych na klepisko, zapisał po czemu zboże sprzedają, ile każdemu słudze od głównego dozorcy do najmniéj użytecznego wyrostka płacą; wiele niedokładności skrytykował, wszystko chłodnym, praktycznym objął poglądem, a w końcu znowu biblijnie hojnemu gospodarzowi pełen współczucia ustęp poświęcił. Ten doskonały pierwowzór wiejskiego obywatela, z dobrém sercem i hojną dłonią, nęci go ku sobie. Ten monarcha ośmiu mil kwadratowych, tak spokojnie w szczęśliwéj jednostajności gładką przędzę dni swoich snuje! tak niedba o chwałę i zaszczyty! tak ciągle jest w zgodzie sam z sobą i z otaczającym go światem! „O wy centraliści i federaliści stołecznego Meksyku, choćbyście w massach powstali, wiedzcie o tém z góry, że jeśliby nawet echo zgiełku waszego odbiło się o ściany tych wiosek zacisznych, nie rozbudziłoby nigdzie ani ciekawości do spraw waszych, ani żalu nad waszemi klęskami, ani nawet uwielbienia dla waszych tryumfów.“

Przytoczyliśmy w skróceniu ten wyjątek z dość długiéj notatki, posługując się o ile to być mogło, własnemi Strzeleckiego wyrażeniami. Przy braku ważniejszych materyałów, znajdzie się i tutaj dosyć treści na niejedno przypuszczenie, i na bardzo wiele psychologicznych wniosków. Oryginalném jest np. owo bezłączne zestawienie faktów i liryki, tęsknego rozrzewnienia z trzeźwością statystycznych spostrzeżeń; jak gdyby kto różnogatunkowe ilości do dodawania przedstawił: 3 worki z mąką, 8 jaskółek, 12 foteli,

i stara lipa i t. p. Zakończenie szczególniéj uwagi godne. Ten olimpijskiéj obojętności majestat wobec li tylko politycznych zawichrzeń Rzeczypospolitéj Mexykańskiéj, jest sam przez się historycznym z dziejów piszącego dokumentem. Anglik pewnie miałby jakiś powód na stronę centralistów lub federalistów sąd łaskawszy przechylić; Strzeleckiemu „powodu" brakowało. Biedny! chyba on westchnąć musiał, gdy kreślił te słowa o ziemianinie Sonory, co tak ciągle „był w zgodzie z sobą samym i z otaczającym go światem." Piszący nie zaznał równie błogiego stanu: zawsze coś w nim było w niezgodzie albo z nim samym, albo z otaczającym go światem. Może dopiero wtenczas, kiedy ze szczytu gór Błękitnych mógł na wszystkie swoje błękitne diabelki rybunalskim krzyknąć głosem: „Uciszcie się wacpanowie!" Eureka, eureka! diabelki rzeczywiście się uciszyły, a pitagorejska harmonia sfer ziemskich i niebieskich opłynęła go... przynajmniéj na cały czas jego pobytu w Nowéj Hollandyi, z dodatkiem czasu, w którym dzieło swoje o niéj pisał i drukował.

Między Mexykiem a Sydneyem Strzelecki dwa lata był w drodze. Innych dat chronologicznych, ani też innych szczegółów o tém dwuleciu nie mamy; jedyném objaśnieniem, po dedykacyi do sir Johna Franklina, osobna kartka wynurzająca głębokie uznanie dla tych wszystkich oficerów królewskiéj marynarki, którzy mu w różnych stronach kuli ziemskiéj z pomocą i ułatwieniem wszelkiém spieszyć byli gotowi. Parę imion wspomina, wylicza niektóre miejsca i nam ztąd łatwiéj miarkować gdzie to nasz podróżnik bywał. „Szczególniéj musiał on wyrazić kapitanowi Jerzemu Gray'owi wdzięczne uczucie swoje za niestrudzoną i gorącą (warm) dobroć, jakiéj od niego blizko przez dziesięć miesięcy doznawał na pokładzie „Kleopatry," okrętu Jego Królewskiéj Mości, podczas gdy statek ów zwiedzał wybrzeża Ameryki Południowéj od strony Oceanu Spokojnego, między Chili a Kalifornią. Następnie kapitanowi Russellowi Elliot'owi, dowódzcy statku JKMości „Fly" (mucha) za to, że mu dozwolił korzystać ze sposobności zwiedzenia Marquizów, Sandwich i Wysp Przyjacielskich." W dalszym ciągu dzieła rzuca kilka słów o bytności swojéj na Jawie i innych znaczniejszych wyspach archipelagu malajskiego. Wszystko to było przedwstępném niby ćwiczeniem do najważniejszego czynu jego życia. O mało co nie napisaliśmy: do najważniejszego zadania jego życia. Któż jednak ręczyć może, czy to było istotnie z góry obmyśloném zadaniem, czy tylko nieprzewidzianą, choć konsekwentną wynikłością stosownych okoliczności? Wiemy, że Living-

stone umyślnie się wybrał na poszukiwanie źródeł Nilu, lecz czego poszukiwał Strzelecki? Mniejsza o to. Znalazł kopalnie złota, odkrył i zbadał ziemię Gipp'sland'u.

W Kwietniu 1839 r. przybija on nakoniec do brzegów Nowéj Hollandyi, pierwszą noc spędza pod dachem w Sydneyu, i pierwsze wrażenie swoje zapisuje... humorystycznie: „Od chwili mego przybycia, ciągle sam siebie zapytuję: czy ja na prawdę jestem w stolicy owéj „*Botany Bay*,“ którą przedstawiają: jako *rzeszę łotrów* jako *najniemoralniejszą ze wszystkich osad, które są i były w dziejach ludzkości znane*, jako *posiadłość, co raczéj brudem plami, a nie blaskiem podwyższa świetność korony Wielkiéj Brytanii*.“

„Niech autorowie tych wszystkich określników przepełniających liczne ich dzieła o Nowo-Południowéj Walii, winszują sobie serdecznie: dałem się im zmistyfikować. Wieczorem wylądowując w Sydneyu, zachowałam największe jakie mi na myśl przyjść mogły ostrożności. Woreczek i zegarek zostawiłem na okręcie, wziąłem tylko kij w rękę i szedłem naprzód gotów walczyć z koniecznem, nieuniknioném niebezpieczeństwem!...

„Tejże saméj nocy jednak zaraz przekonać się mogłem, że na ulicach Sydneyu większa spokojność i przyzwoitość panuje, niż w jakiémbądź innem mieście portowém trzech zjednoczonych królestw. Ani pijaństwa, ani bójek skłóconych majtków, ani żadnego śladu rozpusty nigdzie widać nie było.“ Zdumiewają go wspaniałe gmachy, pysznie urządzone sklepy, zdumiewa ład, czynność, rzeźkość i energia mieszkańców osadników. Może sobie przypomniał owych chorobliwie do Europy stęsknionych, duchem i ciałem upadających rozbitków losu, których przed kilku laty w Stanach Zjednoczonych spotkał, bo w dalszym ciągu dziwne porównanie mu się nasuwa:

„Osobliwsza to rasa! (mówi o Anglikach). Jeden, jedyny lud, który—że się fachowym uczonych wyrażę językiem—zdaje się podlegać stałym, od zmian klimatu zupełnie niezależnym prawom atomicznym. Skupia się przyciągającą siłą swych molekuł zawsze w tym samym porządku; choć rozproszony, układa się w też same kształty społeczne, na każdém miejscu zachowuje skłonności, uzdolnienie, dążność swego pierwowzoru.

„Inne rasy (tu przypuszczamy, że obraz zniedołężniałych wielkim smutkiem na myśli mu stanął), inne rasy, prawdziwe dzieci gruntu, na którym wyrosły, jednoczą się z nim zupełnie, z niego czerpią utrzymanie, potęgę, narodowość swoję, jego tylko ojczyzną zowią, jak ojczyznę kochają i cenią nadewszystko, przy jego łonie tulić się gotowi kosztem swobody, własności, dobrobytu

i życia nawet. Wygnani z niego, są to już tylko błędni wędrowcy po szerokim świecie; prędko bardzo się wyradzają, jak owa róża alpejska, co choćby w łagodniejsze przeniesiona strefy, wszystkie pączki wnet traci i kolce tylko wydaje. Tęga natura anglo-saxońskiéj rasy, żadnego przesiedlenia skutków się nie lęka; jéj narodowość, jéj charakter nie od gruntu zawisły; gdzie Anglo-saxon flagę ojczystą rozwinie, tam i ojczyznę swoję odtwarza.“

Na trzy lata może przed chwilą, w któréj Paweł Strzelecki zapisywał sobie to spostrzeżenie, po morzu Jońskiém płynął Juliusz Słowacki wraz z młodym Grekiem Zantejczykiem. Grek na naukach w Genewie dwanaście lat spędził i wracał do domu, do rodziny, a był taki spokojny, jakim poeta nigdy być nie miał za życia. I uderzyła ta różnica Juliusza, i jemu przyszła myśl porównawcza, tylko przyszła inaczéj i inaczéj ją wypowiedział:

„Z jakiejże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną... co nieraz nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanéj marli!“

Jak widzimy, poeta i uczony spotkali się w tém samém wrażeniu. Poeta maluje, uczony nazywa; ale wspólną treścią prawda być musi i prawda jest. Są jedne rasy do nostalgii skłonniejsze, są mniéj skłonne drugie—są z wręcz mniejszym instynktem koczowniczym. Trzeba przyznać, że Strzelecki miał talent do bystrych spostrzeżeń; ani przewidywał jak własnym przykładem stwierdzi je kiedyś. Żył właśnie pełnią władz swoich, apoteozą téj najlepszości swojéj, do któréj każdy choć raz jeden w jednéj chwili dobrego usposobienia się wznosi. Strzeleckiemu nawet dobre usposobienie na długo, bo na kilka lat przynajmniéj sądzoném było. Częściéj niż kiedykolwiek w tym czasie zwraca się jakąś uwagą lub przystosowaniem, to do stron rodzinnych, to do swego położenia; jeszcze się czuje trochę obcym między obcymi.

Raz naprzykład (26 Grudnia 1839 r.) zwiedzał Camden, rozległą i wzorowo urządzoną posiadłość pana Mac-Arthura. Znalazł tam wszystko, co zwykle tylko w miastach do przyjemności i rozrywki znaleźć można. Dobrane towarzystwo, książki, dom wygodnie urządzony, śliczny ogród, pyszne owoce, a zwłaszcza uprzejmego i wykształconego gospodarza. „Pomimo nagromadzenia tylu rzadkich bardzo w świeżo zamieszkanym kraju warunków,

spotkało mię tu jednak zdarzenie, które zamąciło trochę swobodę ich użycia i smutny wpływ jakiś na mój umysł wywarło.

„Wyszedłem z moim gospodarzem oglądać folwark, pola i winnice. Przy winnicy stało szeregiem sześć schludnych, czyściutkich domków; każdy domek z warzywnym ogródkiem dokoła i w każdym jedna rodzina niemieckich uprawiaczy winogradu. Przed dwoma laty wyemigrowali oni do Nowéj Południowéj Walii czy to koniecznością przyciśnięci czy złudzeni nadzieją, że po za morzami i oceanami znajdą bogactwo, szczęście, spokój — a może wolność i sprawiedliwość. Kilka słów powitania, które w niemieckim języku do bliżéj stojącéj gromadki wymówiłem, jak uderzenie dzwonu całą kolonią natychmiast w ruch wprawiło. Ojcowie, matki, dzieci, wszystko to ze wszystkich stron biegło, aby widzieć, pozdrowić, usłyszeć tego pana, co z Niemiec przybywał. Wzięli mię za swego współrodaka i najszczęśliwsi byli, że mogą wypytywać się o Niemcy, o Ren, o swoje miasto ojczyste. Nie wywodziłem ich z błędu. Szczere, pełne serdeczności uściski tych rąk wyciągających się ku mnie dlatego, że mię Niemcem być mniemano, głęboką przejmowały mię rozkoszą, i nie miałem odwagi rozwiać błogiego złudzenia. Rzeczywiście też czułem się ich przyjacielem; radowała mię ich radość, gdy mię ziomkiem swoim zwali, gdy częstować zaczęli plackiem świątecznym z Bożego Narodzenia, gdy wskazując mię dzieciom swoim mówili: „Patrzcie, ten pan z Niemiec przyjechał, ten pan jest Niemiec tak jak i my!" a dzieci się kłaniały, dygały, całowały po rękach... i uśmiech był na wszystkich twarzach, a przecież w rozpogodzoném każdego obliczu dostrzegałem jakiegoś nieokreślonego wyrazu, czegoś co bliżéj ze smutkiem niż z wesołością graniczyło. Wsparłem się na werendzie, oni gromadném kołem mię otoczyli i z najgłębszą uwagą słuchali tego, com na ich pytania odpowiadał. Zdawało się, że kobiety zapomniały o niemowlątkach, które przy piersi machinalnie tylko podtrzymywały; mężczyznom fajki pogasły, wszystkie oczy do moich oczu przylgnęły, jak gdyby zatrzymać mnie chciały, żebym nagle nie zniknął przed niemi, jak gdyby ze wzroku mojego tajemnicę swoich przeznaczeń odgadnąć próbowały. Gdyśmy już o wielu rzeczach się nagawędzili,—„Ależ pan tu z nami zostanie! zawołali jednogłośnie pod wpływem jednoczesnego wrażenia. „O zostań pan! zostań! *nie będziemy już wtedy tacy osamotnieni!*"

„Nigdy nie zapomnę wyrazu, jaki się odbił na ich twarzach, gdy przeczącą usłyszeli odpowiedź. Spojrzeli jedni po drugich, a to spojrzenie dość wyraźnie mówiło: „Powinniśmy to rozumieć,

on musi mieć swoje powody, wie po co wraca do Niemiec; *my* niestety! wiemy tylko, dlaczegośmy z Niemiec oddalić się musieli.“

„A jednak ze względu materyalnego się zapatrując, są teraz w daleko szczęśliwszem położeniu. Mają obfitość, zdrowie, pewność jutra, swobodę, sprawiedliwość — mają zapewnione wszelkie korzyści, które w kraju rodzinnym z imienia ledwie znali.“

„Jest to wrodzone uczucie żalu, jakiego każdy wychodzca doznaje spoglądając za siebie ku ojczystéj stronie; do tego żalu łączy się jeszcze uczucie osamotnienia, to właśnie, które tak ciężko serca i tych biednych winiarzy uciska. Kiedy się ludzie przesiedlą gdzie w liczbie dostatecznéj na utworzenie odrębnego społeczeństwa, lub odrębnéj gminy przynajmniéj, łagodzi to i o bardzo wiele zmniejsza złe skutki emigracyi; lecz zawsze opuszczając kraj własny dla innego, w którym otaczający nas ludzie żadnéj łączności z nami nie mają. prócz téj najogólniejszéj, wspólnego człowieczeństwa, opuszczając kraj ów musimy wyrzec się naszéj narodowości i plemienności naszéj — dwóch rzeczy, których nie dano jest nikomu dowolnie według potrzeby lub chwilowéj fantazyi się zrzekać. Język. wytwór narodowości, — charakter, wytwór plemiennego pochodzenia naszego, nigdy nam się z innemi w doskonałe połączenie chemiczne zamalgamować nie dopuszczą i w ciągłem odosobnieniu trzymać nas będą. Charakter niby nagniemy i upodobnimy do charakteru ziemi, która nie jest *naszą* ziemią; język doskonale niby przyswoimy sobie i biegle niby wyrażać się będziemy mową, która nie jest mową naszą macierzyńską—mimo to najdrobniejsza okoliczność wnet nam przypomni, że obcymi jesteśmy, żeśmy od rodzinnego gruntu oderwani.

„Już nieźle po angielsku gadać zaczynamy, mówili Niemcy, zawsze przecież trudno nam tak się wytłómaczyć jakbyśmy chcieli; nikt tutaj niemczyzny nie rozumie. Ach! gdyby pan Mac-Arthur, który jest taki dobry! gdyby pan Mac-Arthur, który jest taki szlachetny! mógł rozumieć, przynajmniéj wiedziałby wtedy jak mu wdzięczni jesteśmy.“

„Ileż to, ile razy—cel dobroci dla drugich na obcéj ziemi — ja sam byłem w ich położeniu i takichże jak oni doznawałem uczuć! Ileż to, ile trudności zwalczyłem, niżem sobie pozdobywał języki żadnego z moim ojczystym niemające powinowactwa! Mimo to przecież, niech tylko serce zadrgnie, niech się dusza wzruszy, jakże mi trudno wydobyć z nich najprostsze wyrażenie, tego co mię wzruszyło! W chwilach to podobnych, budzi się przypomnienie ojczyzny i poczucie narodowości ożywia.“

(M. S. Dziennik Autora).

Wszak prawda, że przeczytawszy ten ustęp, chciałoby się zaraz do oddalonego napisać, posłać mu choć kawałek opłatka za ten placek świąteczny, którym z biednymi kolonistami się łamał? Ale trzeba to było natychmiast zrobić, na lata nie odkładać, bo późniéj — ha! późniéj, serce podróżnika regularniéj biło, dusza się nie wzruszała, a szczególniéj *wrażliwość* się przytępiła.

Wtenczas koło 1840 roku jeszcze do tego nie przyszło. Owszem zdaje się, że niektóre niteczki wiążące go z krajem rodzinnym silniéj mu się niż kiedykolwiek koło serca owinęły. Dla nas przynajmniéj widoczném jest pewne stopniowanie w owéj tęsknocie do swoich. W Mexyku ledwie budzić się zaczyna, urągająco filozoficzną przymówką kiełkuje dopiero, w Sydneyu już naukową definicyą się objaśnia, w Camden dochodzi najwyższego kresu termometrowéj podziałki: smuci się i współczuje. Przez pierwsze lata swego oddalenia, pamiętał zapewne Strzelecki o przykrościach doznanych, o słusznych zarzutach i niesłusznych potwarzach; wiedział, że po za sobą zostawia tylko pełno niechętnych, dobrą sławę podszarpaną, zobojętniałą rodzinę, niepewną przyszłość — czegoż miał żałować? Tu zewsząd go życzliwość otacza, świat się przed nim rozszerza, dla zdolności jego nowe drogi się otwierają, czuje się zacniejszym, bo czuje cenionym za to, co w nim jest prawdą nie blichtrem, rozumem nie głupotą: nic dziwnego więc, że rozbił namiot swój i chciał tam zostać. Lecz obecnie zestępują nań myśl jakieś inne, wracają obrazy dalekiéj przeszłości gloryą fata-morgany promieniejące, wydobywają się z dna serca pamiątki i pragnienia—kształtują w niewyraźne jakieś nadzieje i zamiary—gdyby jedno słowo właściwe, we właściwéj chwili powiedziane, los człowieka na innąby stronę się przechylił. Tylko że usłyszy on może jedno słowo, lecz niewłaściwe i w najniewłaściwszéj chwili.

Nakoniec dostał się Strzelecki w góry Błękitne. Poobjeżdżał znaczniejsze fermy, przypatrzył się ziemi młodéj, dziwacznéj jak rozkapryszona dziewczyna, a już przemysłem John Bulla zhołdowanéj jak niewolnica czerkieska; teraz, stanął na ziemi zupełnie ludziom białym nieznanéj, ludziom czarnym niewszędzie dostępnéj, ptakom tylko i opossom wdzięczącéj się mile. Rzeki tu bez ujść i źródeł, wąwozy bez ścieżek, pasma gór bez oznaczonego kierunku, wszystko razem bez nazwy. Strzelecki prawem biblijnego Adama rzekom, górom, wąwozom kazał się odtąd nazywać, i wszystkie ich, z woli swojéj nadane im imiona, wypisał na karcie którą sam układał, rysował, a późniéj w Londynie pod swoim dozorem odbić kazał. Rozłożyliśmy przed sobą tę kartę,— długo, długo bardzo z imion wyczytywaliśmy dzieje, stosunki, myśli

i wpływy działające na autora. Jest tam przedewszystkiém, najbliżéj—ma się rozumieć, że tylko względnie najbliżéj—trochę ku północy, *M-t Adine*, a bardzo daleko ku południowi *M-t Kościuszko*. Kto wie, czy od północy ku południowi nie snuła się pającza tkanka pod myśl tego przyrównania, któreśmy poprzednio sami już zrobili! Bezwątpienia na tych szczytach, Strzelecki przyszedł do samopoznania własnéj wartości. Jeśli dawniéj przeceniał się często, a nie doceniał czasem, jeśli nie mógł sam w sobie zrozumieć własnych upadków ani własnéj siły wywyższenia; to w owych chwilach zrozumiał się, przebaczył sobie i zaufał, w owych miejscach miał prawo marzyć o jakiéjś tryumfalnéj rehabilitacyi, o poklaskach, odezwach, zaprosinach przejętych uwielbieniem ziomków; niósł im w dani ustaloną sławę odkrywcy, eksploratora, geografa, geologa, antropologa. Wracający z dalekiéj drogi, nie może przecież świetniejszego przywieźć rodzonéj matce gościńca. Dzisiaj pewnie choćby wynagrodzić nie zdołano, toby się przynajmniéj całém sercem potrafiono z téj kosztowności ucieszyć: lecz wtedy trafił na bardzo niekorzystną chwilę. Wspominaliśmy o nadsyłanych przez niego do dziennika poznańskiego artykułach. Wyobrażamy sobie z kilku przypisków, że musiały być warte czytania (1); lecz wtedy—wtedy Poznańskie zajmowało się Heglem, Wersalem, panną Molińską (2), i świeżo założonemi czasopismami. Starczyło wiórków na podpałkę ploteczek kumoszkom, starczyło treści żywotnéj na zaprzątnienie uwagi i pochłonięcie czasu ludziom zacnym, rozumnym i pracowitym: Strzeleckiego opisy niewielkie zrobiły wrażenie. Owszem, przywiodły na pamięć dawniejsze jego sprawki; znajomi, dalecy kuzynkowie i dalekie kuzynki, bliżsi pokrewni nawet, gdy jego nazwisko usłyszeli, wnet wyciągali z mętnych wspomnień niedokładne historyjki o jego osobistości, bo przecież nierównie ciekawszém było dla nich to, co niegdyś zrobił, niż to czego wówczas dokonywał. Słyszano z boku, że podobno kopalnie złota odkrył: ale ktoby temu wierzył, kiedy on przecież pisuje nie kopie!

W publiczności, która pierwszy raz i bez uprzedzenia spotykała się z nazwiskiem Strzeleckiego, nazwisko to gegraficzne tylko

---

(1) Sami tych artykułów nie czytaliśmy z powodu nieobecności naszéj; gdyśmy we dwa lata późniéj odczytać chcieli, już niepodobna było starych numerów odszukać, a co prawda, nie wzięliśmy się do tego ze zbyt wielką gorliwością.

(2) Julia Molińska, późniejsza Wojkowska, jedyna z wykształconych kobiet naszych, co próbowała nietylko umysłową, ale obyczajową i kostiumową zaprowadzić u nas emancypacyą—ale też jedyna co umiała dla ludu o ludowych pisać sprawach.

mogło budzić zajęcie; geografów zaś—choćby zresztą lichych amatorów geografii —jeszcze mniéj było wtenczas, niż pod datą 1876 r. Bo to jedno prosimy państwa, co mogło kogo obchodzić, że na zachód gór Błękitnych w Nowéj Hollandyi, rozciągają się płaszczyzny zdolne do uprawy gruntu: a no, przecież w Europie i koło nas i wszędzie płaszczyzn pełno, nie dziwota, nie osobliwość! nic nam z tych tam nie przyjdzie, nic do tych tam nie odejdzie. Żaden wróżbita nie przepowiedział, że przyjdzie kiedyś ogromnie dużo wełny, która na jarmarki świętojańskie, na zapłacenie dzierżawy; na podwyższenie procentów od pożyczanych pieniędzy, despotyczny wpływ wywrze niezadługo. Mogła wprawdzie ta poczciwa publiczność do osobistości wędrowca żywsze w sobie rozbudzić współczucie. Gdyby jéj kto był przedstawił człowieka, co po trzydziestu latach, bogactwa się dobiwszy, zamiast, jak toby mnóstwo innych na jego miejscu zrobiło, hulać, zbytkować, paradować—nie paradował właśnie, nie zbytkował, nie hulał, ale zaczął się uczyć jak student, aż się nauczył tyle, ile mistrz umieć powinien, zaczął zwiedzać najlepiéj urządzone gospodarstwa, aż mógł w końcu o gospodarskim losie całych krajów stanowić: przypuszczamy, iż byłoby to wielkiém uszanowaniem słuchaczy przejęło. Niechby jeszcze dodano niektóre objaśnienia wykazujące śmiałość, dzielność zimną krew z niebezpieczeństwem walczącego zucha, toby i serca po bratersku zadrgnęły i uśmiech twarzeby rozpogodził: „A widzicie Niemcy, jakich my to miewamy uczonych!“—Lecz na nieszczęście nikt o tych szczegółach nie mówił, bo nikt o nich nie wiedział Strzelecki dla pewnych koteryi był podejrzanym; dla ogółu był niedojrzanym wcale. Z całą rodziną, ze wszystkimi znajomymi Paweł zupełnie zerwał stosunki. Maleńki pod tym względem wyjątek brat jego Piotr stanowił. Co dwa, czasem co trzy lata, ku wielkiemu zdumieniu urzędników zjawiała się na poczcie spokojnego, cichego Trzemeszna, koperta z mnogiemi stemplami miast o jakich tam pierwéj nic lub bardzo mało słyszano, i z nadpisem „Monsieur Pierre Strzelecki à Brzozowiec“. W kopercie był list oryginalnie zawsze treściwy i lakoniczny. Listów takich przez lat blizko czterdzieści uzbierało się podobno dwadzieścia. Mamy jednego z nich odpis pod ręką:

„Kochany Piotrze, jestem w Nowéj Hollandyi, jutro wyjeżdżam do Chin, za dwa lub cztery lata będę u was.

„Tout à vous, Paul“.

Niezawodnie w chwili, gdy pisał: „u was“ znaczyło Poznań, Głuszynę, Brzozowiec; późniejsze, do dziś dnia nie wyświetlone okoliczności na zmianę tego planu wpłynęły. Czy był w Chinach,

nie wiemy; żadnéj wzmianki do Chin się odnoszącéj w dziele jego nie ma; to pewna jednak, że Paul już nigdy *u nas* nie był. Zupełny brak faktów tłómaczących takie postępowanie, można jednak do pewnego stopnia zastąpić wnioskami z bliższéj znajomości charakteru wysnutemi. Na mocy tych wniosków przypuszczamy, że głównym powodem nagłéj niechęci i wielu do końca życia trwających dziwactw Strzeleckiego, był: „chybiony efekt“ powrotu przypadłego w najnieodpowiedniejszéj chwili.

Wszyscy czytelnicy nasi nieraz już pewnie mieli sposobność na przyjaciołach swoich i nieprzyjaciołach przestudyować różne miłości własnéj odcienie; z żywych przykładów znają każdy jéj synonim, i my też nie potrzebujemy żadnego już objaśniać, gdy mówić będziemy o niektórych w usposobieniu Pawła szczególniéj przeważających. Zrozumiemy się bez definicyi. Paweł Strzelecki łączył w sobie krańcowe punkta téj skali blizkoznaczników: dumę posuniętą aż do ambicyi i poczucie swéj wartości zestępujące aż do... nie napiszemy: „próżności,“ bo ktoś z subtelniejszym talentem różnicowania, miałby prawo nam zarzucić, że próżność próżni się tylko czepia, a więc ludzie z talentem, z materyałem umysłowym, nie mogą być tak próżni jak pusto-głowy np. i sztucznie powietrzem nadęte baloniki: dlatego też choć wyraz utarty, poszukamy innego i napiszemy: poczucie własnéj wartości zestępujące aż do chwalby. Gdyśmy przy początku zaraz wspomnieli, że Strzelecki był wybornym etnograficznym okazem, prócz zalet czysto narodowych i plemienno-słowiańskich, mieliśmy jeszcze na myśli ową mieszaninę wiernie przedstawiającą zalety i wady dwóch typów prowincyonalnych po ojcu i po matce: mieszaninę Galicyanina z Wielkopolaninem. Zdradliwa to rzecz i najtrudniejsza do ścisłego wywiedzenia, te ogólnikowe przymówki, które okolica okolicy, kraj krajowi odrzuca, któremi przekomarzają się tak często szczerym afektem i najlepszą zażyłością połączeni przyjaciele, któremi wymyślają sobie zwaśnieni przy kieliszku sąsiedzi, lub które w prywatnym zatargu, jak broń rdzawą wywłóczą przeciwnicy. Jednak, to nie bez pewnéj zasady historycznéj potworzyły się takie wyrażenia, jak: ślepy Mazur, chytry Litwin, zakuty Żmudzin i t p. Nie bez pewnéj zasady historycznéj dzisiaj Galicyi dumę i pańskość, Księztwu Poznańskiemu gaskońską chwalbę i zarozumiałość przypisują. Istotnie Galicya jest ziemią, która najwięcéj nam zrodziła naszych dumnych, ambitnych, wielkich ludzi, co wielkimi panami zostali; nie magnatów z genealogii, nie oligarchów z kolebki, ale takich właśnie, którzy to chcą być, i umieją stworzyć się możnowładcami, którzy ojców swoich kości na jakim parafialnym cmen-

tarzu pochowali, ale sami mieć będą pyszne marmurowe w katedrach nadgrobki, przez synów hetmanów lub kanclerzy wzniesione. Tacy Zamojscy, Żółkiewscy, Sobiescy, wszystko to z ziem ruskich galicyjskich wyszło. Tkwi tam w gruncie jakaś niewyczerpana żyzność na wysoko rosnące umysły i wysoko sięgające dłonie. Każdy też gruntowy krajowiec na świat z sobą przynosi właściwe ku temu uzdolnienie, lub przynajmniéj właściwe skłonności. Wśród najniekorzystniejszych warunków, przy zaniedbaném od stu lat wychowaniu publiczném, nigdzie może nie rozwija się tak wiele w różnych kierunkach talentów—a talenta owe jeszcze wśród innych odznaczają się jakąś właściwą sobie werwą, rzeźkością, jakimś zapachem świerku i macierzanki. Co jest wszelako bogactwem dla talentów i znakomitości, co jest konieczném dopełnieniem dla wysoko rosnących umysłów: wysoko sięgające dłonie—to zubożenie i śmiech ludzki maluczkim sprowadza. Piękną bywa ambicya, do pięknych rzeczy przywiązana; komiczną przy drobiazgach wydaje się zawsze. Na nieszczęście w Galicyi wszyscy są ambitnymi. Historya, literatura, sztuki wyzwolone, z tego prowincyonalnego usposobienia prędzéj czy późniéj zbierają śmietanę na wyborne masło, ale tłum dni powszednich rozlewa się przed oczyma w stawy, jeziora lub sadzawki prostéj serwatki jedynie. Z czém Sobieski wyrośnie na króla, Szajnocha na otoczonego czcią powszechną dziejopisarza, a panowie X. Y. Z. na niepospolitych prawników, nauczycieli, mówców i t. p.,—z tém panowie A. B. C. wyrosną na baronów wiedeńskiego autoramentu, na sportsmenów, giełdowiczów, i w przysłowie już przeszłych galicyjskich hrabiów. słowem wszystkich kandydatów na wielko-pańskość, z wielką dumą bez wielkiéj ambicyi. Strzelecki długo bardzo, przez całą pierwszą młodość swoję, miał dumę i dumne zachcianki, brakowało mu tylko bodźca, wskazówki i wyraźnie określonego celu dla tych zachcianek, lecz gdy w odpowiedniejszych stanął warunkach, znalazło się to wszystko, i on co tylko dumnym mąciwodą kraj opuścił—w kilka lat późniéj ambitnym już mężem z Europy wyjechał.

Poznańską teraz rasowość na uwagę biorąc, rzeczy tak się mają. W Poznańskiém nigdy się możnowładztwo nie mogło zakorzenić, jak w Małopolsce naprzykład, ale tém silniéj właśnie rozwinęła się oddziaływająca przeciw niemu szlachetczyzna „obronna,“ jest to przecież powszechnie już znany i wiadomy komunał historyczny. Istotnie, trzeba było Wielkopolanom bardzo się trzymać, żeby im w kaszę nie dmuchano,—„chociażeś ty Krakowianka, a ja Wielkopolan, nie będę ja czapki schylał do twoich kolan.“—Raz

po raz musieli przypominać Krakowowi, że Kruszwica kolebką państwa była, a Poznań kolebką chrześciańskiéj wiary narodowéj, a Gniezno stolicą narodowego katolicyzmu. Ztąd szermiersko-rzecznicze przywyknienia, a w kolei wieków i zdarzeń, wzmocnione jeszcze naciskiem obcéj plemienności, co gorzéj, naciskiem bezwojennym. Gdzie sąsiedzi porąbią się i pokiereszują od czasu do czasu, serdeczna estyma możliwsza. Nieszczęście mieć chciało, że od Byczyny Maxymilianowéj, aż po Szczekociny Kościuszkowskie, ni razu prawie nie szczęknęła polska szabla o niemiecki pałasz. Niby to się trochę czubiono z Sasami za Augusta, lecz czubiono po domowemu, jako dzieci tegoż samego ojca choć z innéj matki. Ojciec prawdę mówiąc—no, nie mamy czasu prawdy mówić, każdy musi tam z własnéj uprzejmości domyślić się jéj—powtarzamy tylko, że takiéj, co się zowie, uczciwéj wojny z Niemcami nie było, a jednak i Prussy i Wielkopolskę ogromnym od zachodu ku wschodowi nagiętym łukiem zalewać oni i zasypywać poczęli. Przemyślny to był żywioł, pracowity, wytrwały; trzeba mu oddać sprawiedliwość kiedyć swego dokazał, ale w żaden sposób przyznać nie można, żeby artystycznie był piękny, eposowo rycerski. Pod wodzą frankońskich Konradów lub Barbarosów okropniéj bezwątpienia, lecz inaczéj to wyglądało. W obec siły, co biegunowo jest przeciwległa zauważanéj przez Strzeleckiego sile Anglo-Saxonów, i nie składać, lecz przedewszystkiém rozkładać według atomicznych praw musi,—wyrobiło się w jéj ofiarach żywsze odczucie własnéj godności, rozbudziła potrzeba i konieczność ciągłego praw własnych zaświadczania. W warstwach dziejowych, to odczucie i ta konieczność przeobraziły się na butność szlachetną i na czujną a draźliwą dobréj czci swojéj pieczę; w warstwach podkładowych rozpleniły się chwalbą i tak dziś zwaną blageryą. Niezawodnie Poznańczanie to (rodzeni i przyrodni bracia Dąbrowskiego) byli ci, o których Ségur pisał: „Ils se disent plus qu'ils ne sont, mais pas plus qu'ils ne peuvent être... ils mettent leur honneur à rendre vrai ce qui d'abord n'avait été ni vrai, ni même vraisemblable.“ Otoż przy najprzyjaźniejszych okolicznościach, ledwo garstka drobniutka ma sposobność, a sta tysięcy nie mają sposobności „w prawdę zamienić tego co nie było ani prawdziwém ani prawdopodobném,“ i dlatego też o miedzę sąsiedzi druhowie, wesoło żartują sobie ze wszystkich razem, z ich wielosłownych przechwałek, z ich naiwnego lekceważenia postronnéj zasługi, z ich ciągle wartującéj na straży przeciw domniemanym uchybieniom obraźliwości. Strzelecki od alfy do omegi był ze krwi i z ducha Poznańczaninem w tym względzie. Urodził się na stanowisku

„obronném“—wprawdzie nie mogło mu ono wystarczyć, choćby go nikt w dół nie spychał, on jeszcze pędziłby w górę z galicyjską bujnością swoją—lecz niestety! jak prawdziwy z Czerwonéj Rusi Galicyanin nie poprzestałby na wyniesieniu, na władzy, na poczuciu swéj wartości i potędze, tylko szczerze po Wielkopolsku tęskniłby jeszcze do przyświadczenia drugich, i od czasu do czasu potrzebowałby wykrzyknąć: „Patrzcie! gdzie to ja zaszedłem!“

Nie wiemy czyśmy dosyć jasno objaśnili nasze psychologiczne prowincyonalizmy Strzeleckim, a Strzeleckiego naszemi psychologicznemi prowincyonalizmami; to pewna jednak, że za ich pomocą łatwiéj można sobie zdać sprawę z dalszego toku jego biografii. W Camdenie z wrażeniem rozrzewnienia, łączy się jakieś wspomnienie krzywd doznanych; widocznie ciężki to kamień na jego sercu, bo między korzyściami, nie wymieniłby dwukrotnie *sprawiedliwości*; alboż to nadreńskim kolonistom innéj oprócz losowéj chyba, sprawiedliwości brakowało? toć właśnie słynęły wówczas te strony Niemiec najwyższém poszanowaniem prawa. Musiał on myśleć tedy o innych stosunkach; może „o oddaniu swojém do wojska“—może o niektórych okolicznościach zajść swoich z księciem Eustachym, o plotkach ludzkich—w każdym razie jest głośny podźwięk egotyzmu w tém przypuszczeniu, że uprawiacze winnic nietylko dobrobytu, lecz i sprawiedliwości aż w antypodach szukali! Na szczytach gór Błękitnych odżyło w jego sercu? w jego wyobraźni? wspomnienie panny Adyny. Nikt przecież z czytających nie jest tak romansowy, by mógł uwierzyć, że przez lat dwadzieścia kilka rozstania, od szałów młodocianych po wiek męzkich prac i męzkich celów, nasz piękny ziomek przeciągnął łańcuch wierności stałéj i niezmiennéj; właśnie dlatego, iż tak nie było, imię Adyny wypisane na jego karcie geograficznéj, świadczy nam o jakiémś wewnętrznem zmartwych-powstaniu, o wskrzeszeniu różnych dawnych myśli i wspomnień, o tém pierwszém, jedyném może wyciągnięciu rąk ku ziemi ojczystéj, któreśmy i w notatkach jego zauważyli. Na wierzchołkach alpejskich południa, staje przed oczyma duszy jego postać Kościuszki, postać prześladowanego, co do ojczyzny bohaterem wrócił, on, wróci sławnym! reszta goryczy topnieje w rozrzewnieniu najprzód, a potém w nadziei. Zaczyna Strzelecki dzielić się z krajem owocami swoich poszukiwań. Co też o nich rodacy rzekną? nadstawia ucha—milczenie. Zapewne z Poznania do Sydneyu zbyt daleko; dosłyszeć trudno. Lecz wkrótce wraca bliżéj. Już jest w Londynie; wydaje pomnikowe dzieło swoje, i natychmiast pysznie oprawny egzemplarz do biblioteki hr. Raczyńskich w Poznaniu przesyła. Jesteśmy

prawie pewni, że mu pokwitowanie z odebrania tego upominku przesłano nawzajem; czy dołączono żywsze słowo współczucia i uznania? wątpimy. Były to czasy między 45 a 46 rokiem, hrabia Edward Raczyński, właściciel, a przynajmniéj wszechwładny opiekun darowanéj miastu biblioteki, rozdrażniony, skołatany przeciwnościami i chorobą, myślał o tém jak sobie życie odebrać, lub już odebrał je sobie; inni pracownicy biblioteczni myśleli o hrabi Edwardzie, lub o przyczynach, które śmierć jego spowodowały; a przytém filologowie, bardzo umiarkowanie cenili sobie książkę wyłącznie kwestyami przyrodniczemi zajętą. Postawmy się teraz na miejscu Strzeleckiego, jak niespokojnie, ciekawie a niedowierzająco wygląda jakiego bądź sygnału, coby mu życzliwe powitanie i bezpieczeństwo przybycia zwiastował. Wiemy przecież z rozlicznych przykładów, jak to oddaleni, wracając, we wrażeniach swoich wracają zawsze niby nazajutrz po chwili wyjazdu. Co zapomniane, to oni pamiętają, co zestarzało, to oni młodém widzą, zwłaszcza też co wówczas było ważnem, to im się zdaje, że na tych samych miejscach jeszcze ważném być musi. Widzą oni, że sami się zmienili; do tego jednak były powody; los ich toczył po drogach świata jak kamień po lodnikach przedhistorycznych—tam zaś wszystko stało na miejscu, wszystko być musi po dawnemu: więc pułkowe nieformalności, oburzona panny Adyny rodzina, białoruskie awantury, o tém wszystkiém ludzie gadają. Trzeba się mieć na baczności, trzeba pierwéj dowiedzieć się czy australskie nowiny, złotopióre rajskie ptaszki, nie zagłuszyły pogłosek szarych wróbli z nad strzechy domowéj. Strzelecki czekał—wreszcie napisał list do panny Adyny. Zbyt dumny, by się na cień niepewności narazić, sam nie przyjechał, wskazał tylko miejsce gdzie do wód w Niemczech udać się zamyśla, i panna Adyna pojechała do niego.

Gdyby kto miał osobisty interes w zatrzymaniu Strzeleckiego na obcéj ziemi, toby go nie mógł w pewniejsze złożyć ręce. Panna Adyna była zaopatrzoną we wszelkie wiadomostki najskuteczniéj w tym celu działające. Już to ręczylibyśmy za nią, że to mu tylko mówiła, co za prawdę uznawała, lecz właśnie téj cząstki prawdy przez nią podanéj, aż do zbytku starczyło na zupełne odstręczenie Strzeleckiego. Słyszała nieraz opowiadanie wołyńskiego obywatela, słyszała dość lekceważąco odzywających się dawnych jego znajomych; krewnych nie słyszała, bo ci jako pierwéj, tak i teraz po dwudziestu kilku latach nie przestąpili progów jéj eleganckich koteryek, ale przy sposobności mogła dać zrozumieć Strzeleckiemu, że mu przeszłość pamiętają; że teraźniejszości nie

cenią, to on już sam się domyślać zaczynał—co zaś najgorzéj ze wszystkiego, mogła odjąć nadzieję, by ją kiedyś w przyszłości oceniono, i niezawodnie odjęła. Powiedziała mu, że Poznańskie na wskroś demokracyą przesiąkło!... sto przeciw zeru, że powiedziała; zdaje nam się, jakbyśmy akcent niektórych jéj wyrażeń słyszeli. Paweł z ducha potomek owych czerwono-ruskich magnatów in potentia, okropnie demokracyi nie lubił. W Anglii najserdeczniejsi i przyjaciele do stronnictwa wigów należeli: od wigów jednak do demokracyi co za spadek! Według jego mniemania Poznańczykom tylko o demokracyą chodziło: a według jego i wielu nawet w bliższém sąsiedztwie przesuwających się podróżników, nie wyłączając wieszczów naszych, demokracya znaczyła jedynie tłumy pospólstwa cisnące się do salonów: kowali—takich zasmolonych! którym trzeba ręce ściskać—parobków—takich spotniałych i nie pomytych!—z którymi całować się trzeba. Jeśli nie chcesz? Terroryzm! Istotnie, czém była demokracya w politycznych sferach ówczesnych, nie mieliśmy sposobności dokładnie się o tém przekonać; dziś wiemy, że jest arystokracyą przeciwległą arystokracyi; arystokracyą wszelkich dóbr ruchomych, przeciw wszelkim dobrom nieruchomym. Ale wtedy nie wiedzieliśmy o tém, a wnioskując z tego, czém była w sferach towarzyskich, czém była w rozmowach, w drobnych zastosowaniach swoich, to się zdawało, że bardzo pięknie, daleko piękniéj niż stronnictwo polityczne wygląda. Dziwi nas mocno czemu estetyczna panna Adyna upodobania naszego nie dzieliła? Kiedy np. rozweselony syn obywatelski z chłopem rozmawiając, używał mnóstwa nie do wydrukowania na téj ćwiartce wyrażeń, a starszy brat, czy nie brat, dość że jakiś starszy zgromił go za to: „Przecież z ludem trzeba mówić ludowym językiem—tłómaczył się gromiony—mówić prawdziwie demokratycznie.“ „To nie ludowy język—poważnie objaśniał starszy, to nawet nie karczemny, ale szynkowniany tylko, i z ciebie mój drogi nie tęgi demokrata, kiedy się starasz o to, by mówić jak chłopi, nie zaś o to, by chłopi mówili, jak mówią wszyscy ludzie przyzwoici.“—,To była pierwsza nasza—ma się rozumieć z boku tylko podsłuchana – lekcya demokracyi. Nie ma w niéj nic genialnego, lecz jest przynajmniéj wierna próbka chwili. A jeden ze znajomych p. Adyny? mówiono sobie, że do frontowych filarów demokracyi należy: Jędrzéj Moraczewski, co miał po sobie niedokończone Dzieje Rzeczypospolitéj zostawić, wtedy jeszcze gospodarował na rodzinnym Zielątkowie. Raz, w zimie mroźnym rankiem, wbiegają do jego pokoju: „Panie! kopiec z kartoflami rozrzucony! wszystko przez noc zmarzło! złodziéj niegodzijasz dla marnéj ćwiartki, tyle korcy zmarno-

wał.“ Pan Jędrzéj wychodzi z oskarżającymi na pole; szkoda jest, kopiec rozrzucony, nie pokryto go póżniéj, ale na śniegu widać ślady—ślady od bosych nóg.—Pan Jędrzéj głową pokręcił. „Och! widać, że biedakowi strasznie głód musiał dokuczać, kiedy aż tak daleko i boso po garść kartofli chodził. Nie przepatrujcież tam za nim i nie dochodźcie mojéj krzywdy; jak się dowie, że nie nastawałem na niego, to drugi raz już wprost do mnie, a nie do kopca przyjdzie.“ Słyszeliśmy znowu opowiadanie tego zdarzenia, i wszyscy przytwierdzali, że demokrata nie powinien był inaczéj postąpić, że gdyby inaczéj postąpił, toby stanął w sprzeczności ze swemi zasadami... czemu wtedy wierzyliśmy wiarą niezachwianą. Panna Adyna miała wiele życzliwości dla rodziny Moraczewskich; bardzo szanowała Marcinkowskiego i pannę Emilią Szczaniecką—ale demokracyi tak nie lubiła jak sam Strzelecki. W jéj opisach musiała poznańska zwłaszcza trochę czarniéj wyglądać od tego, co to przecież nie jest takim czarnym, jak go malują. Wszystko się spiknęło na rozwianie lepszych usposobień wracającego. Nikt z przyjęciem nie czekał; panna Adyna nawet dawne wspomnienie raczéj, nie zaś nową sławę witała, a w kraju—demokraci rej wiodą! To coś niedorzeczniejszego jeszcze od mexykańskich centralistów i federalistów w stosunku do Don Joaquima de Astiazara. Jeśli się zżymał na tamtych, którzy mu nic złego nie zrobili, jakże ramionami pogardliwie wzruszyć nie miał na tych, którzy go w utajonych, lecz niemniéj może gorących pragnieniach zawiedli. Ci ludzie nie umieją gwiazd swoich przewodnich rozpoznawać. Gdzie tu szukać między nimi miejsca właściwego dla wynalazców, odkrywców, mistrzów wiedzy lub sztuki? Kto się na najbieglejszych pozna? kto ich zapotrzebuje? kto uczci i wynagrodzi? Tym ludziom ciasnych pojęć, niewykształconych upodobań, głęboko zakorzenionego lenistwa, na nic się nie zda ziomek, choćby akademicką aureolą otoczony u obcych. Tym ludziom albo niczego się nie chce, albo chce się tylko szaleństw i niepodobieństwa. Chartyści!

Przypominamy czytelnikom, że to wszystko jest tylko szeregiem prawdopodobieństw i wniosków, któremiśmy połączyli fakta udowodnione, t. j. notatki australijskie, nazwy gór i artykuły przesyłane dziennikom poznańskim, z zawieszeniem wszelkiéj dalszéj korrespondencyi, z nieodwiedzaniem stron rodzinnych, choćby przez prostą ciekawość i z unikaniem rodaków swoich, choćby tak jak on między Anglikami się snujących. Po emigracyi osoby, jest to nowa i zupełniejsza emigracya serca. O ile z towarzyskich i rodzinych podań miarkować możemy, czuć się w niéj daje jakieś z siłą woli wykonane przedsięwzięcie, jakaś manifestacyjna uro-

czystość. Z jedną panną Adyną tylko zachował przyjazny stosunek; widywali się to w Paryżu, to u wód niemieckich, bo co rok zawsze na ląd stały zjeżdżał; pisywali też do siebie, ale w Anglii, w Londynie, nigdy noga żadnego Polaka nie przestąpiła progów jego domu. Komitetowi lorda Dudleya Stewarta po 300 franków rocznie składał na polskich wychodźców; jeśli zaś który z krewnych morze przepłynął, aby się łasce wujaszka polecić — fama albowiem o jego skarbach szeroko się rozchodziła, a skarby rosły w stosunku kwadratów z odległości,—jeśli tedy przyjechał, to pod wiadomym z listów pana Piotra adresem, odbierał tylko wskazówkę, w którym klubie, o któréj godzinie z sir Edmundem widzieć się może, i dostawał kilkaset funtów sterlingów wraz z dobrą radą, żeby czasu napróżno nie tracił, lecz coprędzéj do domu wracał. Raz tylko przyrzekł, że się zaopiekuje młodym wnukiem, po starszéj siostrzenicy swojéj, Archibaldem Duglasem —kto wie, czy go nazwisko nie pociągnęło trochę—wyprawił uszczęśliwionego chłopca na morze, swoim własnym, jak powiadają, okrętem—lecz okręt się rozbił, chłopiec utonął, a dobrodziejstwa dla rodziny w żadnéj od tego czasu nie objawiły się formie. Kilka lat temu jednak, w roku 1873, zgłosiła się do Strzeleckiego jakaś daleka powinowata. namawiając go, aby tu w Królestwie, od jéj męża majątek ziemski nabył. Czy to, że list mu się podobał, czy że przedśmiertna jakaś tęsknota znowu myśl jego bezwiednie ku ojczystym pędziła stronom; dość że na zgłoszenie się powinowatéj odpowiedział nadzwyczaj grzecznie, choć trochę sztywno, a zupełnie odmownie. W przypisku tylko, zaczepiając się o jakąś niedokładność adresu—niedokładność, która nawet wyprawienie jego własnéj odpowiedzi trochę spóźniła—podaje adres właściwszy, starannie odrysowywa kształt koperty i wypisuje rozmieszczenie tytułów osoby, nazwisk miejsca i t. p. Jest to prawdziwie kobiece Post Scr. ze swoją główną, a niedopowiedzianą myślą. Tak je sobie tłómaczymy przynajmniéj. Kwestyą interesu rozstrzygnął już przecież sam, nie ma nic więcéj do powiedzenia; jako szczery Anglik powinienby życzyć sobie nawet, aby jemu nic już do powiedzenia nie miano; lecz on przeciwnie, uchyla furtkę losowi, może się nią jeszcze słówko jakie z tych wschodnich stron przeciśnie, w każdym razie niech będzie, jakoby się tego spodziewał. I rzeczywiście było, jakoby go w ten sposób zrozumiano. Nawiasowo wspomnieć musimy, że Strzelecki pisał po francuzku, łatwą, obfitą w wyrażenia, ale niezbyt poprawną francuzczyzną. Gdyby się uwziął na to, by z doskonałą wiernością naśladować błędy przez Anglików popełniane, nie mógłby chyba trafniéj umierzyć tego stopnia, na któ-

rym Anglik śmiesznym być przestaje, a wcale nie zaczyna rodowitego Francuza udawać: jest to coś gładko z angielskiego przetłómaczone. Prawdę mówiąc, nie spotkaliśmy się ani w Saskim ogrodzie, ani w bawialnych pokojach tutejszych z taką ściśle odważoną dozą francuzczyzny; albo nienaganna, albo też nie z *polska*, chyba z węgierska przekładaną bywa. Mniejsza o to zresztą. Korespondentka odmową się nie obraziła, tonem listu ująć dała, i pisząc powtórnie prosiła o przysłanie sobie fotografii znakomitego podróżnika. Fotografia nadeszła z krótkim, jeszcze grzeczniejszym i prawie wesołym listem. Zwrotną drogą dziękując, zażądano znowu dzieł autora. W Królestwie nigdzie nie można było ich dostać; znano je tylko ze wspomnień i cytat po innych książkach umieszczanych. Autor dzieła, lub raczéj jedyne najważniejsze dzieło swoje o Nowéj Południowéj Walii, w kilka tygodni nadesłał, a przy dziele był list znacznie dłuższy od poprzedzających, nie na jednéj już ćwiartce skończony, ale na drugą stronicę drugiéj zachodzący. Jest tam ciekawe objaśnienie co do możliwéj, a raczéj co do niemożliwéj obecnie komunikacyi przesyłkowéj między Warszawą a Londynem. Tygodnik Illustrow. przetłómaczył ten ustęp: jest tam lekko, bardzo lekko dotknięta kwestya hrabiowskiego tytułu: cośmy znowu w tym szkicu biograficznym przetłómaczyli. Wszystko to wypowiedziano chłodno, urzędowo niejako „businesslike fashion,“ lecz ze wszystkiego, nawet z owego potrącenia o sprawy familijne, jasno widać, że starzec powoli, z przyjemnością zaczyna się rodzinném powietrzem zaciągać, że lżéj mu się zrobi kiedyś, gdy z piersi jakkolwiek wygodnie dopasowaną, żelazną koszulkę swoję będzie mógł odrzucić. Ha, nie odrzucił jéj, czasu zabrakło; w końcu 1873 roku dzienniki o jego śmierci doniosły. Czémże ten przeciąg od 1845 do 1873 roku zapełnił? Przez pierwsze cztery lata miał jeszcze piękne i odpowiednie swojéj żywo współczującéj naturze, swoim administracyjnym zdolnościom zajęcie.

Głód okropny trapił Irlandyą. W Anglii, w Szkocyi, we wszystkich osadach Wielkiéj Brytanii, natychmiast listy składkowe pokryły się mnogiemi zapisami i uzbierano 600,000 funt. ster. czyli 15 milionów rubli, co znaczy na dzisiejszą wartość pieniędzy ze dwa, jeśli nie ze trzy razy tyle. W różnych naukowych i nienaukowych dziełach, spotykaliśmy się nieraz ze wspomnieniami i opisami téj fenomenalnéj klęski. Ekonomista rozważał przyczyny, które ją spowodowały; lekarz badał hygeniczne warunki, wśród których się rozwinęła; powieściopisarz malował jéj dantejskie okropności; a wszyscy razem kończyli mniéj więcéj tą pochwalną uwagą, że jeśli nieszczęście było nadzwykłém, anglosaxońska rasa

zdobyła się też na nadzwykłą sprężystość w zapobieganiu jego; skutkom, w wynajdowaniu środków ulgi i ratunku. Bo prawda nas samych oburzała społeczność bogata, szczęśliwa, potężna, a jednak zdolna dopuścić, by taka otchłań nędzy i rozpaczy pod najpiękniejszą z jéj trzech pięknych koron się rozwarła; mimo całego oburzenia jednak, musieliśmy sami przed sobą wyznać, że w głębi serca zazdrościmy téj społeczności. A nie jéj bogactw, nie jéj szczęścia, nie jéj na krzywdę drugich użytéj potęgi—zazdrościliśmy tylko jéj wielkiego do ocalania drugich talentu. Fundusze milionowe z niepospolitą szybkością zgromadzone mniéj nas dziwiły, niż praktyczność ich użycia. Trzeba pamiętać, że miano do czynienia z ludnością dziecinnie lekkomyślną, od kilku wieków na stare biedy zobojętniałą, przeciw nowéj i niespodziewanéj biedzie moralnie i fizycznie bezbronną. Energiczniejsi uciekali do Ameryki; inni opuszczali ręce i marli z głodu lub z tyfusu, po swoich w ziemię zapadłych lepiankach. Wnet wszelako pod kierunkiem głównego komitetu zawiązało się mnóstwo komitetów miejscowych; otwierano szpitale, zakładano kuchnie bezpłatnie wydające ciepłą strawę; stosownie do odległości zamieszkania, stosownie do charakteru, częstokroć niegotowaną żywność wydzielano jednodniowemi lub tygodniowemi porcyami: a to wszystko z wyśmienicie urządzoną kontrolą, z zabezpieczeniem szanującéj niedolę względności—wszystko składnie, poczciwie, rozumnie, jak przystało na prawdziwą jałmużnę religijną dla niedołężnych. To jedno dobre. Drugie dobre jeszcze lepszém było. Zaczęto wznosić rządowe i municypalne gmachy, bić drogi, sypać tamy, stawiać mosty, osuszać niektóre bagna, dostarczać zewsząd zarobku, sprowadzeniem zboża zakup jego uprzystępniać; znów wszystko składnie, poczciwie, rozumnie, jak przystało na wsparcie prawdziwie społeczne dla słabych lecz nie upadłych jeszcze. Zrobiono wszystko, co tylko ogół mógł zrobić, by w jednostkach siłę ducha podtrzymać, ochotę do samopomocy rozbudzić. To mądre zagospodarowanie obfitością wśród zniszczenia, ta szkoła zabieżności, pracy, energii otwarta tuż nad zrębem wielkiego grobu — no, i choć trochę uczniów swoich kształcąca; zawsze to nas dziwną tęsknotą, a głębokiém przejmowało poszanowaniem. Aniśmy się domyślali nawet, że w planie, kierunku i przeprowadzeniu tak trudnego zadania ziomek nasz Strzelecki główną odgrywał rolę (1). List jego dopiero po raz pierwszy nam to objawił.

---

(1) Tę główną rolę własném zdrowiem opłacił; dostał głodowego tyfusu i do końca życia śladów jego pozbyć się nie mógł.

Rysując i wypisując ów adres, który nas powiódł na pokuszenie domysłów, Strzelecki zamieścił cały szereg majuskulów, niby ogon komety przy gwiaździe swego nazwiska; zapytany o ich znaczenie, bardzo zręcznie korzystał ze sposobności—może zresztą nie myślał o korzystaniu i na zręczność się nie brał, tylko w prostocie ducha, bawiąc się nieświadomością dalekiéj korrespondentki, przesłał jéj w wykładzie znaków, treściwy szkic zarazem swojéj biografii, od epoki podróżowéj zacząwszy, ma się rozumieć. Ciekawe jest to świadectwo samemu sobie wydane, dlatego bez tłómaczenia je podajemy:

Je ne m'étonne nullement, que les initiales qui suivent mon nom vous eussent intriguée; car il n'y a qu'en Angleterre qu'elles sont requises par l'usage et qu'on s'entend sur ieur signification. Ainsi dans la page que j'ai détachée du „*Guide de la Cour*" ci-joint exprès pour vous satisfaire, vous trouverez aisément la rue où je demeure et mon nom, que j'ai souligné en crayon rouge. Or, en prenant lieu *les lettres K. C. M. G.* signifient: l'Etoile de l'ordre de St.-Michel et St.-George, conferée par la Reyne (sic) pour mes explorations de 5 années en Australie, pour la découverte de l'or—la decouverte de nouvelles régions accessibles à la colonisation et finalement pour les constructions des cartes topografiques et geologiques, basées sur des observations astronomiques.

Vient C. B. une abréviation comme la précédente de l'Ordre de Bain, qui me fut accordé par la Reine pour mes services de 4 ans en Irlande pendant la désolation de ce pays en 1846 par la famine et maladies contagieuses et où j'administrais les souscriptions de 15 milions de roubles (600,000 livres sterling) que l'empire (sic) a souscris, et que le Commité de la Cité de Londres et le gouvernement m'ont confiés pour le secours et le soulagement des populations indigènes.

D. C. C. veut dire: „Docteur en Droit Civil," distinction académique et dont l'Université d'Oxford m'a honoré pour mes services.

F. R. S. dénote: „Membre de la Société Royale de Londres" (analogue à l'Institut de France), à laquelle je fus élu en conséquence des recherches scientifiques.

F. R. G. S. dénote: „Membre de la Société Royale Géographique" — élection due à l'ouvrage, que j'avais publié en 1845: „Physical Description of New South Wales and Van Diemens Land" et que cette Société a couronné par une medaille d'or.

Je suis presque honteux de vous en avoir parlé tant de moi même, mais vous m'avez demandé l'explication des signes presque cabalistiques pour vous, et forcé de vous les donner dans toute leur étendue. En même temps je vous prie de croire que quelque (sic) soit la valeur de ces distinctions dont on m'a honoré, loin d'être des témoignages des faveurs ou de la cour, ou du public anglais, elles ne font que représenter une série des services et des travaux bien sérieux et fatiguants et qui me réduisent au moment, où je vous écris à l'état d'une cartouche épuisée. Voilà, Madame, ou j'en suis."

Wracając teraz do irlandzkiéj missyi Strzeleckiego, sama nieobecność jego nazwiska bardzo wymownie świadczy, że nie „faworom publiczności angielskiéj" winien był otrzymaną nagrodę. Publiczność poprzestała na wymiarze ścisłéj sprawiedliwości; był wprawdzie i naddatek maleńki. Towarzystwo angielskie ofiarowało mu srebrny serwis do herbaty, na pamiątkę uśmierzonego głodu w Irlandyi; ale faworu nie było. Żaden rozgłos nie utrwalił jego nazwiska w pamięci trochę daléj krążących tłumów. A stało się to przypadkowym zbiegiem okoliczności; nie podstawiono innych nazwisk i nie poprzekręcano faktów, jak przy opisie bitwy pod Samo-Sierra, nie odepchnięto oczywistości, nie zaprzeczono prawdzie, jak to się jeszcze przed Kopernikiem i jeszcze po Sobieskim działo: w tém głuchém przemilczeniu żadnego nie miały udziału ani zazdrość narodowa, ani uprzedzenia plemienne; stało się tak po prostu dla tego, że nikt na całéj powierzchni Wielkiéj Brytanii, ze wszystkiemi przyległemi jéj wyspami, nie czuł najmniejszéj łączności osobistego interesu względem téj cudzoziemskiéj nazwy. Ani sercowa potrzeba, ani kusząca próżność nikogo nie podżegły do wydzielenia jéj z ogólnego tła wypadku, bo któż się nią pochlubić, kto pochwalić mógł przynajmniéj wobec drugich? na kogożby jéj blasku spłynęło odbicie? Najrzetelniejsze ogłoszenia sprawozdań nie dadzą przecież rozgłosu. Rozgłos prawdziwy ze swoim hałasem, ze swojemi owacyami—och! nie owacyami jednéj godziny lub wieczornego fakelcugu, ale temi, co trwają przynajmniéj na całe życie następnego pokolenia — taki rozgłos idzie echem od serca do serca, pierwéj nim od ucha do ucha płynąć zacznie. Sam piękny czyn nie wystarcza; nie wystarczy nawet jawne piękności jego uznanie, jeśli słowa uznania w przelocie swoim nie potrącą o pierś jakąś szczerze kochającą człowieka, lub nie zatargną szpagatu, co we wspólny egoizm gromadkę jakąś lu-

dzi z owym człowiekiem obwija. Strzeleckiemu tych dwóch warunków brakowało jedynie.

Gdyby łaska dworu mogła rzeczywiście tak fantazyjnie szafować zaszczytami, jak nie może właśnie, to prawdopodobniéj trochę, dałoby się o względność pewną i słabostkę dla Strzeleckiego posądzić. Strzelecki ciągle bywał u dworu, bywał co tydzień. Zdaje się, że to stanowiło główne jego zajęcie po powrocie z Irlandyi. Jakkolwiek w jednym ze swoich listów pisze, jakoby wyłącznem zadaniem jego życia, „wyłącznym celem wszystkich jego usiłowań było bezprzestanne zdobywanie wiedzy i badanie możliwych jéj zastosowań;“ z tych ostatnich lat kilkunastu wszelako, żaden ślad poważniejszéj pracy jego nas nie doszedł. Zostały same tylko gawędkowe i rodzinne o nim ploteczki.

Z gawędek tedy i ploteczek wiemy, że co tydzień bywał u dworu, że był dobrze widziany, królowa nawet bardzo go lubiła, a on względem królowéj nadzwyczaj się okazywał lojalnym. Kiedy najstarsza jéj córka wychodziła za dzisiejszego księcia następcę tronu Cesarstwa Niemieckiego, według zwyczaju panów angielskich, złożył młodéj oblubienicy podarunek z brylantów wartości kilku, mówiono nawet, że kilkunastu tysięcy funtów sterlingów. Równie kosztownemi upominkami obchodził każde małżeństwo, każde imieniny w licznéj rodzinie królowéj przypadające. Długo bardzo utrzymywała się w Poznańskiém pogłoska, że uroczyście zrobił testament, na mocy którego JKMość królową W. Brytanii Wiktoryą, ogólną swoją spadkobierczynią mianował. Wiadomość ta po jego śmierci dopiero okazała się fałszywą (1). Przed śmiercią poprzedziła ją inna, daleko dziwaczniejsza. Opowiadano sobie, że Strzelecki nietylko z łask wypadł, ale ściągnął na siebie surowe oburzenie królowéj za to, że bałamucił jednę z młodych jéj panien honorowych; lecz że to było mniéj więcéj około tego czasu, gdy sam o sobie pisał: „à mon age 76 ans bien sonnés,“ przypuszczamy, że gdyby coś podobnego zdarzyć się mogło, to królowa raczéj na swoję frejlinę gniewać się była powinna, że jéj wiernemu i rycerskiemu staruszkowi spokój serca zakłóca, a nie na siwo-włosego „bałamuta.“ Bałamut, co prawda, wcale jeszcze zgrzybiało na swojéj fotografii nie wygląda, a był w nader przyjaznych stosunkach ze sławnéj (nawet bałamutnie sła-

(1) Tu i owdzie dawało się też słyszeć, że całe mienie swoje przybranemu synowi przeznacza, lecz znów potém odwoływano te wieści.

wnéj) pamięci Palmerstonem. Drugostronnie jednak przed podejrzliwością czytelników może go osłonić do śmierci zachowana życzliwość arcybiskupa westminsterskiego, Manninga; osoby wysokie znaczenie mającéj w katolickim kościele, a przez różne stronnictwa angielskie, dla charakteru swego, wysoko także w Anglii poważanéj. Ta wzmianka jednak, że istotnym zasługom a nie łaskom dworu nagrody swoje zawdzięcza, daje nam trochę do myślenia. Z tego co wiemy o sir Edmundzie, nie przypuszczalibyśmy najlżejszéj niedoceny łask dworskich, och! przeciwnie. Lecz co nam do tego! chcemy tylko faktów się trzymać. Faktem jest, że Strzelecki zajmował na Savile Row Nr. 23 w Londynie bardzo wspaniałe pomieszkanie, miał piękną galeryą obrazów, czterech służących, wykwintne powozy, dwa konie pociągowe, jednego wierzchowca, i lordowskie życie pędził, z tém ułatwieniem, że nie potrzebował w izbie lordowskiéj bywać, do późna w noc czasem nad billami rozprawiać, a z izbą gmin o prawa i przywileje się sprzeczać. Zimę 1872 roku i początek 1873 dla poratowania zdrowia na południu Europy spędził. W Maju do Anglii wrócił, dnia 20 Sierpnia ostatni do swojéj korrespondentki i zapewne ostatni do kraju list napisał; 6 Października umarł.

Skoro tylko dzienniki o śmierci Edmunda Pawła Strzeleckiego doniosły, licznie rozrodzeni po bracie i siostrze prawni spadkobiercy— w ciągléj wątpliwości za życia swego stryja i wuja trzymani, różnemi pogłoskami—jeszcze bardziéj zaniepokoili się, gdy ich nowa teraz doszła pogłoska, że ten krewny wszystkie swoje krezusowe skarby jakiemuś obcemu indywiduum zapisał. Podróż do Anglii z perspektywą może dość długiego pobytu w Londynie, wcale nie jest przystępną rzeczą dla bardzo średnio-majętnych osób: złożono się jednak na koszta podróży, wyprawiono wspólnie uwierzytelnionego pełnomocnika, i rozpoczął się ciekawy w swoim rodzaju proces. Krewni, jako poddani pruscy, w ambassadzie niemieckiéj pierwszy punkt oparcia znaleźli, a wkrótce też znalazł się i prawnik miejscowy, podejmujący się własnym kosztem interes prowadzić. Idzie ni mniéj ni więcéj tylko o dowiedzenie fałszerstwa testamentu, lub w najlepszym razie opanowania umysłu i przymusowego działania, na złożonego chorobą zapisodawcę. Przez te dwa lata wykryto jedynie, że istotnie przystęp do chorego był pilnie strzeżony; nawet arcybiskup Manning, pomimo dwukrotnych odwiedzin, nie był do umierającego wpuszczony. Lady Herbert, wdowa po jednym z najbliższych przyjaciół Strzeleckiego, przebojem doń tylko utorowała sobie drogę, lecz podobno ani długo, ani szczerze, w obecności czuwającego dozorcy rozmawiać nie mogla i nie chciała.

Prócz tych dwóch szczegółów, wszystko zresztą mgła tajemnicy pokrywa, zwłaszcza też, jaki majątek? gdzie on? ile go? tego nikt z rodziny, choćby w przybliżeniu na domysł oznaczyć nie może. Z pomieszkania, ze sposobu życia wnioskować łatwo, że był dostatni, z vox populi sądzićby można, że większy niż Syndbada z Bassory. Okręty jego kupieckie zawijały do portów wszystkich pięciu części świata; do Indyi Wschodnich i Zachodnich, do Ameryki Północnéj i Południowéj, do Rygi i Liverpoolu; wydzierżawione placery i łąki Gipp'slandu strumieniami złota płynęły do jego szkatuły; a jakby na potwierdzenie tych rojeń z Tysiąca nocy i jednéj, przed niedawnym czasem do mieszkających kędyś nad Dźwiną dwóch braci rozbitego na morzu Archibalda, zgłosiła się jakaś współka przemysłowców angielskich, trudniących się zakupem lasów w głębi Rossyi, i ta współka o wytoczonym procesie powziąwszy wiadomość, dała znać panom Duglasom, iż większą część jéj kapitału obrotowego stanowią akcye przez sir Edmunda Pawła Strzeleckiego zakupione. Jednocześnie prawie strona przeciwna wystąpiła z oświadczeniem, że gotowa jest po tysiąc funt. st. na każdą głowę w rodzinie zapłacić, od najstarszych do najmłodszych licząc. Jest tych głów dzisiaj coś około sześćdziesięciu według naszego rachunku. Wszystkie się na to zgodziły, by sprawę daléj popierać.

O Dikensie! Dikensie!

Przysłano też nam trochę niedokładnie, gdyż bez daty—i trochę niegładko, gdyż przez wychowankę niemieckich pensyi, wpół cudzoziemkę tłómaczony odpis z testamentu nieboszczyka; podajemy go tutaj, nadzwyczaj oględnych, tylko językowych dozwalając sobie poprawek. Brzmi on jak następuje:

To jest ostatnia moja wola. P. E. Strzeleckiego, Savile Row Nr. 23.

Postanawiam, aby natychmiast wszystkie moje długi były zapłacone.

Daję i przekazuję lady Herbert of Lee of Wilton House Salisbury: srebrny serwis do herbaty, zamknięty w dwóch szkatułeczkach z różanego drzewa, serwis, który dostałem od angielskiego towarzystwa za uśmierzenie głodu w Irlandyi 1847 r. Proszę lady Herbert, aby raczyła to przyjąć, jako od prawdziwego przyjaciela sir Sidney Herbert'a (ministra wojny). Również proszę lady Herbert, aby wybrała sobie z mojéj galeryi obrazów i z mojéj biblioteki to, co jéj się będzie podobało.

Daję i przekazuję wiernemu służącemu mojemu p. Hen-

rykowi Stokes 1,000 funtów ster., które mają mu być wypłacone w miesiąc po mojéj śmierci. Zapisuję mu przytém moją garderobę, bieliznę, pościel i łóżko; reszcie zaś służby, która będzie obecną méj śmierci, zapisuję roczną pensyą po 200 funtów sterlingów.

Obowiązuję, mianuję, rozporządzam i postanawiam mego serdecznego przyjaciela p. Johna Lamps-Saverá, prokurenta firmy Charles Devaux i Spółka, na King William Street Nr. 62, na mego ogólnego spadkobiercę i egzekutora testamentu.

Resztę mego majątku (pewnie *resztę* znaczy tu prócz zapisów) w złocie, srebrze, papierach, w assekuracyach, meblach, powozach, koniach, brylantach przekazuję na wyłączną własność pana Johna Lamps-Saver'a.

Proszę egzekutora mego testamentu wszystkie moje papiery, pamiętniki, notatki, wyciągi, listy do mnie adresowane, małe odcinki, zgoła wszystko, co nosi nazwisko papieru, zaraz po mojéj śmierci spalić.

Żądam przytém od przyjaciela mego, aby pogrzeb mój był jak najskromniejszy, a pod żadnym warunkiem, aby na grobie moim nie było żadnego pomnika, ani kamienia, któryby nosił moje nazwisko: ponieważ śmierć jest zapomnieniem, a więc kawałek darniny najstosowniejszy będzie.

Odwołuję wszystkie moje dotychczasowe rozporządzenia."

Między temi rozporządzeniami była niezawodnie i pensya, którą wiekowéj wdowie po swoim bracie wypłacał, i o któréj w pierwszym z trzech wspomnianych listów swoich wspomina!

Nieraz już w życiu układając bilans trosk i pomyślności naszych, przyznawaliśmy, że jakiekolwiek spotykały nas w tych ostatnich niedobory, zawsze jednak dwa wielkie szczęścia mieliśmy prawo pod ich rubrykę zaciągnąć: nie urodziliśmy się tam, gdzie termometr po za 30° Réaumura niżéj zera spada; i nie mogliśmy być sędzią żadnego trybunału. Skazywać winnych zdaje nam się jakąś przerażającą odpowiedzialnością; ale między dwiema stronami spierającemi się o pieniądze wyrokować: która z nich ma słuszność? to już w naszém przekonaniu—mądrość Salomonową przechodzi. Król judzki tylko dwie matki kłócące się o dziecko rozsądził. Tu, prawa właścicielka niezawodnie owo dziecko więcéj od nieprawéj kochała; lecz pieniądze? czy prawi, czy nieprawi właściciele pewnie je równo kochają, a tak dowodnie jakoś bronią, że nigdybyśmy nie zdołali sprawiedliwego lub przynajmniéj zgodnego z prawem ogłosić im sądu, zawsze nam się widzi, że

obie strony „mają racyą“ i że obie strony „nie mają racyi.“ I w tym procesie o spadek po Strzeleckim nie pozwalamy sobie uprzedzać domysłami przyszłego jurisprudencyi angielskiéj wyroku; czy testament zupełnie sfałszowany, podrobiony, czy przerobiony tylko? z ciekawością prawnego rozstrzygnięcia téj kwestyi czekamy, ale ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że kwestya „papierowa“ przez dotychczasowego spadkobiercę już roztrzygniętą została, i rzeczywiście wszystko, co się papierem zwało—spalono! W tym zawziętym nakazie bezwarunkowego zniszczenia wszelkich śladów osobistego życia, jeśli nie tkwi w głębi doradzona przez prawnika ostrożność, to przebija niezawodnie gorzki żal jakiś do ludzi, coś jakby świeża uraza, może boleść nowa i niespodziewana. Przypuśćmy naprzykład: utrata łask dworu z podanego w gawędkach ludzkich powodu? Trudno zaprzeczyć, że i stawione *przyjacielowi* żądanie, aby „pod żadnym warunkiem“ nawet płyty kamiennéj z nazwiskiem na grobie jego nie położono, ma raczéj akcent wielkiéj do świata niechęci, niż akcent filozoficznéj obojętności, albo głęboko chrześciańskiéj pokory. Słowa testamentu wtórują niejako ostatnim słowom ostatniego listu: „Mes tendres veux pour votre bonheur, supposé qu'en effet il y eut du bonheur sur notre globe...“ Bez wykrzykniku, ale kropkami myśl niedopowiedzianą, w nim samym daléj się snującą, zaznaczył. Pod piórem innego człowieka byłby to najpospolitszy z pospolitych komunałów, lecz tutaj oryginalną wartość nadaje mu osoba piszącego: czy jest szczęście na naszym globie? Zwiedził on ten glob na wszystkie strony, opłynął go do koła, ale żegnając się z tobą, w przestrodze niby, zwątpienie twoje chce rozbudzić; on sam dla siebie z pewnością już wie, że szczęścia nie ma, tylko na pociechę dowiedział się także, iż „śmierć jest zapomnieniem,“ i w ten smutek starości, niby w całun hadesowych cieni owinięty, głowę odwracając, na wieczny spoczynek w łono ziemi zestępuje. Niechże ta ziemia, choć obca, lekką będzie smutnemu!

Spostrzegamy się, że choć pisaliśmy o rodzinnych i miejscowych pierwiastkach osobistości Strzeleckiego, wszakże dłużni jeszcze jesteśmy pewne objaśnienie względem tego, cośmy nazwali „jego wiernie przechowaną plemiennością.“ Co do rodzinnych pierwiastków, jużeśmy tu napomknęli, że przez dziecięcą prawie i bezsądną obojętność swéj matki, zasięgnął on trochę usposobienia dawnych, z czasu swego dziadka, Raczyńskich. Nie miał ich dodatniéj, że tak powiemy, zdolności w bardzo ujemnym niestety! kierunku, ale miał bardzo ujemną w kierunku dodatnim. Nie szkodziłby on krajowi, ten syn „świętéj pani,“ poczciwie prostomyślnéj kobiety, lecz, nie pojmował też jak ona nie pojmowała, że ma do spełnienia

w tym kraju pewne obywatelskie obowiązki. Łatwo mu było oddalić się, naturalizować się w obcéj ziemi, żyć z obcymi, słowem miał zdolność *wychodźtwa*. Co do miejscowych usposobień, niektóre osobliwości jego wad i zalet—wad szczególniéj—wytłómaczyły nam się resztkami dwóch prowincyonalnych, a połączonych w nim typów. Główne tło życia wszelako, główny charakter pism jego, tylko z tła i charakteru narodowéj plemienności zrozumieć możemy. Bo też ze krwi i z nerwów, z niedostatków i z bogactwa natury swojéj był Strzelecki wybornym, jako się rzekło, okazem słowiańsko-polskiéj rasy. Przedewszystkiém miał jéj młodocianą *niekonsekwentność*, to jest: brak spoistości między charakterem przez ciąg życia „wyrabianym,“ a dziedzicznie z klimatu i najdalszéj przeszłości otrzymaną naturą. Gdyby miał naturę odpowiednią charakterowi, toby nie poprzestał na kilkunastu latach wycieczek i czterech latach służby publicznéj. Anglik na jego miejscu zostałby wice-królem Indyi, albo założyłby gdzie nową Pensylwanią dla Irlandczyków, albo z jaką wyprawą podbiegunową popłynąłby na odszukanie swego przyjaciela sir Johna Franklina, albo w głębi Afryki połączyłby się z Livingstonem—a musimy tu zaznaczyć pobieżną tylko uwagą, że całe królestwo Wielkiéj Brytanii głośniéj uczciło odkrycia Livingstona niż Strzeleckiego, choć mu bez zaprzeczenia Strzelecki odkryciami swemi, przynajmniéj po chwilę bieżącą, daleko większe materyalne zabezpieczył korzyści. Livingstone oddał za to ważniejsze nauce przysługi; trzeba ztąd wnioskować, że poddani JKM. królowéj Wiktoryi mają prawdziwie idealne zamiłowanie wiedzy dla wiedzy, a mniéj cenią wiedzę dla zysku: niech i tak będzie. Wracając do Strzeleckiego, gdyby on miał charakter odpowiedni swéj naturze, toby znów może wstąpił na drogę Szamotulskich lub Beniowskich; a może też zasiadłby przy jednym stole biurowym z księciem Lubeckim, może Staszica górnictwo na szerokąby skalę rozwinął; lecz téj odpowiedniości doskonałéj, téj konsekwencyi, zdolnościom jego brakowało. Miał natomiast w wysokim stopniu dobre, po słowiańsku dobre serce, po słowiańsku łagodną naturę. Używamy tych wyrażeń, póki antropologia nie uświęci naukowych jakich określników dla pewnego stanu duszy i organizmu, w którym to stanie, czuje się wstręt do cierpienia... nietylko zwierząt, ale i współbliźnich, coś wręcz przeciwnego okrucieństwu i rozkoszy pastwienia się nad drugimi. Skłonność ta cechowa nie bardzo świeci w dziejach ludzkości, nie kieruje ich sterem, nawet się nigdzie monumentalném dziełem nie upamiętniła; bo też jest dopiero w zawiązku niby,

w przededniu jakiéjś stanowczéj ewolucyi. Na dziś—z dnia wczorajszego nic jeszcze nie wytworzyła, ani cyklu zdarzeń historycznych, ani państwa, ani ustawy. Buckle stanowczo przeczy jéj cywilizacyjnemu znaczeniu. Michelet nawet za niepotrzebną, szkodliwą dla rządzących ją uznaje; według niego Ludwik XVI przez dobre serce, ponieważ nie mógł bez przykrości patrzeć na smutnych, do rozpaczy przywiódł tych wszystkich, którzy zbyt daleko od niego stali. Jest to prawdziwe jak rachunek matematyczny, tylko w matematyce przecież nie znają takiéj liczby, do którejby jeszcze jednéj jedności dodać nie można było; w ewolucyach dziejowych, nie znamy także ewolucyi, którąby stanowczą erę nowych usposobień i pojęć zamknęła. Lecz dajmy pokój hypotezom—faktem jest to: że między człowiekiem jaskiniowym, któremu jak się pokazuje ze szczątków spalonych kostek, mięso dzieci łakotką było, a człowiekiem, który bez wzruszenia płaczu dziecka słyszeć nie może, a na krwi rozlew wcale patrzeć nie lubi, już w organizmie samym wyraźna ewolucya zajść musiała. Że najwybitniéj w rasie słowiańskiéj się rozwinęła, *ujemnie* zaświadcza to jéj tylo-wiekowa bezradność i bezbronność wobec ras mniéj łagodnych—ba! wcale niełagodnych nawet, a *dodatnio* zaświadczają wszystkie jéj prace umysłowe, tok ich pojęć, mózgowy mechanizm ich logiki. Wyrażenia układają się Słowianom w ten szyk anti-kanibalizmowy, zasady w ten porządek, wynikłości snują się ciągle z tegoż wspólnego na ludzkie mięso niesmaku. Zresztą nie przesądzamy, czy to piękne i zbawcze, czy niedorzeczne i zgubne? to inna kwestya, na którą miejsce w krótkim życiorysie bardzoby się nie właściwém okazało; widzimy tylko, że tak jest. Gdy jedno i to samo np. spostrzeżenie humanitarne podbudzi do nowych wniosków bystry umysł człowieka, dajmy na to, ze skandynawską plemiennością, i człowieka z plemiennością słowiańską—przy równéj mierze zdolności, wykształcenia, zasobów naukowych—jeden temu spostrzeżeniu inne, a drugi pewnie inne wskaże zastosowanie.

Otoż Strzelecki nietylko w wypowiadaniu własnych wrażeń, ale i w sądach swoich, w radach podawanych angielskiéj społeczności, jest nawskroś Słowianinem. Cały rozdział, załączony tu w tłómaczeniu, najwymowniéj tego dowodzi; szczególniéj ostatnich wyrazów 5-go przypisku żaden uczony Got ani Celtby nie napisał, ale napisał nasz ziomek, pomimo że sam pierwszy wyśledził przyczyny i w prawo antropologiczne, przez uczonych *Strzelecki's law* zwane, ujął warunki znikania z powierzchni ziemi slabszych ras i plemion. Cóż miał na to poradzić? wszelkich starań dokła-

dał, żeby się na Anglika zamienić, a *taki*, jak mówią Ukraińcy, słowiańskie serce głośno mu w piersiach uderzało, aż do głowy biło.

A niechże nas kto nie posądzi przynajmniéj, jakobyśmy powiedzieć chcieli, że się w Anglika nie zamienił dlatego, iż miał dobre serce; owszem już nadmieniliśmy tutaj, że gdyby jako Anglik miał takie dobre serce, toby dla nieszczęśliwych nowe części ziemi poodkrywał i urządził. Lecz on miał tylko prawdziwie dobre słowiańskie serce, a nie po angielsku; nic mu na tém nie zależało, by jego popędy praktycznie spożytkować; zdaje nam się, że niekoniecznie lubił dobrze czynić, mówimy tylko, że złe na drugich spadające, złe w kształcie krzywdy, okrucieństwa i cierpień, było mu wstrętne. W Anglii mógł właśnie jeszcze wyżéj ten instynk swój podnieść, mógł go pożyteczniéj uszlachetnić, nie on mu też Anglikiem być przeszkadzał. Przeszkadzało Strzeleckiemu to, co sam własnemi wyraził słowami: pochodził on z narodu przyrosłego do swéj ziemi; miał zdolność wychodźczą, nie miał zdolności osadniczéj; miał wielkie powodzenie, nie miał drobnego, maleńkiego, na swoją własną domową potrzebę szczęścia—jako róży alpejskiéj, w cieplejszy nawet klimat i żyźniejszą glebę przesadzonéj, wszystkie pączki opadną, a ciernie tylko zostaną: tak jemu odpadły niektóre najpiękniejsze kwiaty radości z drzewa jego życia, a został wiecznie odradzający się cierń mimowolnego żalu i zaprzeczonéj tęsknoty. Gładkim wspaniałym przez świat kroczył gościńcem; ale na tym gościńcu jednak pozostał on zawsze „błędnym wędrowcem“ tylko: mybyśmy zaś powiedzieli „samotnym przechodniem.“

* *
*

Jeśli niewiele osób dotychczas z nazwiska znało Edmunda Pawła Strzeleckiego, to bardzo maleńka liczba wśród znających nawet, wiedziała stanowczo, jakie w dziedzinie naukowéj położył zasługi. a bodaj czyby się u nas choć kilku takich znalazło, coby już dzieło jego czytali osobiście, nie ze sprawozdań naprzykład. Zapewne i potém nikt czytać nie będzie; musiałaby chyba nauka geografii bujnym kwiatem w kraju naszym zakwitnąć, żeby się znalazł jaki uczony, coby rzeczywiście zapotrzebował tak drobiazgowo źródłowéj o Nowéj Hollandyi pracy. Ostateczne jéj wyniki dawno już spożytkowane zostały i w summę ogólną rozpowszechnionych wiadomości wsiąknęły. Nie chcemy jednak, żeby czytelnicy życiorysu, na wiarę lub na nieufność przyjęli wszystko, cośmy

o zdolnościach i ważności odkryć naszego ziomka napisali; dlatego też, równie jak dla rzeczywistéj wartości, przetłómaczyliśmy cały rozdział, o którym autor tak się wyraża: „Je crains que pour la genéralité des lecteurs l'ouvrage présente peu d'attraction, excepté peut-être les notes dispersées par-ci, par-là, et qui sont extraites de mon journal inédit. Il y a aussi l'article sur les Indigènes de l'Australie et des autres pays, qui se recommande par le côté triste de leur histoire, qui se borne à constater le fait „qu'ils furent et en peu de temps ne seront plus"—la cause de leur decroissance est aussi curieuse qu'importante au physiologiste: je l'avais avancé il y a 26 années et supporté par une multiciplité des observations et des faits. Depuis cette cause fut examinée dans toutes les parties du globe et se trouva constatée et passe comme une nouvelle loi physiologique portant mon nom." Rzeczywiście w kilku dziełach spotkaliśmy się ze wzmianką o tém prawie i z zachowaniem mu nazwiska Strzeleckiego. Czy tak jest ciągle, czy tak daléj będzie, toby mógł tylko ktoś wyłącznie fizyologią uprawiający zaświadczyć i wywnioskować. Tymczasem, aby czytelnicy sami mogli sprawdzić bez żadnego wnioskowania, jaka rzeczywiście była zasługa piszącego, podajemy najpierwéj tytuły rozdziałów tylko — z ich ustawienia najlepiéj każdy się przekona jak wszechstronna baczność eksploratora przed trzydziestu laty wzniosła się już na wysokość dzisiejszego stanowiska nauki— a gdy jeszcze dodamy, że każdy przedmiot téj baczności najściśléj został określony, zważony, zmierzony, obejrzany, słowem zbadany tak dokładnie, iż dziś jeszcze całe dzielo jest powagą dla geografów, badaczy i eksploratorów miejscowych: gdy to dodamy, a czytelnicy sami się przekonają, iż mówiliśmy im prawdę — to nam prędzéj wybór życiorysu i wykonanie jego przebaczą.

Fizyczne opisanie Nowéj Południowéj Walii i ziemi van Diemen,

z dodaniem mapp, sekcyi i odrysu znajdowanych tamże szczątków organicznych.

Za godło dziełu swemu położył autor następujące słowa:

„Rzeczywisty nasz obowiązek polega, nie na zbijaniu doświadczeń, które inni porobili; nie na śledzeniu usterków, które w dowodzeniach swoich popełnić mogli: ale na

zdobywaniu prawdy. Smutnym to jest faktem, że ludzie nauką i talentem uposażeni tyle czasu, tyle energii nieraz marnują na to tylko, by jedni drugim wzajemne błędy i pomyłki wytykali.“

Z chemii rolniczéj Liebig'a.

W dalszym ciągu pierwszą kartę zajmuje przemowa do sir Johna Franklina, któremu autor dzieło swoje poświęca w dowód głębokiego szacunku i osobistéj wdzięczności: za gościnne przyjęcie, za chętnie udzielane pomoce naukowe, za wszelkie możliwe w przedsiębranych wycieczkach ułatwienia i za inicyatywę do chlubnéj dla piszącego składki upominkowéj. Istotnie sir John Franklin w czasie przybycia naszego ziomka, był właśnie gubernatorem Ziemi Van Diemen, a sam najlepiéj mogąc zasługi nowego podróżnika eksploratora ocenić, zawezwał miejscowych obywateli, by ich uznanie na angielski sposób wyrazili. Z jego tedy natchnienia zebrano naprędce 400 funt. ster., i te zaraz z bardzo pochlebnym listem, jako też podpisami wszystkich składkujących, Strzeleckiemu do Nowéj Walii przesłano.

Następuje potém krótkie podziękowanie dla oficerów marynarki królewskiéj, o którém to podziękowaniu już eśmy w ciągu życiorysu wspomnieli—i wreszcie spis działów i poddziałów, który tutaj jako najtreściwszy program całego dzieła zamieszczamy:

Dział I. Odkrycia morskie i lądowe.

A. Odkrycia morskie czynione przez:

Kapitana Cook, admirała d'Entrecasteaux, panów Flinders i Bass, kapitana Flinders, kapitana Baudin, kapitana P. P. King, kapitana J. C. Wickham, kapitana J. L. Stokes.

B. Odkrycia lądowe czynione przez:

Naczelnego inspektora John Oxley, kapitana Stuart, Allan Cunningham Esq., naczelnego inspektora sir Tomasza Mitchel, C. J. Tyers Esq., P. E. Strzeleckiego, naczelnego inspektora Jerzego Frankland, Jego Ekscelencyą sir Johna Franklina. Wzniesienia lądowe ziemi Van Diemen i Nowéj Południowéj Walii.

Dział II. Magnetyzm ziemski.

Dział III. Geologia i Mineralogia.

Wstęp.

Ogólny pogląd geologiczny i fizyczny na Nową Południową Walią i ziemię Van Diemen.

Epoka pierwsza:

Pokłady i ich rozległość.—Opis mineralogiczny, *item* skał krystalicznych i skał osadowych.

Ogólne uwagi.

Epoka druga:

Pokłady, ich rozległość, uporządkowanie warstw (uwarstwowanie), rozpołożenie i szczątki organiczne.—Opis mineralogiczny skał krystalicznych i skał osadowych.

Ogólne uwagi.

Epoka trzecia:

Pokłady, ich rozległość i rozpołożenie.—Łożysko Newcastle.—Łożysko południowéj Esk.—Łożysko Jeruzalem.—Opis odłamów mineralnych w trzeciéj epoce utworzonych.

Epoka czwarta:

Pokłady, ich rozległość.—Luźno rozrzucone mineralne substancye.—Wzniesienie brzegów. — Okruchy kości. — Szczątki nagromadzone w dolinach.— Zakończenie.

Dział IV. Klimatologia.

Wstęp.

Atmosferyczne wiatry i prądy.—Ciśnienie atmosfery. — Deszcze.—Parowanie.—Ciepło słoneczne i przezroczystość atmosfery.—Chłonienie przez ziemię promieni słonecznych, promieniowanie czyli wydzielanie się ciepła.—Rosa i wilgoć atmosfery.—Temperatura.—Zakończenie.

Dział V. Botanika.

Wstęp.

Flora kopalna.— Dział węglowy. —Dział plioceniczny. —Flora teraźniejsza.

Dział VI. Zoologia.

Wstęp.

Flora kopalna. — Dział paleozoiczny: Polipy. — Mięczaki. — Dział plioceniczny: Mięczaki.--Ssące.

Fauna teraźniejsza:

Ssące.—Ptaki.—Gady i płazy. —Obrączkowate. — Ryby, Promieniste i Mięczaki.

Dział VII. O Krajowcach Nowéj Południowéj Walii i Ziemi Van Diemen.

Dział VIII. Rolnictwo.

Wstęp.

Gatunek gruntu, — Klassyfikacya. — Okolice pastewne i hodowla owiec.—Ulepszenia.— Ziemia (rolna) pod uprawę zdatna i uprawa jéj.—Rozbiór gleby.—Ulepszenia.— Zakończenie.

W téj stronie Australii istniała niegdyś, a w małéj liczbie utrzymuje się dziś jeszcze rasa ludzi, która zarówno jak okazy królestwa zwierzęcego, przedstawia wybitne cechy miejscowéj strefy. Długo bardzo żyła ona nieznana; teraz już szybkim krokiem do zupełnéj zagłady zdąża. Historya tego ludu nie ma kronik ani pomników; treścią jéj są podania, które tak jak język, zwyczaje, wyobrażenia, jak wszelkie warunki moralnego, społecznego i politycznego bytu, od chwili odkrycia tego plemienia, wydały się zbyt podrzędnym przedmiotem dla uwagi europejskich badaczy. Wszelkie spostrzeżenia tyczące się krajowców, czy to w opisie dawnych żeglarzy, czy dzisiejszych podróżników, odnoszą się więcéj do ich stosunków z osadnikami niż do ich stosunków z ludzkością.

Pochodzenie Australijczyków jest równie grubą ciemnością okryte, jak początek wszystkich niemal stworzeń w naturze. Dziejopis, któryby chciał koniecznie skreślić ich pierwotne wędrówki, wyśledzić ogniwa łączące ich z jakimbądź główniejszym a zawsze jednak pierwotnym szczepem rodu ludzkiego, miałby tak trudne zadanie przed sobą, jak i naturalista, któryby się pokusił o wytłómaczenie: zkąd się w Australii wzięły zwierzęta workowate i ornitorynksy? Nasuwa to oczywiście wniosek, że w naszych zaciekaniach się nad początkiem rodu ludzkiego, musimy poprzestać na prostych Biblii Świętéj wskazówkach.

Zewnętrzny układ krajowców Południowéj Walii i Ziemi Van Diemen, przedstawia cechy różnych innych pierwotnych plemion, u których także na wspólnym, typowym kształcie, piętno swoje odbić musiały zewnętrzne okoliczności: gatunek klimatu, wpływ odmiennych życia warunków i t. p. W Nowéj Południowéj Walii, gdzie ciepło sprzyja swobodnemu parowaniu ciała, a kąpiel stanowi prawdziwie rozkoszną uciechę, włosy mieszkańców są miękkie, połyskliwe; skóra jednolitéj barwy, gładka i miła w dotknięciu. Przeciwnie w ziemi Van Diemen wilgotnéj, nagłym zmianom

temperatury podległéj, kąpiel przestaje być pożądaną ochłodą, parowanie ciała na ciągłe przerwy narażone bywa, więc też i skóra jest trędowatą, od wiatru zgrubiałą, chorobliwemi wysypkami zeszpeconą; a włosy przedstawiają stek najobrzydliwszéj nieczystości, która to znów nieczystość — dla oszczędzenia grożących krajowcom w skutku ich nieporządku następstw—staje się przyczyną jeszcze wstrętniejszych zwyczajów (1).

W ogóle kolor skóry wszystkich tutejszych rodzinnych plemion, jest ziemisto-czarny. Wzrost mężczyzn od czterech i pół do pięciu i pół stóp dochodzi; głowę mają małą, tułów delikatnéj budowy, piersi zwykle wypukłe i dobrze rozwinięte; ramiona i golenie krągłe a muskularne; kolana nieco zaduże, łydki chude, stopy płaskie; pięty trochę wystające. Włosy ich powszechnie czarne, grube, ostre i proste; niektórym jednak miękko w pierścienie się wiją, lecz za to u innych wełniste są jak u mieszkańców Afryki. Zarost brwi, wyższéj wargi, brody, piersi i kości wstydliwéj, gęsty jest i bujny; zdarza się czasem, że z lekka nawet całe ciało pokrywa. Twarz, to najcharakterystyczniejsze znamię każdéj rasy, u nich przedstawia kąt rozwarty między 75° a 85°; czoło mają nizkie, oczy wielkie, szeroko od siebie rozsadzone, nawpół przysłonione górną powieką, z białkiem najczystszéj białości gdzieniegdzie żółto nakrapianém, z czarną dużą źrenicą i tęczówką nieodmiennie ciemno-piwnego koloru. Ponieważ otwory oczne są nadzwyczaj wydatne, nos zawsze bywa szeroki, spłaszczony, uwydatniają go tylko nozdrza mocno otwarte i rozdęte. Kości szczęk górnych są także bardzo wypukłe, ztąd policzki zapadłe, usta w szerokiém rozcięciu świecą białemi zębami i mają grube wargi; szczęka dolna jest krótka, ale nad miarę ku przodowi wystająca.

Wzrost kobiet jest nizki, twarz krótkością swoją i rysami zupełnie męzkiéj podobna, piersi zamiast kształtu półkulistego, u dziewcząt dojrzałych przybierają kształt ostrokręgowy, a wkrótce po zamęźciu tracąc go, stają się miękkie i obwisłe. Ramiona bywają chude, ręce drobne, miednica niezwykle wązka, dolne kończyny cienkie i wątłe, stopy duże, płaskie; nogi zawsze ku środkowi zwrócone. Ustrój kostny (osteologia) tych plemion nie przedstawia żadnych różnic anatomicznych, któreby za właściwą im cechowość poczytane być mogły. Utrzymywano kiedyś, że na niektórych trupio-głowach, w czołowych i twarzowych kościach,

(1) Nadmieniam tu o zwyczaju nacierania głowy mieszaniną gliny, czerwonéj ochry i tłustości rybiéj dla wytępienia rozmnażającego się robactwa.

spostrzegać się dawały pewne już stanowczo cechowe odrębności, bliższe jednak badania, liczniejszemi porównaniami wsparte, udowodniły, że zamiast wspomnianych różnic, spotykają się właśnie zupełne podobieństwa z trupio-głowami białych ludzi. W wielu okazach zauważano nawet, że kąt twarzowy u białych był ostrzejszy, kość brwiowa, środkowe skostnienie kości ciemieniowéj i osada tylnéj kości czaszki, więcéj rozwinięte, a dolna szczęka bardziéj na przód podana niżeli przy czaszkach krajowców.

Bądź co bądź, pomimo częściowéj niższości w budowie niektórych szczegółów, mieszkaniec Nowéj Południowéj Walii i Ziemi Van Diemen ma proporcyonalną postawę. Jego członki cieńsze i mniéj mięsiste niż członki kształtnego Afrykańczyka, przedstawiają tę samą symetryą w dobrze rozwiniętéj muskularności i silnie wiążących się stawach, tę samą krągłość, która cechuje murzyna, dlatego też porównany z tym ostatnim, krajowiec Australii szybszy jest w ruchach swoich i powabniejszy w chodzie. Jego lekkość, zręczność i gibkość najkorzystniéj się wydają, gdy biegnie, gdy się wdziera na wysokości, lub upędza za zdobyczą; a kiedy uderza na nieprzyjaciela, kiedy wstrząsa i rzuca włócznią swoją, to zaiste postawa jego wtedy pod względem męzkiego wdzięku nic nie zostawia do życzenia. W jego powierzchowności nie spotykamy jednak żadnych rysów, które dałyby nam prawo zaliczyć go do wspólnego działu, lub témbardziéj utożsamić z jakimbądź lepiéj znanym rodem ludzkości.

Mowa Australijczyków w składzie wyrazów swoich posiada to szczęśliwe ustosunkowanie zgłosek, jakie właśnie wysoko-harmonijny i dźwięczny język stanowi; wymawianiu ich wszelako brak zupełny czystości; nadają mu bowiem ów ton nosowy, który też słyszymy we wszystkich do nowego świata przeniesionych narzeczach europejskich (1). Z ułamkowo zebranych wiadomości byłbym dość skłonny zaliczyć język australijski do języków przekładnych (transpositives), niezależnych od przedimków i zaimków, gdyż przypadek i osoba określają się odmianami końcówek (inflexions). Badania naukowe nad tym językiem tak były zresztą za-

---

(1) Z żalem to przyznać trzeba, że przez niedbałość, czy też z innego, powodu czystość wymawiania angielskiego, hiszpańskiego i portugalskiego języka wiele ucierpiała, skoro tylko niemi za granicami starego świata mówić poczęto. Tak np. rażące nosowe przeciąganie, które czyni język angielski Stanów Zjednoczonych przedmiotem ciągłych żartów gminu, zarówno spotykać się daje w angielszczyznie południowéj Ameryki, Nowéj Hollandyi, Van Diemenu, jako też w używanéj w Chinach na Wschodzie.

niedbane, że wszelkie uwagi odnoszące się do jego składni, należy z wielką ostrożnością przyjmować (1).

Dykcyonarz tutejszego języka—o ile zebrany został—jest dość ubogi; w skutek zaś angielskiéj pisowni wyrazów, dykcyonarz ów, a właściwiéj mówiąc wokabularz, nie podaje wcale dokładnego wyobrażenia o dźwiękach i iloczasie. Trzéj krajowcy, którzy towarzyszyli kapitanowi Kingowi i kapitanowi Flindersowi przy rozpoznawczém zwiedzaniu Nowéj Hollandyi, jako też ci, którzy mnie samemu towarzyszyli wśród różnych pokoleń Nowéj Południowéj Walii, nie mogli rozumieć ani jednego słowa z mowy używanéj przez ludy innych okręgów. Ta okoliczność nasuwa przekonanie, że dyalekta Nowéj Hollandyi nie posiadają ani powinowactwa, ani témbardziéj dostatecznych cech jednolitości, z którychby o ich wspólném pochodzeniu wnioskować się dało. Na poparcie wspólności europejscy podróżnicy i badacze przytoczyli ze sto podobnych brzmieniem, składem i znaczeniem wyrazów, w całéj Nowéj Hollandyi powszechnie niby używanych: bodaj jednak czy nie zbyt spiesznie zdanie swe wypowiedzieli. Oprócz wielu nieuniknionych trudności, jakie przedstawiają zaciekania się tego rodzaju, była jedna, która już sama przez się udaremnić mogła wszelkie ich w tym celu usiłowania, a mianowicie: nieznajomość składni tego języka, który właśnie pod rozbiór wziąć chcieli.

Bez wątpienia każdy, kto się wyuczył czterech języków europejskich i dobrze niemi mówi, ten wie, że jeśli ze słuchu pochwyciwszy wyraz jednego kraju, zechce go się w dźwięku i iloczasie porównać z wyrazem należącym do innéj krajowości, trzeba pierwéj doskonale przyswoić sobie ducha i alfabetyczne brzmienia obu narzeczy, gdyż przez to jedynie wymawianie rozróżnić można. I tak: ci tylko, co znają budowę języka polskiego, potrafią brzmienie *szczaw* właściwie wymówić, a spotkawszy w języku rossyjskim wyraz tego samego znaczenia i tak samo brzmiący, mają prawo tożsamości obu wyrazów dowodzić. Nawzajem dla Polaka nieobeznanego z angielską i hiszpańską mową, będzie prawie niepodobném tak dokładnie brzmienie *th* zapamiętać, by odnaleźć późniéj równoważnik jego w *c* lub *z* jak się je wymawia np. w *Andaluz* (2).

---

(1) Między badaniami tyczącemi się języka plemion polinezyjskich, najwiarogodniejsze jest badanie missyonarzy amerykańskich, którym się udało ustne narzecze wysp Sandwich pod prawidła składni podciągnąć.

(2) W różnych opisach wysp Oceanu Południowego wszystkie ich języki obejmują ogólną nazwą języków polinezyjskich. Według mego doświadczenia jednak przekonałem

Niedokładna znajomość nasza języków Australii jest nam również przeszkodą do zbadania siły, działalności, kierunku i postępu w umysłowém rozwinięciu jéj krajowców (1). Pojedyncze, łatwiéj dostępne spostrzeżeniom szczegóły, upoważniają mię do wniosku, że w powyżéj wzmiankowanych władzach instynktowy rozsądek poparty szybkiém objęciem i trwałą pamięcią, od czasu do czasu przyćmiony pomyłkami lub nadużyciem bujnéj wyobraźni, jest jedynym w zupełności rozwiniętym darem umysłowym téj rasy i służy jéj za wyłączny ster życia.

Natura rządu i religii krajowców Australii równie jest tajemniczą jak duch ich języka. Jeden fakt niewątpliwym się zdaje: wierzą w Boga. Lubo w ojczystéj mowie nie mają dla niego osobnéj nazwy, określają go jednak po angielsku (gdy się angielskich wyrażeń poduczą) Wielkim Władcą (Great Master) i uważają się za jego niewolników; ztąd też może pochodzi, że ani dar życia, ani środki do podtrzymania tego życia im udzielone, nie budzą w nich wdzięczności i potrzeby jakiegoś odwzajemnienia. To wszystko, co im wskazują jako łaskę Opatrzności, zasługującą dlatego właśnie, że jest łaską, na ich względność, oni uważają sobie za proste spełnienie powinności Wielkiego Władcy, który z obowiązku przecież musi mieć o nich staranie. Wierzą prócz tego w nieśmiertelność duszy, t. j. życie pozagrobowe wśród wiecznie

się, że język gromady Markizów nie ma żadnego podobieństwa z używanym na gromadce Gambier i archipelagu Przyjacielskim, również jak ten ostatni w żadném nie zostaje powinowactwie z mową wyspiarzy Sandwickich. Niedorzeczném jest także przypuszczenie, jakoby jeden język malajski używany był na wszystkich wyspach Malajskich, ponieważ Jawa, Lumbock z 1,000,000, a Bailly z 700,000 mieszkańców używają czterech odrębnych języków. Dla zrozumienia każdego z nich, trzéj tłómacze wcale mi nie byli zbytecznymi. Po za temi wyspami jeszcze: Cyklopy, Temos i wyspy Sandałowe zupełnie się różnią nietylko pod względem języka, ale pod względem obyczajów i religii.

(1). Geografia fizyczna opisując człowieka dzieli go dotychczas na klassy, według cech, jakie przedstawi zewnętrzna jego organizacya: filozofowie rozważając jego przeznaczenie, odrzucają tę klassyfikacyą i widzą w nim tylko członka całego rodu ludzkiego; może jednak niedalekim jest dzień, w którym i filozofowie i naturaliści przyznają, że prawdziwą zasadę klassyfikacyi stanowi doskonała zgodność instynktu i władz umysłowych każdéj rasie właściwych, z miejscowemi okolicznościami, wśród których taż rasa przebywa. Zbadanie tego instynktu, który może być uważany za przewodnika w polityce i obyczajowości każdéj rasy, było dotychczas pomijane, a to pominięcie właśnie, stało się obfitém źródłem wszelkich błędów i niepowodzeń, tak politycznych jako i religijnych reformatorów, którzy w sprzeczności z historyą przeszłych i teraźniejszych wieków, pracują nad ściągnięciem wszystkich ras ludzkości pod jednostajną miarę tych samych zwyczajów i urządzeń.

trwałej rozkoszy pędzone, a miejsce tego pobytu znaczą sobie na gwiazdach i konstellacyach, które wcale dokładnie umieją rozróżniać. Nie obawiają się bóztwa; całą trwogę swoję zachowują dla złego ducha, bo ten ciągle się działaniu Wielkiego Władcy sprzeciwia; cześć ich też religijna, wyłącznie ku złemu duchowi zwrócona.

Trzy są klassy, a raczej trzy towarzyskie stopnie między Australijczykami; dostępuje się tych stopni prawem wieku i okazaną pokoleniu swemu wiernością. Ostatnia, czyli trzecia klassa złożona prawie zawsze z niewielkiéj liczby najsędziwszych latami mężów, uczestniczy już w szczegółowéj znajomości wszystkich tajemnic religijnych, i dzierży równie tajemną władzę nad sprawami pokolenia.

Do pierwszéj i drugiéj klassy młodzi ludzie wstępują pośród obrzędów w wielkiéj skrytości odprawianych, najsurowsza jednak ostrożność pod tym względem zachowuje się wtenczas, gdy mają kogo do klassy trzeciéj posunąć. Jedno lub dwa pokolenia obecne są zwykle zebraniom pierwszéj równie jak drugiéj klassy, lecz jeśli zwoływaną ma być klassa trzecia, gromadzą się ludy z siedmdziesięciu mil angielskich dokoła: mnie zaś raz w podobnéj okoliczności przestrzeżono, żebym się oddalił. Rzeczywiście, bez osobistego niebezpieczeństwa zbliżyć się do punktu zbornego więcéj nad mil dziesięć nie mogłem.

Zasady ich budowy społecznéj tak jak wśród ucywilizowanych narodów, opierać się zdają na wrodzoném poczuciu sprawiedliwości i własności. Własność równie silnie przywiązuje do siebie plemiona australijskie, jak wszelkie polityczne państwa Europy; ku jéj zabezpieczeniu używają też środków naszym podobnych. Kara i zemsta u nich, za przełamane pod tym względem prawo, nosi takiż sam charakter, jak u każdego europejskiego narodu w odpowiednich okolicznościach. Jeżeli w porze łowów granicę ich okręgu sąsiednie pokolenie naruszy, żądają wynagrodzenia szkody, lub zadosyćuczynienia za wyrządzoną zniewagę; gdy im to jest odmówioném, wypowiadają wojnę. W razie odwagi i siły równéj ze stron obu, wojna kończy się nienawiścią przekazywaną zstępnéj potomności. Każde pokolenie dzieli się na rodziny, te zaś w sprawach własnych rządzą się powagą starszych. Niezależne od téj władzy są jednak zwyczaje, obrządki zachowywane z okoliczności urodzin, małżeństw, ślubów, pogrzebów, uroczystych zebrań i t. p; takowe bowiem odbywają się według bardzo surowo, w drobnostkach nawet, przestrzeganéj tradycyi. Większa

część przesądnych praktyk, do praw gościnności się odnosi (1) i przedstawia ścisłe podobieństwo ze zwyczajami, które autor zauważył wśród ludności koczującéj na łąkach Ameryki Północnéj, między Indyanami Południowéj Ameryki i na niektórych wyspach Oceanu Południowego.

Ta analogia zdaje się dowodzić, albo że Australijczycy na drodze cywilizacyjnego postępu w ustroju społecznym równego dosięgnęli stopnia; albo też, że jednakowe u nich zwyczaje i zabobony wyniknęły z jednakowych celów, namiętności, skłonności i wymagań. Umysł ich przesądny zwraca pilną uwagę na przebieg każdego wypadku, i odpowiednio do tego usiłuje z teraźniejszości wróżby wyciągnąć na przyszłość: ztąd tajemnicza wiara w złe i dobre przepowiednie, więzi wszystkie chwile istnienia Au-

---

(1) *Wyjątek z Dziennika Autora.* Z ostrego wierzchołka góry dostrzegliśmy nakoniec wśród gęstych zarośli dawno upragnione źródło wody, otoczone dokoła dymiącemi się wigwamami koczującego pokolenia. Ogarnęła mnie szalona niecierpliwość, by zaspokoić co prędzéj trawiące nas od dni kilku pragnienie. Nabrałem ducha, nowe siły wstąpiły we mnie, i dążyłem nierozważnie ku pożądanemu miejscu. „Stój, na miłość Boga! zawołał mój przewodnik: stój, bo inaczéj zgubieni jesteśmy.“ Pochwycony przez niego zatrzymać się musiałem; zmieniliśmy kierunek kroków naszych, a zszedłszy do stóp pagórka, zamiast wejść w okrąg zamieszkanych szałasów, rozłożyliśmy się na ziemi o jakie 60 yardów (łokci amerykańskich). Z piętnaście minut upłynęło—już gniewna niecierpliwość, dolegliwe udręczenie głodu i pragnienia miały przełamać zakreślone rozsądkiem granice, gdy z najbliższego szałasu rzucono nam kawałek palącego się drzewa. Przewodnik mój wstał, umiarkowanym krokiem poszedł go podjąć, wróciwszy rozniecił ogień, położył na nim opossa, którego mieliśmy w zapasie, a kładąc się nanowo z dawną flegmą i ukradkiem, z boku tylko ciekawe rzucając spojrzenia, kij swój żuć począł. Po dziesięciu minutach stara kobieta wyniosła z obozu bańkę wody i postawiła ją we środku między naszém a ich ogniskiem. Po bańce z wodą wyniesiono w podobnyż sposób rybę ułożoną na czystym kawałku kory; wszystko to mój przewodnik do mnie znów przynosił. Zaspokoiłem prędko głód i pragnienie, strudzony niezmiernie przymykałem już do snu powieki, gdy z koczującego obozu zbliżył się ku nam starszy człowiek. Przewodnik spotkał go w połowie drogi: nastąpiła rozmowa, w któréj z jednéj strony badano, z drugiéj tłómaczono powody mojéj podróży. Za powrotem starca sprawa ta przeraźliwym i piskliwym głosem opowiedziana została całemu zgromadzeniu. Nastąpiło potém kilka chwil milczenia; aż wreszcie zamiast spodziewanego zaproszenia do obozu, odebraliśmy rozkaz, byśmy natychmiast odeszli. Opór był niemożliwy; musieliśmy usłuchać i zaraz w dalszą puściliśmy się drogę. Mieszkaniec Australii tedy, jak widzimy, pełne prostoty dziecko natury, wierny jéj dobrym natchnieniom w wypełnianiu obowiązków gościnności, postępuje wręcz przeciwnym nam sposobem. On najpierwéj zaspakaja potrzeby wędrowca, a dopiero potém zadaje pytania, które wśród naszéj cywilizacyi poprzedzają i określają zazwyczaj rodzaj i ilość mającéj się udzielić pomocy, a często bardzo przyśpieszają zupełną jéj odmowę.

stralijczyka w nieprzerwany łańcuch niepokoju, obawy, nadziei i przeczuć. Życie jego, jak życie Araba, mimo pozornéj jednostajności, posiada warunki podniecające nieskończoną rozmaitość wrażeń przykrych lub przyjemnych. Jego poezya zdradza takąż samą ruchliwość i takiż sam nadmiar fantazyi, jak jego zabobony; charakter jéj liryczny, dziki jest i pierwotny, lecz wyłączona z niéj miłość, ten najpiękniejszy żywioł wszelkiéj poezyi. Mistycyzm, czasami odwaga w boju, częściéj jeszcze rozpusta i wysławianie zmysłowych rozkoszy, ulubioną jéj treścią bywają. Raz ułożona— w formę śpiewu, nigdy zaś w formę deklamacyi nie ujęta—z zadziwiającą szybkością przechodzi do wszystkich pokoleń mówiących tym samym językiem. Wędrówki, polowanie, rybołówstwo, wojny, uroczystości, spoczynek nareszcie w miejscach najlepiéj się do tego nadających, to cały czas życia Australijczyków wypełnia. Nie znają oni udręczeń ambicyi, chciwości, nie tęsknią i nie nudzą się smutną rzeczywistością; nie doświadczają nieszczęść spowodowanych prześladowaniem i uciskiem, chorób wynikłych z zepsucia obyczajów, lub nieprawidłowych stosunków towarzyskich: obce im są troski i niepokoje towarzyszące sztukom pięknym, naukom i przemysłowi: tego wszystkiego oszczędziły im fizyczne warunki położenia ich kraju, bogactwo i różnorodność darów hojnéj Opatrzności. Wierne stosowanie się Australijczyka do praw natury, sowitą otrzymuje nagrodę w silném zdrowiu i błogiém zadowoleniu z przypadłego nań losu. Mało jest przedmiotów tak żywo zajmujących dla filozofa, jak zbieranie różnych spostrzeżeń nad Australijczykami w ich własnych jeszcze niezagrabionych siedzibach. Najoczywistszym dowodem może bezgranicznego szafunku łask Stworzyciela jest poprostu samo życie tych, których biały człowiek w swojéj dziwnéj zarozumiałości, w swojém przywiązaniu do zwyczajów i bogactw światowych, napiętnował mianem: —„dzikich, nikczemnych, nieszczęśliwych nędzników.“ Takiemu jednak, co się otrząśnie z więzów zacieśnionego uprzedzeniami sposobu myślenia, takiemu, co się przyjrzy ludzkości i badać ją będzie w ciągu dalekich podróży swoich—bardzo jasném się to okaże.

Opatrzność tyle wytknęła dróg do zadowolenia i szczęścia, ile jest odmiennych ras ludzkich. Kto się przypatrzy pogodnéj, spokojnéj, łagodnéj, choć przytém ożywionéj powierzchowności mieszkańców Australii, kto się przypatrzy ich tańcom, przysłucha ich śpiewom, tym niekłamanym objawom doznawanéj uciechy, ten rzeczywiście w widoku ich znajdzie dowodne potwierdzenie owéj niewyczerpanéj dobroci i mądrości Bożéj, w które pierwéj tylko na mocy wnioskowania wierzył. Australijczyk z woli Stwórcy sta-

wiony w doskonałéj harmonii z prawem natury—gdy jest na odpowiedniém sobie miejscu i spełnia właściwe sobie przeznaczenie—zaspakaja, jak widzimy, wszystkie potrzeby swoje, urządza wszystkie swoje sprawy społeczne, zabezpiecza sobie cały zasób doczesnego szczęścia i najżywszych uciech, do jakich w położeniu swojém jest zdolny.

Przybycie Europejczyków zakłóciło tę błogą równowagę; ogniska krajowców, podobnie jak wigwamy amerykańskich Indyan, ustępują lub znikają przed potokiem napływających przybyszów. Różnogatunkowe klęski (1), a zwłaszcza stopniowy upadek i ostateczna zagłada ras krajowych, zagłada, która już nastąpiła i która zawsze następuje przy ich zetknięciu się z rasą białą, jest faktem tak powszechnie z dziejów wiadomym, że smutny przykład losu Australijczyków ukazuje się tylko jako dalszy ciąg wypadków stwierdzających straszliwą siłę zabójczego wpływu jednéj rasy na drugą.

---

(1) Handel niewolnikami—piętno, które nikczemna chciwość wycisnęła na cywilizacyi europejskiéj—jest jedném z najokropniejszych nieszczęść w naszych stosunkach z tamtejszymi krajowcami. Anglia godnie pomściła sprawę pokrzywdzonéj ludzkości, stając na czele najszlachetniejszéj krucyaty, dla zniesienia tak haniebnego handlu przedsięwziętéj. Gruba niewiadomość, chyba o klęskach i zbrodniach, jakie ów niecny frymark ludzkiém ciałem sprowadza, mogła jedynie chrześciańską politykę angielskiego narodu spotwarzyć do tego stopnia, by jéj nadać znaczenie bezprawnych i podstępnych intryg, których celem miał być upadek Brazylii i wysp Antylskich, a dalszy rozrost potęgi Indyi Wschodnich.

Ci, którzy w odwrotnéj, abstrakcyjnie pojętéj zasadzie niewolnictwa, nie widzą nic ubliżającego prawodawstwu naszego wieku, niech zastanowią się nad nieszczęściem wynikającém ztąd dla pojedynczych osobistości, a uczucie oburzenia, jakiego doznać będą musieli, wystarczy na udowodnienie i odparcie fałszu tak zużytéj teoryi.

Do niezliczonych i ciągle prawie przedstawianych publiczności obrazów tych cierpień, jakich handel niewolnikami powodem się staje, dodam jeszcze następujący, którego sam naocznym byłem świadkiem. Zapisano to w dzienniku moim z 1836 r.

Rio Janeiro 22 *Stycznia* 1836 *r*. Wczoraj fregata Jéj Kr. Mości królowéj Wielkiéj Brytanii „Satellita“ pochwyciła niedaleko brzegu i przyprowadziła do portu bryg zajmujący się handlem niewolników. Poszedłem dziś odwiedzić tych nieszczęśliwych. Jakkolwiek przygotowany byłem na straszny widok, który z dniem każdym, dzięki Bogu, rzadszym się staje, wyznać muszę jednak, iż rzeczywistość o wiele przewyższyła pojęcia, jakie sobie wyobraźnią utworzyłem o téj ostatecznéj nędzy ludzkiéj. Skoro spojrzałem na pokład brygu, uczułem coś takiego, jak gdyby nagle ogniwa łączące mnie z cywilizacyą, zerwane zostały. Byłbym się cofnął, gdyby nie konsul angielski pan Heasheth, który będąc za mną na drabinie, posunął mnie daléj.

Na statku o 100 tonnach, między pomostami niewyżéj nad 3 stopy wzniesionemi, trzystu niewolników obojéj płci razem było natłoczonych tak szczelnie, że przestrzeń między kolanami jednych, wypełniona była ciałami drugich ofiar. Pot ich oblewał; nurzali się w nieczystościach. Oddech ich, mieszając się z cuchnącemi wyziewami,

Ci, dla których kwestya owego upadku i zagłady nabrała bolesnéj ważności i wzbudziła, jak na to zasługuje, głębokie zajęcie, pilnie badali: z jakiego powodu ten wpływ tajemniczy, niby złośliwy sprzymierzeniec białego człowieka, wszędzie za jego śladem zniszczenie roznosi? Badania te jednak, istne śledztwo sądowe jednéj rasy nad trupem drugiéj, skończyły się po większéj części zaświadczeniem: „Umarła z woli Bożéj.“

Inni autorowie wszelako, ożywieni tą nadzieją, że odkrycie szczegółowych, więcéj w granicach władzy ludzkiéj leżących przyczyn, może ułatwić wynalezienie zaradczych środków; ciągnęli daléj chwalebne poszukiwania swoje. Przypuściwszy ostatecznie, że upadek ów był następstwem braku ewangelicznego wykształcenia, ciemięztwa rządów, niewstrzemięźliwości, chorób europejskich, wojen prowadzonych palną bronią i t. p.—szukali ratunku w śpiesznem zaprowadzeniu chrześciaństwa i cywilizacyi. Wobec tych usiłowań złe coraz groźniejsze przybierało rozmiary.

Dla autora niniejszego dzieła, człowieka, który w swoich wędrówkach po za Europą, mógł czynić spostrzeżenia nad różnorodnemi plemionami: mieszkańcy Kanady, Stanów Zjednoczonych, Kalifornii, Mexyku, Rzeczypospolitych Ameryki południowéj, mieszkańcy

---

jedyną dla nich atmosferę stanowił. Trawiące ich straszliwie pragnienie bardziéj rozdrażniało się tylko dziesięciu uncyami wody, które im jako dzienną porcyą wydzielano. Promienie zwrotnikowego słońca rozpalały pomost przytłaczający ich głowy, a szaleństwo spowodowane takim stanem cierpienia, piątą część z nich o śmierć już przyprawiło. Wśród nieszczęśliwych istot, które pozostały, wielki Boże! co za widok! Dzieci, kobiety, mężczyzni natłoczeni we wszelkich możliwych ciału ludzkiemu zgięciach i postawach, konwulsyjném rzucaniem się dziko objawiali radość, zdziwienie, nadzieję, trwogę, poszanowanie i boleść swoję. Ciała ich obnażone i wynędzniałe, pokryte ranami, streszczały historyą ich krzywd i dolegliwości, przedstawiając wymowniéj niżeliby to ich język mógł uczynić, bezbożne okrucieństwo handlarza niewolników. Ślady knuta (chicote) na ich plecach świadczyły o zastosowaniu leżącego przed nami narzędzia, którego dowolnie, wedle chwilowéj fantazyi, używali chrześcianie XIX stulecia. Między temi ofiarami chciwości i barbarzyństwa Europejczyków—większych ludożerców od tych, którym sami nadają to miano—były kobiety ciężarne: kilka z nich wydało na świat dzieci w tém okropném położeniu, wobec mężczyzn, wśród niezrównanych udręczeń i męczarni.

Od chwili ujęcia okrętu starano się wszelkiemi sposobami oczyścić powietrze, przynieść ulgę biednym Afrykańczykom—nie szczędzono trudu, zastosowano wszystkie znane ludzkiemu miłosierdziu środki pomocnicze, a jednak przy gorącu 96° powietrze na okręcie było tak okropne, że w niém dłużéj nad piętnaście minut wytrzymać nie mogłem. W tym krótkim czasie mego pobytu dwóch ludzi ostatnie wyzionęło tchnienie, a kobieta, gotowa sama odejść wkrótce za nimi, dziecku życie dała. Pióro wypada z ręki—twarz ukrywam ze wstydu i upokorzenia na myśl o klęskach spowodowanych przez występki bliźnich moich.

wysp Markizyjskich, Sandwickich, Przyjacielskich, a ostatecznie Nowéj Zelandyi i Australii, dostarczyli przedmiotu do zupełnie innych uwag; uwagi zaś te przedstawia czytelnikowi *nie koniecznie jako dowody stanowczego wniosku*, ale jako proste szczegóły, mogące w tym ważnym przedmiocie ułatwić fizyologom badania, które więcéj niezawodnie do ich zakresu niż do zakresu moralistów i ekonomistów należą.

Jest to faktem ogólnie stwierdzonym, że ubytek mieszkańców w krajach wyżéj przytoczonych rozpoczynał się wkrótce po odkryciu i poddaniu każdego z nich obcym wpływom nowo-przybyłych. Tu się nasuwa pytanie: czy przyczyną ubytku było zwiększenie się śmiertelności, czy zmniejszenie liczby przybywających na świat dzieci?

Badania nad rodzimemi plemionami każdego kraju, jak np. nad temi, które pamiętają pierwszą wojnę Amerykanów w Stanach Zjednoczonych—rządy Jezuitów w Brazylii, St. Borjé, Paranna i Niższéj Kalifornii—przybycie Cooka lub innych żeglarzy na wyspy Oceanu Północnego: Nowéj Południowéj Walii i Ziemi Van Diemen, przekonywają, „że długość ich życia się nie skróciła, że nie powiększyła się także liczba śmiertelności, ale tylko siła rozradzania pomniejszać się zdaje.“

Po bliższém zbadaniu tego przedmiotu okazało się, że mężczyzna nie jest wcale powodem takiego ograniczenia siły rozrodczéj, owszem najwybitniejsze fakta w ciągu dalszych spostrzeżeń przekonały, że trzeba je wyłącznie saméj tylko kobiecie przypisać.

W rzędzie owych spostrzeżeń, najgodniejszy uwagi, bezpośrednio główné kwestyi dotyczący jest związek między kobietą miejscową i Europejczykiem—stosunek często zachodzący w tamtych stronach, już to w skutek zwyczajów i krajowych pojęć o gościnności, już to w następstwie naturalnego płciowego pociągu. Ilekroć to się zdarzy, dowiedzioném jest, że kobieta traci władzę poczęcia płodu, przy odnowionych stosunkach z mężczyzną własnéj rasy, a zachowuje takową jedynie w stosunku z białym człowiekiem.

Setki przykładów tego samego faktu zapisane w pamiętnikach autora, dowodzą wszystkie, iż niepłodność kobiet względna do jednego, a nie do drugiego mężczyzny i powtarzająca się niezmiennie wśród tych samych okoliczności między Huronami, Seminolami, Czerwonymi Indyanami, Yakiesami (Sinaloa), między Indyanami z Mendozy i Araukanii, między ludnością wysp Oceanu Południowego: Nowéj Zelandyi, Nowéj Walii i Ziemi Van Diemen, że

względna ta niepłodność, mówimy, nie jest przypadkową, ale bywa następstwem praw niezłomnych, lubo równie dla nas niedocieczonych, jak wszystko, co się w naturze do tajemnic stworzenia odnosi.

Do tych bezpośrednich, chociaż ukrytych przyczyn upadku krajowéj rasy, należy dodać inne, groźniejsze daleko, bo szkodliwemi następstwami przyprowadzające miejscowe kobiety do zupełnéj bezpłodności. Wśród tych przyczyn, upowszechniona choroba *leucorrhea*, grasuje z niezwykłą zajadłością i przedstawia jeden z ważniejszych objawów nietylko dlatego, że często niepoznana poczytywaną bywa przez wielu za mniéj znaczący symptomat elephantiasis (gatunek trądu), ale że jéj początek u kobiet miejscowych sięga chwili przybycia do nich kobiet europejskich.

Jakikolwiek jednak może być powód upadku i zagłady krajowców w Nowym Świecie, to rzecz niewątpliwa przynajmniéj, że pośrednictwo ludzkie w powstrzymaniu tych smutnych następstw nie okazało się skutecznem i że przywiléj kolonizacyi nadany jednéj rasie, staje się dla drugiéj rasy rzeczywistym śmierci wyrokiem.

W południowéj Nowéj Walii od chwili, jak los Australijczyków obudził współczucie publiczności, ani usiłowania missyonarzy, ani postanowienia rządu, ani témbardziéj troskliwość „opiekunów“ nie przyniosły pożądanego skutku (1).

---

(1) Odkąd prawnie uznano, a raczéj sofizmatem prawnym osądzono, że krajowcy są nielegalnymi właścicielami ziemi, któréj nie uprawiają, zaczęto obchodzić się z Australijczykami, jako z bydlęciem przybłędą, a w układach, na mocy których Nowa Walia przeszła w posiadanie Anglii, nie więcéj im też jak kangurowi pozwolono głosować.

Z czasem jednak w ciągu rozwijającego się osadnictwa, kilku ludzkością przejętych badaczów zwróciło na to uwagę, że ten człowiek jest przecież wyższym od świata zwierzęcego i podnieśli w jego obronie głos tak skutecznie, że publiczność ojczystego kraju, przechodząc z obojętności w nieograniczoną troskliwość, natychmiast zawezwał go do współudziału w dobrodziejstwach chrześciaństwa i cywilizacyi. Ten współudział jednak ograniczał się na tém, co lew uczestnikom łowów swoich zostawiał. Australijczyk odrzucił jedno i drugie, schronił się w gąszcze niedostępnych zarośli, a przyciśnięty głodem, napadał trzody, które zapędzały się w granice jego myśliwskich okręgów, i zabierał je podstępem lub przemocą. Wyniknęły ztąd smutne starcia między nim a pasterzami. Oburzenie ogólne przeciw tym nadużyciom doszło do Anglii. Tutaj nie znając okoliczności, które odwet wywołały, ujęto się jedynie za krzywdą krajowców. W imię szczeréj filantropii utworzono nowe stowarzyszenie, by niedostateczności missyjnego działania zaradzić. „Opiekuni,“ wysłani przez stowarzyszonych dla poparcia sprawy krajowców, utrudnili tylko położenie. Przybycie ich między niesfornych, rozdrażnionych, mściwych Australijczyków, zamiast uspokoić, przeciwnie, uzuchwaliło ich do tego stopnia, że w chwili kiedy piszę (Port Stefana, Nowa Walia, Styczeń 1843), łupieże ich otworzyły pole czynności dla nowego stowarzyszenia „opieki nad białymi.“

Lubo w przekonaniu autora, mieszkańcy Nowego Świata, gdziekolwiek Europej-

Zawiodły tedy starania podjęte w celu ucywilizowania i zchrześcianienia krajowców. Spodziewano się, że będzie można zachować i podnieść ich rasę—a jednak z pewną pociechą, lubo i z przykrością pewną wyznać musimy, *że tak chrześciaństwo, jak i cywilizacya, nie były przeprowadzone z duchem odpowiednim wzniosłym swoim zasadom.* Z całéj wschodniéj okolicy, niegdyś bardzo ludnéj, dziś zupełnie opustoszałéj, krajowcy ustąpili przed białymi;

---

czyk zbliży się do nich, mają na czole wyryty niecofniony już wyrok zagłady: niemniéj wszelako autor i o têm nie wątpi, że takie przeznaczenie krajowców w ogóle, a Australijczyków w szczególności, mogłoby opóźnionem być i mniéj smutnêm, gdyby rząd wziął na siebie inicyatywę w reformach, a nie zostawił ich prywatnym stowarzyszeniom. Kwestya admi istracyi tuziemców, nie jest wyłącznie kwestyą religijną i filantropijną: zarówno dotycze ona i polityki, więc też powinien ją rząd rozstrzygnąć *a principio*.

Należało się Australijczyka ogłosić zhołdowanym: byłby to zrozumiał, byłoby to mu najlepiéj wyświeciło jego względem białych położenie, które mu dzisiaj tak trudno jest określić; należało utrzymać i wspierać jedność pokoleń, mających już potrzebne żywioły społecznego porządku i zdolność kierowania wewnętrznemi swojemi sprawami; należało uznać krajowca małoletnim we wszelkich stosunkach z białymi, póki wrodzone instynkta rasy jego nie byłyby pokonane duchem chrześciaństwa i cywilizacyi; nadto jeszcze, wypadało zabezpieczyć jego utrzymanie, dostarczając mu w pewnych dniach tygodnia chleba i mięsa. Takie postępowanie byłoby zadowoliło wszystkie jego wymagania w politycznêm i fizycznêm życiu, byłoby ułatwiło missyonarzom przeprowadzenie ich szczytnego dzieła, byłoby nakoniec oszczędziło krwawych zapasów, które nierozsądna polityka wywołała.

W obecnym stanie rzeczy święta nauka przez missyonarzy opowiadana, przewróciła tylko zasady regularnego ich rządu, i ztąd zupełne rozprzężenie nastąpiło. Głos chrystyanizmu, głos bezinteresownéj, duchowéj, religijnéj wiary, okazał się bezskutecznym, wśród cywilnego nieładu. Ci, którzy mieli sobie powierzone kierownictwo téj sprawy, widząc się zagrożonymi, dla własnego bezpieczeństwa siłą dobijali się władzy. W niektórych miejscowościach jak na Sandwich, na wyspach Przyjacielskich, Towarzyskich i Gambier, władza najwyższa łatwo popadła w ich ręce; gdzieindziéj, jak np. w Nowéj Zelandyi, Nowéj Południowéj Walii, w Ziemi Van Diemen stawiono jéj opór. Wszystko, co missyonarze czynili dla zapewnienia sobie ustalonéj przewagi, nieraz było zniesławiane w Europie, jako zaborczość godna dawnych Jezuitów. Zarzut ten równie ciężki jak niesłuszny, sprawiedliwiéj należy się ludziom, którzy z niewłaściwego punktu rozpoczęli dzieło odrodzenia krajowców—od pierwszego albowiem przedświtu w historyi, cywilna, towarzyska organizacya, poprzedzała zawsze religijną i moralną oświatę.

W Południowéj Nowéj Walii rząd kolonialny, pod naciskiem prostych cywilizacyjnych wymagań, musiał nakoniec ułożyć kodeks prawny dla krajowców; spóźnione jednak a niejasne prawa rozerwały jedynie węzły poprzednich zobowiązań, które ich, bądź co bądź, w pewnych karbach utrzymywały. Późniejszy akt uznający Australijczyków legalnymi poddanymi Anglii, podciągnął ich tylko pod kryminalne ustawy angielskie, dodając jednę sprzeczność więcéj do innych prześladowczych rozporządzeń rządu. Naturalizacya owa wyłącza ich od zasiadania w sądach przysięgłych, od świadczenia w trybunałach i tworzy nową jakąś, bezładną procedurę, co wszystko razem wzięte, zamienia Australijczyków w trudną do określenia kastę: „ani czarną, ani białą,“ według ich własnych wyrażeń.

wyjąwszy kilku rozproszonych tu i owdzie rodzin, lub pojedynczych włóczęgów, już ich tam wcale nie widać. Owi niegdyś tak odważni, tak zaciekle broniący swéj niepodległości mieszkańcy, dziś w pogardzie i lekceważeniu u najnędzniejszych Europejczyków — znikczemnieni, potulni, wstydem przejęci, niezręczni, podejrzliwi, źle ukrywający gwałtowne poczucie gniewu, oburzenia i zemsty, wynędzniali i łachmanami okryci—owi rodzimi panowie ojczystego gruntu, bardziéj podobni do widm przeszłości niż do żyjących ludzi, z trudnością wloką smutne istnienie swoje, ku smutniejszemu jeszcze końcowi.

W Ziemi Van Diemen dramat wytępienia krajowców inny zwrot przybrał. W ciągu kolonizacyi, wyrzutki społeczeństwa zajmując najdaléj posunięte lub najwięcéj w głąb kraju zachodzące miejscowości, przywykli pogardzać wszelkiemi prawami, które siłą zwierzęcą obalić mogli, napadli łowieckie krajowców dzielnice, uprowadzili kobiety i dali początek szeregowi krwawych to najść, to odwetów, które spowodowały nareszcie ogólne białych i czarnych powstanie, a zakończyły się ujarzmieniem tych ostatnich i przesiedleniem ich w r. 1835 na wyspę Flinders. Rząd był zmuszony chwycić się tak surowego środka, aby stanowczy kres położyć mordom i rzeziom zagrażającym istnieniu cywilizacyi w tym kraju (1). W epoce deportacyi krajowców w 1835 r. liczba tychże

---

(1) Buenos Ayres 1836. Był to jeden z tych rozkosznych sierpniowych wieczorów, które—nie pomnę według czyjego zdania—„font aimer la vie" (dają życie ukochać), a spędzone wśród bujnych łanów, wśród błogiéj ciszy na łonie przyjaźni, mogą najskuteczniéj usposobić do szlachetnych uczuć, pocieszających rozmyślań i miłych wrażeń—słowem, jeden z tych dni, w których umysł zapomina o zdrożnych świata dążnościach, o ucisku tyranów i rewolucyach narodów. Tu jednak w Buenos Ayres, w téj wielkiéj owczarni, na krwiożercze morderstwa wilków ciągle wystawionej, najhojniejsze dary natury wywołują tylko złorzeczenia, a dzień najpogodniejszy przyświeca jedynie gwałtom najokrutniejszego z ludzi. Zdarzenie, które tu opisać zamierzam, odbyło się na placu Retiro—rząd hiszpański przeznaczył go niegdyś do przechadzki, jako miejsce zabaw publicznych; Rozas, teraźniejszy naczelnik Rzeczypospolitéj, zamienił je na plac egzekucyi dla swoich krwawych wyroków. W obecnym wypadku postanowił on już nie krew swych współobywateli, ale krew biednych Indyan przelewać. Ofiary dnia tego trzymano w wielkich barakach środek placu zajmujących i po dziesięć na raz wyprowadzano w zaułek, który się z muru dotykającego baraków, pod kątem prostym tworzył. Tam, usadzeni rzędem na drewnianéj ławie, nieszczęśliwi otrzymywali mordercze pociski. Niestety! nie było to dobrodziejstwo natychmiastowéj śmierci—żołnierze, choć tuż obok stojący, nietrafnie mierzyli, kaleczyli, a nie zabijali; strzały ich były tylko hasłem dla innych oprawców, którzy się rzucali wtedy na powalonych biedaków, kłóli nożami i skrwawione ich trupy wlekli na wozach o jakie dwadzieścia kroków od egzekucyi.

dochodziła 210. Gdym ich odwiedzał 1842 r., to jest po upływie lat siedmiu, ograniczała się tylko na 54 indywiduach, a kiedy każda rodzina australijska wewnątrz Nowéj Hollandyi, nieskażona zetknięciem z rasą białych, roi się gromadami dzieci, mieszkańcom

---

Śmierć pierwszych dziesięciu była zapowiedzią straszniejszego jeszcze losu dla następnych. Gdy wyprowadzono pierwsze ofiary, trawa była jeszcze zielona i świeża, ławka czysta, oprawcy krwią nie zbluzgani — pierwsi też stanęli wobec śmierci z odwagą i pogardą, które wściekłością musiały napełnić serce mordującego ich tyrana; ale kiedy druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta i dziesiąta i jedenasta z kolei przybliżała się gromadka — bo wszystkich razem nieszczęśliwych Indyan stu dziesięciu było—kiedy ujrzeli krwią własnych braci przesiąkłą murawę, oblaną ławkę i straszliwie zbroczonych siepaczy—kiedy ich samych, na śmierć skazanych, okrucieństwo katów zniewoliło przyglądać się pierwéj ciałom już pomordowanych ofiar,— wtenczas na taki widok każdy Indyanin zadrżeć musiał i zadrżał całą siłą wstrętu pokrzywdzonéj w instynktach swoich natury. Kilka słów jego urwanych, gwałtownie wykrzykniętych, było może zawezwaniem do zemsty całéj rasy współkrajowców przeciw okrutnym plemionom białych!—a może było bluźnierstwem rozpaczy i wściekłości przeciw temu Bogu chrześcian, którego on nie mógł za swego Boga uznać.

Takie było postępowanie białych w Sierpniu 1836 r. Zobaczmy teraz jak postąpili sobie Indyanie względem miasta Buenos-Ayres w r. 1806, kiedy gród ten zostawał w ręku Anglików, a ciemnota ówczesna krajowców sprzyjała powstaniu, które księża ze wszystkich ambon głosili przeciw ludziom nazywanym nieprzyjaciołmi kościoła rzymsko-katolickiego i pokoju, wrogami Boga i bliźnich – niechaj różnicę zaświadczy znaleziony w archiwum Buenos Ayres-dokument:

Szlachetne postępowanie Indyan.

W skutek nieszczęśliwych okoliczności, które Buenos Ayres oddały w ręce Anglików, dwudziestu siedmiu Indyan spiesznie opuściło miasto dla połączenia się ze swymi rodakami. Uwiadomieni o zaszłych wypadkach, bracia ich z obozu, szczerze współubolewać zaczęli tak ze względu na poniesione przez nas straty, jako też ze względu na niepomyślne następstwa, jakie dla ich handlu zajęcie stolicy mieć mogło. Rozbudzenie więc własnego interesu na równi może z przywiązaniem, które dla nas czuli, podniecilo ich zapał wojenny. Zwołali niezwłocznie zebranie (meeting), na którém uchwalili pokój i zgodę wśród zwaśnionych pokoleń: Ronguelów, Aukarów i Aurakanów z jednéj, a Pampasów, Guehuelchów, Orików z drugiéj strony — pokolenia te bowiem prowadziły z sobą zaciętą wojnę od trzech już lat blizko — teraz wysłano do nich z żądaniem, aby zapominając własnych uraz, mogli tém skuteczniéj pomścić krzywdy Karola IV i oswobodzić miasto od „czerwonych jego nieprzyjaciół,“ jak zwali Anglików. Plan ten przyjazny, godny najwyższych pochwał, zupełne powodzenie uwieńczyło. Złączeni Indyanie ruszyli w pochód i stawili się przed nami, ofiarując nam 3,000 najdzielniejszych rycerzy i 1,000 rączych koni.

Wojownicze te pokolenia uzbrojone były w *tatera*, rodzaj przyłbicy z potrójnéj skóry; w *peto*, skórzaną koszulę ze czternastu skór na grubość zeszytą, a kule odbijającą; we włócznie ośmnaście stóp długie; w szerokie noże, zatrute strzały i metalowe *bolas* (1). Dowodził nimi odważny kacyk Carrafihlon, mający pod swoją komendą kacyków: Teralef, Millanan, Caranan, Ksatipi, Curatipai, Quidulef, Quintulepi, Coromil, Huachapan, Harapuenti, Epumur, Baylahuan, Catrumilla, Huachecatamilla, Calfaquiz, Calfuanti, Czarnego Kacyka i Lunę z kilku innymi kapitanami i oficerami. Sprzymierzone

wyspy Flinders w ciągu ośmiu lat przybyło tylko czternaścioro potomstwa.

pokolenia ofiarowały się prócz tego, że nam w razie potrzeby ze dwanaście tysięc ludzi dostarczą. Na te szlachetne propozycye, prześwietny urząd miejski pospieszy z odpowiedzią, iż szczerze ocenia tak wielki dowód przyjaźni, ale w obecnéj chwili wszelką pomoc zbyteczną jeszcze sądząc, uprasza ich, by powrócili na granicę i tam dalszych oczekiwali rozkazów. Jednocześnie wszelako wynagrodzono dobre chęci tych dzikich sprzymierzeńców, których niesłusznie przedstawiano jako najgorszych wrogów naszych, i szczodrze rozdano między nich podarki zastosowane do ich życzeń i upodobań. (Wyjątek z Semanaris de Agriculture, Industriay Commercia del Miercoles 22 Octobre 1806).

Od owéj chwili, jakimże występkiem Indyanie ściągnęli na siebie nienawiść i zemstę białych? W kronikach indyjskich nie znajdzie się usprawiedliwienia takich zbrodni, trzeba go szukać w dziejach wychodźtwa Hiszpanów do Nowego Świata, w téj chęci zysku, w téj nienasyconéj chciwości, która plami nie jednę kartę historyi ucywilizowanych narodów. Dzieje osadnictwa Williama Penna w Pensylwanii a Jezuitów w południowéj Ameryce, stanowią jedyny wyjątek mogący służyć za dowód dziwnéj sprzeczności między najwznioślejszemi i najnikczemniejszemi stronami natury ludzkiéj.

Gdziekolwiek Europejczyk stąpił na ziemię Nowego Świata, gdziekolwiek krajowcy depcącemu ich prawa, religią i zwyczaje opór jaki stawili, tam wszędzie nazwał ich dzikimi, ogłosił za nieprzyjaciół Boga i cywilizacyi. Tutaj, równie jak we wszystkich innych krajach, przybycie Hiszpanów łączy się z bolesnemi wspomnieniami. Wpływ Jezuitów był przychylny dla Indyan, lecz Jezuici niebawem wyrugowani zostali, a Hiszpani ponowili krwawe grabieże swoje.

Po wyzwoleniu się kolonii, przemysł ich rolniczy handlem zagranicznym wsparty, przynosił tak wielkie korzyści, że to wśród białéj ludności rozbudziło żądzę posiadania własności ziemskiéj. Nie poprzestając na bogatych zaborach, jakie na nią w dziedzictwie po Hiszpanii spadły; zaborach, których ona ani dla siebie, ani dla drugich korzystnemi uczynić nie potrafiła—rasa białych posuwała się nieustannie ku południowi. Indyanie, spędzeni z wybrzeży la Plata, gromadzą się znowu po za Rio Colorado, gdzie również każdéj piędzi ziemi bronić muszą przed napastnikami, gdzie żyją w ciągłych zatargach i mordach, okupionych zwykle stratą kobiet i dzieci, które zwycięzcy uprowadziwszy daleko, jako niewolników sprzedają. Odwet Indyanina podobnież granic umiarkowania nie zna. Mniéj zależny niż nieprzyjaciel od potrzeb życia, mogący się obejść po kilka dni czasem bez wody surowém mięsem końskiém, ciągle on stoi na czatach, ciągle przeszkadza, napada, zaczepia, a niepewnych losów porządnéj bitwy unika, nie dlatego, jak sądzą, by mu zbywało na odwadze, ale dlatego, że taki rodzaj walki nie zgadza się z jego taktyką, wśród sprzyjających równin i pustkowi, bardziéj do konnéj partyzantki (guerilla) skłonną. Za zbliżeniem się wojska nieprzyjacielskiego Indyanin znika ze swego obozu z szybkością orła, by niespodzianie rzucić się na ostatnie tylnéj straży szeregi; przebiega pampasy, odcina maruderów,

1) Miejscowa ludność tak biała jako też czerwona z zadziwiającą zręcznością używa téj broni, którą składają dwie kule na dwóch końcach długiego rzemienia osadzone. Wszystko tu od trafności silnego rzutu zależy; rzemień obwija się dokoła i krępuje ofiarę, kule zaciskają się w węzeł nie do rozerwania, a samo ich uderzenie kości zwykle gruchocze. (Przyp. tłómacza).

Wobec tak zupełnego niepowodzenia planów, starań i usiłowań, mających na celu cywilizacyą, chrześciańtwo i ocalenie ginącéj rasy australijskiéj, pozostaje jeszcze wypróbować i zastoso-

---

urządza zasadzki na podróżnych, napada i rabuje osady, morduje rolników, porywa kobiety i znowu znika z tą samą szybkością, nie, że jest, jak dowodzą, podstępnym i zdradzieckim, ale że cel swéj zemsty już osiągnął.

Ten ciągły odwet, ciągłą napaścią wywołany, w przekonaniu białego człowieka jest zbrodnią, któréj Indyaninowi przebaczyć nie można. Biały też nie ogranicza się na prostych zarzutach. Nie mogąc zmusić nieprzyjaciela do otwartéj walki, człowiek, który tu jest przedstawicielem cywilizacyi, sam ucieka się do podstępu i nie cofa przed najnikczemniejszą zdradą, byle dzikiego wciągnął w swoje sieci. Takim to sposobem w Kwietniu r. b. stu sześćdziesięciu wodzów indyjskich pod rękojmią najprzychylniejszych zapewnień wezwano do fortu de Souce na południu Cordovy, przy Rio Guarto i tam z zimną krwią zamordowano. Podobnież stu dziesięciu dowódców w Retiro padło ofiarą swéj łatwowierności i zbytecznego zaufania.

Trudno pojąć, aby w tym wieku cywilizacyi, kiedy pod wpływem opinii filantropijnych i ducha prawodawczego, wszędzie pracują nad uchyleniem, lub przynajmniéj złagodzeniem wymierzanéj kary—tu jeszcze tak często trzeba było spotykać ludzi z dziką ludzkiéj krwi pożądliwością i widzieć, jak nakazują drugim, podobnym sobie potworom, występne a bezużyteczne mordy, których oni z najzupełniejszą obojętnością dokonywają.

Im bliżéj zapoznajemy się z historyą téj części świata, têm bardziéj czujemy się upokorzeni spotykając Indyanina, i chcielibyśmy niemal *czarnymi* wydać się w jego oczach.

Te obrazy nieszczęść i zbrodni smutnym są przedmiotem uwag dla podróżnika, który ma sposobność przypatrzyć im się na miejscu i w dzienniku swoim je opisuje. Odległość względem Europy nie powinna tych zdarzeń ogałacać ze współczucia, jakiego się dla nich od cywilizacyi wymaga; bez wątpienia znajdą one echo w sercu każdego prawego człowieka, a kiedyś może znajdą i pióro wymowne, które z energią sprawiedliwego oburzenia w powszechną ohydę poda ludzi, co się takich zbrodni dopuszczają wraz z ludźmi, co spokojnie zezwolić na nie mogą.

Lud silny a moralny, zawsze pierwszy do pochwycenia każdéj myśli wzniosłéj, szlachetnéj i uzacniającéj politykę naszego stólecia —lud angielski — dał nam dzielny przykład postępu w moralnych zasadach swego rządu. Najlepszym tego dowodem jest akt przed paru laty wydany; zdawaćby się mogło, że go sama wcielona filozofia u stopni tronu siedząca, za pośrednictwem lorda Glenelg (Karola Grant) dyktowała—istotnie wartoby go złotemi literami przepisać, warto wszędzie ogłosić i rozpowszechnić na cześć cywilizacyi XIX wieku.

W roku 1834 Kafrowie w liczbie 15,000 napadli spokojną osadę Przylądka Dobréj Nadziei i dopuścili się tam gwałtów najdzikszego barbarzyństwa. W skutek tak smutnego zajścia, spadł na kolonią ciężar utrzymania 8,370 zbiegłych do niéj nieszczęśliwych rozbitków, a jednocześnie sama zubożała o 51,000 sztuk bydła, 2,339 koni, 188,195 owiec, przyczém 369 domów w niéj spalono, a 261 zrabowano. Rząd kolonii spiesznie i skutecznie odparł Kafrów i ukarał ich śmiałość. Sprawozdanie podane przez miejscową władzę ministrowi angielskiemu, tak opisuje te wypadki:

„W czasie objazdu komissarza wyznaczonego na opodatkowanie pokoleń Gaika i Lambie okazało się, że strata ich w ciągu naszych działań wojennych wynosiła: 4,000 wojowników t. j. żołnierzy, między którymi wielu kapitanów. Nasza strata

wać jeden środek (1), prawdziwie godny angielskiego rządu: należy wysłuchać głosu i zadośćuczynić ostatniéj prośbie wygnańców, ostatniemu życzeniu małéj ich garstki przy życiu pozostałéj. „Zostawcie nas, wołają, naszym obyczajom i nawyknieniom—zmuszając do biernego posłuszeństwa, nie zatruwajcie krótkich dni wydzielonéj nam przyszłości—nie urągajcie obojętnemu lenistwu względem cywilizacyi, która się dla nas nie nadaje. Jeżeli umiecie być wspaniałomyślnymi dla podbitych, wybawcie nas od głodu, który do rozpaczy przyprowadzając, zmusza nas i pasterzy, i trzody wam mordować. Nasze pola, nasze lasy zaopatrywały nas niegdyś obficie w pokarm roślinny i zwierzęcy; dziś nam odjęte, dziś do was należą razem z płodami swojemi. Wam się powodzi na ziemi naszéj rodzinnéj—my na niéj z głodu umierać musimy!

---

szczęśliwie nie dochodziła stu ludzi nawet, a w nich było tylko dwóch oficerów. Prócz zdobytéj i pod panowanie nasze już zagarniętéj ziemi, wzięliśmy jeszcze zwyciężonym napastnikom: 60,000 sztuk bydła i wszystkie prawie, jakie tylko posiadali, kozy. Mieszkania ich wszędzie z ziemią zrównano, spustoszono ogrody i pola; tym sposobem więc niezbyt srogo, ale dostatecznie ukarani zostali.

Lord Glenelg, minister wydziału osad, w następujący sposób wyraża się o powyższym wstępie do sir Beniamina d'Urban, gubernatora przylądka:

„Czuję się w obowiązku wypowiedzieć żal głęboki, z jakim szczegóły te czytałem. W starciu wojska regularnego z hordami dzikich ludzi, prostą koniecznością jest ogromna nierówność w stratach jednéj, a drugiéj — ale wydanie całego kraju na zniszczenie, skazanie na głód całéj ludności, to już staje się obostrzeniem nieuniknionych okrucieństw wojny, a obostrzeniem tak wstrętném dla wszelkiego uczucia sprawiedliwości i tak sprzeczném ze zwyczajami ludów ucywilizawanych, że nic by mnie uniewinnić nie mogło, gdybym otrzymawszy podobne sprawozdanie, nie zażądał od pana dalszych objaśnień. Honor imienia Anglii domaga się odebrania i złożenia publicznego dowodu, że tylko smutna konieczność zmusiła do użycia w tak okrutny sposób nieprzezwyciężonéj potęgi JKMości."

Nigdy organ rządowy nie wyraził się z większą ludzkością i głębszym politycznym razumem o zwycięztwie, które pochlebiało uczuciu zemsty i próżności narodowéj. Opinia kraju przyklasnęła naganie lorda Glenelg, a zwycięzka osada poparła ją, wstrzymując się od illuminacyi i tym podobnych objawów radości prawdziwie barbarzyńskiéj, wywoływanych częstokroć niemniéj barbarzyńskiemi czynnościami (z dziennika autora).

(1) Mylili się ci, którzy przypuszczając ich przeistoczenie moralne, proponowali dla nich stan służebności u białych; nie zgadza się to ani z ich instynktem, ani z ich zwyczajami. Ze spostrzeżeń nad temi dwiema rasami poczynionych, z pewnością niemal wnioskować można, że łatwiéj sprowadzić białych do jednych pojęć z czarnymi, niżeli tych ostatnich podnieść w wyobrażeniach i zwyczajach do wysokości naszéj rasy.

NOWE STUDYUM NAD SYROKOMLĄ.

Napisał

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ.

V.

Pierwszym niedonoszonym pomysłem Syrokomli, poczętym przy wertowaniu Kochanowskiego i Kallimacha, był Władysław Warneńczyk, król pacholę, prowadzony na pasku polityki wszechchrześciańskiéj na Węgry i z Węgier przez krzywoprzysięztwo na śmierć pod Warną. Za czasów Kochanowskiego mniéj jeszcze byli ludzie skrupulatni, niedotrzymywanie słowa w interesach wiary było taką fraszką, że Kochanowski we fragmencie bitwy z Amuratem pisze: „O święty królu Włodzisławie, któryś przez męztwo osiągnął w niebie stolec złoty, a na ziemie masz za pamiątkowy słup Bałkany, a za grób całą Europę!“ Od czasów Kochanowskiego nietylko skrupuły bardzo urosły, ale zaszły wątpliwości co do męczeńskich zasług rycerza romantyka, który goniąc za błyskotną marą krucyat, rzucił swoje własne kraje i przyłożył się do zmarnowania władzy królewskiéj; zatém był w części znacznéj sprawcą, iż późniéj na królów „twarde nałożono pęta.“ Poeta teraźniejszy musi koniecznie potrącić o kwestyą sumienia, i robiąc z króla nawet baranka ofiarnego, musi potępić Cezaryniego i Zbigniewa Oleśnickiego, którym on dał się powodować. Przy takim obrocie poematu poeta trafiłby do celów, do których nie zmierzał, i osiągnąłby skutki całkiem przeciwne stosunkowi swojemu do kościoła. Pobawiwszy się z przedmiotem jak z cackiem, Kondratowicz porzucił go pociągnięty inną błyskotką: przywiązał się myślą do największego warchoła, jakiego wydała Korona Polska, począł pisać gawędę o kanoniku przemyskim, tym w rokietę odzianym Alcybiadesie polskim XVI wieku. W tym

genialnym rzeczniku o wrzących namiętnościach i piórze złotém w téj dziwnéj mieszaninie dobrych i złych żywiołów, poeta-malarz biorąc go za bohatera musi koniecznie uwydatnić i skombinować trzy główne rysy jego zawodu publicznego: rolę reformatora publicznego, promującego unią grecką, i żenienia się księży, rolę zapalczywego katolika biczującego różnowierców, i rolę równie zapamiętałego teoretyka złotéj szlacheckiéj wolności. Najpodobniéj do prawdy, że Kondratowicza nęciło w Orzechowskim to, iż ten nowator był do szpiku kości katolikiem, że ten zapaleniec, stronnik w duszy rygoru i kościelnéj dyscypliny, usiłował stworzyć swojego rodzaju katolicyzm, zastosowany do ducha wieku (Kondratowicz, Dzieje literatury t. II str. 147 wyd. 1875). Że starcie się wrogich żywiołów w Orzechowskim było arcy dramatyczne, nie podlega wątpliwości, lecz nie każda dramatyczna sytuacya tworzy bohatera dla dramatu albo epopei. By zainteresować i pociągnąć serca ku temu bohaterowi, trzeba, żeby albo przy wielkich dodatnich duszy téj przymiotach, los jéj przez własną jéj winę był poruszająco tragiczny; albo żeby skutkiem wewnętrznéj walki człek ten wyrósł, stał się olbrzymem czynu przez zaparcie się swoich upodobań, przez podeptanie własnego szczęścia dla tryumfu wyższych, uznanych przez się ideałów. Pod żadnym z tych dwóch względów Orzechowski nie kwalifikował się na bohatera. Koniec jego był nie tragiczny, ale tylko mizerny; znienawidzony przez nowowierców jako ich pogromca, podejrzewany przez katolików jako bardzo wątpliwy sprzymierzeniec, odepchnięty przez wszystkich Orzechowski, wysługiwał się piórem Rzymowi, a nie doczekał się uświęcenia związku z żoną i uprawnienia dzieci. To opuszczenie było całkiem zasłużone; człowiek z talentem, ale okazał się odlanym z lichego kruszcu, chwiejnym, interesowanym, wszystko poświęcającym dla namiętności. Darmo Kondratowicz dla uszlachetnienia bohatera stara się obdarzyć go sercem marzącém, rzewném, zgubionêm przez sny tęczowe i myśli jutrzniane (I, 247), które w rażącéj są sprzeczności z duszą wulkaniczną, naturą o gwałtownych i niepohamowanych popędach:

„Gdy czytam, to namiętnie, modlę się gwałtownie,
Kiedy kocham, precz z myśli cała mądrość ziemi,
A kiedy pokutuję, to łzami krwawemi (I; 240).“

Przytém człowiek to bardzo pozytywny, bardzo praktyczny, biegły w panowaniu nad okolicznościami i nad ludźmi, ognisty w słowach a w gruncie ostygły sercem i samolub. Bez najmniejszego powo-

łania, znając swoję krewkość, Orzechowski staje się księdzem dla kawałka chleba, i wyświęca się z ukartowanym zamiarem pojęcia żony, to jest niedotrzymania ślubów kapłańskich. Darmo poeta dla usprawiedliwienia tak fałszywego kroku robi zeń cielca ofiarnego władzy ojcowskiéj: „Bierz przekleństwo ojcowskie albo księżą suknię—Jedno z dwóch“ (I, 245). Orzechowskiego nie usprawiedliwia w dalszych jego kolejach nawet to, że „Wciąż cypryjska bogini rozpala mu serce“ (249), bo stały zamiar ożenienia się powstały przed przyjęciem przezeń sakramentu kapłaństwa, poprzedził znajomość ze Straszówną i znajomość z Chełmską, i był oczywiście natchniony nie miłosnym szałem, lecz całkiem innemi pobudkami, wielką ambicyą, żądzą odegrania roli, o któréj wiedział, że była na dobie i to zjednałoby mu odrazu ogromną popularność. Popularność była ogromną, ale sława podobna wielce do sławy Herostrata, bo ten ksiądz, który zadarł z biskupami, by gwałtem w kościele pozostać, naprowadzał na kościół nowowierców, którzy burzyć zamierzali, i posunął rzeczy do tego stopnia, że Polska omal nie została protestancką. Wielkim panom Górkom, Radziwiłłom, Zborowskiemu, Leszczyńskiemu, którzy przebierali się za pacholków, aby towarzyszyć Orzechowskiemu w Krakowie na konferencyą z biskupami i płacili mu jurgielty, chodziło głównie o to, aby przy jego pomocy wyrwać egzekucyą, to jest żądło kary świeckiéj z klątew biskupich i otworzyć nowowierstwu na oścież do szerzenia się wrota. Zakwestyonowano na dobre prawa biskupów sądzenia szlachty za kacerstwo. Po tym wielkim, ale ze względu na przekonania motora sprawy smutnym dla niego tryumfie, nastąpiły deprekacye, ukorzenie się trybuna szlachty przed kościołem, zawieszenie klątwy, odwołanie się do Rzymu i nieskończona ze strony Rzymu odwłoka a zasługiwanie się Orzechowskiego piórem zaprawném jadem, a obróconém przeciwko nowowiercom. W pismach tych, które się stały dla dwu następnych wieków prawie katechizmem politycznym, dokonało się dozgonne przymierze reakcyi religijnéj ze szlacheckością, rządu teokratycznego z anarchią, których dzieckiem była ta grzeczna i wyklęta przez Kondratowicza swoboda, córka zniszczenia, do któréj hasło najpierwéj ten poda, kto chce narzucić niewolnicze pęta (Stare Wrota III, 47). Kondratowicz z rozwinięciem swego poematu do tego okresu życia Orzechawskiego nie doszedł, nie mógł więc sprawdzić fałszu, który leżał w początkowém założeniu poematu, w tych pierwszych jego wierszach nadętych przesadą a niesłusznych:

„Jam człek wolny, ja dziecię wolnego narodu,
Za cóż krzepkiemi więzy skuto mię za młodu?“ (I, 236).

Kondratowicz nie doszedł nawet aż do kulminacyjnego punktu walki Orzechowskiego z biskupami, i w ułamku, który posiadamy, zarysowani tylko dwaj główni przeciwnicy: Orzechowski mający się żenić z miłości ku Małgorzacie Chełmskiéj i biskup Dziaduski, epikurejczyk, trefny dworak, kreatura Bony, wbrew historyi odmalowany jako rygorysta i asceta. Można się domyślać okoliczności, które odtrąciły poetę od obranego przedmiotu. Orzechowski opracowywany był w Załuczu w 1851 r.; w tym roku przypadły dwie podróże Kondratowicza do Wilna w Styczniu i we Wrześniu. W czasie pierwszego pobytu, Kondratowicz poznał się osobiście z poetą całkiem odmiennéj niż jego własną natury, z gatunku mistyków i tytanów, Edwardem Żeligowskim, który pracował wówczas nad poematem: *Mnichy* (wiersze prześliczne, myśl jadowita, Kraszewski, str. 44). We Wrześniu 1851 r. już był Żeligowski przeniesiony do Petrozawodska, ale poemat otrzymał swój tytuł ostateczny: *On*, *Ona i Oni*. Kondratowicz przysyła zeń kilka ustępów do Athenaeum oznajmiając, że całość niebardzo mu się podoba (51). Była to kontynuacya Monachomachii, ale pełna żółci; za temat wzięta miłość zakonnika; poemat bił taranem w samą instytucyę celibatu. Kondratowicz który wybrał Orzechowskiego jako dramatyczny przedmiot, bez najmniejszéj ochoty poruszenia kwestyi praktycznie i stawienia jéj na porządku dziennym, cofnął się natychmiast, i opuściwszy kanonika przemyskiego w krytycznéj chwili, wśród rozpoczętych starań o małżeństwo, poszedł szukać wątku do epopei w odległych dziejach przedchrześciańskich i stworzył największy ze swoich poematów epickich, *Margiera*, najlepsze podług przedmowy z dzieci jego ducha, bo najdłużéj było opracowywane, od końca 1852 do 1854 roku, i najwięcéj kosztowało twórczych rozkoszy i boleści; dziecko, któremu zawczasu skarbił na świecie dobre przyjęcie, pisząc do Kraszewskiego: *esto ei propitius*. Ani współcześni, ani potomność nie potwierdzą zapewne tego sądu autora o swoim własnym utworze. Temat do poematu nastręczyła pani Paulina Wilkońska. W 1336 roku pod koniec rządów Gedymina, zatém na czas krótki przed chrztem Litwy, Litwini oblężeni w trudnych dziś do odszukania Pillenach czy Pullen nad Niemnem czy na Żmudzi, nie mogąc zamku obronić, a nie chcąc się żywcem dostać w ręce nieprzyjacielskie, pozabijali się wzajem wraz z wodzem swoim Margierem w liczbie 4,000.

Tyle tylko słów kroniki. Kraszewski uważa sam temat za nietrafnie obrany, bo żaden autor nie może dziś sprostać podobnéj bohaterskiéj osnowie, która wielkością swoją zabije poetę. Podług Kraszewskiego (56) taka legenda jest jak obłamany posąg starożytny, który

musi stać w muzeum, okaleczony lecz nietknięty, bo wszelkie sztukowanie jest niemożebne: „Dajcie (artyście) jednego trupa z mogiły do tego obrazu a całość (przezeń utworzona) runie lub strupieje cała.“ Pozwalamy sobie zaprotestować przeciwko temu wyrokowi. Legenda, o któréj mowa, nie jest odłamem mistrzowskiego posągu, lecz poprostu niekształtnym kamieniem, kawałem granitu mało na posąg przydatnym z powodu trudności w rzeźbieniu tego materyału. Samobójstwo jest to wypadek codzienny, niedowodzący bynajmniéj bohaterstwa, i w wyjątkowych tylko okolicznościach godny czegoś więcéj nad politowanie. Samobójcze mordowanie się całemi massami nie wyraża właściwości i cech odrębnych pewnego narodu albo wieku, zdarzało się ono bardzo obficie i w wojnach religijnych i w starciach się ras jednych z drugiemi, dla uniknienia wymyślnych mąk, śmierci albo haniebnéj niewoli. Któż nie pamięta epizodu ze wściekłéj bitwy pod Aquae Sextiae (102 r. przed Chr.), kiedy legie Maryusza szturmowały tabor Teutonów, a niewiasty teutońskie dusiły własne dzieci i mordowały się na wyścigi? Samobójstwo massami możebne u ludzi najdzikszych w walkach pomiędzy sobą, plemion ludożerczych w epokach prawie przedhistorycznych. Zajęcie poety i historyka może obudzić nie sama krwawość i groza okropnego finału, ale chyba pojęta moc i wzniosłość uczucia, które do téj rozpaczy przywiodło, a zatém wielkość straty, nad którą żal wywołał samobójstwo. Finał nabiera wielkiego znaczenia, jeżeli zamyka szereg wielkich dziejowych wypadków, jeżeli wyraża skon całego narodu, zejście ogromnéj cywilizacyi. Na tle wielkich dziejowych wypadków olbrzymieją działające i wyrzynające się osoby, tak, że innemi oczyma patrzymy na mordujący się nieznany ludek, a innemi na uzbrojonego w nóż ofiarny arcykapłana na fresku Kaulbacha: Zburzenie Jerozolimy, albo na żonę Hazdrubala po sześcio-dniowym szturmie Kartaginy rzucającą się z dziećmi w płomienie w świątyni Eskulapa. Ani rok 1336 nie był w żadnym względzie stanowczy, ani może czémkolwiekbądź przemawiać do wyobraźni zaprzepaszczona gdzieś twierdza Pullen, ani może dziś poruszyć kogokolwiek, chociażby nawet potomków swoic z krwi i kości, stara pogańska Litwa ze swojemi bogami. Nietylko brak nam klucza do téj wygasłéj religii całkowicie na wieki pogrzebanéj i że tak powiem zapieczętowanéj tak, że nawet archeologii nie uda się zapewne nigdy wyjaśnić tajemnicy; lecz gdybyśmy nawet ten klucz posiadali, wątpliwa rzecz bardzo, czy mogłaby nas pociągnąć i zachwycić religia okrutna i dzika, wymagająca w XIV jeszcze wieku ofiar ludzkich, w których nowsi antropologowie i badacze wieków przedhistorycznych upatrują widoczny

związek z rozszerzonym niegdyś powszechnie kannibalizmem. Cześć ognia i zwierząt, gusła i wróżby, ofiary ludzkie, opilstwo i łupieztwo przy dojmującém ubóstwie chrobréj łyczanéj Litwy, wszystko to są ujemne cechy, cienie na obrazie. Musi je przytoczyć hołdujący prawdzie poeta historyczny, nie może jednak z nich wysnuwać głównego wątku bohaterskiéj powieści, bo wywołałby wstręt i obrzydzenie zamiast uwielbienia i współczucia ku starym rzeczom, które przedsięwziął oczyszczać z pyłu i podnosić. I w Grażynie zarysowana gdzieś w dali świątynia władcy pioruna:

„Gdzie woły, konie, trzoda srebrnoruna
Codziennie krwawi poświęcone zgliszcza."

I w Grażynie wśród stosu stoi przeznaczony do spalenia niemiecki braniec na dzielnym rumaku, trzykroć łańcuchem przykuty do haku; ale to są tylko nic nieznaczące dodatki, główną zaś treść stanowi mężny czyn Litewki, która przez miłość dobrze pojętą kraju, zerwała pomimo męża ukartowane przez niego na zgubę ojczyzny litewskiéj związki z Niemcami. Wielkiego dziejowego znaczenia nabyła Litwa, nie przez to, że się trzymała swoich oryentalnych bogów, ale owszem przez to, że się umiała ich pozbyć i poślubić wiarę swoich nieprzyjaciół, któréj odtąd stała się najwierniejszym i najgorliwszym apostołem. W XIV-tym wieku Litwę już przesiąkały nadobre żywioły chrześciańskie; wielorakie związki łączyły z chrześcianami książąt, wiara prostego ludu nie była wiarą rządców, a pierwsze miejsce w rachunkach rządzących trzymała nie religia, lecz polityka. Cudownie te warunki były pojęte przez Mickiewicza w jego wielkim poemacie litewskim. Walter Alf, już chrześcianin, nawrócił Aldonę, Aldona zostaje pustelnicą w zakonném mieście. W myślach i Wallenroda, i Aldony pogaństwo nie ma już zgoła żadnego zakątka. Kondratowicz począł sobie z tymże tematem całkiem inaczéj: do kronikarskiéj legendy o zamku Pullen wprowadził litewską mitologią, i z ofiar ludzkich utworzył oś główną, około któréj obracają się wszystkie wypadki powieści. Margier ratuje rannego Ransdorfa tém tylko, że go przeznacza na całopalenie; bogowie chcą ofiary z Ransdorfa, a gdy Ransdorf uciekł z tą, co mu uciec pomogla, córką Margiera Egle, chrobra Litwa z Margierem zabija się i ginie w pożodze zamku, dlatego tylko, że nie zostali spaleni przez bogów pożądani na mięso ofiarne Ransdorf i Egle, zkąd wniosek, że gdyby zostali spaleni, i Margierby ocalał i chrobra Litwa tryumfowałaby przed krzyżem. Wielka kwestya plemienna sprowadzona do kwestyi

niezadowolonego apetytu bogów, a na domiar wrażenia wstrętu i niesmaku, jawi się widomie samo bóstwo Poklus w postaci straszydła podobnego do tych, które w szopce pokazują kolendujący chłopcy:

„Postać naga, koścista, włosata, brodata,
A ze źrenic, spojrzenie jak płomień wylata.“

Wszyscy Litwini popadali przed zjawiskiem, jeden tylko Margier zmierzył się mężném okiem z bogiem piekieł. W przedmowie Kondratowicz zasłania się przykładem Wirgiliusza i tym przykładem tłómaczy wprowadzenie do poematu boga — machiny. Błahe tłómaczenie się, bo nie kładąc nawet na szalę różnicy wieków między naszą epoką, w któréj inaczéj patrzy się na cudowność, a epoką ulubieńca Augusta, — między obranemi przedmiotami ogromna zachodzi niejednostajność. Wirgili opracowywa wprawdzie bez wiary żywe narodowe podanie, najpatryotyczniejsze, jakie Rzym posiadał o założeniu wielkiego miasta, zatém podnosi to, w co wierzyć uważało się prawie za obywatelski obowiązek; nasz zaś poeta zmyślał cudowność całkiem nieistniejącą w pojęciach publiczności, i kleił sztuczne z papieru na drutach do niczego znajomego publiczności niepodobne straszydło, które nietylko nie było w stanie sprawić złudzenia, ale wywoływać mogło tylko komiczne uczucia. Przy tak zupełném chybieniu mitologicznéj części poematu, mógł on się trzymać tylko przez wielkość charakterów działających osób, przez to, co z własnéj duszy autor w nich włożył: ale jak wiadomo, autor nie należał do liczby wielkich duchów, nie posiadał zdolności tworzenia wielkich charakterów; szedł drogą przetorowaną przez Mickiewicza, a niewłaściwą swemu talentowi, nie mogąc zmierzyć się z olbrzymem, z którym niedogodne dla pomniejszych poetów wszelkie porównanie i sąsiedztwo. Jak Słowacki w Balladynie nie może się opędzić ideom Szekspirowskim, tak Kondratowiczowi nasuwają się wciąż obroty i obrazy Mickiewiczowskie.

„Czemuż pieczęć na tobie kładę naprzemiany,
Dziś Pańscy aniołowie, a jutro szatany?“ (Margier II, 31).
Jak gromu żywioły,
Tak czekają twéj myśli szatan i anioły. (Mick. Dziady IV).
W imię piekieł czy niebios ja idę na wojnę?“ (Mar. II 66—67)
Czy się wzniosę w obłoki, czy w przepaść zagrzebię?

Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebie zaświecisz (Dziady)
A ty jak obłok górny, ale błędny pałasz.“
„Już doszli napastnicy do połowy wałów,
Już głowy napastnicze wolne od wystrzałów. (Mar. II, 85).

Patrz odpowiednie miejsce w Red. Ord. Dwa pierwsze ustępy pieśni IV Margiera:

„Urodzona z wyziewów w nadmorskiéj krainie
Straszno gdy czarna chmura swe skrzydła rozwinie;
Ale trwożliwiéj Litwin patrzy ku Baltydzie,
Kiedy czarny jak chmura huf krzyżacki idzie.“ etc.

są czystym plagiatem z pieśni Wajdeloty:

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć“ — i
„Zgubne zjawisko, ale więcéj zguby.“

Margiera koniec:

„Chcesz się prawdy domacać, pytaj kronikarzy,
Resztę niech własna głowa, niech serce domarzy.“

Mickiewicza, koniec Wallenroda:

„Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł harmonii w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swéj dośpiewa.“

Mimo naśladowaną wielkość obrazów i stylu, wszystkie bez wyjątku działające osoby nie wznoszą się nad poziom najpospolitszéj miernoty, i są aż do znudzenia ckliwe, albo całkiem nienaturalne. A najprzód Werner Ransdorf, jest to najzwyczajniejsze młode szczenię z psiarni Krzyżaków, typowy oficer służbista wszystkich przeszłych i przyszłych regimentów, mało co lepszy od Phebusa Szatopera w Nôtre Dame de Paris,—młode, piękne, zdrowe ciało, i krew gorąca. Od dziecka chowany w obozie, Ransdorf rozpuścił się nadobre i zasmakował w winie, i w towarzystwie malborskich kokotek, potém ocalony prawie cudem na pobojowisku, i nudząc się śmiertelnie w niewoli na zamku Pullen, młody wojskowy smali, jak to mówią, koperczaki do Margierówny Egle, która choć nie w atłasach chodzi, ale w samodziałowém płótnie i szyję stroi tylko koralami, ale zato opleciona cała niby Gorgona wień-

cami z łaszących się wężów. Na widok jéj krzyżak prawi komplementa, którychby się nie powstydził żaden klassyk XVIII wieku.

„O ślepi Litwini,
Tutaj nie wąż jest Bogiem, tu ona bogini.“ (II, 30).

Poczém filozofuje, niby panteista i metafizyk niemiecki:

„Piękno, to wielkie słowo, potęga nielada.
Bóg jest Piękném i cuda swoje złożył w Pięknie,
Przed nim wdzięczy się niebo, a ludzkość uklęknie,
A piekło na twarz pada i w prochu się wala...“

By uratować skazanego na spalenie Ransdorfa, Egle ze starym wojakiem Lutasem uprowadza jeńca przez loch podziemny na swobodę, a puszczając go, biorą odeń tę tylko przysięgę, że nie zdradzi tajemnicy lochów. Wrócony do swoich, Ransdorf postępuje jako człek sumienny, dosyć nawet uczciwy, to jest zamierza ściśle spełnić to, co przysiągł, ni mniéj ni więcéj. Pójdzie z wojskiem na Litwę i na sam Pullen, bo tego mu nie zakazano; ale lochów nie wyda, a nawet w dodatku, dobry chłopiec, nie będzie bezbronnych mordował i bez potrzeby palił chat litewskich (II, 70), i za to wart, aby mu powiedziano: Bóg zapłać. Pod zamkiem Pullen w najdziwniejszy sposób dowiaduje się Ransdorf, że choć nie z jego winy, ale z jego przyczyny, Egle ma być stracona za to, że ułatwiła mu ucieczkę. Tu miłość, wdzięczność i chęć ocalenia życia kochanki, biorą górę nad postanowieniem dotrzymania przysięgi i Ransdorf wdziera się przez loch z łucznikami, by porwać i uprowadzić Eglę; wiarołomca, ale wśród tak łagodzących winę okoliczności, że sędziowie przysięgli możeby mu dali weredykt, że niewinien. Poemat wygląda nakształt bardzo zręcznéj adwokackiéj obrony, po któréj jednak, jak prawie po wszystkich obronach, schodzi z placu broniony winowajca rozebrany z uroku, bo się okazał najpospolitszą w świecie figurą, taką samiutką jak zwyczajni ludzie. Co się tycze Ifigenii litewskiéj, Margierówny, jak wszystkie kobiety u Syrokomli, zarysowana mglisto i niewyraźnie, ale przy bliższém zastanowieniu się nad nią, okazuje się, że to jest dość zwyczajna panna romansowa z naszych, a nie litewskich czasów. Litwinka łatwo mogła się zakochać w rannym i bardzo nieszczęśliwym krzyżaku; jeżeli się zakochała, to zapamiętale bez podziału serca pomiędzy Ransdorfem i innemi rozmaitemi względami

wyższego porządku i znaczenia, bo wszystkie względy i konsyderacye są dziećmi cywilizacyi nabytemi skutkiem starannego tresowania człowieka od młodu, wdrażania go do takiéj rozwagi, aby każdy krok jego był z namysłem, a w każdym czynie należyta miara. Zakochana Litwinka, kiedy bogowie zażądali śmierci Ransdorfa, musiała sobie zbrzydzić bogów:

„Kapłani i wróżbici i sami bogowie,
Ja bluźnię waszéj sile i waszéj dobroci.“ (II, 42).

Jedyną ucieczką od tych bogów i stanowiącéj z nimi jedno Litwy, było poślubienie wiary Ransdorfa i ojczyzny Ransdorfa i ucieczka z nim razem przez podziemne lochy, poczém z powodu wielkiéj nierówności w wykształceniu pomiędzy zakochanymi, Ransdorf prędzéj czy późniéj odtrąciłby biedną dziewczynę, która dla niego porzuciła wszystkie swoje obowiązki; Egle albo zatęskniłaby się na śmierć po swoim domu i kraju, albo może zdobyłaby się na zabójstwo z zazdrości, w każdym zaś razie jéj losy nicby wspólnego nie miały z losami twierdzy Pullen i Margiera. Pod piórem Syrokomli rozwiązanie romansu całkiem inne, bo tracąc cały urok dzikiego kwiatka polnego, leśnéj konwalii, bosa księżniczka Egle staje się wytworną, sentencyonalną damą, która pod względem rozbierania i cieniowania swoich uczuć, mogłaby dać niejednę lekcyą samemu Ransdorfowi. Ona i spojrzeć tak umie z wysoka i pańska, że osadzi śmiałka na miejscu (Ale córka Margiera jakby ostrym grotem skarciła go spojrzeniem... II, 39). Wydarłszy bogom swoim Ransdorfa, zostaje na miejscu i dotrzyma kroku i bogom i ojcu, bo myśli w niéj niewieście i zamiary niezmiernie daleko sięgające; może ten Niemiec pojedna kiedyś Niemców z Litwą.

„I powstrzyma nieprzyjaźń co dwa ludy plami,
I złączy Niemców bogi z naszemi bogami.“

Po ucieczce Ransdorfa osądzona na pastwę bogom i osadzona w lochu, Egle nie przestaje politykować i przymierzać do siebie jakby suknie jednę po drugiéj walczące religie:

„Nieszczęsna dziewczyna, to modli się to przeklina,
To krzyżyk do ust ciśnie, to go szarpie z łona (II, 85),
To odpędza zanadto srogich bogów Litwy,
Bo w koronie z cierni Bóg krzyżaków, pogląda ku niéj miłosierniéj.“

Wybiera się uciekać do Niemców pod Chrystusa władzę, to uważa się za zbrodniarkę:

O święci bogowie!
Ja się cofam gdy Poklus ofiary wymaga
Dla ocalenia Litwy...
Ransdorfie! tyś wróg Litwy, giń w jednéj godzinie...
O nie! raczéj niech Egle, niechaj Litwa ginie... -

To szamotanie się w niepewności, to przerzucanie się z jednéj ostateczności w drugą kończy się prawie kabałą i wyciąganiem węzełków:

„Bogowie, których Niemcy czy Litwini chwalą,
Którzyście potężniejsi, niechaj go ocalą:
Tych przeklnę, co ze wszystkiéj litości wyzuci,
Tego uznam za boga, który szczęście wróci."

Lecz gdy bez bogów kochanek ziścił życzenie Egli i wdarł się do lochu, aby ją ocalić, wśród palących się ścian zamku, pod stropem gorejącym, który ma się zawalić, zdejmują Margierównę nowe niepewności i poczucie obowiązku zginąć pospołu ze swoimi, wszystko to jednak odbywa się nie w formie pierwszego uczucia, ale w formie najsztuczniejszego w świecie rozumowania.

Egle która przysięgła, że bogów porzuci i skłoni się sercem ku nauce Chrystusa, oświadcza, że chce spłonąć na jednym stosie ze swojemi bóstwy, wreszcie stawi taką zagadkę kochankowi. „I nigdy się nie dowiesz do kogo i po co zaszlę ostatnią modłę" (II, 108). Czas i miejsce niedobrane do rozwiązywania zagadek, strop lada chwila runie i wszystkich przywali, to też łucznicy porywają Egle i wloką omdlałą do łodzi, na któréj przebijająca ją strzała ojca, kładzie koniec jéj życiu i niepewnościom. Jak nieszczęśliwe wygórowanie refleksyi czyni z Egli charakter nienaturalny, rodzaj moralnego wahadła, kołyszącego się biernie w próżnéj przestrzeni bezczynu; tak znowu druga niedorzeczność przypuszczona przez autora, spaczyła i popsuła postacie, w których Kondratowicz chciał uosobić dawną Litwę. Najserdeczniejszy z ludzi Kondratowicz zapewne z siebie biorąc miarę, wyobrażał sobie, że do dziś dnia od wieków zasadniczą cechę duszy litewskiéj stanowiła miękość bez granic i rozpływanie się za lada przemówieniem do uczucia:

„Dzisiaj rzeź krwawa, uczta dla mieczów i młotów,
A jutro Litwin sercem podzielić się gotów,

I przy czarce ałusu ściska swe siepacze,
I nad własną srogością najpierwszy zapłacze.“ (II, 15).

A cóż dopiero kiedy nieprzyjaciel przemówi do niego z litewska!

„Bo w słowach macierzystych jest urok nielada,
Wróg zawsze nas rozbroi, gdy niemi zagada;
Zawsze zdoła przygasić namiętne zarzewie,
Ach i dobrze, że o tém czarodziejstwie nie wie.“

Ze wszystkich naszych dawniejszych prowincyonalizmów, litewskiemu tradycya przyznawała dotychczas najwięcéj hartu w charakterze i odpowiednie temu hartowi wady: mściwość, długą pamięć o krzywdach (zawzięty jak Litwin). Dziś złagodniały obyczaje, więc zatarły się nieco te właściwości, przed kilku wiekami bez porównania wydatniejsze, anachronizmem więc najzupełniejszym jest uosobienie dawnéj Litwy w Lutasie i Margierze, dwóch sielankowych mazgajach, w których niepewnym ręku Litwa musi ginąć, bo ani stać przy swoich bogach, ani wiernie służyć ich i Litwy sprawie nie umieją. Stary wojownik Lutas zawczasu daje Niemcom za wygraną: „Za lepszych dni świata, Może miłość dwa ludy niezgodne pobrata, Dla Litwy i dla Niemców będzie Bóg jednaków“ (dodajemy od siebie: nie pobratała dotychczas, chociaż Bóg jednaków). Gwoli uczuciom bardzo rycerskim, ale czyniąc z Litwy jako ojczyzny igraszkę, Lutas pomaga uciec Ransdorfowi dlatego tylko, aby młodzian przyszedł znowu z Niemcami palić chaty litewskie, żeby go w boju ujrzeli Litwini i pokonali, co im przyczyni chluby (II, 44). Jeżeli Lutas dlatego wypuszczał Ransdorfa, aby mieć potém przyjemność z nim w równym boju się potykać, jakiémże prawem może mu wyrzucać wiarołomstwo, naprowadzanie Niemców na Litwę (II, 96)? jakiémże prawem może go kląć na wszystkie bogi Litwy, a co najlepsze na Chrystusa: „Ciśnij z krzyża piorunem, poganin cię błaga!“ Sprawdziło się czego chciał Lutas, ale nieco inaczéj, bo Niemcy przyszli, ale z przemagającą siłą, i wzięli samego rannego Lutasa do niewoli. Tu staje się rzecz, która dowodzi albo niesłychanéj głupoty starego Litwina, albo tłómaczy się maligną: Lutas, którego wszystkie myśli kołują koło obawy, aby Ransdorf nie zdradził tajemnicy lochów, nic nie ma pilniejszego jak zwierzyć się mu o opłakanym losie przygotowanym dla Egli, więc wprowadzić go w najstraszniejsze pokuszenie i zniewolić prawie do zdradzenia tajemnicy i wydarcia kochanki, zamkniętéj z przyczyny Ransdorfa do lochu, z rąk jéj

oprawców. Zgubiwszy Egle przez ułatwienie jéj ucieczki Ransdorfa, Lutas gubi też zamek Pullen, Litwę i Margiera. Sam Margier est zbiorem niekonsekwencyi, napróżno autor chce wmówić, że:

„Jedna tylko nienawiść dla Niemców w nim żyje,
Ale to taka straszna jakby wszystkie żmije
W ogniste jego serce swój jad wysączyły.“ (II, 12).

Bohater ryczy tylko, ale nie kąsa; nietylko zmyśla, że zachowuje Ransdorfa na całopalenie, ale sadza go u swego własnego stołu jak brata, jak syna: „Jak gościa, co zdaleka przybywa w te kraje.“ Wyrafinowana rycerska kurtuazya, która mu każe krzyknąć: „Wara! Nad wrogiem rozbrojonym pastwić się niewolno“ (15), a potém czekać ze strzelaniem póki oblegający Pullen Niemcy nie skończą pacierzy:

„My nie walczym z ich Bogiem jak oni z naszemi;
Oni ufni w odległość i swój zastęp krzepki
Nie mogą się w téj chwili spodziewać zaczepki;
Uderzyć niespodzianie—to byłoby zdradnie.“ (84)

przynosi w końcu te owoce, że ocalony Krzyżak porywa w oczach ojca córkę. Wtedy nie przez patryotyzm, który nie ma celu, kiedy wszystko diabli biorą, ale przez gniew i ze złości, Margier przebija dwiema strzałami wyrodną corkę „i krzyżacką gadzinę;“ ale że złość, uczucie niepiękne, więc autor podsuwa Margierowi uczucia i myśli godne wodza i księcia, który daleko późniéj utonął w Elsterze, w téj apostrofie Margiera do Litwy:

„Daj świadectwo niebiosom w uroczystéj dobie,
Żem cześć twoję ocalił i zginął przy tobie!
Nie umarłaś spodlona, tylko nieszczęśliwa.“ (113)

Bogowie krwi żądni i ich wyznawcy filozofujący o tém, że kiedyś dla wszystkich ludzi będzie Bóg jednaków, nowożytna religia „punktu honoru,“ wszystkie wieki splątane i stopione w niekształtną amalgamę—otoż i cały epos Margierowski. Sam Kondratowicz pisze w przedmowie do Margiera: „Nie mając nadziei trafnego skreślenia (dawnych) Litwinów, kreśliliśmy ludzi w ogólności,“ ale i ludzie noszą piętno jednego wieku, a u Kondratowicza są to ludzie mnogich wieków, zatém nieżywi i nienaturalni.

Chłodne przyjęcie Margiera przez publiczność nie nauczyło autora, że wszedł na drogę niewłaściwą. On trwał w zamiarach

i tworzył pracowicie i z wysileniem rzeczy pisane na ton podniosło bohaterski, opowiadania, dyalogi i całe tragedye tak małéj wartości i tak ckliwie nudne, że dość je tylko zaregestrować. Szereg długi, praca źle użyta, talent zmarnowany. Czytelnikowi wystarczy najpobieżniejsza o nich wzmianka.

VI.

Zestawmy w piszącym wielki talent poetycki obrazowania z niedorównywającym mu rozumem i niedostateczném wykształceniem, a w rezultacie pracy nad wielkim historycznym tematem, otrzymamy rzecz słabą, ćwiczenie studenckie. Któż z nas za młodu nie rwał się do przedmiotów, które od szkolnéj ławy olśniewają czarem wielkich wspomnień? kto nie umierał z Leonidasem pod Termopilami, z Winkelriedem, kto nie walczył pod Maratonem i Salaminą? Historya powszechna szkolna mieści w sobie całe szeregi akich uświęconych tradycyą komunałów. Komu nie starczy środków, by zerwał z faktu wyrosłą zeń legendę i ujął ten fakt, jakim był w rzeczywistości prosty i nagi, zwykle o wiele szczytniejszy i bardziéj poruszający niż legenda, temu nic innego nie pozostaje, jedno przenieść się w legendę, wleźć w skórę tradycyjnego bohatera uż zepsutego przez podanie i odegrać jego rolę, to jest przedstawić sobie te myśli i uczucia, które prawdopodobnie w duszy bohatera grały w danych okolicznościach. Trzeba być Byronem albo Alfierim, by w tych ostatnich warunkach pociągnąć i roznamiętnić czytelnika, albo kreśląc rozpacz, nędzę, cierpienia współczesnego człowieka pod maską tragiczną Sardanapala, Falierego, jak czyni Byron, albo pobudzając do czynu politycznego, jak to czynił Alfieri. Kondratowicz ani mógł się mierzyć z temi orłami, nie bolał bolami wieku, od polityki zawsze stronił jak najbardziéj lecz brał jednę po drugiéj tę lub owę legendę, dorysowywał je i kładł na nie farby. Treść zwykła tematu — patryotyzm, który, się jednak nigdy nie zaognia, nie błyska natchnieniem, lecz jest jakiś bezbarwny, szaropopielaty. Bohaterstwo przez patryotyzm to męzkie to niewieście; na każdy rodzaj przypada po kilka okazów. Niewieście bohaterstwo upodobane przez Kondratowicza, to poświęcenie się Jadwigi oddającéj rękę Jagielle.

Na ten temat pisana w r. 1855 powieść „Córa Piastów" (II, 198), w któréj znowu występują postacie Litwinów, ulane na wzór i po-

dobieństwo autora, niby z bawełny i masła: „Brodate, dzikie, ubrane w niedźwiedzie,“ „Miękkie jak dzieci gdy w domowéj chacie,“ i w któréj siostra mazowieckiego Konrada, Hanna, poślubiająca litewskiego Trojdena — jest rękojmią przyszłego pobratania się dwóch narodów.

Ten sam pomysł, ale skarykaturowany, stanowi wątek dramatu *Możnowładcy i Sierota* z r. 1858. Panowie Chodkiewiczowie i Radziwiłłowie prowadząc gorszącą zwadę o rękę i posag ostatniéj Olelkowiczówny, omal co nie wydali sobie wzajem bitwy w Wilnie, wreszcie dobili targu o sierotę, któréj o serce ani zapytano. Z tych frymarków, w których tak niepiękną rolę gra Jan Karol Chodkiewicz, Syrokomla wysnuł zmyślony romans między nim i księżniczką Słucką, kazał Chodkiewiczowi pojedynkować się po nocy z hiszpańska z Januszem Radziwiłłem pod Chodkiewiczowską kamienicą. Dla zwiększenia wrażenia, wojna na scenie wydana działa grzmią, Wilno gore: wtedy poświęcając się księżniczka, porzuca Chodkiewicza i oddaje się Radziwiłłowi ze słowami, które brzmią jak pomyłka: „Jeżeli ręce omyłeś z krwi bratniéj,“ bo w istocie w zakończeniu Radziwiłł dlatego tylko dostaje księżnę ze Słuckiem i Kopylem, że ręce nadobre i bez wahania się umoczył po łokieć w krwi bratniéj, zatém w nagrodę za burdę, która jest niby prologiem do całego szeregu wojen domowych na Litwie.

Bohaterstwo męzkie u Syrokomli polega na poświęceniu dla kraju siebie samego, swéj wolności, swych dzieci. Margier zabija córkę dla ocalenia honoru Litwy, wraz po nim idzie Kasper Karliński (z r. 1857) strzelający do syna, którym nieprzyjaciele zasłaniają się idąc do szturmu W *Wyroku Jana Kazimierza* (z r. 1859) szlachcic Gnoiński przeszedł odrazu Brutusa, bo nietylko że przebił ręką własną syna swego za szpiegowstwo i zdradę kraju na rzecz Szwedów, lecz potém, gdy się okazało, że ranny wyzdrowiał, tenże ojciec woła głosem wielkim do króla:

„Ja sam go królu zabiję raz drugi,
Ugodzę lepiéj i sam się zabiję,
Nie chcę przebaczyć, prawo nie przebacza,
Tylko od hańby zachowaj mu szyję.“ (V, 268).

Hart to fałszywy, dość było słów kilku królewskich i obietnicy, dość zamienić stryczek i infamią na prostą bannicyą, by polski Brutus zapomniał, „że hańba tkwi w czynie a nie w wyroku,“ by stopniał jak wosk i pogodził się nietylko z losem, ale i z synem wyrodkiem:

„Dzięki ci, dzięki Opatrzności święta!
Więc ja nie zbójca, więc mój dom bez plamy (?),
Więc moje imię jeszcze jaśnieć może
Po całéj Litwie i całéj Koronie!“

Toż samo bezwiedne przejście od ideału do karykatury, któreśmy zauważyli w Olelkowiczównie, odbyło się w Staroście Kopanickim, Franciszku Ponińskim (pis. w r. 1857), stronniku Stanisława Leszczyńskiego, pokutującym w więzieniu w Sonnenburgu za to, że tłukł na gorzkie jabłko Sasów, nie chcąc uznać Augusta III. Zaiste wedle samegoż poematu nie wygląda ten August III jak Tyberyusz albo Neron; więzień trzymany w téjże celi, w któréj siedzieli Sobiescy, ma i puharek wina i kompanią, byle poprzysiągł uznanemu powszechnie królowi; wreszcie puszcza go król i bez tego warunku na wolność. Cały heroizm starosty polega na tém, że on i w więzieniu procesuje się o wolną elekcyą, protestując na zasadzie *neminem capti vabimus*. „Ja nie przysięgnę, bo go nie obrałem“ (III, 285). „Obrałem jedno przekonanie, drugiego Elektorowi poprzysiądz nie mogę“ (III, 230); wszak „kraj świętemi formami istnieje“ (229).

„Dopóty śluby moje nie ustały
W obliczu kraju, króla i kościoła,
Aż wreszcie prymas przez uniwersały
Szlachtę na pole elekcyjne zwoła,
Aż wszystkich społem niezmuszone usta
Królem ogłoszą trzeciego Augusta.“

W tym twardym obrońcy złotéj wolności, co kraj do zguby przywiodła, Kondratowicz upatrywał „wielkiego człowieka“ (186) i wmawiał, że to ten sam Kasper Karliński, tylko na tle innéj epoki (Przedmowa). Mamy wątpliwość co do wskazanéj precedencyi, ale nie wahamy się powiedzieć, że w przekonaniach starosty Kopanickiego tkwi już całkiem gotowa Targowica, i że byle odmienić trochę epokę, Poniński przedzierzgnie się w Szczęsnego Potockiego, postać, od uwielbiania któréj Kondratowicz był najbardziéj daleki. Starosta Kopanicki więcéj niż wszelkie inne utwory Kondratowicza udowadnia jak mu się nie udawała historya i jak się rozchodziły w tych pracach skutki z zamiarami. Pomijamy słaby *Zgon Acerna* (1855 r.), pomijamy pozbawiony wszelkiéj oryginalności i tchnący fałszywą sentymentalnością, portret Zygmunta Augusta w *Królewskich Lutnistach* (1856 r.), epizo-

dycznie i dodatkowo występujęce postacie Skargi w *Starych Wrotach*, i hetmana Tarnowskiego w *Noclegu Hetmańskim.* Dla sławy autora nie przyczyniłoby uszczerbku, gdyby przepadły te utwory, chociażby może na ilość wierszy, ubyłaby z pism autora większa połowa. Kondratowicz pociąga ku sobie nie przez to, że był poetą ruin. Twarda i nieunikniona konieczność kazała poetom jego kraju i wieku mieszkać w zwaliskach, sypiać w trumnach, bawić się w czaszki i kości, i sprawować się jak Janko Cmentarnik w jednéj z gawęd Syrokomli (III, 72—108, Borejkowszczyzna 1856 r.).

Wraca stary wiarus do rodzinnéj wioski, nie znajduje ani jednéj duszy znajoméj, więc się wlecze na mogilnik i przepija do umarłych duchów i braci, aż go znaleźli skostniałego z próżnym kuflem na cmentarzu. Z Janka dworowała sobie gawiedź wiejska jak z waryata. Zagęścili się w poezyi polskiéj cmentarnicy, dlatego że w pewnéj chwili panowało ogólne usposobienie jak w dzień zaduszny; Kondratowicz znalazł się przypadkowo w tym orszaku i śpiewał z nut wraz z innymi poprawnie i gorliwie, ale nieraz temperament brał górę nad szkołą, jéj dyscypliną i wytresowaniem. Wtedy albo wśród poważnego chorału, ku zgorszeniu zachowawców dzwięczały ostro i skoczno, na całkiem inny takt, bębenki Stańczykowéj maroty; albo rwały się z serca niespodziane nauki moralne, różne zawezwania do czynu, którychby się nie powstydził żaden odrzucający historyą radykalista. Ukryty w Kondratowiczu żartowniś, płatał co chwila bolesne figle epikowi, a moralista wyciągał nie wiedzieć jak, wprost z dobrego serca i instynktownie, takie konkluzye, które się historykowi ubóstwiającemu przeszłość ani śniły. Kondratowicz sam nie pojmował doniosłości tych wyskoków swojéj wysoce uzdolnionéj natury po za założenia szkoły, i nie zdawał sobie wcale sprawy, w jaki sposób mogły się w nim kleić prastare pojęcia historyczne, w skutku których szlacheckość musiała go uznawać jako swe dziecko, jako kość z kości, z najgorętszemi życzeniami właściwemi tym ludziom, od których stronił, ponieważ „plwali na wiarę, tradycyą, na wszystko co drogie i święte“ (Kraszewski, str. 42). A jednak skojarzenie to istniało; postarajmy się objaśnić, jak się godziły w Kondratowiczu, tradycyjność z postępowością i zachowawczość w ideach z radykalizmem w czynie.

VII.

Urodzony chudym szlachetką, poeta nasz wychował się jeżeli nie w nędzy, to w bardzo miernym stanie, który graniczył prawie

z niedostatkiem i którego cechami były: ciągła niepewność o jutro, konieczność nieustającéj ciężkiéj pracy i troska o chleb powszedni. Z rodu swojego wziął Kondratowicz wraz z tradycyami szlacheckiéj równości, wielką i podejrzliwą dumę, unikającą wszelkiego pozoru pańskiéj łaski.

Kondratowicz jeżeli nie siebie, to swoje własne uczucie odmalował w Starym Bardyszu w gawędzie *Trenzlowe* napisanéj „ku szlacheckiemu zbudowaniu" (Borejkowszczyzna, 1855, II 28).

„Co mi z tego? płacę czynsze;
Łask nie trzeba mnie..."
„Kto z faworów pańskich żyje,
Niechaj żyje zdrów."
„Ma kasztelan żart za żart,
Co inszego rączy chart,
Co inszego dzielny koń..."
„Jam w pamiątce charta dał,
Wynagradzać ni się waż!...
Oto teraz celny strzał
Porachunek zrównał nasz!..."
„Lubię pościel z końskiéj skóry,
Upominek mi się zda,
Ale zysków Boże broń!
Warta charta skóra ta,
A zadrogi byłby koń."

Dostatków cudzych poeta nikomu nie zazdrościł, i nie było w nim ani osobistéj zawiści, ani pożądania, ale wyrobiło się gorące współczucie dla każdego słabszego i pośledniejszego, więc w ogóle dla téj massy, nad którą górują zawsze połączone potęgi rodu, pieniędzy i rozumu. To uczucie całkiem demokratyczne było otwarcie i bez ogródek wypowiadane w każdéj okazyi, bez najmniejszego względu na to, że się nie spodoba. Przy zetknięciu się z jasnem państwem wiersz Syrokomli zaogniał się i tryskał żółcią, żart przechodził w uszczypliwą satyrę, jedyny temat, przy opracowaniu którego Kondratowicz zadawał praktyce kłamstwo w określeniu swoich upodobań satyryczno-literackich, które podał w żartobliwym wierszu do Kraszewskiego (VI, 203, Załucze 1848):

„Otoż wierszyk igraszka, dziecińswo i kwita,
Ma nam żółcią i octem przegryzać jelita?

Jam jeszcze tych przysmaków nie kosztował prawie,
Lecz z góry nie smakuję w téj cudnéj potrawie..."
„Gdyby mi Jehowa
Włożył w usta prorocze, uroczyste słowa,
Dałbym się kamienować jako Szczepan święty.
Ale dziś..."
„Na co mam nosić guzy daremnie na czole?
Świat i bez naszych pieśni doskonale drzemie,
Na co mamy go budzić, kłopotać mu głowę?
Szczęść mu Bóg w preferansie na asy kierowe."

Jasnych panów Syrokomla znał tylko bardzo z daleka, z gorzkich wspomnień, żywéj tradycyi staroszlacheckiéj.

Póki szlachta z zaścianków, święte przodki moje,
Byli panom potrzebni na sejmy i boje,
Głaskali nas, poili w uprzejméj postaci,
I nosiliśmy imię: miłościwych braci.
Minęły stare czasy, a wśród różnéj zmiany,
I braterstwo i miłość zapomniały pany." (Podkowa, I, 166).

Dawne czasy przeszły, nastało wyzyskiwanie, ciężki, dotkliwy ucisk pieniężny:

„Zanadto żwawie, wesoła drużyno,
Rąbałaś kordem i spijałaś wino;
W pańskich puharach dziś zostały męty,
Gorzka żółć z octem dla ubogiéj braci,
A biada temu, kto czynszów nie płaci:
Za niwy, łąki, za wodę w kałuży,
Za dach nad głową, za promienie słońca,
I za powietrze, co na oddech służy,
Za polny kwiatek pokropiony rosą." (Kęs chleba, II, 120).

Kondratowicz wyrzuca panom ich lenistwo, ich wytwory i zbytki, to że:

„Za jeden puhar starego wina,
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rokby miała chleba i soli." (Dęboróg, I, 77).

Całe morgi pszenne, żytnie,

Tu oddają plon swoj tani,
Za ten kwiatek, który kwitnie
Na balowym czepcu pani."
„A za jeden blask jarzęcy,
Co tu płonie nadaremno,
Mógłbyś ludziom stu tysięcy
Porozjaśniać głowę ciemną." (Dni doroczne, VII, 86).

Przy przejściu do szczegółów i typów, satyra staje się karykaturą, malowaniem bez proporcyi i przesadnie jaskrawo i grubo, jak w tém podaniu wpisaném do Dęboroga o wojewodzie trockim, który daje sute nahaje strzelcowi Hryciowi synowi Kiryły, który go swoją chłopską ręką za czub ze stawu wyciągnął; albo w tym dwuaktowym Komesie de Wątory „jeden kmieć a trzy dwory" (Borejkowszczyzna 1856 r. V, 5—54), na którego przedstawienia zmówili się nie chodzić liczni wileńscy hrabiowie Wątorscy, tak że puste były loże ich etage'u (list do Chęcińskiego w Krasz. 116), chociaż właściwie nie było się o co obrażać na tę dość przesoloną, ale najniewinniejszą w świecie farsę dworującą z fumy pańskiéj w dziurawych butach. Prawdziwymi ulubieńcami Kondratowicza, kiedy zaniechał wycieczek w stare dzieje, w światy papierowe byli, nie pan i nawet nie brat szlachcic, ale w ogóle lud co najprostszy, bez różnicy wiary i plemienia, nadewszystko bracia najmłodsi, chłop, z którym się Kondratowicz od lat dziecinnych oswoił i zbratał, i do którego miał serce pełne najczulszéj miłości i opieki. Jedna z najpierwszych prób pióra była to prosta i blada w porównaniu z późniejszemi, gawęda gminna *Pocztylion* (1845, Załucze I, 7), w któréj że było kilka rysów żywo schwyconych z natury, kilka żwawo uciętych taktów trąbki pocztarskiéj, skwapliwie T. Glücksberg zaanonsował w gazetach o prześlicznym wierszyku w ostatnim numerze Athenaeum — pierwsza w życiu drukowana pochwała, którą się poeta upił na całe bodaj życie. „Ukląkłem pisze w pamiętniczku, wzywałem Boga dziękując, uścisnąłem żonę, kazałem nastawić samowar (o wielkie gody!) i kilka godzin płakałem z radości," choć doskonale wiedział, że to „zalecenie wydawcy, dla pokupu pisma" (Tyszyń. str. 170). Od téj daty, kiedy Kondratowicz jeszcze się nie opierzył i próbował tylko słabych skrzydeł do lotu, do końca poetyckiego zawodu, ileż obrazów narysował on z natury, ile skreślił typów prawdziwych a niesłychanie w prostocie swojéj pięknych! Karczma i kruchta, ksiądz, organista i zebrany lud pod kościołem, żyd pachciarz i wiarus służbista, pogrzeby i chrzciny, i wszelkie święta doroczne, dożynki

i przednówek, przesuwają się naprzemian jak w latarni czarnoksięzkiéj. Te ludzkie sceny i postacie nakreślone są na odpowiedniém tle bagien i moczarów poleskich, tak doskonale pasującém do pokuty pasiecznika Chodyki, albo do krwawego końca niefortunnéj wyprawy szlacheckiéj z 1812 r. w Ułasie, albo weselszych choiną, brzozą, jałowcem pokrytych, piaskiem przesypanych, górzystych i urozmaiconych litewskich okolic.

Kondratowicz umiał dobrze malować tylko te krajobrazy z „palemońskiego lasu“ i tylko tych ludzi niepokaźnych w wilczurach i chodakach z łyka, szorstkich i rubasznych, ale otwartych, serce noszących na dłoni. Kiedy chciał wylecieć w świat szerszy, po za tych prostaków i po za te pejzaże, kiedy probował stać się polskim Child-Haroldem (1858 i 1859), i opiewać wrażenia z podróży po ziemiach ojczystych, nie sprostał zadaniu i na matowém szkle kamery obskury, za pomocą któréj operował, nie odbiły się w posągowych rysach, które były zawsze na zawołanie u większego niż Kondratowicz mistrza Wincetego Pola, ani kraje i miejsca namaszczone przez historyą, które przebywał, ani widma dziejowe na cały ciąg wieków w tych miejscach zaklęte. W tych wrażeniach z podróży jest dużo słowiczych tonów, dużo dowcipnych zestawień i przycinków Niemcom, zalewającym kraj z zachodu, brak tylko tego, co mogło być ujęte z wysokości orlego lotu okiem do takiego patrzania przywykłém. Górne kraje nie były całkiem przeznaczone dla Kondratowicza. Stosunki i przedmioty które znał i upodobał, były bardzo proste i miejscowe. Zdarzyło się, że te upodobania serdeczne, zmierzały w tę samą stronę, w którą pędził niewidocznie podziemném korytem prąd wieku i w któréj się ważyły epoki spółczesnéj zadania. Na ludziach jego czasu od początków czwartego dziesiątka lat bieżącego stulecia, ciążyła kwestya włościańska jak zagadka, jak węzeł do rozwiązania. Niewiele można było mówić o téj kwestyi, jeszcze mniéj pisać; ale nie było młodéj głowy niezajętéj rozstrzyganiem praktyczném téj kwestyi na historycznéj, ekonomicznéj, albo jakiéj innéj podstawie. Kondratowicz nie był wcale ekonomistą, lecz nie potrzebował ani motywować swoich założeń prawnie, ani wywodzić ich historycznie od rycerza z pod Maciejowic, albo kogokolwiekbądź ze szlachetnych marzycieli, którzy się opiekowali bądź romansowo, bądź czynnie losem kmiotków w zeszłém lub bieżącém stuleciu. Wielkie problema było najradykalniéj w świecie bez żadnéj dyalektyki rozcięte w duszy poety nieodwołalnym wyrokiem moralnego uczucia. Pod każdym innym względem Kondratowicz mógł uważać wiersz za igraszkę, to jest za dzieło czystéj sztuki: w tym

jednym punkcie rymując poczuwał się do pełnienia obywatelskiego obowiązku, za który dałby się nadobre ukamienować jako Szczepan święty. Od najpierwszych *Wędrówek* Syrokomla znęca się nad „szlacheckiém prawem bicza,“ wciąż utyskuje nad tém, że:

Tam jaśnie oświecony, tam jaśnie wielmożny,
Owdzie sędzia graniczny, lub deputat drożny,
Każdy na swéj stolicy rozparł się wspaniale,
Każdy rzemiennêm berłem sprawia swe wassale.
(1858, Wilno VII, 126).

W Załuczu jeszcze Kondratowicz przeklina browary (VII, 164), a pod sam koniec życia jeszcze radzi:

Wszyscy gospodarze,
Wszyscy idźcie tłoką,
Zaorzcie głęboko
Tę drogę od brzozki
Do *gospody* z wioski.
Zabronujcie końmi,
Zagrzebajcie dłońmi,
Niech ślad i nazwanie
Drogi nie zostanie:
A zarodzi rola,
Pojaśnieje dola!
(VII, 218, z r. 1860).

Nakoniec jeszcze w bardzo rannéj dobie poetycznego zawodu Syrokomli, wylała się z pod jego pióra ta cudna satyra pod nazwą gawędy dziecinnéj: *Lalka*, tak niepodobna do tego, co zwykle pisał, bo chłoszcząca bez miłosierdzia w świętym gniewie ludzi i obyczaje, a jak wiadomo, on sam nie należał wcale do liczby silnéj ręki mistrzów słowa—oprawców:

Ty, lalko, tego nie wiesz, że my—to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,
By pracowali na pany...
Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi.
Doprawdy, że aż szkoda... zkąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chłopi!...

Ot i wczora, gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się: czy to pięknie i co za potrzeba?
Weszli—zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:
„Chleba, ponoczku, daj chleba!“
Więc kazano ich obić... i słusznie obici.
(Załucze 1851, I, 191).

Kwestyą włościańską Kondratowicz pojmował ma się rozumieć jako poeta, bez jéj warunków, zawikłań i przeszkód, i rozwiązywał ją w jedném mgnieniu oka za pomocą uczucia, które wszystko przemoże, byle było trochę dobréj woli. Ztąd pod jego piórem wzrastała przedewszystkiém i powtarzała się sielanka, dalszy ciąg tych sielanek, któremi we wcześniejszéj nieco dobie zaprzątały się jasne i trzeźwe umysły i których nieprzerwany wątek snuje się od Pana Podstolego Krasickiego do Pana Podstolica T. Massalskiego, i od tego ostatniego do drugiéj części Jordana. Tak powstała druga część *Chatki w lesie* (1855, Borejkowszczyzna IV 241—340) i *Wiejscy politycy* (VI, 139—199), utwory, które wraz z niedokończonemi ułamkami (1860—1862 Wilno) bez nazwiska, stanowią próby poety w zakresie komedyi z życia społecznego. Zetknięcie się poety ze sceną datuje od przeniesienia się jego z głuchego partykularza na szerszą widownię litewskiéj stolicy. Dla niezmiernie chciwego zewnętrznych oznak współczucia, scena musiała działać jak nieprzezwyciężona pokusa, obiecująca w jednéj chwili więcéj upojeń i rozkoszy, niż wszystkie gazetowe recenzye razem wzięte. Pokusa przemogła, a że poeta był bardzo utalentowany i talentem ozłacał wszystko zgoła czego się dotknął; więc podobało się z niczego prawie utworzone „dziwactwo dramatyczne“ *Chatka w lesie*—rzecz bez charakterów, bez żadnéj zgoła intrygi i akcyi, kilka dyalogów, powiązanych nicią liryczną składającą się z zachwytów, nadziei i zawodów głównéj osoby sztuki, Henryka. W tym Henryku poeta uosobił sam siebie. Henryk pisze pamiętnik i odpędza nabijającego się o kupno wydawcę. Marszałkówna Marya rozkochana w Henryku, marzy o szczęściu byle razem i choćby w chatce w lesie. Do Henryka podjeżdża w téj chwili słodziutki oszust sędzia Płodozmian z propozycyami nabycia za drogą cenę lichego kawałka ziemi. Henryk, by go kupić, sprzedaje wydawcy skarb serca, pamiętnik, buduje chatkę i zaprasza marszałkównę do tego raju, ale Marya po roku już zapomniała o chwilowém zachceniu, daje odkosza kochankowi i tylko rysunek chatki chowa do albumu na pamiątkę. Obrazek był skończony, ale zmysł artystyczny podpowiedział autorowi, że niepodobna jedynego bohatera sztuki, dać na

pastwę oszustom i ofiarę kobiecie, która go nie warta, wystrychnąć go całkiem na dudka. W tym samym 1855 roku, którego Maj miesiąc napisany na pierwszéj części Chatki w lesie, dojrzała w Grudniu część druga, łagodząca przykre wrażenia pierwszéj i rozwijająca dodatnią stronę ideałów poety na temat Horacyuszowski: „Hoc erat in votis: modus agri non ita magnus Hortus ubi et tecto vicinus aquae fons Et paululum sylvae super his foret." Niefortunny pod każdym względem poeta Henryk, przerobił się na rolnika, z chatki w lesie zrobił prześliczną sadybę, a z okolicy, któréj stał się dobroczyńcą, coś nakształt raju społecznego. Kochają go sąsiedzi, ubóstwiają chłopi okoliczni. Kiedy najdziwniejszy traf w świecie kazał marszałkowi wiozącemu znudzoną Maryą za granicę załamać się z kolasą na gruntach Płodozmiana tuż koło chatki w lesie, w sercu Maryi odżywa dawna miłość na widok życia tak rozumnie czynnego. Kochanka korzy się przed poetą, a ojciec w dobrym humorze po smacznym obiadku błogosławi. Wielki liryzm, który nieprzerwanym ciągiem ożywiał pierwszą część Chatki, walkę poety z zawodami wszelkiego rodzaju, wyczerpuje się w drugiéj, w któréj poeta pobudował swoje idealiki blade, słabiutkie, nieprzechodzące prostéj sąsiedzkiéj uczynności. Jednocześnie uwydatniły się wady, które miały się odtąd niezmiennie powtarzać we wszystkich scenicznych utworach Kondratowicza, w skutku których nie kwalifikował się on wcale na dramatycznego autora. Dramat Kondratowicza jest raczéj francuzkim dramatem ogólnych typów, niż angielskim indywidualnie pomyślanych charakterów. Każdy typ zarysowuje się żywo, jaskrawo, każdy sam prawie rekomenduje się publiczności: jestem ten a ten, mam taki to sposób widzenia rzeczy, takie upodobania i nałogi. Każdy typ, jakim był kiedy go wprowadzono, takim pozostaje nadal bez zmiany, z tą tylko różnicą, że pod koniec po nagadaniu się i nasprzeczaniu się z innego usposobienia osobami, dla zakończenia sztuki i rozplątania zawiłości niedających się inaczéj rozgmatwać, bohater w stanowczéj chwili bez żadnéj dostatecznéj na to przyczyny, zmienia sposób widzenia rzeczy, i przyzwyczajenia i staje się całkiem innym człowiekiem. Wątorski godzi się na Pachołowieckiego, Gnoiński przebacza synowi, Helena narzeczonemu, Henryk nabiera nie wiedzieć zkąd dziwnéj w obcowaniu z ludźmi praktyczności, obżartuch marszałek staje się wyrozumiałym postępowcem, a Marya żałującą swéj płochości Magdaleną. To drobiazgowe portretowanie osób zamiast uwydatnienia ich w działaniu, ten brak koniecznych odmian w charakterach w skutek wzajemnego ich na się oddziaływania, zastępowany nagłemi metamorfozami w życiu i usposobie-

niach niczém niewymotywowanemi sprawiły, że sztuki Kondratowicza nie posiadały warunków scenicznych. Chatka w lesie podobała się i miała powodzenie, tylko dla swych prześlicznych ustępów lirycznych i swych dobrych, ludzkich intencyi. Tymczasem wypadki szły szybkim pędem; kwestya włościańska, która była dotąd tylko widmem wywoływaném przez zaklęcie, stała się rzeczywistością i podzieliła towarzystwo na całkiem nowe partye i obozy. Kondratowicz nie mógł pozostać obojętnym na przebieg sprawy, od któréj wedle jego rozumienia cała przyszłość kraju zawisła, i wystąpił z nową sztuką okolicznościową, tendencyjną, napisaną w 1858 r. i graną w Wilnie w 1859 r. pod tytułem *Wiejscy politycy*. Walka przeszła w rodziny i powaśniła młode i stare pokolenia, stare reprezentowane przez sędziego i podkomorzego, młode przez sędzica Stefana i podkomorzankę. Stefan—to ten sam Henryk, tylko w innéj fazie, marzący o nowéj jutrzni świata: „Duch Boży sam do chatek wieśniaczych kołata, Wykluwa się ze skorup gołąbek skrzydlaty.“ Ojciec, który się zapolitykował czytując gazety, aż do opuszczenia wypłaty długu bankowego, patrzy z niedowierzaniem na postępowość syna:

„Zmęczy go postępowa nad chłopstwem mozoła,
Pocznie chłostać jak drudzy, i Żyda przywoła,
Pocznie do wiejskich dziewcząt zalecać się dzielnie,
I zamiast szkoły wiejskiéj, zbuduje gorzelnię.“

Obok starego bankruta niedołęgi, postawiony dusigrosz, procentowicz, bogaty podkomorzy, którego praktyczna mądrość wyraża się w ten sposób: Nasz chłop, to jest kapitał, procent—jego praca.

„Chłop chce wódki, daj wódki, to za trzech ci skosi;
Żyd nie w tém zły, że chłopa rozpaja jak zwierzę,
Ale że nasze zyski sam do siebie bierze;
Ja nie mam Żyda w karczmie, bo nie chcę podziału.“

Podkomorzy dałby posażną pannę sędzicowi, widząc jak ten ostatni raźno gospodaruje, lecz majątek sędziego licytują za długi i podkomorzy postanawia raczéj go tanim kosztem kupić, niż dopomódz sąsiadowi. Wtém włość złożyła się na ratę bankową, by zachować majątek w ręku dawnych dziedziców.—„Kupiliście już pana, woła Stefan, i z sercem i z duszą, Odtąd siedzieć będziecie na czynszowéj roli.“ Zdaje się, że mniéj zrobić nie można wraca-

jąc do domu z chłopskiéj łaski, ale praktyk podkomorzy strofuje Stefana, godzi się z nim jednak przez jednę z tych nagłych przemian, do których Kondratowicz tak skory:

„Z tym czynszem trochęś szybko wyrwał się młodzieńcze,
Ale na tém nie stracisz, ja ci za to ręczę,
Bo włość przygotowana, moralnie bogata,
A jest i z moralności pieniężna intrata“ (?).

Ta słabo sklecona i bojaźliwa w swych tendencyach sztuka, nie była programatem przyszłości jak „Powrót Posła“ Niemcewicza. Zaznaczyła ona przelotną tylko chwilkę w usposobieniach ogółu, chwilkę przejściową pomiędzy dziesiątkami lat, kiedy nie wolno było poruszać stosunków włościańskich, a ustawą, która miała stworzyć całkiem inny stan rzeczy, tak radykalnie odmienny od dawniéjszego, że już i oczynszowanie stawało się żądaniem zacofaném. Zamiast zależności włościan, nastąpić miało stanowcze odosobnienie, po za którém w przyszłości już mogły się wiązać tylko proste stosunki sąsiedzkie. Zaczęły się ogromnéj wagi przygotowawcze roboty w komitetach gubernialnych z właścicieli ziemskich i członków rządu mianowanych. Dziś niepodobna nie przyznać, że niewielki procent ludzi w tych komitetach pojmował dziejową wagę chwili i doniosłość rokowań; większość zaś pod najpiękniejszemi w świecie pozorami, starała się zatrzymać w ręku wymykającą się siłę roboczą. Wśród tych wczorajszych postępowców, którzy pod naciskiem chwili stawali się prawie wstecznikami, Kondratowicz z zadziwiającém jasnowidzeniem pojął stanowczą konieczność radykalnego rozstrzygnienia kwestyi. Oburzony, że społeczeństwo, o którém tak wysokie miał wyobrażenie pod względem ducha ofiary, nie odpowiada tym wyobrażeniom i waha się, Kondratowicz wybuchnął gniewnym wierszem: „na wyzwolenie włościan,“ który zdradzał w nim daleko tęższego w danym razie polityka, niżeli biegli rachmistrze i przekonywający mówcy komitetowi.

„Myślałem sobie: napróżno krzykacze,
Rzucali błotem na szlacheckie miano;
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas niedarmo szlachetnymi zwano...
Przecież się stało—kraju mój rodzony,
Wieniec twéj cześci odarty w téj chwili:
Ojcowie twoi własnemi imiony
Podali dziejów ohydnéj pamięci

Swoję praktyczną opiekę nad gminem.
O, wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem
I hańba mojéj herbowéj pieczęci!" (Wilno, 1859)

VIII.

Ten szlachcic chłopoman, pamiętający o herbowym swoim klejnocie nawet kiedy apostrofował „świetnych ojców powiatów" w imię jużciż nie zasad prawa własności, umiał się gniewać i roznamiętniać wtedy tylko, gdy coś obrażało nie tyle przekonania, ile raczéj upodobania jego demokratyczne, mocniejsze niż wychowanie szlacheckie. W sprawy bieżące wtrącał się on wyjątkowo i dorywczo, szczególniéj gdy chodziło o obronę ludu wiejskiego, którego był na Parnasie urodzonym przedstawicielem i rzecznikiem. Na inne cele i zadania nie starczyło mu wcale téj zawziętéj i wytrwałéj złości, która w połączeniu z talentem poetyckim wydaje satyrę obyczajową. W cytowanym już wyżéj wierszu do Kraszewskiego (1848, Załucze VI, 201) sam on powiada o sobie, że nie smakuje w cudnéj potrawie z żółci i octu i nie czuje się powołanym:

„Rozdzierać własne piersi dla porodu dziecka,
Zakrwawiać biedne serce, wstrząsać nerw po nerwie,
Rozogniać mózg, co głowy ledwie nie rozerwie,
...A tak z rozbitą głową i rozdartém łonem
Rzucać się jak szaleniec nad brudnym brulonem."

Nasz poeta rodził wiersze bez długiego namysłu, od pierwszego rzutu w chwili nagłego natchnienia, i to było najlepsze co się w tak niespodziany sposób urodziło. Zamiast przegryzającéj jelita złości, natura go uposażyła innym, mniéj może pożytecznym, lecz przyjemniejszym darem takiéj niewyczerpanéj wesołości, takim brylantowym dowcipem, taką zdolnością śmieszyć byle śmieszyć, że grając na swojéj drewnianéj lirence, mógł ten czarodziéj na przemiany, albo kazać płakać zebranemu towarzystwu, albo zniewolić je do skocznego tańca. W téj jak fala ruchoméj fantazyi, przedmioty odbijały się co chwila inaczéj, stosownie do nastroju poety, do tego czy był w usposobieniu rzewném, czy w żartobliwém. Można rzec, że poeta posiadał przymiot niesłychanie rzadki dwojakiego spojrzenia na każdy przedmiot i przedstawienia go wedle upodobania, albo ze strony poważnéj i patetycznéj, albo ze strony za-

bawnéj i komicznéj. W utworach Kondratowicza, szczególnie przyzestawianiu rzeczy mocno opracowanych z ulotnemi, natrafiamy na takie przeciwieństwa, które kazałyby przypuścić, że je chyba nie jeden człowiek pisał, gdyby zkądinąd nie było wiadomo, że wyszły z jednego źródła i że przeciwieństwa nie znaczą nawet w autorze zmiany przekonań i dążności. Były to niepohamowane wybryki artysty, popełniane na osobności, kiedy był nowym pomysłom jakby opętany, przeciwko temu, co tenże artysta już jako kapłan Apollina ogłaszał pełniąc swój urząd poetycki. Wiadomo, jak głęboko religijnym człowiekiem był Kondratowicz, a jednak wszak to jego luźny epigramat: „Gdy Chrystus konał dla człowieczych zbrodni, Stojąc pod krzyżem wszyscy byli głodni“ (1859, VII, 173). Zestawmy starannie opracowaną, pełną namaszczenia postać Zygmunta III spowiadającego się u Skargi w Starych Wrotach (1856, III, 9) z tym obrazkiem z Wrażeń Pielgrzyma (1858, VII, 141), malującym tegoż Zygmunta:

„Z krzyżem i mieczem, z wysokiéj kolumny,
Swemi dziełmi bezładu uśmiecha się dumny,
I zdaje się powiadać: Narodzie, narodzie!
Ja ten miecz wyostrzyłem, który cię przebodzie,
A ten krzyż wyciosany ręką Jezuity,
Na nim za twoje grzechy zostaniesz przybity.“

Najciekawszym wszakże przedmiotem do zestawień jest niezaprzeczenie zagadkowy poniekąd wiersz „Przeszłość,“ odszukany po śmierci Kondratowicza i umieszczony w Kalendarzu Illustrowanym Jaworskiego na rok 1874, a datowany z Zacierzewia 1851. Z Zacierzewia, dworku załuckich sąsiadów Kondratowicza Paszkiewiczów, datowane są inne jeszcze poezye Kondratowicza przed przeniesieniem się do Wilna (X, 331, 334); odpowiada tejże wskazówce i rok 1851.—Wiersz ten odstręcza najprzód pewnym rodzajem optymizmu (Dziś kiedy piersiom tak błogo, Gdy się kochamy swobodnie), wiadomo zaś, że Kondratowicz nie był nigdy optymistą, a cóż dopiero epikurejczykiem. Powtóre razi on dziwnym stosunkiem do przeszłości. Przez całe życie poeta klęcząc przemawiał do „świętéj“ przeszłości. Takie były usposobienia jego ostatnie, ale takie i najpierwsze, kiedy jeszcze w Załuczu (1845 r. VI, 157), wybierał się z gromnicą w grób ojców, badać wszystko wielkie, szlachetne w prochu ich kości, by wrócić z mogiły z wielką pieśnią dziejową. Kilka razy poeta szczyt bohaterstwa kobiety upatrywał w oddaniu się bez miłości w związki małżeńskie, dla do-

bra kraju lub ludu. Znienacka niewiadomo dlaczego tenże poeta uderza na tę przedtém i potém ubóstwianą przeszłość za burdy, swary i rozpustę po za domem, za upośledzone położenie kobiety w domu, słowem za wszystkie grzechy, które ciążą nie na historyi polskiéj w szczególności, lecz na całych wiekach średnich. Wiersz „Przeszłość“ tak odbija od wszystkiego, co pisał Syrokomla, że wielu, a w téj liczbie i pan Korotyński, uważają go za nieprzerwaną ironią, za wyśmiewanie zapalonych przyganiaczów przeszłości. Trudno się zgodzić na podobne zapatrywanie się: rzecz zdaje się pisana naseryo, ciąg w niéj jest, ale trudno dociec ironii. Zważmy, że w dziejach umysłowego rozwijania się poety rok 1851 jest bardzo znaczący. Jest to pamiętny rok podróży do Wilna (Kraszewski str. 52, Styczeń 1851) i gęstych a częstych nawiedzin w Załuczu uniwersyteckiéj młodzieży (str. 45, Sierpień 1851). W tym roku Kondratowicz był prawie wciągnięty w wir przeróżnych ujadających się stronnictw i miał do czynienia z najnowszéj daty teoryami religijnemi, historycznemi, społecznemi. Nim go rozbolała głowa od krzyków postępowych, nim się odsunął stanowczo i od wstecznych zachowawców i od gwałtownych burzycieli, musiał mieć choć raz do czynienia z pokusą i uledz urokowi, jaki wywiera na młodą zapalną wyobraźnię śmiałość pomysłów. Może po jednéj z takich żwawych dysput, pod wpływem nawianéj nań burzy pomysłów, streścił on w sobie właściwy sposób, nowe roztaczające się przed nim widoki. Ślad tego bawienia się z burzycielstwem wieku rzucony był albo złożony gdzie do biurka, harmonijna dusza poety nie dała się unieść w bezbrzeżne morze rojeń o przebudowaniu ludzkości, wrócił do dawnych upodobań. Zapomniany szpargalik ukazał się dopiero po śmierci poety, i nie ujmując jego sławie, dodaje tylko nowy rys do charakterystyki: dowodzi, że ten człowiek mógł się odmieniać jak Proteusz i że odpowiadał jak echo na wszystkie głosy czasu. (1)

---

(1) Ponieważ wiersz Kondratowicza *Przeszłość*, po ogłoszeniu go w Kalendarzu Jaworskiego, wywołał był rozmaite sądy i sprzeczki, przeto powyższy ustęp artykułu Redakcya zakommunikowała p. Korotyńskiemu z prośbą o wyjaśnienie rzeczy. P. Korotyński odpowiedział nam jak następuje:

„W roku 1871, podczas prowadzenia przezemnie zbiorowego wydania *Poezyi* Kondratowicza na dochód jego rodziny, p. Kamil de Bellier, z Mińska gubernialnego, nadesłał mi znaczną liczbę ulotnych wierszyków Syrokomli, przechowanych w ręku jego żony pani Józefy z Paszkiewiczów, zamieszkałéj niegdyś we wsi Zacierzewiu pod Świerżniem, o milkę od nadniemeńskiego Załucza, lat 9 dzierżawionego przez Kondratowicza. Były to prawie bez wyjątku wierszyki okolicznościowe, w niejakiéj części pisane w samym Zacierzewiu pod wrażeniem przelotnych okoliczności. Niektóre z nich, mające pewną war-

IX.

Kondratowicz był doskonale świadom swojéj potęgi w żarcie, lecz poezye brał naseryo, nie robił z błaznowania professyi, jak Heine, a jeżeli puszczał cugle dobremu humorowi, to tylko w małém kółku pomiędzy najbliższymi przyjaciołmi w wierszach, które

---

tość artystyczną lub biograficzną, zamieściłem w tomie X. *Poezyi* Kondratowicza; nadesłany jednak razem z niemi w autografie wiersz *Przeszłość*, nie mógł być umieszczony z odpowiedniém objaśnieniem z listu p. de Bellier. Podałem go w lat kilka w redagowanym przez siebie *Kalendarzu Jaworskiego* bez żadnych już objaśnień, w przekonaniu, iż myśl tego utworu, dla mnie zupełnie jasna, nie ulegnie dwoistemu wykładowi. Wiadomo jednak, iż stało się przeciwnie.

„Ponieważ list p. de Bellier z r. 1871 zawieruszył się w drukarni Ungra między różnorodnemi rękopismami wydania *Poezyi* Kondratowicza, a podane w nim szczegóły wyszły mi były z głowy, przeto obecnie ponownie prosiłem o wyjaśnienie okoliczności, które towarzyszyły powstaniu owego wierszyka. Odpowiedź dana przez panią de Bellier, łaskawému na mnie lubo osobiście nieznajomemu korrespondentowi *Tygodnika Rolniczego* i *Gazety Handlowéj* p. Aleksandrowi Jelskiemu, oraz siostrze p. Aleksandra Walickiego (znanego z Poezyi Kondratowicza, gdzie jest wymieniany pod pseudonimem Żeleźniaka), była następująca:

„Kondratowicz w r. 1851 jeździł do Wilna w interesie dzierżawionego przez siebie Załucza i dzierżawionéj przez rodziców poblizkiéj Tulonki, które zależały od zarządu dóbr radziwiłłowskich w Werkach, a na które czyhał już „sąsiad bogaty," znany z poematu p. t. *Kęs chleba*. Strapiony domowemi interesami, trafił do Wilna na głośną podówczas sprawę Konstantego Dybowskiego i kilku innych osób, w któréj pewni Wilnianie niezaszczytną odegrali rolę. Wrócił więc z Wilna znękany i rozdrażniony do najwyższego stopnia, i w takiém usposobieniu przyjechał do zawsze przyjaznego sobie Zacierzewia, gdzie mieszkała pani Paszkiewiczowa z dwiema córkami (synowie uczyli się w Dorpacie). Panna Józefa (dziś pani de Bellier), oraz panna Barbara (dziś pani Remaré) wiedziały, iż najlepszym sposobem ożywienia poety był duch przekory. Kiedy więc wpadnięto na rozmowę o przeszłości, zaczęły wbrew znanemu usposobiemu poety wysławiać teraźniejszość, a wygadywać na przeszłość—jak sam wiersz świadczy, z tematu istnie panieńskiego: „Nie umiano w Polsce *kochać się*, a więc nic dobrego tam nie było." Kondratowicz nie mógł sprostać dwom przeciwniczkom, więc zamilkł, ale porwał za pióro i cisnął na papier ów wierszyk, który w Zacierzewiu pozostał. Nie było to więc potępianie, ale obrona przeszłości w formie ironicznego urągowiska.

„Cierpliwsze zastanowienie się nad treścią wiersza *Przeszłość* do tegoż samego prowadzi. Nie mógł poważnie mówić Kondratowicz o „dniach ubiegłéj starzyzny," gdy w tymże samym czasie błagał Boga we wstępie do *Kanonika Przemyskiego:* „Niech *święta starożytność* stanie mi przed oczy." Nie mógł poważnie mówić, że Polacy walczyli z Tatarami dla tego tylko, że „morderstwa lubili;" bo właśnie najpospolitszym w dziełach poety tematem jest sławienie posłannictwa Polski jako przedmurza od hord azyatyckich, począwszy od Lignicy a kończąc na Wiedniu. Nie mógł poważnie

chociaż późniéj zostały oddrukowane, nie były jednak początkowo do druku przeznaczone. Zaczęło się od okolicznościowych wierszyków, od dworowania ze znajomych, od przedrzeźniania Child-Haroldowego pożegnania (VI, 126), Horacyuszowéj Ody (Quem tu Melpomene semel):

„Komu raz Muzo usiądziesz na karku...
Ten już ulubi gdzieś pod drzewem suchém,
Lub przy kałuży swéj wioski,
Ległszy do góry wychudzonym brzuchem
Układać rymy i zgłoski. (Załucze 1844 r., VI 143).

Nastąpiły potém zabawne epistoły do współbraci literatów, i pocieszne trawestacye bogów i wielkich ludzi Grecyi i Rzymu, jak w operetkach Offenbacha, z większym tylko smakiem, dowcipem i skromniejsze. Eneasz wkracza posuwiście paląc tytuń z krótkiéj fajki na tyryjskie salony Dydony (VI, 277 do Rumb.), Owi-

---

utrzymywać, że Sarmaci „w zbójeckiéj lidze" wydali za mąż Jadwigę; w ligę tą bowiem wchodził tylko interes kraju i matka Jadwigi, nienawidząca Niemców i nie chcąca wydać córki za Wilhelma. Nie mógł poważnie mówić o otruciu Barbary przez Polaków, skoro umarła śmiercią naturalną, kiedy nawet pomówisko otrucia padało tylko na Włoszkę Bonę. Nie mógł poważnie ubolewać, że obrona dobréj sławy w Zembocinie lub bohaterska obrona Trembowli nie dopuszczała „państwa Kupida." Nie mógł poważnie nazywać Jakóba Sobieskiego „pijakiem," kiedy wespół z p. Spasowiczem tłomacząc w tym samym roku *Dziejopisów krajowych* dla Wolfla, wybrał sobie do przekładu tegoż Sobieskiego, a w życiorysie jego pisał: jak Jakób Sobieski „rósł we wziętości u króla i ziomków," jak „skarbił ich ufność w swéj prawości i talentach," jak „piękne imię dla się zjednywał," jak był „mądry i umiarkowany," jak odznaczał się „duchem pokornéj pobożności i szczeréj wiary, którą tak pięknie napotykać w wyższych umysłach," jak wreszcie „był większym od syna" Jana. Co do tego ostatniego, nie mógł znów poważnie mówić poeta, że był „bandytą," kiedy w tym samym czasie, pisząc przedmowę do wydawanego przez Glücksberga przekładu Coyer'a, właśnie kilku nawrotami uwydatniał „rycerskość" charakteru Jana III, nie folgując jego słabościom. Nie mógł nareszcie w r. 1851, w chwili najtwardszéj reakcyi w Europie po wypadkach 1848 i 1849, mówić poważnie, że „piersiom było błogo," bo się „kochano swobodnie," więc należało „zdeptać wspomnienia ojczyste."

„Wiersz ten zatém nie zgadza się nietylko z poprzednią i późniejszą działalnością pisarską Kondratowicza, ale i sam w sobie jest wierutną niedorzecznością, jeśli go dosłownie brać zechcemy. Wzięty zaś ironicznie, zgadza się i z okolicznością swojego powstania, i z całą dążnością Kondratowicza, i ze zdrowym rozsądkiem. Kondratowicz nie patrzał ślepo na przeszłość krajową, widział i wykazywał jéj skazy w *Dziejach Lite-*

dyusza wiozą na szuhalei do Pińska podczas gdy Augustówna Julia do junkra pretoryańskiéj straży się zaleca (VII, 254). A jednak ten niewyczerpany złoty humor możnaby było z wielkiém dla sztuki dobrem spożytkować. Sama parodya jest już rodzajem sztuki aczkolwiek pośledniejszym, wymagającym talentu; Kondratowicz miał ten talent w wysokim stopniu wrodzony, rozwinąć się tylko w pełni nie zdołał, bo spółcześni ludzie pochopniejsi byli do uniesień i zachwytów, niż do wyszydzania, i niezawodnie krzyknęliby na zdradę, gdyby komu do głowy przyszło zamiast odlewać z brązu wielkie postacie historyczne, powykrawać je z tektury ustroiwszy jak na maskaradę. Kondratowicz był zanadto dobrym patryotą, by się miał nawet żartem dopuścić takiego świętokradztwa; najwyżéj na co mógł się zdobyć puszczając wodze swéj nieporównanéj werwie żartobliwéj, to wziąć w obroty jakiego ciurę, marudera lub niedołęgę, jaką śmieszną figurę z podania lub z herbarza, w rodzaju Comesa de Wątory albo Beliny rycerza na czatach (II, 332, Borejkowszczyzna 1856), jakiego dziwaka albo głupca, którego napiętnował na wieczne czasy dosadny dowcip szlachecki w przysłowiu. Narodowe przysłowia posłużyły dla Kondratowicza za źródło, zkąd pobrał najpiękniejsze swoje gawędy: Matyska, Zabłockiego, Żebraka z rzemiosła, a przedewszystkiém wybornego pana Marka w piekle, od którego, za to, że za życia był wielkich panów pieczeniarzem, stronią panowie, odwracają się bracia szlachta, uciekają chłopi tak, że pan Marek przez całą wieczność tłucze się sam jeden:

---

ratury, w innych pismach prozaicznych, a nawet w niektórych wierszowanych. Ale paszkwilu na tę przeszłość nie pisał.

„Cóż jednak stało się powodem dwoistego wykładu jego wierszyka *Przeszłość?* Sądzę, że brak precyzyi w niektórych jego ustępach, poruszenie szczegółów obosiecznych, co tłómaczy się pośpiechem pisania i zostawieniem utworu bez przeróbek. Kondratowicz powiada, że „sejmowe obrady płynęły w kłótniach *jedynie*;“ tak nie jest, skoro dzieje zapisały sejm wiślicki, czteroletni i parę innych podobnych, ale większość sejmów rzeczywiście schodziła na kłótniach. Powiada, że „braterskie biesiady były jaskiniami pijaństwa;“ tak nie jest, skoro w kolebce narodu złożono legendę o gościnnym Piaście, ale zaiste zbyt dużo było biesiad pijackich. Ta więc nieścisłość utworu dała powód do mylnego wykładu.

„Listy Kondratowicza do pani Paszkiewiczowéj (około 1851 r.) świadczą, jak wysoce kładł poeta przyjaźń domu w Zacierzewiu. W chwilach dla siebie najsmutniejszych Kondratowicz ze zwykłą sobie dobrocią pisał się moim „bratem po sercu i piórze“ (1861 r.). Wolno mi tedy może twierdzić, że i ci, którzy wiersz *Przeszłość* nadesłali, i ten, który go ogłosił, są tyle przynajmniéj dbali o cześć imienia poety co jego obrońcy z r. 1874.

Wincenty Korotyński.“

„Idzie się kłaniać szlachcicom sąsiadom,
Lecz odepchnięty od szlachty i kmieci,
Nanowo panom swe służby zaleci“ (1852 r. I, 332).

Opracowywanie przysłów naprowadziło Kondratowicza prawie przypadkiem na pomysł prawdziwie głęboki, na żyłę drogiego kruszcu prawie niewyczerpaną: oto poprostu zachciało mu się jednego z okrzyczanych historycznych głupców rehabilitować, innem na niego okiem popatrzeć i dowieść, że społeczność nie poznała się na panu Filipie z Konopi. Wnet po przeniesieniu się do Wilna (1853 i 1854), zasiadła mu w głowie myśl gawędy, długo niemógł znaleźć odpowiedniéj formy i zwierzył się Kraszewskiemu (str. 78): „Czekam aż mi w kałamarzu atrament zakipi. Szanowny Filip okrzyczany, że z czémś wyrwał się nietrafnie. Był to podług mnie człek nie niższy, ale wyższy od swoich spółczesnych. Powiedział coś arcy mądrego, ale że społeczność ówczesna nie była jeszcze usposobioną do przyjęcia prawd podobnych, więc poczciwca wyśmieli i podali w przysłowie. Czasem pod karą szyderstwa nie godzi się być wyższym od współczesnych.“ Wreszcie dojrzał mały zaokrąglony poemacik z siedmiu fragmentów z epilogiem, obejmujący cały żywot uczciwego człowieka niepraktyka, który robi najlepsze rzeczy, ale nie w miejscu i nie w porę. Żakiem będąc nie uznaje mitologicznych bóstw i za to bierze plagi; broni Żydów od religijnéj napaści, i słynie przeto jako wódz Izraela; zamiast wziąć pannę ładną i posażną, ułatwia jéj z dobrego serca zamążpójście za szczęśliwego rywala; służąc u wojewody, kreskuje na wyborach za przeciwnikiem jego skarbnikiem, za co i wojewoda go wypędził, i skarbnik na ucztę nie zaprosił. Na domiar niepowodzeń obrany posłem na sejm, Filip wnosi zdrowie chłopów i oświadcza, że będzie obstawał za ich równouprawnieniem a opodatkowaniem szlachty, za co zbity i porąbany przez szlachtę, naraża się jeszcze przed śmiercią plebanowi, tłómacząc mu, że grzech brać dziesięcinę od ubogiéj włości, że niekażdy zbawiony kto suchedni pości. Naturalnie pleban odmówił absolucyi (II, 153—170). Poczciwy, dobry, ale nieszczęśliwy pan Filip pozostanie nazawsze jedną z najudatniejszych postaci stworzonych przez Syrokomlę i urobionych prawie z niczego, bo przysłowie dało mu tylko gołe nazwisko z maleńkim przymiotnikiem człowieka działającego nie w porę. Założenie zawarte w przysłowiu, mogło dać materyał przedewszystkiem na farsę. Mniéj pomysłowy autor, poprzestałby na przeprowadzeniu typu niezdary, raptusiewicza, przez szereg coraz to komiczniejszych sytuacyi. Kondratowicz wziął

rzecz więcéj naseryo, rozszerzył i zgłębił pierwiastkowy pomysł. i z człowieka, który się wyrwał z konceptem ni w pięć ni w dziewięć, zrobił męża żądnego rzeczy wielkich i dobrych, ale niemiłych współczesnym i dla wieku całego będących nie w porę. Z téj małéj zmiany rodziła się już sama przez się, wielka satyra historyczna i odkrywały się niespodzianie najnowsze i najciekawsze widoki. Jeżeli Filipa z Konopi wyszydzono niesłusznie za to, że miał dobre i ludzkie serce i ujmował się za krzywdą, więc jakież musiało być społeczeństwo, które wtrąciło w błoto Filipa a z nim razem i innych jak on tysiące? Wszelki krok w dziejach w tył, czy naprzód, odbywa się kosztem niezliczonych egzystencyi ludzkich i znaczy się krwawemi śladami. Uprzytomnić w pamięci nie to co zwyciężało, lecz co zostało zmiażdżone, sponiewierane i zabite, znaczy często to samo, co zrobić olbrzymi wynalazek, wprowadzić myśl na nowe tory, obok zbyt uczęszczanéj krainy chwały dziejowéj, odsłonić drugi kraj nieraz jeszcze obszerniejszy, dziejowéj nędzy. Trzebaż dowodzić ogromnéj wagi studyów artystycznych w téj nowéj krainie albo dyssekcyi dziejopisarskich? Kilka takich dyssekcyi dokonanych nienamiętnie, z zimną uwagą naturalisty, posunęłoby nas niezawodnie daléj i uregulowałoby lepiéj nasz stosunek do przeszłości, aniżeli wszystkie dotychczasowe historye, boby się odsłonił obraz przeszłości pełniejszy, prawdziwszy, doskonalszy niżeli te pastelowe roboty, które dotąd posiadamy. Kilka pokoleń zaledwieby zdołało wyzyskać całkowicie skarb wynaleziony przez Kondratowicza. Nasz poeta jednak nie dał sobie rady, nie wiedział co z tym skarbem zrobić, i znalazł się w położeniu tego Szwajcara pod Granson, który dopadłszy do namiotu Karola Śmiałego i zabrawszy największy jego brylant, sprzedał go za kilka groszy, uważając go za szklanne świecidełko. Z przygód i doświadczeń Filipa z Konopi, Kondratowicz wyciągnął ten tylko wniosek, bardzo błahy czy go weźmiemy naseryo, czy go będziemy uważali za ironią:

„Nie idź za gorącemi twéj duszy popędy,
Co ci korzyść przynosi dopatruj się wszędy.
A serce miéj zamknięte chociaż twarz otwartą;
Nim się na co poświęcisz, rozważaj czy warto?
Chowaj zimną ostrożność i w czynie i w słowie,
Bo Filipem z Konopi każdy cię nazowie.
Ognistych bohaterów minęły już lata:
Krew, łzy i pośmiewisko—taka ich zapłata!“

Gdyby poety zapytano: a kiedyż były lata ognistych bohaterów? odpowiedziałby zapewne, że nigdy. Przepisy ślimaczéj moralności z racyi Filipa, podane są żartem, taką moralnością Kondratowicz się brzydził: on—człowiek prawdomówny i niepraktyczny, on z serca jeżeli nie z czynów wielce podobny do Filipa z Konopi, różniący się od tego ostatniego tém tylko, że nie miał w sobie przedsiębierczego reformatorskiego ducha pana Filipa, że raz zamieszkawszy w zaczarowanym kraju ubóstwionéj przeszłości, już miał ją za taką przez całe życie mimo doznawanych od czasu do czasu wahań, i nawet w myśli nie pojął możności zstąpienia w Dantejskie koła innéj, zapoznanéj, w otchłań, w któréj dotychczas skwierczą na historycznym ogniu dusze pokrewne panu Filipowi z Konopi.

X.

Nie żądajmy zawiele i nie poczytujmy mu za złe, że nie był nowatorem, że nie dokonał rzeczy, do których ani z natury nie miał popędu, ani usposobieniem wieku nie był pobudzony. Brakło mu nowych idei i wielkich passyi, dwóch warunków, bez których niepodobna być duchowym wieku swego panem i władcą. Organizm umysłowy nadzwyczajnie miękki, delikatny, wiotki, kojarzący największe w świecie przeciwieństwa, oprzędła jeszcze w kolebce ze wszech stron tradycya domowa. Tradycya ta wszakże trzymała go na uwięzi tylko swojemi nićmi złotemi wyrobionych cnót i dobrych obyczajów; inne nici się porwały, nic ciemnego, brudnego, ograniczonego nie przystawało do téj wspaniałéj i szlachetnéj natury, złożonéj z samych błękitów i promieni słonecznych. Umysł to był przytém wcale niepospolity, intuicyjny, otwarty na wszystkie prądy i powiewy ducha czasu, w półsłowa chwytający nowe pomysły i instynktowo pojmujący społeczne potrzeby. Ponieważ epoka, w któréj żył, była bezbarwna, i społeczeństwo skazane było na nieczynność, więc i te prądy ducha czasu działały niewidomie przez ustną propagandę i wpływ literatury, przez teoryą i rozumowanie raczéj, niż przez doświadczenie. Lecz i z tych wielkich niedojrzanych wpływów poeta przyswajał sobie niewszystkie pierwiastki. Dojmujące zwątpienie, rozpasanie zmysłowości, podejrzliwa zawiść nieznosząca żadnéj wyższości, rozdarcie się społeczeństwa na skrajne przeciwieństwa, pozostały mu nazawsze obcemi; on wciągał w siebie i assymilował tylko to, co w demokratyzmie i radykalizmie było jak najbardziéj pociągającego: wiarę w nieprzerwany postęp, w dosko-

nalenie się rodzaju ludzkiego i gorące pragnienie łączenia się i bratania ludzi i narodów, za pomocą głównie moralnych łączników, przez dbałość o wielkie ludowe massy i ich uszlachetnienie. Ze stopniowych żywiołów starych i nowych, złożyła się cudna jedność, niby łuk tęczowy przerzucony pomiędzy dwoma światy, po którym jak po moście próbował iść poeta w ślad za postępem o tytańskich ramionach, głoszącym już zawczasu zwycięztwo i przepowiadającym, że fałsz i ciemność pokona. Poeta wołał o tym postępie:

„Boże! kiedy się puści w swe drogi sokole,
Niech nie zapomni krzyża położyć na czole,
Dopomóż jego śmiałéj a poczciwéj chęci,
Niech mu się z wysokości głowa nie zakręci,
Ani ramiona opadną.“
(Zegar, VII, 41, Borejk. 1857).

Okazało się późniéj, że most w myśli pobudowany był tylko złudzeniém optycznęm, że sam postęp okazał się prawie przywidzeniém, marą, przynajmniéj że ten postęp moralny, który miał na celu poeta, odbywa się nieznacznie, powoli, drobną codzienną pracą, nieznacznemi wytężeniami w jednę stronę połączonych usiłowań, ślimaczym krokiem a nie orlim lotem. Przeciwieństwa uwydatniły się daleko większe, niż można było się spodziewać. Dwa przeciwległe lądy tradycyi i postępu zdają się być jeszcze bardziéj oddalone i większa pomiędzy niemi morska głębina. A jednak łączyć je trzeba i most pomiędy niemi budować, tylko inaczéj, „stopniowiéj, systematyczniéj i z trwalszego materyału.“

BULGARYA I BULGAROWIE.

Zarys historyczno-etnograficzny

przez

BRONISŁAWA GRABOWSKIEGO.

CZĘŚĆ DRUGA.

Teraźniejszość Bulgaryi.

Charakter rządów tureckich.—Rajasowie. — Stosunek Greków do Bulgaryi. — Zmiana w charakterze tych ostatnich —Potęga państwa Ottomańskiego.—Zwrot ku upadkowi.—Wojny z Austryą i z Rossyą. — Reformy. - Paswan-Oglu. — Selim i Mahmud II. — Janczarowie.—Wojna z Rossyą.—Emigracye Bulgarów.—Reformy Mahmuda.—Powstanie Safelego. — Abdul-Medżyd. - Hatti-szeryf Giulhański. — Wojna Krymska.—Hatti-Humajum. — Śledztwo Porty. - Tatarzy. — Tuna wilajet. — Czerkiesi. — Powstania bulgarskie.

I.

Rządy tureckie.

Stanęliśmy w części pierwszéj na chwili, w któréj z końcem XV-go stulecia, zagasła ostatnia nadzieja wyzwolenia chrześcian podbitych przez Turków. Od dnia podboju aż do obecnych czasów, przez ciąg pięciu wieków, historya ujarzmionego narodu przedstawia jednę kartę cierpień, jedne dzieje przemocy i ucisku. Ponura noc zawisła nad pokonanym półwyspem, dziki najezdca zdeptał bezlitośnie wszystkie zarodki nawet przeszłéj cywilizacyi, zniósł dawne prawa i przywileje i nad podbitymi zawiesił miecz, bo to była podstawa i *ultima ratio* jego panowania. Wobec zdobywców, wyznawców wiary Proroka, wszyscy chrześcianie stali się jedną klassą *rajasów*, pozbawioną wszelkiego politycznego znaczenia, zobowiązaną do hańbiącego podatku *haraczu* czyli *pogłównego*, i przeznaczoną na to jedynie, aby służyła dumnemu zdobywcy jako niewolnica. Kto z dawnych bojarów chciał ratować

dawne swe stanowisko, musiał uciekać się do apostazyi, i wtedy wstępował do rzędu szlachty tureckiéj, która używając licznych przywilejów, zobowiązaną była jedynie stawać jako jazda czyli spahowie na każde zawołanie sułtana. Takiego odstępstwa od wiary ojców, dopuściła się szlachta bośniacka, wielu *włastelów* serbskich oraz niejeden bojar bułgarski. Spahowie ci, tak prawdziwi Turcy jak i renegaci, dostawali pewne okręgi, zwane *timary*, *spahilyki*, z których mieli prawo wybierać od rajasów dziesięcinę, nadto trzymali oni całą ludność chrześciańską na wodzy. Podbite prowincye pozostawały pod rządami baszów samowładnych, oniemal panów życia i śmierci chrześciańskiego ludu—obowiązkiem ich było: wybierać należne rządowi podatki i pilnować spokoju w powierzonéj sobie prowincyi; o resztę rząd sułtański nie pytał. Wielkorządcy owi dopuszczali się niesłychanych zdzierstw, gwałtów i samowoli, nikt ich za to nie pociagał do odpowiedzialności, głos uciśnionych do podnóżka tronu nie dochodził. Wymiar sprawiedliwości należał do wiernych mosleminów, *mullów* po większych miastach, a *kadych* po miasteczkach; być może, iż nieraz wyjątkowe osoby dawały przykłady bezwzględnéj sprawiedliwości, o jakiéj w powieściach wschodnich często słyszymy: ale zwykle muzułmański sędzia w sprawach między chrześcianinem i Turkiem, stawał po stronie ostatniego, a nadto zbyt chętnie dawał ucha dowodom, popartym datkiem pieniężnym. Chciwość i przekupstwo, stanowią dwa charakterystyczne znamiona tureckiéj administracyi i sądownictwa; złe to wzmogło się niesłychanie od czasu, gdy sam sułtan Amurad III dał przykład sprzedawania wyższych dostojeństw; odtąd wszedł w życie ów wschodni system *bakszyszów*, czyli datków pieniężnych, który nawskroś skaził i zgnoił charakter urzędników tureckich. Prócz spahów, baszów i kadych, ciążyło rajasom piesze wojsko janczarskie, owa główna podpora sułtańskiéj potęgi, postrach niewiernych, ale zarazem niebezpieczeństwo, groźne nawet samym sułtanom. Orężne te zastępy, przypominające wielce rzymskich pretoryanów, nieraz sułtanów strącały z tronu; można wyobrazić sobie, ile musiała znosić ludność chrześciańska od tego żołdactwa, które świadome swojéj mocy, żadnego wędzidła w gwałtach i rozpasaniu znać nie chciało. Jakby na domiar nieszczęść, ludność rajasów musiała własną krwią zasilać te zastępy najgorszych swych katów; z łona bowiem rodzin chrześciańskich wydzierano najzdrowsze i najsilniejsze pacholęta, by wychowawszy je w zasadach Koranu, ćwiczyć w robieniu bronią, która późniéj, na samych chrześcian zwrócić się miała. Do połowy XVII wieku, rajasowie musieli dawać tę okropną daninę z włas-

nych dzieci; później zreformowano instytucyą janczarów; z bezżennych nieosiadłych wojowników utworzono kastę rycerską, w któréj godność rycerska przechodziła z ojca na synów. Do tych wszystkich utrapień dodajmy jeszcze nieznośną pychę zdobywczego plemienia; Turek patrzył na *rajasa* jako na niewolnika, gorszego od psa; dawał mu wzgardliwe przezwisko *giaura* i mocno był przekonany, że chrześcianie istnieją tylko dlatego, aby wiernym wyznawcom proroka służyli. Prawa starodawne Muzułmanów, upokarzały *niewiernych* nawet w drobnych szczegółach powszedniego życia; nie wolno im było nosić oręża, szat tego koloru, co muzułmanie, musieli strzydz krótko włosy, przy spotkaniu z Turczynem zsiadać z konia, znosić jego obelgi i t. d. Niemniéj bolesném jak porywanie dzieci na janczarów, było bezkarne wydzieranie rodzicom pięknych dziewic, by niemi zapełniać plugawe haremy muzułmańskie. Nie dość tego; gdy się rozhulało niesforne, zwykle nieregularnie płatne żołdactwo, grabiło bez litości wsie i miasteczka chrześciańskie, zabierało chłopców i dziewczęta i własnych poddanych Padyszacha niby jeńców wojennych przedawało na rynkach w Stambule oraz i w innych miastach.

Optymistyczni historycy starają się niekiedy łagodzić obraz tego ciemięztwa tureckiego i sądzą, iż los rajasów nie był gorszym niż wszędzie, gdzie tylko w owych czasach jedna narodowość podlegała w skutku podboju rządom drugiéj, wrogiéj sobie narodowości. Wprawdzie słuszną robi uwagę Gerwinus (1), że Turcy nie nawracali przymusowo i gwałtem całych mass ludności na swoję wiarę, tak jak to robili Saraceni w IX w. lub Hiszpanie z Moriskami; z tém wszystkiém i pod względem religijnym los Słowian, zwłaszcza Bulgarów, był niesłychanie smutny i żałosny. Główna wina tego stanu spada nietyle na Turków, ile na Greków. Ci odwieczni wrogowie Słowian, nie przebaczyli im nawet pod jarzmem wspólnéj niewoli. Mahomet II po zdobyciu Carogrodu zatwierdził patryarchę w godności jego, uwolnił duchowieństwo greckie od haraczu, dał mu pewne przywileje; upadek patryarchatu bulgarskiego otworzył kapłanom greckim wolne pole w wydartéj im przez tyle stóleci krainie, rzucili się więc na nią niby głodni wilcy na bezbronną ofiarę. W osobnym rozdziale opowiemy dzieje tych rządów kościelnych; tu nadmienimy tylko, że w nieszczęśliwym narodzie bulgarskim ciało katował okrutny Turek, nad duszą zaś znęcał się Grek zdradny i przewrotny. Pod tym

(1) Historya XIX wieku t. V. Wstęp.

podwójnym naciskiem zmienił się nawet charakter narodowy: Bulgar dawniéj butny i wojowniczy, kochający przepych i okazałość, stał się cichym miłośnikiem spokoju, uległym i uniżonym względem swych panów; zamożność swą troskliwie ukrywał przed obcemi oczyma, aby nie ściągać na siebie uwagi zdzierczych urzędników. Pod podwójném zwierzchnictwem Turków i Greków, zniszczała do szczętu wszelka cywilizacya narodowa; przez kilka stuleci, pole, literatura, leżały najzupełniéj odłogiem, a w wiekach, gdy na Zachodzie poczynało się odrodzenie, a potém rozkwit sztuk i nauk, gdy myśl ludzka rozbijając stare więzy, z każdym dniem nowe robiła zdobycze, tu, na półwyspie Bałkańskim, na ziemi klassycznéj, społeczeństwo staczało się szybko w przepaść straszliwéj ciemnoty i odrętwienia duchowego.

Aczkolwiek nieznośnym był stan Bulgarów, podobnie jak większéj części chrześcian Półwyspu pod panowaniem tureckiém, nie kusili się oni bynajmniéj o odzyskanie utraconéj wolności. Państwo Ottomańskie, pomimo zamieszek wewnętrznych, rewolucyi pałacowych, groźne było w swojéj potędze, zastępy jego najeżdżały państwa sąsiednie, a te szczęśliwe były, gdy się im udawało odeprzeć najazd; zaczepiać wrogów w ich własnych granicach nie ośmielały się wcale. W XVI wieku, Turcy stali na szczycie potęgi, półksiężyc błyszczał na wieżach Peszteńskich, buńczuki tureckie zabiegały aż pod mury Wiednia, a okręty muzułmańskie roznosiły postrach po całém morzu Śródziemném i pobrzeżnych krainach. Nic więc dziwnego, że rajasowie nie zamarzyli nawet o powstaniu, woleli pokornie ugiąć kark pod jarzmo, niż nierozsądnemi próbami drażnić okrutnego ciemiężcę. Komu jednak zbyt ucisk dokuczył, komu pewna w domu zguba zagrażała, ten uciekał w góry, stawał się *hajdukiem* i wiodąc żywot rozbójniczy, czatował na przejezdnych Turków, by na nich mścić się za swe własne i za swych współbraci krzywdy. Hajducy długi czas byli jedyną opozycyą narodową, nietylko u Bulgarów, ale i u innych ludów słowiańskich, tureckie jarzmo znoszących.

Po dwu z górą wiekach niesłychanych zwycięztw i powodzeń, potęga ottomańska szybko z wysokości swéj schodzić poczęła. Już w dobie największego rozkwitu państwa, za panowania wielkiego Sulejmana, walne zwycięztwo Don Juana austryackiego na wodach Lepanckiéj zatoki, było zadatkiem przyszłych klęsk tureckich; *urok oręża*, jak mówi Prescott, *prysnął*, Europa poznała, że owe fanatyczne zastępy z krzykiem Allah rzucające się na wroga, nie są bynajmniéj niezwyciężone. Ale prawdziwy zwrot ku upadkowi rozpoczyna się dopiero w końcu XVII stulecia,

gdy oręż Jana Sobieskiego rozbił w r. 1683 wojska ottomańskie, oblegające Wiedeń. Odtąd ośmieleni chrześcianie ze stanowiska obronnego przeszli w zaczepne; wojska austryackie odebrawszy Peszt i Osiek, przez wiek z górą w rękach tureckich pozostające, przeszły w r. 1688 za Sawę i zdobyły Belgrad. W następnym, 1689 roku wojna toczyła się na bulgarskich polach: Ludwik Badeński pobił Turków pod Niszem, wziął wspomnione miasto, niezadługo zdobył i Widyń — z upadkiem tych dwu warowni, cała przestrzeń Bulgaryi aż do miasta Nikopolisu dostała się w ręce zwycięzców. Ale już w następnym roku (1690), nowy wezyr Mustafa, ze słynnego rodu *Keprislich*, wydarł chrześcianom zdobyte miasta i buńczuki muzułmańskie na dawne miejsce w grodach bulgarskich wróciły. W wojnie roku 1737, wojska austryackie znowu przedarły się aż do Bulgaryi. Żołnierze cesarscy dla pozyskania sobie rajasów szli w dobrym porządku, strzegąc się wyrządzać krzywdę spokojnym wieśniakom. Nisz po krótkich układach bez rozlewu krwi poddał się Austryakom, i ci zrobili go ogniskiem swych działań przeciwko Tracyi i Macedonii. Rajasowie witali przybyłych wojowników jako wybawicieli swoich. Wojnę jednakże licho prowadzono; Turcy w znacznéj liczbie posuwali się naprzód, odbierając miasta, przez Austryaków zajęte i mszcząc się okrutnie na rajasach za ich przychylność dla cesarskich żołnierzy. Generał Dochat bez wystrzału poddał Nisz, tak łatwo na początku wojny zdobyty, i odtąd zachodnia Bulgarya wojsk chrześciańskich nie widziała więcéj, W wojnie Rossyi z Turcyą (1769 — 1774) i w drugiéj wojnie (1787—1792), gdzie Austrya i Rossya szczęśliwie z muzułmanami walczyły, dwa razy wschodnia Bulgarya na chwilę wojska Rossyan u siebie widziała; jednakże wszystkie te wojny uciemiężonéj krainie nic, prócz spustoszenia i zemsty tureckiéj za przychylność dla wrogów nie przyniosły. W dwu ostatnich wojnach tworzono plany śmiałe i rozległe, zamierzano wypędzić Turków z Europy, odnowić państwo Greckie, Serbią i Bośnią oddać Józefowi II, a z księztw Naddunajskich utworzyć państwo Dackie dla Potemkina (1); Bulgarya w planach tych i marzeniach żadnéj nie grała roli, bezwątpienia uważano ją za część nieodłączną przyszłéj monarchii Greckiéj.

Daleko w skutkach swoich ważniejszemi niż wojny zagraniczne były dla rajasów, a zatém i dla Bulgarów wewnętrzne zamieszki w Turcyi. Popęd do reform i przewrotów, płynący z du-

(1) Gervinus, Historya XIX w. tom V. Wstęp.

cha XVIII wieku, zaraził i polityków ottomańskich. Sułtan Selim III, pod wpływem francuzkich doradców pozostający, człowiek jasno widzący i wolny od przesądów, ale nieobdarzony siłą woli i charakteru, postanowił odnowić próchniejące już filary, na których tron się wspierał. Główną kwestyą stanowiło tu zastąpienie janczarów regularném i na sposób europejski urządzoném wojskiem. Wiadomo, jak instytucya owa była obosiecznym w rękach sułtanów orężem, który tylekroć przeciwko nim samym się zwracał; dziki fanatyzm janczarski głównie podtrzymał sławę Ottomanów na polach bitwy, ale z drugiéj strony prawie żadne zamieszki wewnętrzne, żadna rewolucya pałacowa, gwałtowna zmiana tronu, nie obchodziły się bez ich współudziału. Zreformowanie saméj instytucyi przez wprowadzenie małżeństwa i stałych siedzib, niewiele sprawę polepszyło; trzeba było pomyśleć o zupełném pozbyciu się tych niebezpiecznych obrońców tronu i ojczyzny. Z drugiéj strony, należało ograniczyć władzę baszów, zanadto samowolnie rządzących prowincyami i przez zaprowadzenie większéj centralizacyi, zaprowadzić zarazem regularniejszy zarząd w państwie. Reformy te były koniecznością dla Turcyi, a jednakże przyniosły one jéj szkodę jedynie; a nadto wywołały w rajasach dążenia do wolności, które u Serbów i południowych Greków skutkiem uwieńczone zostały. Że dążenia Selima musiały budzić niezadowolenie w konserwatystach wszelkiego rodzaju, rzecz jasna— z niezadowolenia tego korzystał niejeden z ambitnych, aby drogą rokoszu dobić się stanowiska niezależnego w państwie. Takimi byli: Ali-Basza janiński, bośniacki Hussejn-Kapetan, Mehmed-Ali w Egipcie, oraz Paswan-Oglu w Widynie. Powiemy kilka słów o tym ostatnim, ponieważ działalność jego rozwijała się na terrytoryum bulgarskiém.

Paswan-Oglu, jak mówi Gervinus, długi czas był w Europie jakąś figurą mityczną, po której spodziewano się, iż odegra rolę drugiego Bonapartego. Ojcu jego Omar-Paswanowi odebrano majątek i życie; on sam przeszedł mnóstwo przygód w Albanii, Wołoszczyznie, odznaczył się w wojnie z Rossyą i Austryą, a po zawarciu pokoju, siłą zawładnął znaczną przestrzenią ziem nad Dunajem, w okolicach Widynu, do których rościł prawo, jako do swego majątku rodowego. Wobec pogróżek rządu sułtańskiego, Paswan-Oglu otoczył się kardżalami, janczarami, wygnanymi z Belgradu i stając, niby przeciwnik reform Selima i obrońca staroturecko obyczaju, wypowiedział otwarcie wojnę sułtanowi. Nadaremnie starano się uzbroić przeciw Paswanowi ciężko krzywdzonych przez jego rozbójnicze zgraje rajasów, nadaremnie wysy-

łano przeciw rokoszanom dzikie hordy, sprowadzone z Azyi: pretendent wyszedł zwycięzko i Selim zmuszony był zawrzeć z nim pokój i zgodzić się na warunki przeciwnika, to jest na udzielenie mu baszałyku widyńskiego. W Widyniu Paswan-Oglu rządził samowolnie i energicznie, upiększając miasto i zakładając wiele pięknych budowli i dobroczynnych instytucyi, i tu umarł na krótko przed strąceniem z tronu swego pana i przeciwnika. W nim umarł ostatni w Europie basza w starotureckim duchu.

Po zatwierdzeniu Paswana-Oglu trzytulnym baszą widyńskim, janczarowie jego wrócili do Belgradu, gdzie zabili przyjaznego rajasom wielkorządcę Hadżi-Mustafę, wypędzili spahów i sami nad Serbią panować zaczęli. Czteréj naczelnicy janczarów, nazywający siebie *dahami* t. j. książętami (tak jak u Berberów) rządzili samowładnie Serbią, a straszny ucisk, zdzierstwa, gwałty, rozboje, tępienie osób wpływowych między chrześcianami, doprowadziły Serbów do rozpaczy i roku 1804 zniewoliły ich do chwycenia za oręż. Powstanie, z początku przeciwko ciemiężycielom zrobione, było na rękę nawet rządowi w Stambule, ale serbscy wieśniacy, wypędziwszy dahów, nie myśleli składać dobytéj broni i pokusili się o zupełne wyzwolenie kraju z pod władzy tureckiéj. Dwudziestokilkoletnia walka owa, lubo w końcu uwieńczona skutkiem, zanadto była rozpaczliwym wysiłkiem, aby zdołała ośmielić do podobnéj próby Bulgarów, daleko więcéj niż Serbowie zgnębionych i upadłych.

W czasie wojny o wyzwolenie Serbii, janczarowie roku 1808 pozbawili tronu i życia swego zaciętego wroga sułtana Selima; następca zaś jego Mahmud II objął rządy dzięki tylko pozornéj uległości janczarom. Sułtan w duszy poprzysiągł zgubę tym nowożytnym pretoryanom, ale długo taił gniew i zamysły swe w piersiach, aż w roku 1827, sądząc, że już nadeszła właściwa pora, przystąpił do zniesienia janczarów. Zuchwali wojownicy chcieli stawiać opór, ale chytrze rozbrojeni, pozbawieni dowództwa, zostali wybici po zaciętéj, rozpaczliwéj po zakątach miasta obronie. Schwytanych żywcem oddawano bez litości pod miecz katowski—straszną tę milicyą wygubiono ze szczętem, a na miejsce jéj weszło regularne wojsko *(nizam)* w mundurach europejskich, z bronią taką, jak w państwach ucywilizowanych i z organizacyą, całkowicie urządzeniom wojskowym w innych krajach odpowiadającą. Z upadkiem janczarów zniknął jeden z najprzykrzejszych dla chrześcian żywiołów, bo lubo i nizam i albańskie pułki nieraz dopuszczają się wybryków na utrapienie spokojnego

rajasa, wszelako nigdy one dawnym gwałtom janczarskim dorównać nie mogą.

Ledwie po tym ważnym przewrocie Porta nieco ochłonąć mogła, gdy wybuchła w roku 1828 wojna z Rossyą. Aczkolwiek w manifeście urzędowym Rossyi mówiono głównie o zadosyćuczynieniu za wyrządzone obrazy i zapewniano, iż bynajmniéj o podboje terrytoryalne nie idzie: mimo to chwila ta wydawała się zapowiedzią wyzwolenia chrześcian tureckich, a głównie Bulgarów. Liczono nawet na ich powstanie, wszelako prócz małéj ruchawki w Bałkanach, gdzie hajducy w zwiększonéj liczbie osadzali wąwozy i przesmyki, większego rokoszu nie było. Lud witał wojska cesarskie, które przeszły zwycięzko za Dunaj, jako oswobodzicieli, wiele drobnych wyświadczał usług, nieśmiało jednak, lękliwie, pod strachem odwetu ze strony Turków w przyszłości. „Nie wszyscy Bulgarowie,“ mówi jeden z uczestników téj wojny (1), „obawiając się zemsty tureckiéj, szli z ochotą pomagać swym współwyznawcom, i ja nie śmiałem obwiniać ich o to, chociaż usilnie wymagałem od nich pomocy; widzieli oni, że na wieki u nich nie zostaniemy.“ Wojna toczyła się przytém we wschodniéj Bulgaryi, gdzie gęsta ludność muzułmańska, oraz silne warownie: Szumla, Silistrya i Warna, trzymają w szachu rajasów. Pokój, zawarty w Adryanopolu, powrócił sułtanowi utracone w czasie wojny posiadłości prócz małéj cząsteczki pogranicznéj; Bulgarowie zostali pod panowaniem muzułmańskiém, tylko w jednym z artykułów Rossya zawarowała ogólną z obu stron amnestyą i pozwolenie mieszkańcom zwróconych ziem, swobodnego wyjścia z kraju w ciągu ośmnastu miesięcy. Z tego pozwolenia korzystali przeważnie Bulgarowie bałkańscy, którzy byli otwarcie po stronie obcych stanęli; nie ufając zastrzeżeniom traktatu Adryanopolskiego, w liczbie 25,000 wyszli z kraju razem z wracającemi do domu wojskami rossyjskiemi. Opuszczano całe miasta, jak naprzykład Sliwen; wychodźcy udali się do Bessarabii, gdzie już znajdowało się niemało wychodźców bulgarskich z dawniejszych jeszcze czasów. Emigracya chrześcian do południowéj Rossyi, rozpoczyna się za panowania cesarzowéj Elzbiety, kiedy rajasowie, z pod jarzma osmańskiego uchodzący, osiadać poczęli na pustych, pogranicznych stepach, ponad morzem Czarném. Okolice te nazywano wówczas Nową Serbią. W wojnie z Portą, 1812 roku zakończonéj, Rossya

---

(1) Wspomnienia z kampanii 1829 w Turcyi Europejskiéj przez T. *Ruskij Wiestnik* 1867. Lipiec. S. 37.

zyskała Bessarabią, ziemię Rumuńską i tu zwracały się nowe emigracye bulgarskie; Bessarabia i Nowa Serbia, były dla Bulgarów tém, czém Wojewodzina w południowych Węgrzech dla Serbów—ziemią ucieczki i przytułku. Już w roku 1821 liczba tych wychodźców dochodziła do 38,000.

Uwolniony z niebezpieczeństwa, po zawarciu pokoju na bardzo łagodnych warunkach, sułtan Mahmud II, ulegając życzeniom Rossyi, a przytém chcąc pozyskać sobie dobrą opinią na Zachodzie, wydał w Grudniu r. 1829 firman, zapewniający rajasów bulgarskich o łasce swéj i przebaczeniu i zalecający wielkorządcom swoim łagodnie obchodzić się z nimi i okazywać wszelką opiekę i obronę. W dwukrotnéj podróży swéj (r. 1831 i 1837) po Wschodniéj Bulgaryi i Turcyi sułtan głośno oświadczył się, iż nie robi różnicy pomiędzy chrześciańskimi i muzułmańskimi swymi poddanymi i jednakowo troszczy się o nich w swéj ojcowskiéj pieczołowitości. Mahmud był człowiekiem szczerze o odrodzeniu swego państwa myślącym, w Reszydzie-baszy miał gorliwego swych zamysłów pomocnika; obadwaj starali się o lepszą i zdolniejszą administracyą kraju, o bezstronny wymiar sprawiedliwości, o zniesienie wielu zastarzałych nadużyć o podniesienie dobrobytu krajowego; jedném słowem o wprowadzenie Turcyi na drogę, jaką państwo ucywilizowane postępować winno. Ale od zamiarów panującego do praktyki, zależnéj od niższych organów urzędowych, daleka droga—i mimo dobrych chęci sułtańskich położenie Bulgarów nielepsze było niż przed wojną. Przykład Serbii rozbudzał marzenia o podobnémże wybiciu się na niepodległość; w r. 1836 Jerzy Sofeli zamierzył odegrać tęż samą rolę, co Miłosz Obrenowicz. Pod pozorem, że zbierze lud do naprawy fortyfikacyi Warny, zburzonych w czasie wojny z Rossyą, Sofeli zgromadził koło siebie ze 40,000 ludzi i gotował się podnieść rokosz. Zamysł ten zdradził Porcie Grek Fanaryota, metropolita ternawski, i Sofeli z wielu poplecznikami skończył życie na szubienicy.

Tymczasem w r. 1839 umarł sułtan Mahmud II, bardziéj żałowany przez chrześcian aniżeli przez niechętną jego reformom ludność mahometańską. Tron objął syn Mahmuda, siedemnastoletni młodzian, Abdul-Medżyd. Staro-turecka partya pochwyciła rządy w swe ręce, ale wobec niechętnéj mocarstw europejskich postawy, sułtan widział się zmuszonym powołać Reszyda na stanowisko wielkiego wezyra. Reszyd-basza, obeznawszy się jako poseł w Anglii i Francyi z konstytucyjną formą rządu, przygotował w cichości akt, który zadziwił dyplomacyą i mieszkańców Turcyi i całą zachodnią Europę. Aktem tym było uroczyste wobec

znaczniejszych Turków i chrześcian, w obec przedstawicieli ulemów i greko-katolickiego duchowieństwa, ogłoszenie Hatti-szeryfu Giulhańskiego (3 Listopada 1839 r.). Akt ten zapewniał wszystkim poddanym Porty bez różnicy wiary, bezpieczeństwo życia, honoru i mienia, jednostajny rozdział podatków, znosił wypuszczanie tychże podatków w dzierżawę, monopole, konfiskaty, dalej znosił karę śmierci bez śledztwa i wyroku sądowego, nakoniec ustanawiał prawidłowy pobór rekruta i służbę wojenną do lat 4 lub 5 ograniczał. To ostatnie tyczyło się muzułmanów, gdyż chrześcianie mieli nie brać w owéj służbie i nadal udziału, a za to płacić do skarbu pewien podatek wykupny.

Hatti-szeryf Giulhański nie zadowolił ani Turków, ani chrześcian. Pierwsi nie chcieli pogodzić się z myślą, by giaurowie równych z nimi praw ludzkich i obywatelskich używać mieli; po prowincyach motłoch muzułmański burzył się i rzucał na bezbronnych rajasów, a władze nie miały ani siły, ani ochoty, by krwawe wybryki powstrzymać—ledwie stolicę od podobnych scen ustrzeżono. Najgorzéj dokazywali poturczeńcy albańscy w r. 1843, opierający się nowéj konskrypcyi wojskowéj, a zarazem straszne po wsiach chrześciańskich robiący spustoszenia; trzeba było na poskromienie tych barbarzyńców fanatycznych Omera-baszę z wojskiem posyłać.

Chrześcianie także z nowego aktu wcale się nie cieszyli. Nie ufali oni obietnicom sułtańskim, a niezadowolenie ich wzrosło jeszcze bardziéj, gdy baszowie, którym już Mahmud II prawo dziedziczenia swych baszałyków odebrał, gorzéj niż dawni dzierżawcy rajasów zdzierać poczęli, dbając tylko, aby kosztem prowincyi napełniać własną kieszeń i wydartemi pieniędzmi zyskiwać sobie ludzi wpływowych w Konstantynopolu.“ Reszyd próbował oddać pobór podatków osobnym urzędnikom, ale klassa owa, tak zdemoralizowana w Turcyi, działała ze szkodą i dla skarbu i dla rajasów. Hatti-szeryf więc uciemiężonych z rządem stambulskim nie pogodził.

W owym to czasie zjawił się mąż, który odtąd miał ciągle żyć z myślą powstania Bulgarskiego i w każdéj próbie i w każdym wybuchu znaczącą odgrywać rolę. Był nim zdolny publicysta i literat bulgarski, Rakowski W r. 1841 w Brajlowie, naddunajskiém mieście na Wołoszczyźnie, zbierał on legion powstańczy, zamyślając przejść Dunaj i znienacka na Turków uderzyć; ale zamiary te rząd wołoski zniweczył. W tymże roku niesłychane brzemię podatków przywiodło lud bulgarski do rozpaczy, począł się więc burzyć. Uspokojenie kraju przypadło w udziale zbisurmanionym Albańczykom,

którzy massami w Staréj Serbii (Nowipazarskim baszałyku) osadzeni, sąsiadują z Bulgarami. Niesforne gromady tych barbarzyńców przebiegały Bulgaryą, pustosząc, łupieżąc i mordując, nawet muzułmanom dając się we znaki, — kraj został uspokojony, ale trzeba było aż użyć regularnego wojska dla powściągnięcia pacyfikatorów, aby kraju w zupełną pustynią nie zamienili.

Abdul-Medżyd postępował daléj na drodze reform; jedną z najważniejszych, stanowiło dalsze ograniczenie władzy baszów, którym dodano do boku rady prowincyonalne *(medżlisy)*, z miejscowych osób złożone. W medżlisach, niestety, muzułmanie byli w znacznéj większości, gdy tymczasem inne religie ledwie pojedynczych liczyły przedstawicieli; ta więc ważna instytucya reprezentacyi prowincyonalnych, rajasom pożądanych korzyści przynieść nie mogła.

Z wiosną 1853 przyszło do nowego, a dawno spodziewanego starcia między Rossyą a Turcyą. Występując do wojny z oświadczeniami, iż podnosi oręż w obronie uciemiężonych swych współwyznawców, Rossya liczyła na powszechne chrześcian tureckich powstanie, ale cały ruch ograniczył się na pewnych orężnych próbach między Grekami i utworzeniu bulgarskiego legionu, który zebrał Ceko, a który to legion, niewielkie oddał usługi. Bulgarowie oczekiwali korzyści dla siebie nie z własnego w walce udziału, ale ze zwycięztw nad Turkami; zresztą możeby przyszło było do powstania, gdyby nie to, że Francya i Anglia wmieszały się w sprawę wschodnią i widownia wojenna do Krymu się przeniosła. Przy zawarciu pokoju mocarstwa zachodnie zrozumiały, że chcąc opiekę Rossyi nad chrześcianami tureckimi usunąć, losu tych ostatnich nie należy pozostawiać jedynie dobréj woli sułtana. W artykule 4 pokojowych preliminaryów, zastrzedz miano zapewnienie chrześcianom praw politycznych i religijnych. Jeszcze na początku wojny lord Redcliffe nastawał na Portę, aby zniosła poniżający rajasów haracz, prawo o nieważności świadectwa chrześcian przeciwko muzułmanom, oraz dopuściła chrześcian do służby wojskowéj: rząd sułtański ustąpił; chrześcianom dozwolono świadczyć w sądach przeciwko mahometanom, haracz usunięto i przyznano rajasom prawo służenia w wojsku, ale Porta zachowała sobie możność zamienienia powinności wojskowéj na opłatę wykupną. Opłata owa, pod nazwą *asker bedledich* na wszystkich rajasach płci męzkiéj od 8 do 60 lat wieku ciążąca, doskonale dawniejszy haracz zastąpiła.

Artykuł czwarty przy zawieraniu pokoju wcale pod obrady nie przyszedł; za to państwa sprzymierzone, Anglia, Francya i Austrya, rozpoczęły z Portą rokowania w tym przedmiocie, rezulta-

tem zaś ich był głośny *Hatti-Humajum*. Oszczędzając rząd sułtański, nie wciągnięto go do warunków pokoju, lubo na konferencyach paryzkich został odczytany i zatwierdzony. Hatti-Humajum między innemi stawiał na równi wszystkich poddanych Porty bez różnicy wyznania, ogłaszał nieograniczoną wolność wiary, ustanawiał mieszane chrześciańsko-mahometańskie sądy, przyznawał chrześcianom prawo służenia w wojsku, obiecywał reformę *medżlisów*, systemu podatkowego, powołania deputowanych z rajasów do rady stanu; nakoniec groził urzędnikom ciężkiemi za przekupstwo karami.

I Hatti-Humajum nie zadowolił nikogo. Prawowierni wyznawcy proroka zgrzytali zębami na to upokorzenie, każdy czuł, iż akt ten jest ustępstwem, które zachodni giaurowie na sułtanie wymogli; zapominano powszechnie, iż giaurowie owi państwo od zaubyg ocalili. Muzułmanie, z których najciemniejszy z uczuciem niewysłowionéj dumy i wzgardy na wszystkich rajasów, tak bogatych jak i ubogich, tak ciemnych jak i wykształconych spogląda, nie mogli się z myślą o równości obywatelskiéj pogodzić, a niezadowolenie dochodziło do tego stopnia, iż w Azyi w wielu miejscach motłoch burzył się przeciwko chrześcianom.

Ci ostatni również zimno Hatti-Humajum przyjęli. Samo to, że wyszedł z rąk owych mocarstw zachodnich, których pomoc orężna nienawistne rajasom państwo ocaliła, nie dodawało uroku nowemu aktowi; uciemiężeni czuli dobrze, iż najlepsze ustawy, słabem są wynagrodzeniem za zniszczenie tylu nadziei, jakie z widokami wypędzenia Turków z Europy się łączyły; nadto doświadczenie uczyło doskonale, że wszystkie reformy w Turcyi istnieją tylko na papierze, a w praktyce dawny stan rzeczy trwa daléj.

Tak więc Hatti-Humajum nie osiągnął celu i w niczém położenia rzeczy nie zmienił. Dawne nadużycia urzędników tureckich i ucisk rajasów trwały ciągle w swojéj sile, a nawet niespełna we dwa lata po ogłoszeniu aktu łaski monarszéj wybuchło w okręgu Ternawskim nierozważne i prędko stłumione powstanie starca Nikoli (Diedo-Nikoli) jako dowód, jak mało Hatti-Humajum przyczynił się do uspokojenia umysłów. W pośród ogólnéj w świecie poitylcznéj ciszy, książę Gorczakow okólnikiem swym w r. 1860 zażądał niezwłocznego śledztwa przy udziale komissarzy ottomańskich, orpozumienia się mocarstw pomiędzy sobą oraz z Portą, celem wydobycia rajasów z nieznośnego położenia i wprowadzenia ich na drogę rzeczywistego postępu. Abdul-Medżyd, chcąc poznać rzeczywisty stan poddanych, postanowił wysłać wielkiego wezyra na objazd prowincyi. Dostojnik ten w okólniku swym wezwał ra-

jasów, aby, nie lękając się ni baszów, ni biskupów, śmiało skargi swe i zażalenia przekładali. Strach ogarnął winnych; mnóstwo ludu z prośbami i skargami zjawiło się przed Sulejmanem-bejem, towarzyszem wielkiego wezyra, któremu zlecono rozpoznawać sprawy, nim sam wezyr się ukaże. Kilku z ważniejszych urzędników uwięziono ku wielkiemu podziwieniu Turków, nieprzywykłych do podobnego ze strony wyższéj władzy w interesie rajasów kroku. Skargi tyczyły się biskupów, baszów, defterdarów (poborców), oraz innych urzędników; nadto użalano się wielce na różne nadużycia, jakie ze stosunku panów tureckich, dawnych spahów, do wieśniaków tureckich, wynikły; owi bowiem Turcy dążyli do zamiany dawnych spahiłyków na *czyftliki*, to jest osobiste, rodowe dobra, i różnych poddańczych robót od rajasów wymagali.

Prócz śledztwa ze strony Porty Ottomańskiéj, konsulowie angielscy, na żądanie ministerstwa spraw zagranicznych, składali sprawozdania o stanie chrześcian w Turcyi. We wszystkich tych sprawozdaniach stwierdzają oni jednozgodnie nieznośny ucisk, przywodząc przykłady porywania dziewcząt bulgarskich, zmuszania ich do przyjęcia islamu, niedopuszczania świadectw chrześciańskich w procesach, tyczących się muzułmanów i t. d. Ale ani tureckie, ani angielskie śledztwa rezultatu żadnego dla rajasów nie przyniosły; owszem jak gdyby umyślnie, na przekór, Porta do dawniejszych ciężarów dodała nowe, mianowicie roboty na korzyść wychodźców tatarskich i czerkieskich, osiedlanych masami w Bulgaryi. Osiedlanie Tatarów krymskich było nową klęską dla nieszczęśliwego kraju, i wywołało nawzajem liczne wychodźtwo Bulgarów do Rossyi.

Mieszkańcy południowego Krymu, Tatarzy, w liczbie 12,000 latem 1860 r., wyszli do Bulgaryi, spodziewając się niesłychanych z tego powodu korzyści tém więcéj, że już we wschodniéj części kraju, w tak zwanéj Dobrudży, mieszkała oddawna znaczna ilość Tatarów, która wówczas przeszło 33,000 głów wynosiła. Ludność miejscowa patrzała bardzo krzywo na przybyszów; nawet Turcy poczytywali ich, acz niesłusznie, za próżniaków i barbarzyńców. Tymczasem w rzeczywistości Tatarzy krymscy mają wiele dobrych przymiotów: są pracowici, rzetelni, spokojnego, łagodnego usposobienia; nawet ich powierzchowność, skutkiem częstego z obcą krwią, szczególniéj grecką i germańską krzyżowania, straciła odrażające mongolskiego plemienia znamiona. Sposób osadzania przybyszów w Bulgaryi w najwyższym stopniu oburzał wszelkie poczucie prawa i słuszności. Nusret-bej, komissarz turecki, do rozkolonizowania Tatarów umocowany, wyznaczał im siedziby w naj-

zamożniejszych wsiach bulgarskich, lepsze grunta wieśniakom na korzyść przybyszów odbierając; nadto Bulgarowie musieli im darmo stawiać domy i zabudowania gospodarskie. Tylko okręgi z wyłącznie turecką ludnością, obroniły się od tatarskiego przypływu; katolików zaś, w okolicach Swistowa mieszkających, osłoniła opieka Austryi. Wesoło wjeżdżały rodziny tatarskie do nowych siedzib, ciesząc się widokiem żyznych pól i nowo pobudowanemi domkami. Porta uwolniła kolonistów na lat 15 od wszelkich podatków, nadto miano im dostarczyć po dwa woły i krowę na dom, ale pieniądze, na ten cel ze Stambułu wysłane, zniknęły w kieszeniach urzędniczych i Tatarzy daremnie na przyobiecany inwentarz czekali. Niezadowolenie szerzyło się pomiędzy nowoprzybyłymi; powiadają, że nawet o powrocie do Krymu zamyślano; z czasem jednak pilność i zabiegłość przezwyciężyła wszelkie przeszkody, i dziś wsie tatarskie odznaczają się dobrobytem i zamożnością; w wielu wsiach pobudowano już nowe, okazalsze budynki, meczety i szkoły, gdyż w ostatnich czasach pragnienie nauki znacznie tutaj wzrosło. Nawet stosunek sąsiedzki z Turkami i Bulgarami o wiele się polepszył; uczciwość tatarska budzi przyjaźń i zaufanie. Jedném słowem, Turcya zyskała w Tatarach rolników pracowitych, zabiegłych, a nadewszystko spokojnych, i to do tego stopnia, że w razie powstania chrześcian, Porta na pomoc orężną osadników tatarskich bynajmniéj liczyć nie może.

By uniknąć ciężarów, z osiedleniem Tatarów połączonych, wielu Bulgarów z całemi rodzinami wyemigrowało już to do Serbii, już do Rossyi. Większa część tych wychodźców, a mianowicie 10,000 udało się do tej ostatniéj w r. 1861, gdzie ich osadzono w Krymie na miejscu wyszłych Tatarów. Świetne nadzieje, jakie ci nieszczęśliwi sobie roili, nie spełniły się; to też w następnym (1862) znakomita większość wychodźców powróciła, błagając o przyjęcie ich do dawnéj ojczyzny, na co chętnie zezwolono. Z całéj emigracyi ledwie 1,000 głów pozostało w Rossyi, a może drugie 1,000 zatrzymało się w Rumunii, gdzie bojarowie skwapliwie odłogiem leżące grunta im oddawali. Rozumie się, że wszystkie powyższe okoliczności nie mogły jednać rządowi tureckiemu umysłów bulgarskich i zgasić w sercach tlejącego ciągle pragnienia wolności. Powstanie Łuki Wukałowicza roku 1861, a za nim idąca walka z Czarnogórzem, rozbudziły marzenia i nadzieje patryotów słowiańskich. W Serbii, któréj ciążyły jeszcze załogi tureckie w cytadeli belgradzkiéj i w kilku innych warowniach, myślano o wyparciu siłą Bisurmanów; a korzystając z tego usposobienia, jesienią roku 1861, Rakowski począł w księztwie zbierać legion bul-

garski. W tym celu powołał do siebie celniejszych hajduków, harambaszów Stojana, Ilię Marka i innych; nadto wielu z Bulgarów, bawiących w zakładach naukowych zagranicznych, ściągało do Rakowskiego (1). Na czele tego zastępu miał stanąć wspomniony Ilia Marko, rodem z Macedonii, który hajdukując przez lat dwadzieścia, był postrachem Bisurmanów. W Czerwcu 1862 r. podczas nieobecności księcia Michała Obrenowicza, przyszło w Belgradzie do ulicznéj bójki pomiędzy Serbami a Turkami, a za nią do bombardowania miasta z cytadeli, przez muzułmanów zajmowanéj. W powszechnéj trwodze jedna tylko żandarmerya serbska i legion bulgarski gotowe były do obrony miasta. Tłumy Serbów ściągały pod bronią do Belgradu; zdawało się, że przyjdzie do wojny z Portą, co kwestyą Wschodnią w całéj swéj grozie na jaw wyciągnąć mogło. Wdanie się mocarstw, zażegnało burzę i Turcy z Belgradu i z warowni serbskich ustąpili; a w tym to czasie na żądanie konsula angielskiego Henryka Bulwera, rząd serbski rozpuścił legion bulgarski. Wcześniéj jeszcze wybuchło w górach bałkańskich powstanie pod wodzą Panajota Chitjowa, byłego kupca, a potém hajduka, ale to na wieść o pokojowém zakończeniu sprawy belgradzkiéj i rozpuszczeniu legionu bulgarskiego, samo przez się upadło.

Jeszcze przed wszystkiemi temi wypadkami, bo 25 Czerwca 1861 roku, umarł Abdul-Medżyd, człowiek dobremi chęciami dla swych poddanych ożywiony, ale słaby i niezdolny do przeprowadzenia swych planów. Brat zmarłego Abdul-Azyz zajął tron w Stambule. Od nowego sułtana wiele oczekiwano, wkrótce jednak okazało się, iż wszystko miało iść dawnym trybem. Na zmianie monarchy, rajasowie żadnéj nowéj nie zyskali ulgi; na Bulgaryą naodwrót spadła nowa klęska, godna dawniejszych towarzyszka, mianowicie osiedlenie Czerkiesów kaukazkich nad Dunajem. Wypadki, które miały miejsce po drugiéj stronie morza Czarnego, bezpośrednio na pogorszenie losu Bulgarów oddziałały. W przeciągu brzemiennego w zdarzenia 1863 roku, ostatnie niepodległe w górach kaukazkich plemiona uległy po zaciętéj obronie orężowi Rossyi, nadaremnie pomocy od Turcyi i Anglii wyglądając. W pierwszéj połowie 1864 roku skończyła się tyle lat trwająca walka na Kaukazie. Bezpośrednim skutkiem tego ważnego wypadku było musowe przesiedlenie się pokonanych Czerkiesów do

(1) Pomiędzy tymi był Velio Stojanow, kształcący się w Pradze, z artykułów którego w *Kvietach* umieszczonych, czerpaliśmy wiele ciekawych szczegółów o powstańcach bulgarskich.

ziem, gdzie mieszkają ich współwyznawcy pod berłem spadkobiercy Kalifów. Przesiedlenie rozpoczęło się już w Grudniu 1863 roku, ale od Lutego następnego roku do niesłychanych wzrosło rozmiarów. Zwycięzcy zmuszali pobitych do zmiany siedzib, lub do opuszczenia kraju; zwyciężeni po większéj części to ostatnie wybierali. Nie możemy wdawać się w szczegółowy opis tego przesiedlenia, które samo przez się dla Czerkiesów smutne i bolesne, pogorszyło się w skutek braku przygotowań dla przyjęcia tak wielkiéj liczby obcych przybyszów. Setkami dziennie umierali Czerkiesi po miastach mało-azyatyckich dla braku przytułku, żywności i opieki nad chorymi; ospa i tyfus a nawet gorączka głodowa w przerażający sposób zabierały ofiary. Przeszło 230,000 ludzi opuściło w zimie i na wiosnę góry kaukazkie, uchodząc do Turcyi. Rozkolonizowanie podobnéj massy byłoby trudném dla każdego rządu, a témbardziéj dla niezaradnéj administracyi tureckiéj. Po całém państwie zbierano ofiary pieniężne, ale te złemu w części tylko zaradzały. Przybysze głośno domagali się o wydzielenie sobie ziemi. Nakoniec w Lipcu, rząd wziął się do rozsadowienia Czerkiesów; wielką część pozostawiono w Mniejszéj Azyi, do Europy przeniesiono od 150,000 do 200,000 ludzi, i to głównie do naddunajskiéj Bulgaryi. Emigranci odetchnęli, ujrzawszy przyszłe swe siedziby ponad wodami majestatycznego Dunaju, po którym niosły ich statki tureckie. Wysiadłszy na ląd, naczelnicy wetknęli miecze swe w ziemię, jakby na znak zajęcia jéj w posiadanie. Rząd wyznaczył nowoprzybyłym siedziby w okolicach przez gęsto rozsianą ludność bulgarską zamieszkanych, a głównie nad rzeką Timokiem na pograniczu serbskiém. Usadawiając tutaj Czerkiesów, Porta miała na myśli wytworzenie z tego wojowniczego, a nienawidzącego chrześcian ludu, gotowéj w każdéj chwili do walki milicyi, mogącéj zagrażać Serbom, a Bulgarów trzymać na wodzy. Czerkiesi niebardzo chcieli wchodzić w te zamiary rządu stambulskiego i nie myśleli urodzajnych nad Dunajem równin porzucać; trzeba aż było użyć regularnego wojska *(nizamu)*, aby ich skłonić do dalszéj wędrówki. Ostateczne Czerkiesów usadowienie, odbyło się z niemałą dla Bulgarów uciążliwością; jeszcze świeżo tkwiły w pamięci krzywdy, przy kolonizacyi Tatarów wyrządzone, a już nowe tegoż samego rodzaju cierpienia spadły na lud nieszczęśliwy. Pozabierano na korzyść przybyszów najlepsze cząstki gruntu, a nadto rajasowie musieli im pobudować domy mieszkalne. Nim te dokończone zostały, Czerkiesi mieścili się w domach bulgarskich, których właścicieli bez litości na świat Boży wyganiano. Osadnicy z Kaukazu nieosobliwym okazali się dla kraju

nabytkiem. Dawniéj w niedostępnych swych górach prowadzli byli dzikie, napół rozbójnicze życie; dziś więc, choć w innych warunkach, trudno im do cichego życia rolniczego przywyknąć. Mieszkania Czerkiesów przedstawiają smutny obraz upadku w skutek niedbalstwa i lenistwa, a sąsiedzi, tak Bulgarowie jak Turcy i Tatarzy, przeklinają ich jako złodziei i łupieżców. Góral kaukazki jest lichym rolnikiem; urodzony na wojownika, grabież poczytuje za najwłaściwsze sobie zajęcie. Źródłem dochodu jest dlań sprzedaż kobiet, słynnych po całéj Turcyi z wielkiéj piękności; a choć firman sułtański, dla dogodzenia filantropii angielskiéj wydany zniósł handel tego rodzaju, trwa on mimo to w całéj swéj sile, a nadto wielkie pomnożenie się towaru do zbycia, cenę jego znacznie zniżyło.

Tak więc mimo przyznania się pośredniego do ucisku i nadużyć, mimo pozornych usiłowań w celu ich usunięcia, Turcya losu rajasów bynajmniéj nie polepszyła. Rząd Abdul-Azyza nie był pochopnym do reform, chyba że te wychodziły na korzyść samemu rządowi; taką naprzykład była nowa organizacya administracyi kraju, zasadzająca się na zniesieniu nawpół niezależnych baszałyków i podzieleniu kraju na sposób europejski: na prowincye (wilajety), gubernie (sandżaki) i liwy (powiaty). Był to krok jeden na drodze centralizacyi zarządu administracyjnego. Z Bulgaryi naddunajskiéj, czyli baszałyków Widyńskiego, Ruszczuckiego, Ternowskiego, Warneńskiego i Tulczeńskiego, z dodaniem jeszcze zabałkańskich baszałyków Niszeńskiego i Sofijskiego, utworzono prowincyą Dunajską (Tuna-wilajet), któréj namiestnikiem czyli wali-baszą mianowano Mithad-baszę, jednego z najzdolniejszych mężów politycznych tureckich. Mithad był może jedynym człowiekiem w Turcyi, biorącym Hatti-Humajum na seryo i starającym się zaszczepić w kraju prawdziwą cywilizacyą zachodnią. Za jego rządów obejście się z rajasami urzędników a nawet żandarmeryi znacznie złagodniało, nadto znalazłeś i chrześcian na urzędach. Mithad-basza dbał pilnie o ulepszenia w administracyi, zakładanie szkół; powoływał budowniczych, inżynierów i mechaników, budował piękne gmachy rządowe, oczyszczał i upiększał miasta, zakładał drogi, mosty, kassy pożyczkowe dla rolników, domy pracy, ochrony, jedném słowem nie zaniedbywał niczego, co do dobrobytu materyalnego i moralnego przyłożyć się mogło. Sprawiedliwy i energiczny, surowo tępił wszelkie nadużycia, jakie tak Turków jak i chrześcian dotykały.

Mithada zamysły i plany obracały się wyłącznie w granicach Hatti-humajumu; co za owe granice przechodziło, na to poglądał,

jako na roszczenie nieprawne, szkodliwe państwu, a czuł się w obowiązku wszelkim podobnym roszczeniom jak najenergiczniéj zapobiegać. Dlatego Mithad z początku krzywo patrzał na dążenia Bulgarów do wyzwolenia się z pod jarzma Fanaryotów. Jeszcze energiczniéj i surowiéj ścigał wszelką agitacyą *młodo-bulgarską*, która, poddmuchiwana przez Serbią, z ogniska swego w Bukareszcie, za pomocą pamfletów i emissaryuszów burzyła jego pacyfikacyjne usiłowania. Na wiosnę w r. 1867 wybuchło w Bulgaryi powstanie. O ile się zdaje, Serbia przyłożyła ręki swojéj do tego wybuchu. Dwa śmiali przywódcy, Panajot Chitjow i Totju Filip, w Maju 1867 roku przeszli Dunaj, starając się dostać w bałkańskie strony, gdzie położenie i gęsta ludność chrześciańska zawsze sprzyjały podjazdowéj wojnie i ruchom powstańczym. Panajotowi udało się cel swój osiągnąć; ale Totju naciśnięty przez *zaptijów* i turecko-czerkieską milicyą, ledwie z niedobitkami uszedł i z Panajotem się połączył. W Bałkanach otoczono powstańców przeważną siłą, i obaj wodzowie, każdy z osobna, z garstką ludzi zaledwie przebić się zdołali. Mithad wydobył całą swą energią, aby i samo powstanie i wszelkie jego na przyszłość zarodki przytłumić. Surowe kary czekały nietylko powstańców, ale i wszystkich, którzy choćby tylko z musu żywnością, lub innym sposobem rokoszan wspierali; jednego z uwięzionych młodzieńców wzięto na tortury i wyznania nieszczęśliwego mnóstwo ludzi naraziły. Aby uniknąć badania i śledztwa co do uczestnictwa w spisku, wielu młodych ludzi uciekało za Dunaj. Wyroki śmierci, wygnania do zyiA sypały się bez liku; ośmiu czy dziesięciu stracono na szubienicy, wielu zesłano do Dyarbekiru, z tych niejeden w drodze życie utracił. Mithad w energii swéj przebrał miarę; aresztowanie a potém rozstrzelanie dwu podróżnych, których jako emissaryuszów denuncyowano, pomimo że ci mieli serbskie i rumuńskie paszporta, wywołały straszny krzyk oburzenia. Serbia zadosyćuczynienia żądała, a dyplomacya robiła przełożenia co do zbytniéj srogości Mithada; w Stambule, tenże w skutku swéj dla przedajnych baszów oraz innych urzędników surowości, wielu miał nieprzyjaciół: odwołano więc namiestnika w roku 1868, niby na wyższe stanowisko, do nowo utworzonéj rady państwa, która właściwie jest instytucyą bez znaczenia. Następcy Mithada, nieudolni i ograniczeni, niepojmując jego planów, dbali wyłącznie o prędkie zbogacanie się kosztem wilajetu.

Stłumione ruchy wznowiły się w następnym roku. Długo trwające powstanie na Kandyi, postawa Grecyi i Czarnogórza, oraz kłopoty Porty w Bośnii i Tessalii dodały odwagi Serbii, i ta

poczęła myśleć nadobre o starciu się z Turcyą. W małym tym kraiku robiono spiesznie przygotowania do wojny, zawiązywano stosunki, a między innemi podniecano komitet młodo-bulgarski w Bukareszcie i ten przystąpił do utworzenia bulgarskiego legionu. Śmierć księcia Michała z ręki zabójcy, przecięła wszystkie jego plany; regencya po zmarłym księciu rządząca krajem w czasie małoletniości księcia Milana, w zanadto kłopotliwém była położeniu, aby mogła marzyć o wojnie; generał Blaznawac odradzał więc Bulgarom rozpoczynać ruchawki. Rady generała nie posłuchano, i legion pod wodzami: Hadży Dymitrem Jasenowem, Spiro Gerowem i Stefanem Karadżą zostający, a liczący 160 ludzi, przeszedł Dunaj i śmiało przez gęstą ludność muzułmańską przedzierał się w Bałkany. Mieszkańcy muzułmańscy zabiegli mu drogę, ale rokoszanie odparli wrogów i poszli daléj. Drugie starcie nastąpiło już z nizamem i Czerkiesami, legion bił się walecznie, a powstańcy pomni hasła swego: „śmierć lub wolność,“ walczyli jak lwy; przewaga jednak liczebna szalę zwycięztwa na stronę Turków przechyliła. Niedobitki cofały się w wąwozy górskie, odpierając ciosy nieprzyjaciół; tu rokoszanie wyginęli do szczętu wraz z wodzem swym Hadżi Dymitrem; żaden nie wpadł żywcem w ręce Turka, żaden o łaskę nie prosił.

Być może, iż ostatni ów wypadek, z uwagi na męztwo legionu i ogromne straty w ludziach ze strony tureckiéj, zachwiał nieco niewzruszoną względem Bulgarów Porty Ottomańskiéj postawę, i ta nakłoniła się do ważnego dla tychże ustępstwa, mianowicie do ustanowienia niezależnego egzarchatu bulgarskiego. Krok ów Porty, będący zadowoleniem jednego z najgorętszych przez długie czasy pragnień narodu, wymaga od nas dokładniejszego przedstawienia stosunków kościelnych, które po upadku kraju tak ważną w dziejach bulgarskich zajmowały kartę.

Wykreślenie graficzne kursów wymiany weksli

(z tablicą)

ułożył

J. A. SMOLAK.

Po wielu rozmaitych próbach wykrycia metody stosownéj do badania zjawisk i uchwycenia praw ich istoty, zwrot naszego wieku ku powadze cyfr i rachunku, oparcie rozumowań na liczbach zebranych z spostrzeżeń i doświadczeń przedstawia — o ile się zdaje — najwięcéj podstaw trwałości i prawdy. Niewątpliwie niewszystkie jeszcze gałęzie wiedzy ludzkiéj stanęły na szczeblu takim, by się mogły posługiwać rachunkiem: droga, zostająca do przebieżenia, dla wielu jest długą i nie łatwo kres jéj oznaczyć; jednak trafne hypotezy postawione przez wielu znakomitych myślicieli, pozwalają nam ufać, że z czasem ludzkość dojdzie do prawd, które okażą zupełną prawidłowość i porządek tam, gdzie dotychczas spostrzegamy samą tylko dowolność i przypadek. Statystyce przedewszystkiém należy się zasługa obudzenia w nas powyższéj ufności; młoda ta nauka XIX-go stulecia, zbierając liczby, o ile się początkowo dało, jednorodne, i zestawiając je stosownie, doszła w wielu kwestyach do wniosków pewnych i nieodwołalnych. Powodzenie takie, zdobyte w jednym zakresie wiedzy przy metodzie statystycznéj, dodało bodźca do zastosowania metody podobnéj w kierunku innym, tak, iż dzisiaj nauka stara się przedewszystkiém zużytkować cyfry, a nawet—w razie ich niedostateczności do zasadnego wnioskowania, skrzętnie je zbiera, jako materyały dla przyszłych swych kombinacyi.

Są jednak działy, obfitujące oddawna w dane liczbowe, niezużytkowane dotychczas przez naukę; do takich należy zakres obrotów handlowych, przedstawiający dostateczną ilość czynników cyfrowych do badania jego stanu i zmian, którym podlega: codzienne bowiem wyznaczanie kursów na znaczniejszych targowiskach

świata może stanowić cenne źródło poszukiwań dla ekonomisty-statystyka. Prawdopodobnie żaden z objawów czynności ludzkiéj nie jest tak ściśle i pilnie zapisywany jak fluktuacye cen weksli, papierów obiegowych i innych wartości zamiennych; wszystko tu bowiem polega na cyfrach, według których układają się interesa bardzo wrażliwe, pieniężne.

Jakkolwiek skomplikowanie czynników rozmaitéj natury, wpływających na zmianę cyfr kursu, mogło zrodzić wątpliwość co do możności ich grupowania w celach statystycznych, główną jednak może przyczynę zaniedbania poszukiwań statystyki w powyższym zakresie czynności ludzkiéj, należy upatrywać w tém, że cyfry podawane przez świat handlowy dla większości, z handlem nie obeznanéj, są niezrozumiałą—martwą literą. Odmienna na rozmaitych targowiskach metoda notowania, często różna dla każdéj dewizy (1), rozmaite a zmienne dyskonto (2), niektóre zwyczajowo przestrzegane przez świat handlowy prawidła (o czém zwykle przemilcza ceduła giełdowa), słowem cały system znaczenia kursów giełdy stanowi, dla ludzi w handlu niebiegłych, trudną do rozplątania matnią. Zadaniem obecnego szkicu będzie: podanie sposobu wyrażenia kursów w postaci zrozumiałéj dla wszystkich, oraz — jako ostateczny, najdosadniejszy środek uprzystępnienia — wykreślenie kursów graficzne.

Sposób graficzny okazał się stosownym i pożytecznym w wielu gałęziach wiedzy; użyty pierwiastkowo (3) w naukach matematycznych—gdzie dane i wnioski rachunku wykreślono za pomocą linii geometrycznych—znacznie się przyczynił do postępu nauk ścisłych, i znalazł szerokie zastosowanie w naukach doświadczalnych, opartych na licznych, a ścisłych spostrzeżeniach; jako przykład może służyć wykreślenie linii: izotermicznych (w meteorologii), pochylenia igły magnesowéj (w fizyce), pracy machin (w mechanice), bicia pulsu (w fizyologii) i t. p.

W naukach społecznych sposób ten również jest znany i ceniony (4), ułatwia bowiem odczytywanie danych statystycznych, ujmując w całość liczne fakta wyrażone w cyfrach, z wielu więc danych wyznaczono linie: śmiertelności, kresu życia ludzkiego

(1) Dewiza jest to wartość wekslu na jakiś plac obcy; np. dewiza londyńska, paryzka i t. d.

(2) Dyskonto—stopa procentu przy skupie weksli, np. dnia 2 Listopada dyskonto w Londynie było: 4%, w Berlinie 6% i t. d.

(3) Przez Des-Cartes'a.

(4) Quételet.

i inne przy rozmaitych rodzajach ubezpieczeń używane; daléj graficznie przedstawiono zmiany ruchu, towarowego i osobowego, nadrogach żelaznych (1), zmiany cen żelaza (2), indyga, bawełny i wielu innych; słowem że nie ma prawie działu poszukiwań, opierającego się na podstawach liczbowych, w którymby nie używano metody wykreślenia graficznego.

Zastosowanie więc tego sposobu do oznaczania kursów wymiany weksli, może mieć również swą doniosłość: ułatwiając bowiem rozejrzenie się w liczbach, w których się odbija zmienność działań człowieka w zakresie stosunków pieniężnych, może podać—jeżeli nie środek nieomylny—przynajmniéj jednak wskazówkę, przy któréj, zdając jasno sprawę z chwil przeszłych i obecnéj, można, z pewném prawdopodobieństwem, wnioskować o chwili bezpośrednio następującéj; przechodząc zaś na pole czysto praktyczne, graficznie wyrażone kursa (3), mogą ułatwić przebierstwo (arbitraż), które jest uważane „za główny żywioł handlu bankowego“ (4).

Załączona tablica, obejmująca przebieg zmian kursu weksli, w przeciągu Listopada i Grudnia 1875 r., stanowi próbę graficznego wyznaczania kursów giełdy warszawskiéj. Do jéj ułożenia stosownie zmieniono notowania cyfrowe kursów weksli na wszystkie obce place, przyjmując jednę, ogólną zasadę, oraz jednostajny czas płatności: wyrażone bowiem w ten sposób kursa, dają się łatwiéj porównywać i odrazu wykazują zmiany nietylko względem waluty (dewizy) stałéj—Warszawy, lecz i względem wszystkich walut obcych.

Za zasadę przy oznaczeniu kursów przyjęto oznaczenie procentowe (5), oraz wszystkie kursa zredukowano do kursu dwu-dniowego. Do zamiany kursów urzędowych, notowanych na kursecie warszawskim, na procentowe, przyjęto za zasadę (6), że:

---

(1) Les chemins de fer russes par Jean Bloch, 1875.

(2) Fontes d'Ecosse. Fluctuations du prix meyon mensuel depuis l'Année 51 Janvier 76.

(3) Rozumie się za dłuższy okres czasu.

(4) Courcelle-Seneuil.

(5) Ta metoda według ustalonego na praktyce zwyczaju jest używana, przy tranzakcyach giełdowych weksli na Berlin i Wiedeń, na naszém targowisku.

(6) Wybór podstawy do zamiany jednéj waluty na drugą, przy oznaczeniu procentowém może być dowolny; zmiana bowiem podstawy, zmieni tylko postać, nie zaś wielkość kursu, podobnie jak to ma miejsce przy wyborze podstawy liczenia: dlatego więc (w celu uproszczenia) przyjęto, że funt sterl. odpowiada sześciu rublom, chociaż zwykle 6 r. 25 k. przyjmuje się za równoważnik funta sterl.

rubel odpowiada 100 kopiejkom

funt ster.	„	600	„
marka	„	30	„
talar	„	90	„
frank	„	25	„
gulden	„	60	„

Przy téj podstawie mamy:

R.	=	$^1/_6$Ł.	=	$^{10}/_3$M.	=	4 fr.	=	$^5/_3$ fl.
6R	=	Ł.	=	20M.	=	24 fr.	—	10 fl.
$^3/_{10}$R.	=	$^1/_{20}$Ł.	=	M.	=	$^6/_5$ fr.	=	$^1/_2$ fl.
$^1/_4$R.	=	$^1/_{24}$Ł.	=	$^5/_6$M.	=	Fr.	=	$^5/_{12}$ fl.
$^3/_5$R.	=	$^1/_{10}$Ł.	=	2M.	=	$^{12}/_5$ fr.	=	Fl.

co nam posłuży do wyrażenia kursu waluty jednéj, w jednostkach waluty innéj, którejkolwiek.

Podług ustalonéj powyższéj zasady kursa urzędowe giełdy warszawskiéj w dniu np. 24 Listopada notowane:

Berlin	2-dniowy krótki	111 rub.	52$^1/_2$ kop.	za	300 M.	
Londyn	3-miesięcz. „	7 „	51$^1/_2$ „	„	1 Ł.	
Paryż	10-dniowy „	90 „	22$^1/_2$ „	„	300 fr.	
Wiedeń	8-dniowy „	99 „	30 „	„	150 fl.	(1).

po zredukowaniu do kursu dwu-dniowego, uwzględniając stosowne dyskonto (Berlin 5%, Londyn 3%, Paryż 4%, Wiedeń 5%), i wyrażeniu w procencie, przedstawiają cyfry następujące:

Berlin	dwu-dniowy	123$^{11}/_{12}$	jednostek	waluty warsz.	za 100 jednostek waluty obcéj,
Londyn	„	126$^1/_6$	„	„	
Paryż	„	120$^2/_5$	„	„	
Wiedeń	„	110$^5/_{12}$	„	„	

które zostały wykreślone na załączonéj tablicy na prostopadłéj 24, odpowiadającéj kursom z d. 24 Listopada; linia bowiem pozioma tablicy zawiera podziałkę na dni 30 miesiąca (2), zaś—prostopadła 29 stopni (3), z których pierwszy odpowiada kursowi stałemu, 100, Warszawy, dalsze zaś, odpowiednim kursom zagranicznym, podług ich notowania.

---

(1) Kursa urzędowe są wzięte z kolumny pierwszéj „żądano."

(2) Kursa 31 Grudnia wykreślono za linią, po dniu 30-ym.

(3) Skala pierwszych 10-ciu stopni jest zmniejszona o 10 razy; poczynając zaś do stopnia 110, zaczyna się podziałka normalna.

Cyfry powyższe wskazują dosadnie, że dla Warszawy kurs Londynu jest najmniéj korzystny, gdyż za 100 jednostek waluty londyńskiéj, trzeba w Warszawie zapłacić 126 1/6 takichże jednostek czyli nadpłacić 26 1/6%; potém idzie kurs Berlina z nadwyżką, 23 11/12%, Paryża—20 2/5%, oraz Wiednia—10 5/12%.

Dla dowiedzenia się ile w d. 24 Listopada kosztuje w Warszawie jedna marka, funt, frank i gulden, należy powyższe kursa procentowe odpowiednio pomnożyć przez 30, 6, 25 i 60, będzie:

M. =	37,175 kop.	wartość wekslu dwudniowego na Berlin, Londyn, Paryż i Wied.
Ł. =	757 "	
Fr. =	30,10 "	
Fl. =	66,25 "	

Żeby odwrotnie z tych kursów otrzymać kursa urzędowe, wypada dla:

Berlina, 37,175 pomnożyć przez 3.
Londynu, od 757 odjąć dyskonto 3% za dni 88.
Paryża, " 30,10 odjąć dyskonto 4% za dni 8 i pomnoż. przez 3.
Wiednia, " 66,25 odjąć dyskonto 5% za dni 6 i pomnożyć przez 1 1/2 (1).

Rozejrzenie się w tablicy kursów, objaśnia nas o ile kursa się zmieniają: zmiany wszystkich walut obcych względem ywalut miejscowéj następują prawie jednocześnie, i linie krzywe kursów dążą do równoległości pomiędzy sobą; jednak w tém falowania kursów zachodzą pewne odmiany, których badanie stanowi zadanie arbitrażu. Biorąc np. pod uwagę kursa 24 i 25 Listopada widzimy, że za tę samą ilość waluty wiedeńskiéj, otrzymujemy w dniu 24 *więcéj* Ł i fr, niżeli w dniu 25 tegoż miesiąca, Marek zaś *mniéj* w dniu 24 niżeli w dniu 25; kurs więc Londynu i Paryża względem Wiednia w dniu 24, jest korzystniejszy dla Warszawy niżeli w dniu następującym, kurs zaś Berlina—przeciwnie. Rzut więc oka na tablicę objaśnia nas, *jakie zamiany jednych walut na drugie są, względnie, korzystne i o ile, w chwili danéj, w Warszawie.*

Daléj kursa 2-dniowe, wyznaczone w procencie, podają łatwy i ogólny sposób wyrażenia ich w walucie obcéj, a zatém i możność porównania z kursami na innych placach notowanemi; co pozwala

---

(1) Przy przejściu od kursów procentowych Londynu, Paryża i Wiednia, z przyczyny liczenia dyskonta od kursów powiększonych, otrzymujemy wypadki niescisłe identyczne z kursami urzędowemi — różnica jednak nie wynosi nigdy 1 kop. i na pierwszy rzut oka daje się sprostować.

osądzić, o ile wymiana względem tych targowisk jest korzystna, dla Warszawy. Jeżeli np. chcemy wyrazić kursa w walucie berlińskiéj w dniu 24 Listopada, to biorąc odpowiednie kursa z tablicy będzie:

$$\frac{126\,^1/_6}{123^{11}/_{12}} = \frac{\text{jedn. Ł.}}{\text{jedn. M,}} \text{ lecz Ł} = 20 \text{ M, więc Ł} = \frac{126^1/_6}{123^{11}/_{12}} \times 20$$

t. j. w wekslu dwu-dniowym na Londyn Ł = 20,36⅓ M.

$$\frac{120^4/_{10}}{123^{11}/_{12}} = \frac{\text{jedn. Fr.}}{\text{jedn. M,}} \text{ lecz Fr} = {}^5/_6 \text{ M, więc Fr} = \frac{120^4/_{10}}{123^{11}/_{12}} \times {}^5/_6$$

t. j. w wekslu dwu-dniowym na Paryż Fr. = 0,8096½ M.

$$\frac{110^5/_{12}}{123^{11}/_{12}} = \frac{\text{jedn. Fl.}}{\text{jedn. M,}} \text{ lecz Fl} = 2\text{M, więc Fl } \frac{110^5/_{12}}{123^{11}/_{12}} \times 2$$

t. j. w wekslu dwu-dniowym na Wiedeń Fl. 1,7821 M.

$$\frac{100}{123^{11}/_{12}} = \frac{\text{jedn. R.}}{\text{jedn. M,}} \text{ lecz R} = {}^{10}/_3 \text{ M, więc R} = \frac{100}{123^{11}/_{12}} \times {}^{10}/_3$$

t. j. w wekslu dwu-dniowym na Warszawę R = 2,69 M.

W Berlinie zaś dnia 24 Listopada notowano:

Londyn	8-dniowy	20,305	za	1 Ł.
Paryż	,,	80,80	,,	100 Fr.
Wiedeń	,,	177,50	,,	100 Fl.
Warszawa	,,	269	,,	100 R.

czyli, redukując do kursu dwu-dniowego przez dodanie odpowiedniego dyskonta za dni 6 (Londyn 3%, Paryż 4%, Wiedeń 5%, Warszawa 5½%):

Londyn	dwu-dniowy	20,31½
Paryż	,,	80,85
Wiedeń	,,	177,65
Warszawa	,,	269,25

Porównanie cyfr ostatnich z poprzednio otrzymanemi, z kursów naszéj tablicy przekonywa, że w Berlinie (24 Listopada), weksle an Londyn, Paryż i Wiedeń są *tańsze* niżeli w Warszawie; weksle zaś na Warszawę *droższe* o ¼ M.

Biorąc inne targowisko np. Wiedeń i chcąc wyrazić kursa w walucie wiedeńskiéj, należy dopełnić następujących działań:

$$\text{Ł} = \frac{126^1/_6}{110^5/_{12}} \times 10$$

$$\text{Fr} = \frac{120^4/_{10}}{110^5/_{12}} \times {}^5/_{12}$$

$$M = \frac{123^{11}/_{12}}{110^{5}/_{12}} \times {}^{1}/_{2}$$

$$R = \frac{100}{110^{5}/_{12}} \times {}^{5}/_{3}$$

i otrzymane wypadki porównać z odpowiedniemi kursami notowanemi w Wiedniu, zredukowanemi do dwu-dniowych.

Ogólnie, *dla wynalezienia wartości wekslu 2-u dniowego jakiejkolwiek waluty wyrażonéj w walucie innego targowiska należy: ułamek, którego licznikiem jest kurs procentowy téj waluty, a mianownikiem kurs procentowy waluty danego targowiska, pomnożyć przez stały czynnik wymiany powyższych walut.* Np. kurs Berlina wyrażony w walucie londyńskiéj będzie:

$\frac{123^{11}/_{12}}{126^{1}/_{6}} \times {}^{1}/_{20}$, gdyż czynnik wymiany M na Ł jest $^{1}/_{20}$.

Kurs Londynu wyrażony w walucie warszawskiéj będzie:

$\frac{126^{1}/_{6}}{100} \times 6$, gdyż czynnik wymiany Ł na R jest 6.

Powyższa zasada ogólna, wypływająca z procentowego oznaczenia kursów, może mieć swą wartość przez to, że wprowadza jednostajność do rachunku zamian, zwykle dosyć długich i zawiłych,, a zatém może ułatwić dopełnienie arbitrażu, który jest uważany za jednę z trudniejszych czynności bankierskich.

Rozpatrzmy się teraz w załączonéj tablicy; obejmując cały przebieg zmian kursu za dwa miesiące Listopad i Grudzień r. z. widzimy, że:

Przy dosyć stałéj *stopie dyskontowéj*, a mianowicie dla

Londynu:	od 1 do 18 Listop.	4%, od 19 Listop. do końca Grud.	3%.
Berlina:	„ 1 „ 22 „	6%, „ 23 „ „ „	5%.
Paryża:	w Listopadzie	4%, w Grudniu	4%.
Wiednia:	od 1 do 4 Listop.	$4^{1}/_{2}$%, od 5 Listop. do końca Grud.	5%.

Kursa weksli zmieniały się w granicach następujących.

		na Londyn,	Berlin,	Paryż,	Wiedeń,	Warsz.
w Listop.	najwyż. kurs	$128^{1}/_{10}$ (13-15)	$125^{2}/_{3}$ (13)	$122^{1}/_{10}$ (15)	$112^{1}/_{12}$ (2-4)	kurs stały 100
	najniższy „	$126^{1}/_{6}$ (23-24)	$123^{5}/_{6}$ (25)	$120^{4}/_{10}$ (24)	$110^{5}/_{12}$ (23-25)	
	średni „	$127^{1}/_{6}$	$124^{11}/_{12}$	$121^{1}/_{3}$	$111^{1}/_{10}$	
w Grudn.	najwyż. kurs	$128^{11}/_{12}$ (30)	$126^{2}/_{3}$ (30)	$123^{1}/_{10}$ (29-30)	113	
	najniższy „	$126^{7}/_{10}$ (10)	$124^{1}/_{3}$ (10)	$121^{3}/_{10}$ (6-10)	$111^{1}/_{10}$	
	średni „	$127^{1}/_{2}$	$125^{4}/_{10}$	$122^{1}/_{12}$	$111^{5}/_{6}$	

a różnice średnich wartości pomiędzy kursami Listopada i Grudnia stanowiły *przewyżkę:*

dla Londynu $^{1}/_{3}$%, Berlina prawie $^{1}/_{2}$%, (1), Paryża $^{3}/_{4}$%, Wiednia $^{11}/_{15}$%.

Linie zmian kursu za Listopad i Grudzień *przecięły się* z sobą.

Londyńska	w dniach:	5 na 6, 8—9, 16—17	3 razy
Berlińska	„	5—6, 8—9, 16	3 „
Paryzka	„	2, 4, 8—9, 9—10, 11—12, 15—16	6 „
Wiedeńska	„	5—6	1 „

Koniec Listopada (23 — 25) cechuje stosunkowe *obniżenie* się kursów zagranicznych, które potém zaczynają się *podnosić*, i to trwa bez przerwy (z nieznacznemi zmianami) w przeciągu miesiąca Grudnia.

Nie stawiając wniosków, któreby przechodziły zakres obecnego szkicu, wynurzamy nadzieję, że tablice obejmujące oprócz wykreślenia krzywych kursu, wartości jego średnie, oraz dyskonta, mogą stanowić najodpowiedniejsze objaśnienie przeglądów finansowych i wspierać uwagę czytelnika, gubiącą się w liczném zbiorowisku cyfr zmiennych i rozproszonych.

---

(1) Ściśle $^{29}/_{60}$.

PRZEGLĄD MUZYCZNY

przez

MICHAŁA HERTZA.

Brak pisma muzycznego w Warszawie, organu badań i sądów o téj sztuce, tak niezbędnego w mieście, w którém muzyka jest jedną z najmilszych rozrywek, a zręcznie się rozwijając widocznie dąży obok literatury słowa pierwsze zająć miejsce między sztukami,—brak więc takiego fachowego pisma zmusza estetyka i krytyka przemawiać od czasu do czasu do muzykalnéj publiczności, to w pismach codziennych, to peryodycznych, które mimo czysto naukowego planu, ze wspaniałomyślną bezinteresownością, choć w krótkiéj formie otwierają swe szpalty dla umieszczania tak artykułów poważnéj muzykalnéj treści, jak też skromnych sprawozdań, za co piszący i czytający w imieniu sztuki muzycznéj podziękowanie złożyć są obowiązani.

Prawie każde z większych miast niemieckich posiada konserwatoryum, towarzystwa koncertowe i niezliczone śpiewacze, wielu nakładców, drukarnie nut, przez co wytwarza się ruch muzykalny, a duszą takiego ruchu bywa pismo muzyczne.

Nawet każda partya, to jest zwolennicy téj lub owéj szkoły, posiada swój organ głoszący jéj przekonania lub polemizujący z wyznawcami innych teoryi.

W Lipsku np. *Mus. Wochblt.* jest organem Wagnerzystów, *Aug. mus. Ztg.* klassyków, *Neue Zeitschrift f. Mus.*, kiedyś organ Szumana i romantyków, dziś stronnictwa pojednawczego, *Signale* bezwyznaniowe i wiele innych poświęconych li tylko teoryi, to znowu muzyce kościelnéj. Berlin, Stuttgart, Moguncya i inne miasta mają także swe gazety muzyczne, lecz pod względem redakcyi z lipskiemi mierzyć się nie mogą.

Oprócz więc codziennych sprawozdań muzycznych w prassie dziennéj wyłącznie dla zwykłych lubowników pisanych, w stylu łatwym do zrozumienia i zabarwionym to anegdotką z życia artysty, lub jakim ciekawym wypadkiem, prawdziwy znawca lub artysta udaje się do pism specyalnie muzyce poświęconych.

Tak w jednych, jak w drugich autor artykułu jest zwykle wymieniony, przez co jest osobiście odpowiedzialnym w obec artysty i świata.

Tam, redakcya stara się powierzyć o ile możności sumiennemu znawcy, a nadewszystko honorowemu człowiekowi wydział sprawozdawczy, dając tym sposobem rękojmię czytelnikowi, wzbudzając w nim zaufanie i wiarę; a artysta z dumą produkuje się przed takimi sędziami, którzy najczęściéj sami będąc koryfeuszami sztuki, tak harmonijnie umieją połączyć surowość zdania z tym jakimś miłym wyrazem zachęty, który każdego wykonawcę tak błogo przejmuje.

Walka zdań tocząca się w sprawach muzyki i jéj smaku, jest dla obu stron trudną do rozstrzygnięcia, bo mowa tonów bywa przez różnych ludzi różnie rozumiana. Całe usposobienie, wychowanie i wykształcenie tak mocno oddziaływa na odczucie tonów i rytmów, że gdy jeden rozkoszuje się symfonią Beethovena, drugiego ona nudzi, a mimo tego jesteśmy przekonani, że ten ostatni stopniowo przyzwyczajony do wsłuchania się, a poprzednio stosownie do tego przygotowany, niedługo doznałby wrażeń pierwszego. Im sztuka muzyczna staje się popularniejszą i dostępniejszą, tém więcéj o nią i jéj kapłanów świat sprzeczać się będzie i tworzyć partye. Od wykształcenia dysputujących zależy przedmiot sprzeczki, i tak:

Kiedyś we Francyi Piccyniści i Gluckiści, próżna forma z treścią, niedawno Wagnerzyści i Meyerbeer, nakoniec tu i owdzie wykonawca, często jakaś wielkość dorogatkowa, jest przedmiotem walki o to, czy czwarty palec wyżéj podnosi od innego wirtuoza, czy się lepiéj temu lub tamtemu jaki passaż udaje, a cała falanga ich uczniów i uczennic, oraz herbatkowych wielbicieli, rozstrzyga walkę mniéj lub więcéj zapełniając ich koncerta.

Ku obronie artystów wspomnieć muszę, że oni we wszystkich tych wypadkach może najmniéj winni, łatwo się z sobą porozumieją, bo wyznając jednego boga-sztukę, są braćmi duchowymi; lecz niestety, zaślepieni ich wyznawcy, cała gmina ich ciotek, wujaszków, dalekich krewnych, imienników, nareszcie ziomków powodowanych to źle zrozumianą miłością i uwielbieniem, to ambicyą i zarozumiałością znawstwa, wywołują ciągłe porównania,

a niezadowoleni własném zdaniem, uciekają się do zdania tych samych artystów, a nie zrozumiawszy, lub tendencyjnie przekręciwszy ich wywód, osobiście ich poróżniają. Przecież można walczyć duchem, być innych przekonań, lecz służąc jednéj sprawie, nawzajem się wspierać i nauczać.

Meyerbeer, przeciwnik Wagnera teoryi, był kiedyś jego opiekunem i wspierał go we wspólném powołaniu. Niech ci wszyscy powaśnieni skupią się pod jednym sztandarem świętéj sztuki, pod tym sztandarem, który kiedyś dźwigały Mozarty, Beethoveny, Szopeny, Moniuszki, a dziś ich duchy oświecają jarzęcym blaskiem szeroką drogę prawdy i piękna, po której postępować powinniśmy, a wspólnemi siłami łatwiéj nam będzie zbliżyć się do ideału.

We Francyi, Niemczech, Hollandyi, Belgii koncerta są uczęszczane nie dla zaspakajania ciekawości słuchacza, lecz jedynie dla podniesienia ducha, dla chwilowego zapomnienia trosk codziennego życia, dla pokrzepienia steranych uczuć walką o byt, a tém samém muzyka godną się staje zadania, jakie jéj pomiędzy objawami ducha ludzkiego przypada. Tam sztuka jest chlebem powszednim wykształconego, nie używa on jéj jak jaki smakosz wytrawny, aby nanowo połechtać swe wybredne podniebienie, lecz jak głodny łaknący zdrowéj strawy, dla odnowienia swych soków.

U nas inaczéj! My nie posiadamy orkiestr, tych katedr wiedzy instrumentalnéj, z których w słowach, na pozór niezrozumiałych, bogi przemawiają do ludzi, otwierając im inny świat—wskazując na niebo. My kontentować się musimy po największéj części fortepianem lub śpiewem, oraz darami przejezdnych mistrzów i niemistrzów, którzy nam schlebiać myślą, mówiąc do nas ogólnikami, podając nam strawę ducha już dawno zużytą a przytém niesmaczną. Cóż nam na tém zależeć może, czy Carlotta Patti u nas śpiewała albo nie? Czy ma ona nam być wzorem śpiewaczki? Patti nam się nie podobała, publiczność się nudziła i słuchała jéj z roztargnieniem. Otoż przyczyna, dla któréj tak często w sali koncertowéj, ten dziwny ton panuje, te szepty i jakiś niepokój, który prawdziwemu artyście, że tak powiem, nie da przyjść do słowa, nie daje mu sposobu zainspirowania się. Artysta na estradzie zapomnieć musi, że nie jest u siebie, że jest pośród tysiąca słuchaczów, artyście zdawać się musi, że jest między swymi, między duchami—a duchy nie mówią!

I u nas się to zmieni, bo postępujemy, bo i my inaczéj wsłuchiwać się zaczynamy, bo i u nas nowe siły się rozwijają pragnące zdrowym mówić językiem, a wybrały sobie wzory na wiecznie młodych antykach sztuki europejskiéj: Bachu, Mozarcie, Beethovenie

i innych zdrowych myślą i czynem, ojcach pięknéj formy i wzniosłéj myśli.

Niebrak u nas talentów i żądzy wiedzy, lecz jakiś gorączkowy niepokój i próżność interesowania się wszystkiém rozdrabnia naszą uwagę zwróconą to na literaturę, to na malarstwo, rzeźbę lub muzykę, i przez to niedosyć szczerze każdą z tych sztuk zajmować się możemy. Dla czegoż zresztą ten lub ów nie ma szczerze wyznać, że brak mu ucha do muzyki, lub delikatnego uczucia poezyi? Czy zdolny naturalista lub filozof przestanie jako taki, zbawiennie działać w swoim zawodzie, jeśli go natura nie obdarzyła zmysłem tonów lub linii?

Henryk Laube bez żeny wyznał nam kiedyś, że nie ma poczucia dla muzyki, a tém samém wcale o niéj zdania nie wydaje. Czy przestał być dla tego Laube jednym z najznakomitszych dramaturgów i znawców sceny?

Poznajmy więc nasze usposobienie i wiadomości, przestańmy zadawać sobie gwałt z czystéj próżności uchodzenia za znawców i lubowników wszystkich sztuk pięknych, przyznajmy się, że przenosimy np. malarstwo nad muzykę, więcéj o niém mając sądu, a tak wpłyniemy zbawiennie na rozwój sztuki w ogólności i zapewnimy sobie i innym rozkosz w uwielbianiu piękna, które nas podnosi i uszlachetnia.

Zwróćmy się do naszego przeglądu ubiegłych spraw muzycznych.

P. Henryk Wieniawski odwiedził znowu Warszawę i dał się słyszeć. Byliśmy na jego pierwszym koncercie w sali ratuszowéj i miło nam zanotować, że koncert był przepełniony, a p. Wieniawski z entuzyazmem przyjęty. Cóż mamy więcéj powiedzieć o artyście powszechnie uznanym, o skrzypku, którego technika do najwyższéj doprowadzona doskonałości, może olśnić i porwać słuchacza?

Szkoda, że p. Wieniawski nie miał sposobności grać z orkiestrą, bo moglibyśmy byli jaki klassyczny koncert usłyszeć, który z chudym akompaniamentem fortepianu wcaleby wydać się nie mógł, a darowalibyśmy mu za to fantazyą z Fausta, którą, jako salonową kompozycyą, mniejszemu kółku prywatnego salonu pozostawić należy.

Sonatę Beethovena (Kreuzerowską) p. W. wraz z bratem p. Józefem bardzo dobrze odegrali, jednak cokolwiek za elegancko, jak na dzieło poważnego stylu. Rozczochrany twórca téj sonaty nie pisał jéj dla popisu technicznego. Pani Dowiakowska i p Filleborn przyjęli udział w tym koncercie i jak zwykle pięknie śpiewali.

Pierwszy koncert K. Patti był przepełniony zaciekawioną publicznością. Nikt zaprzeczyć nie może, że Patti jest wielką śpiewaczką, że od Paryża aż do Katowic jéj imię jest znane, że ma jeszcze dzisiaj miły głos, że kiedyś, przed wielu laty, musiał być silniejszym, że ma nakoniec wyborną szkołę, lecz wszyscy słuchacze jednogłośnie litują się nad jéj smakiem muzycznym, bo kompozycye, z któremi nas zapoznała, nie zasługują poczęści na to miano. Pan Camillo Sivori, skrzypek staréj daty, wielki technik, odegrał kilka waryacyi swojéj kompozycyi, lecz nie był w stanie prawdziwie niemi zainteresować. Wspólnie z fortepianistą p. Th. Ritterem odegrał jeszcze waryacye z sonaty Beethovena. P. Ritter jest doskonałym fortepianistą, lecz pierwszy wieczór, w którym zagrał parę własnych bardzo miernych kompozycyi, byłby go pozbawił dobréj opinii, jaką o nim powzięliśmy, gdyby nie Scherzo Mendelsohna, które ślicznie wykonał, bo, zdaje się nad program dodany, Walec Des dur Chopina grał p. Ritter bez wszelkiéj barwy, a tryl bez miary długi a niesmaczny skarykaturował całą kompozycyą.

Na wieczorze muzycznym d. 3 Lutego w Resursie Kupieckiéj poznaliśmy pannę Monikę Termińską fortepianistkę, któréj technika znacznie wyrobiona; radzilibyśmy jéj tempa nie przesadzać, przez co wykonanie zyskałoby na równości i dokładności. Pani M. Prylińska, pp. Józef Wieniawski i Józef Szczepkowski przyjęli udział w tym wieczorze.

„Guarana,“ opera Karola Gomeza, dzieło, o ile się zdaje, tylko we Włoszech znane, nie odznaczając się ani nowością pomysłów, ani występową formą, było jednak dla pewnéj popularnéj melodyki przez publiczność bardzo łaskawie przyjęte. Soliści, chóry i orkiestra były wyuczone sumiennie i umiejętnie, przez co się wiele przyczyniły do chwilowego powodzenia dzieła.

Mimo tego, że opera Gomeza nie może mieć pretensyi zająć stałego miejsca w repertoarze jakiejkolwiek sceny, bo nie jest oryginalnym samodzielnym utworem, jednakże ze względu na jednolitość stylu i niejeden dramatyczny effekt oraz często charakterystyczną instrumentacyą nie zasługuje na zupełne potępienie. We Włoszech, jak i w Niemczech, co rok powstaje mnóstwo oper, lecz tak tu, jak tam, to samo ubóstwo pomysłów, to samo przeżuwanie dawnych znanych motywów. W Niemczech instrumentacya jest świetniejsza, charakterystyczniejsza, lecz techniczna strona dzieła sztuki, forma, choćby najstaranniéj opracowana, nie jest w stanie zastąpić braku nowych motywów, które są podstawą powodzenia opery. Gomez w swojém dziele widocznie pragnie się wznieść nad poziom zwyczajności, choć mu to często trudno przychodzi, i gdyby

może był wybredniejszym w wyborze motywów i nie pierwszą lepszą myśl przelewał na papier, którą usposobienie podyktowało, byłby nas ucieszył dziełem o wiele lepszém.

Na zakończenie niech nam wolno będzie podziękować Dyrekcyi opery za świetność wystawy i wykwintny smak tak dekoracyi, jak i kostiumów, które wielce się przyczyniły do uświetnienia przedstawienia Guarany. Mamy niepłonną nadzieję, że przy dobrych chęciach Dyrekcyi opery naszéj, która tylokrotne tego dała dowody, przyjdzie wkrótce koléj i na dzieła nietylko włoskiéj szkoły, a niezadługo cudowne melodye Oberona Webera, Fidelia Beethowena, Figara Mozarta i Tannhausera Wagnera, zabrzmią i nad brzegami Wisły, z zazdrością spozierającéj na swe szczęśliwsze siostry Sekwanę, Dunaj i Spreę, których fale, spokojnie się kołysząc lub dziko wzdymając, unoszą te urocze melodye daléj a daléj, darząc niemi nadbrzeżne ludy, i towarzysząc jeszcze wychodźcy po za ocean, nie opuszczają go w nowéj jego zamorskiéj ojczyznie.

JANA KOCHANOWSKIEGO
PIEŚŃ O POTOPIE.

STUDYUM BIBLIOGRAFICZNE

przez

Józefa Przyborowskiego.

Świeżo pojawiła się w handlu antykwarskim podobizna piesni, która wydana była bezimiennie w szesnastym wieku pod tytułem: *Pieśń o potopie*, w szesnastce, kartek 4. Dawne to wydanie należy do największych rzadkości, i nie wiem, czy jest w świecie więcéj niż jeden jego egzemplarz. Niedziw przeto, że nikt go prawie nie znał, a ci, którzy je mieli w ręku, niebardzo dokładną o utworze tym i jego pierwotném wydaniu podają wiadomość. Nie od rzeczy może będzie pomówić o téj pieśni słów kilka, zwłaszcza że poznanie tego wydania rzuci może światło na wpływ jednego z największych naszych poetów i na ruch naukowy w wieku XVI w Polsce.

Wiadomość o osobném wydaniu *Pieśni o potopie* jest do pewnego stopnia rzeczą nową: nie znajdujemy o niém wzmianki ani u Załuskiego w *Bibliotheca Poetarum Polonorum*, ani u Oloffa w *Polnische Liedergeschichte*, ani u Juszyńskiego w *Dykcyonarzu* poetów polskich. Pierwszy, ile wiem, podał o niéj wiadomość Lelewel w swych *Księgach Bibliograficznych* (I. str. 150); podług egzemplarza biblioteki uniwersytetu warszawskiego, opisuje rycinkę tytułową i nadmienia, że winietka drukarska zamieszczona na końcu, należy do drukarni Stanisława Szarfenberga. O autorze pieśni nie masz tu żadnéj wzmianki, nie powiada też Lelewel, że była ta pieśń drukowana u Stanisława Szarfenberga, lecz tylko że jego jest winieta, przyczém wniosek, że u niego pieśń była drukowana, niezupełnie jest jeszcze pewny.

Wiszniewski podaje wiadomość o tém wydaniu (Hist. Liter. VI, 447) i zdaje się, że miał je w ręku, bo przytacza jeden szczegół, którego nie było u Lelewela, t. j., że na pierwszy wiersz każdéj

zwrotki odpowiada repetytor wierszem następnym. Dodaje Wiszniewski, że nie umie rozwiązać pytania, czy Jan Kochanowski zamieszczając tę pieśń w zbiorze swych dzieł, poprawił własną dawniejszą pracę, czy też cudzą.

W. A. Maciejowski wymienia to wydanie pieśni (Piśmien. III, 23) i dodaje, że zauważyć przytém należy, że *Pieśń o potopie* z Kochanowskiego Jana jest naśladowana.

Karol Estrejcher wymienia to wydanie w *Bibliografii XVI wieku* między wydaniami nieoznaczonemi rokiem (str. 98) i stawia pytanie, czy to nie jest pieśń Mikołaja Reja?

Z przytoczonych zdań o téj pieśni i jéj wydaniu, przekonać się każdy może, jak mało je znano, kiedy nawet powstała wątpliwość o jéj twórcy. Wątpliwość tę chcielibyśmy raz na zawsze usunąć, rozważając przytoczone zdania i oddając rozstrzygnięcie pytania pod sąd czytającéj publiczności.

Lelewelowi tylko jeden zarzut można zrobić, że opisując wy danie pieśni, nie nadmienił nic o jéj autorze.

Zdaniu Wiszniewskiego dwie rzeczy zarzucić można: najprzód złe zrozumienie wyrazu *Repetit*, zamieszczonego po pierwszym wierszu każdéj wrotki, bo nie znaczy ten wyraz, że śpiewającemu pierwszy wiersz odpowiadał repetytor, jakoby drugi śpiewak, drugim wierszem, jak dość ciemne słowa Wiszniewskiego rozumieć można, lecz *Repetit*, naszém zdaniem, poprostu tylko znaczy, że w śpiewie należy każdéj wrotki pierwszy wiersz powtórzyć. Gdybyśmy przyjęli objaśnienie Wiszniewskiego, musielibyśmy przypuścić, że do śpiewania téj pieśni należało dwóch śpiewaków, co jest rzeczą całkiem zbyteczną, bo każdy ją sam śpiewał zapewne, bez pomocy domniemanego repetytora. Ważniejszy jest drugi zarzut przeciwko podejrzeniu, jakoby Kochanowski cudzą pracę przywłaszczył sobie i poprawił ją tylko. Wprawdzie Wiszniewski wręcz tego nie powiada, ale oświadcza, że nie umie rozwiązać pytania, czy własną, czy cudzą Kochanowski pracę poprawił. Wszakże już samo przypuszczenie możności przywłaszczenia uwłacza dobréj sławie Kochanowskiego. Nie potrzebował on przywłaszczać sobie cudzych prac, a podejrzenie Wiszniewskiego odpiera najlepiéj własnemi słowy, kiedy zapowiadając czém przyjmie u siebie gości tak mówi:

Muzyka będzie, pieśni też dostanie,
A k'temu płacić nie potrzeba za nie,
Bo się tu ten żmij rodzi tak okwito,
Lepiéj daleko niż jęczmień, niż żyto. (Frasz. I, 10).

Wszakże i rozpatrzenie się w pieśni samej może każdego nieuprzedzonego przekonać, że Kochanowski a nie kto inny ją pisał. Nie wiem, czyby się który poeta szesnastego wieku zdobył na takie wyrażenie jak:

Kładą się tacy, a piorun gdzie zmierzy,
Źle nie uderzy;

albo ten prześliczny obraz ziemi po ustąpieniu potopu:

Potém zaś zbytnie zawarły się zdroje,
A bystre rzeki wpadły w brzegi swoje;
Ziemia ku słońcu pełne pięknéj rosy
Rozwiła włosy.

Nawet naśladowanie wolne Horacyusza we wrotce piątéj i szóstéj (Horac. Od. I, 2) jest w swym sposobie tak właściwe Kochanowskiemu, że po nim moglibyśmy poznać twórcę pieśni o potopie, nawet gdyby jéj Kochanowski nie był pomieścił w swém zbiorowém wydaniu przygotowaném pod koniec życia. Jest to bowiem właściwością Kochanowskiego, że bierze niekiedy myśl z poety starożytnego, ale ją przybiera po swojemu w słowa i często dobitniéj i ozdobniéj wyraża niż było w pierwowzorze. Horacy opisując wysokość wód w czasie potopu powiada, że ryby pływały pomiędzy czubkami drzew, które poprzednio gołębiom były znane jako siedliska. Kochanowskiemu niedostateczném zdało się takie określenie potopu i wysokość wód wolał wyrazić po swojemu następującemi słowami:

Ryby po górach wysokich pływały,
Gdzie ledwie przedtém pióra donaszały
Mężnéj orlice, gdy do swoich dzieci
Z obłowem leci.

Wyznać muszę, że mimo wysokie uwielbienie dla Horacego, na ten raz Kochanowskiemu trzeba przyznać wyższość w pomyśle obrazu i pięknem jego wysłowieniu.

Wobec takich piękności *Pieśni o potopie*, niczém nie da się usprawiedliwić podejrzenie Wiszniewskiego, jakoby Kochanowski mógł przywłaszczyć sobie cudzy utwór i poprawić go tylko, bo nie znamy, mimo wielkie nasze bogactwo, żadnego poety w wieku XVI, któryby tak pięknie pisał, a mimo to pozostał nieznanym.

Na różném zupełnie stanowisku od Wiszniewskiego w osą-

dzeniu dawnego wydania stanął uczony W. A. Maciejowski; wedle niego bowiem nie Kochanowski przywłaszczył sobie cudzą pracę, lecz przeciwnie nieznany jéj wydawca naśladował Kochanowskiego. Pan Maciejowski był niegdyś tego zdania, że Kochanowski swych tworów nie ogłaszał przed Psałterzem, że były one w obiegu, ale niedrukowane, gdyż dopiero roku 1578 (ma być 1579), poczęto wytłaczać jego dzieła; Psałterzem wydawanie ich rozpocząwszy (Piśmien. I str. 486). Nie myślę robić panu Maciejowskiemu z tego powodu zarzutu; mylny nieco sposób zapatrywania się na rozpowszechnienie tworów Kochanowskiego przed wydaniem Psałterza poszedł z braku bibliograficznego opracowania piśmiennictwa wieku XVI-go w czasie, w którym pan Maciejowski ogłaszał swe *Piśmiennictwo*, bo samemu wszystko widzieć niepodobna. Staranny bardzo spis wydań J. Kochanowskiego podany przez Stan. Przyłęckiego przy wydaniu Turowskiego, oraz Bibliografia XVI wieku wydana przez Karola Estrejchera zaradza temu niedostatkowi, rzuca światło na niepospolity ruch księgarski w tym wieku i wykazuje jak na dłoni żywy udział, jaki brał cały prawie naród w rozwoju naszego piśmiennictwa w wieku Zygmuntów. Drukowano i czytano bardzo wiele, nawet takich rzeczy, które nigdy nie miewają szerokiego koła czytelników. Cóż dopiero mówić o utworach Jana Kochanowskiego, który jedną pieśnią (Czego chcesz od nas, Panie) przysłaną jeszcze z zagranicy, zjednał sobie odrazu niesłychany rozgłos i zakradł się do serca narodu? Wyrywano sobie jego utwory; mniejszéj wagi rzeczy, jak Fraszki, zapewne w odpisach biegały po ludziach, bo wiele ich powstało zapewne w czasie pobytu poety u dworu, a dopiero w roku śmierci jego wyszły z druku. Ważniejsze rzeczy odbijano niezwłocznie po ich napisaniu, jak Satyra, Zgodę 1564, Zuzannę, Odprawę posłów, Proporzec, Dryas Zamechską, Trzy Pieśni, Treny. I stało się, że Jan nasz wyszedł na ulubieńca całego narodu, a odgłos pieśni jego rozlegał się od sioła do sioła. Nie myli się zapewne Klonowicz, kiedy tak mówi o rozpowszechnieniu pieśni Jana aż do najniższych warstw społeczeństwa:

U nas pieśniogłośny Jadam z tamtego warsztatu
Dostając świeżéj roboty podawał ją światu;
Potém przy dobréj myśli z czasem się przydało,
Że się to choć nie rychło między gmin dostało.
Aliści też rzemieślniczek, by co uczonego,
Śpiewa rymy przyniesione z Parnasu sławnego.

I nie masz w tych słowach Klonowicza żadnéj przesady; pieśni Kochanowskiego rzeczywiście powszechnie znano i śpiewano je wszędzie. Pokazuje się to z przepisów zamieszczanych na ogłaszanych nowo pieśniach, gdyż zalecano je śpiewać podług melodyi znanéj jakiéj pieśni Kochanowskiego. Na nieznanym mi dotąd z oryginału tytule katalogu książąt i królów polskich, który podaje Juszyński w *Dykcyonarzu* naszych poetów (II, 427) powiedziano: Śpiewanie może być jako *Kto mi dal skrzydla*. To znaczy, że wierszowane owe żywoty książąt i królów polskich można śpiewać podług téj melodyi, podług któréj była śpiewana pieśń Kochanowskiego zaczynająca się od słów: *Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry;* jest to pieśń dziewiąta księgi pierwszéj w wydaniu zbiorowém z roku 1585. Podobnie na wydaniu *Pieśni Nowéj* o zbrodniach i okrucieństwie żydowskiém zamieszczono zalecenie, że śpiewać ją należy na nutę: *Wieczna sromota*. I to znów odnosi się do pieśni Kochanowskiego zajmującéj piąte miejsce księgi drugiéj w wydaniu z roku 1585, która zaczyna się od słów: *Wieczna sromota i nienagrodzona*.

Świadectwo współczesnego Klonowicza, wykryte pierwotne wydania drukowane przed Psałterzem t. j. przed r. 1579 i powoływanie się na melodye pieśni Kochanowskiego, jako na rzeczy powszechnie znane, okazują, że pienia tego wieszcza rzeczywiście były rozpowszechnione po całym kraju. Z tego wypada, że i jego *Pieśń o potopie*, napisana może z powodu jakiéj powodzi, była rychło puszczona między ludzi i wydrukowana. Jeżeli prawdą jest, że winieta drukarska na końcu pieśni umieszczona należy do Stanisława Szarfenberga, to i ta okoliczność przemawiałaby za ukazaniem się pieśni przed r. 1579, drukarnia bowiem Stanisława była najczynniejsza przed r. 1580.

Rozwiązanie pytania, czy sam Kochanowski zajął się wydaniem swego utworu, czy też pieśń jego będącą w odpisach w obiegu między ludźmi pochwycił nieproszony jaki wielbiciel i zaniósł bez wiedzy Kochanowskiego do drukarni, zależy od porównania osnowy pierwotnego wydania zbiorowego. Z pobieżnego zestawienia pokazuje się, że *Pieśń o potopie* w wydaniu zbiorowém jest na dwudziestu miejscach zmieniona. Najważniejsze zmiany są: wstawienie całéj wrotki po wrotce dziesiątéj wydania osobnego, a w nowéj téj wrotce opowiada poeta opadnięcie morza, a dopiero w następnéj zaznacza opadanie rzek; przerobienie całkowite ostatniéj wrotki jest drugą znaczniejszą zmianą. Pierwsza zmiana była potrzebna dla uwydatnienia stopniowego znikania potopu. Przero-

bienie ostatniéj wrotki, uznał poeta za niezbędne, gdyż w pierwszéj redakcyi:

Lecz to nam dawno Bóg obiecał z nieba,
Że się takich wód bać już nie potrzeba,
Dziękujmy Jemu już z prawego serca
Za dobrodziejstwa.

Zamyka w sobie dość jałowe powtórzenie téj saméj myśli, którą poeta wypowiedział już i obszerniéj i zgrabniéj we wrotce szesnastéj i trzech następnych, a prócz tego wrotka ta grzeszy niepoprawnością wiersza. Z tych powodów przekreślił ją poeta całkiem, a na jej miejscu położył następującą, bezwątpienia lepiéj pomyślaną:

Pomni się lutni! nie twojéj to głowy
Wspominać Boga żywego rozmowy;
Każ ty nam zasieść przy ciepłym kominie,
Aż zły czas minie.

To napomnienie lutni, aby nie przekraczała granic zakreślonych jéj grozą boskiego majestatu i ta wzmianka ogniska domowego zawierają dwa może najwydatniejsze znamiona charakteru i usposobienia Jana Kochanowskiego, bo są z jednéj strony wyrazem jego bogobojności widocznéj na wielu miejscach jego utworów, a z drugiéj strony przypominają nam zamiłowanie skromnéj ojczystéj strzechy, dla którego zrzekł się korzyści dworskiego życia i odrzucił dawaną kasztelanią. To samo zamiłowanie napotykamy w następujących słowach poufnego listu do Stanisława Fogelwedera: „Tak my sam na wsi, kiedy już zasiejemy, komin w koło obsiędziemy, a lada co i mówimy i piszemy.“

Dwie te zmiany w osnowie pieśni uznał poeta sam za niezbędne, i przyzna zapewne każdy, że pieśń na nich tylko zyskała. Rzecz widoczna, że ten, ktoby z powtórnéj redakcyi wyrzucił lepszą wrotkę ostatnią, a na jéj miejscu położył gorszą, jak wypada z przypuszczenia p. Maciejowskiego, dopuściłby się grzechu przeciwko piękności téj pieśni i krzywdę wyrządził poecie. Prawda, że postąpił sobie podobnie ktoś niepowołany z Jerozolimą Piotra Kochanowskiego, poprawiając, a raczéj psując w wydaniu trzeciém z r. 1687 na niezliczonych miejscach pierwotny tekst znany z pierwszego i drugiego wydania z lat 1618 i 1651: jednakże nie można żadną miarą przypuścić, żeby się odważył kto i to jeszcze

za życia poety, na taką partacką poprawkę, za jaką uznaćbyśmy musieli zamianę ostatniéj wrotki znanéj ze zbiorowego wydania, na wrotkę taką, jaką czytamy w osobném wydaniu pieśni.

Wszystkie inne zmiany odnoszą się do pojedynczych wyrażeń; nie trudno dopatrzyć, że poeta robiąc je, albo poprawiał widoczne błędy pierwotnego wydania, albo dobierał wyrażeń dobitniejszych lub więcéj malowniczych. I tak miejsce:

Ryby po górach wysokich pływały,
Gdzie ledwie przedtém pióra donaszały.
Mężne orlice, gdy do swoich dzieci
Z obławem leci.

jest oczywiście zepsute w pierwotném wydaniu, bo drukarz prócz niepotrzebnéj kropki po słowie *donaszały*, wziął *mężne orlice* za podmiot zdania, a *pióra* za przedmiot, gdy tymczasem tylko *pióra* może być podmiotem, a do niego należy dopełniacz *mężnéj orlice*, i tak zapewne poeta pierwotnie napisał. Podobnie wyrażenie: *Nieżyczne w cnocie to tam były lata*, tłómaczę sobie mylném odczytaniem rękopisu, bo przynajmniéj powinnoby być: Nieżyczne cnocie to tam były lata, ale najpewniéj poeta napisał pierwotnie tak, jak czytamy w wydaniu zbiorowém: Nieżyzne w cnotę to tam były lata, co drukarz w pierwotném wydaniu przekręcił i zepsuł. Następnie miejsce: Ziemia ku słońcu *pełna* pięknéj rosy rozwiła włosy, jest bezwątpienia zepsute w pierwotném wydaniu i zatracona nawet cała piękność tego miejsca, bo poeta wyobrażając sobie ziemię w postaci niewiasty przyrównywa roślinność jéj do włosów, i tylko ta roślinność mogła być pełna pięknéj rosy, ale nie ziemia sama.

Przytoczone miejsca naszém zdaniem dowodnie okazują, że poeta nie czuwał nad poprawnością pierwotnego wydania pieśni, z czego wnosićby można, że ona obiegała w odpisach, i że taki niedbały odpis pochwycił drukarz i wydał, nie wiedząc może nawet, czyim był utworem, i dlatego nie położył na wydaniu nazwiska poety. Z tego też może powodu i swą własną firmę zamilczał drukarz, czego nie uczyniłby może, gdyby do wydania był upoważniony przez poetę.

Nie chcąc nużyć czytelnika porównywaniem innych odmian, pozostawiam tę pracę jego własnemu badaniu, bo z tego, co się powiedziało, dostatecznie już pokazuje się, że *Pieśń o potopie* jest utworem Jana Kochanowskiego, że była wydana przed zbiorowém

wydaniem, a więc jeszcze za życia poety, że nie jest naśladowana z Kochanowskiego, ale raczéj wydana niepoprawnie bez jego wiedzy.

Do rozjaśnienia téj sprawy pobudziła nas wspomniana podobizna pieśni, przez którą wyświadczono przysługę bibliografii; tak rzecz na pozór mała bywa czasem nie bez znaczenia dla ważniejszych zagadnień. Przykład dany tą podobizną powinienby nakłonić posiadaczów pierwotnych wydań drobniejszych tworów Jana Kochanowskiego do rozpowszechnienia ich w sposób podobny; są bowiem te pierwotne wydania tak rzadkie, że najbogatsze biblioteki miewają tylko po jednym utworze Kochanowskiego w pierwotném wydaniu.

KRYTYKA.

Szkice historyczne. Książęta szlązcy z domu Piastów. Przyczynek do historyi rodzin panujących w Polsce, zebrany i ułożony przeważnie z niemieckich źródeł przez Michała Bonieckiego. Część I—III. Warszawa 1874. 8-o.

Od wielu lat już panuje w Niemczech bardzo ożywiony ruch na polu historyi ojczystéj. Niemal każda prowincya, każda ziemia posiada swoje towarzystwa historyczne, na czele których stoją professorowie uniwersyteccy lub inni ludzie zdolni i znani ze swych prac naukowych. Zadaniem tych towarzystw historycznych jest wydobywanie z archiwów wszelkich materyałów historycznych bądź to kronik, bądź dokumentów odnoszących się do dziejów miejscowych, oraz naukowe opracowywanie tychże. Towarzystwa takie istnieją także w ziemiach, które niegdyś wchodziły w skład Polski jak w Szlązku, Pomeranii i Warmii. Materyały historyczne wydawane przez te towarzystwa mają nietylko znaczenie miejscowe, lecz także znaczenie dla ogólnéj historyi polskiéj, a rozprawy w pismach ich umieszczane wyjaśniają niejeden fakt ciemny, względem którego źródła krajowe nas opuszczają. Ze wszystkich tych towarzystw najważniejszém jest dla nas towarzystwo szlązkie, a publikacye jego mają tém większą wagę, że Szlązk przez wiele wieków w bardzo ścisłych był stosunkach z Polską. Każdy dokument więc z pyłu wydobyty objaśnia nietylko pierwotne dzieje szlązkie, lecz także polskie. Publikacyi takich wyszła dotąd w Szlązku spora liczba tomów. Materyały tam nagromadzone są bardzo bogate; napisanie więc na ich podstawie historyi Szlązka lub dziejów książąt szlązkich i przyswojenie wyników naukowych wydobytych przez uczonych niemieckich, literaturze polskiéj, jest zapewne bardzo szczęśliwym pomysłem.

Pomysł taki miał p. Boniecki; owocem studyów jego nad historyą szlązką jest dzieło, którego tytuł wypisaliśmy na czele naszéj recenzyi. Autora interesowali przeważnie Piastowie na Szlązku panujący; ich to dzieje zamierza nam w swém dziele przedstawić. Ale że w Szlązku nie była jedna tylko familia rządząca, lecz że Piastowie rozmnożywszy się dzielili się dawnym słowiańskim zwyczajem swojemi posiadłościami i mnóstwo drobnych księztw utworzyli, których znaczenie dziejowe jest prawie zerem; ztąd wynika dla historyka piszącego ich dzieje wielka trudność, bo pominąwszy plan napisania historyi szlązkiéj, którego autor nie ma, trzeba być albo genealogiem mianowicie w czasie, gdzie Piastowie utracili swe znaczenie polityczne i gdzie dzieje księztw szlązkich nie zależą od ich woli, lecz od woli królów czeskich, lub cesarzy niemieckich: albo napisać „szkice historyczne,“ co jak tytuł pokazuje, jest zamiarem autora. Zobaczmy, jak się autor ze swego zadania wywiązał.

Już w samym wstępie do pierwszéj części autor zdaje się nie być pewnym co do planu, którego ma się trzymać; mówi bowiem: „Nie wziąłem sobie za zadanie opowiedzenia całéj historyi szlązkiéj....“

„Zebrane przezemnie wiadomości najwłaściwiéj mogły być użyte pod postacią „Szkiców historycznych,“ niedających jednak całości obrazu, do jakiego dążyłem. Wielka liczba książąt przedstawiając bardzo małą wartość historyczną, musiałaby być wypuszczoną. Mimo wielu przerw w opowiadaniu, wynikających z braku materyałów, wolałem postacie książąt przedstawić równocześnie snującym się wypadkom dziejowym. Ugrupowałem obok wydatniejszych postaci, mniéj znaczące osoby, które traktowane w całości rodzinnéj, właściwe miejsce zajmują i odpowiadają okolicznościom, obok których zostały postawione odwiecznym porządkiem.“

Jeżeli ten ustęp dobrze rozumiemy, to zamierza autor pomimo tytułu, opowiadać nam dzieje książąt szlązkich zwyczajnym sposobem kronikarskim, i to w saméj rzeczy czyni, nie pamiętając o tém, że na karcie tytułowéj obiecuje nam szkice historyczne. Przez szkice bowiem historyczne rozumiemy cały szereg obrazów tak pojedynczych znamienitszych osób, jako też ważniejszych epizodów dziejowych, około których wszystko się grupuje, co nam może dać wyobrażenie o czasie i ludziach. Tego nam jednak autor nie daje — więc po co na tytule wyrazy „Szkice historyczne“?—choć w żadnym okresie nie zbywało mu na kilku wybitniejszych postaciach, którebyby służyć mogły za wątek wielu cieka-

wych szkiców. A skoroby autorowi, jak wyraźnie wyznaje, chodziło także o szczegóły życia familijnego, możnaby było dodać tablice genealogiczne, a ciekawsze domowe sprawy umieszczać w przypiskach.

Ta niepewność własnego planu i zamiaru, wprawiła autora w ambarasowne położenie, z którego wybrnąć nie zdołał.

W pierwszym okresie (r. 1146—1339) zawierającym dzieje niezależnych książąt szlązkich, pomiędzy którymi książęta wrocławscy przeważną odgrywają rolę, opowiadanie przynajmniéj co do treści jako tako autorowi się udało, choć niejedno po dwa razy z równą dokładnością opisuje, jak np. na str. 72 i 103, 74 i 104, 92 i 101 i t. p. W drugim zaś okresie (1339—1612), w którym książęta szlązcy jako lennicy państwa Czeskiego pozbawieni są wszelkiéj inicyatywy politycznéj, autor inaczéj nie umiał sobie poradzić, tylko w ten sposób, że do każdego rozdziału dodaje bardzo obszerny wstęp traktujący ogólne dzieje Szlązka w ich stosunku do Czech i do Rzeszy Niemieckiéj. Wstępy te czasem są obszerniejsze od samych rozdziałów. W rozdziałach zaś daje znów specyalną historyą licznych linii książęcych, przy któréj sposobności fakta opowiedziane już we wstępie po kilka razy powtarza. W trzeciéj części (1610-1675) obejmującéj okres wojny trzydziestoletniéj, dzieje Szlązka toną zupełnie w tych walkach różnorodnych a ponieważ książęta szlązcy w téj epoce bardzo podrzędną odgrywają rolę, dzieje ich ograniczają się głównie na zdarzeniach familijnych t. j. na ślubach, działach i tym podobnych sprawach. Nim przystąpimy do szczegółowéj oceny wartości wewnętrznéj dzieła panaRánieckiego, musimy jeszcze kilka faktów poruszyć, które tyczą się całego dzieła w ogóle.

Z nazwiskiem panaRanieckiego po raz pierwszy spotkaliśmy się tutaj; o jego przeszłości nic nie wiemy, wyjąwszy to, co o sobie powiada (ob. I, str. 19, przyp. 1), że ze szlachty mazowieckiéj pochodzi; gdyby nie to i jego polskie nazwisko, sądzićby można, że mamy do czynienia z cudzoziemcem, który bawiąc w Warszawie jako tako po polsku się nauczył. Język bowiem jego jest tak chropowaty, tak niewyrobiony i tak niepoprawny, że nas zastanawia, iż taka książka wyjść mogła w Warszawie, w téj Warszawie, która dotąd język polski w większéj czystości zachowała, niż Galicya i Wielkie Księztwo Poznańskie.

Razi bowiem, że autor nadzwyczaj często używa formy słowa biernéj z czasownikami „bywać" i „zostać," oraz imiesłowu „będąc" tam, gdzie język polski tego wcale nie wymaga; przykłady znaleźć można niemal na każdéj stronnicy. To samo po-

wiedzieć musimy o słowach „chcieć, musieć, mieć“ i t. p. Co daléj mówić o wyrażeniach takich jak np. „z tém wszystkiém“ zamiast „pomimo to,“ (I, str. 79), „ze śmiercią“ zamiast „po śmierci“ (I, 27) „za bytnością“ zamiast „za bytności“ (I, 135), „utrzymać za sobą“ zamiast „zatrzymać,“ „jaki“ zamiast „który,“ „im“ lub „mu“ zamiast „sobie“ (I, 68. II, 119), jak „nastąpiona śmierć,“ „prawo kilkodniowe składu towarów“ (I, 115) i t. p.

Zdania całe czasem są tak wyrażone, że wcale nie wiedzieć, co przez nie rozumieć, np:

I, 19. „Polowania książęce nie mały ciężar ludności wiejskiéj przyczyniały, bo oprócz osobistego współudziału pieszo lub konno, do *nich* należało utrzymanie strzelców, doganiaczy, doglądaczy psów i *psy same*.“

I, 53. „Naprędce zebrane wojsko Bolesława do odparcia Konrada, uciemiężając *poddanych własnych*, rozeszło się nic nie sprawiwszy.“

I, 63. „...*w małych pieniądzach* zastawili mu Krosno“...

I, 67. „*Położenie* Henryka zaczęło w tym czasie przychodzić *do pewnego wzrostu potęgi* i t. d.“

II, III. „Ale zawzięty Opolczyk obałamucony królem Węgier i Krzyżakami...“ i t. p.

Skażeniem języka ojczystego nazwać trzeba i to, że autor nieustannie zastępuje przymiotniki drugim przypadkiem, że mówi i pisze „książę Moraw“ zamiast „książę morawski“, arcybiskup Gniezna“ zamiast arcybiskupa gnieźnieńskiego,“ i „księcia Wielkopolski“ zamiast „księcia wielkopolskiego,“ że pisze archaistycznie „książę lub pan na Poznaniu, na Wrocławiu“ i t. p.

W drugiéj i trzeciéj części język jest cokolwiek mniéj rażący.

Jeżeli zdania już w tekscie nie zawsze są zrozumiałe i poprawne, to tém mniéj w przypiskach, które przepełnione błędami drukarskiemi, zamiast objaśniać czytelnika, przyczyniają się tylko do większego jeszcze zamętu.

Autor pisze o kraju, który niegdyś należał do Polski, o kraju, w którym do dziś dnia przeszło 900,000 Polaków mieszka. Kraj ten posiadał od samego początku nazwiska miejscowe sobie właściwe, t. j. polskie, i posiada je po dziśdzień, choć na mapach ich już nie znajdujemy, bo zastąpiono je nazwami niemieckiemi. A choć autor „przeważnie ze źródeł niemieckich“ czerpie, ta jego uległość dla źródeł niemieckich nigdy nie powinna się tak daleko posuwać, aby w dziele przez Polaka i dla Polaków pisaném nazwy miejscowe niemieckie wszędzie miały pierwszeństwo przed polskiemi. Mamy prawo żądać tego od autora i jego to było obo-

wiązkiem naprzód przyswoić sobie polskie nazwiska szlązkie, aby je o ile były zapomniane, odświeżyć w pamięci publiczności polskiéj. Ale autor tego nie uważał za potrzebne; w podawaniu nazwisk nie wyrobił sobie żadnéj zasady; zwykle podaje nazwy niemieckie, czasem polskie, czasem też formy, które znalazł w łacińskich dokumentach. Zdawaćby się nawet mogło, że autor czasem nie ma wyobrażenia, jaką miejscowość rozmaite te formy oznaczają. Podajemy tu parę przykładów:

Pszczyna nazywa się u niego Ples (II, 8, 315 i t. d.), Blesin (II, 3, 8), Pleszow (II, 309), Pszczyn (II, 318).

Henryków — Heinrichau (I, 43), Henryków i Heinrichów (I, 45).

Zgorzelice — Zgorzelec (I, 51), Görlitz (II, 135) i t. p.

Ujazd — Ujazd (I, 93), Ujest (II, 317), Ugezd (II, 322).

Toszek — Tost (I, 96), Toszek (II, 231); przymiotnik: toszczyński, toszczeński (II, 232).

Koźle — Kozieł (I, 99), Cosel (I, 102), Kosel (I, 103), Koziel (II 73), przym. kozielski (II, 312), koźliński (II, 89).

Niemodlin — Niemodlejów (I, 132), Falkenberg v. Niemodlin, (II, 322) i t. p.

Jak powiedziałem, niemieckie nazwiska znajdują się wszędzie w tekscie, gdzie tylko można. Autor wie, że Sagan nazywa się po polsku Żegań, Falkenberg — Niemodlin, Freistadt — Kożuchów, Wartenberg — Syców; ale pomimo to woli mówić o książętach „falkenberskich, freistadzkich, wartenberskich,“ zamiast o książętach niemodlińskich, kożuchowskich, sycowskich i t. p.

Ale nawet topografia ściśle polska autorowi jest obca; zamiast nazw „Oświęcim, Leszno, Szarléj nad Gopłem, Wałcz, Człuchów, Babimost, Trzciel, Śrem, powiat średzki,“ znajdujemy u niego „Oświecim, Lissa, Sparle, Wełecz, Słuchów, Bomst, Tirschtiegel, Srem, powiat srodzki i t. p.

Jeżeli autor II, 142, 144 mówi o pokoju zawartym w „Melmose,“ to rzadko kto zapewne się domyśla, że tu mowa o pokoju r. 1422 na wyspie na jeziorze meldzyńskiém zawartym. (Melno dziś, dawniéj Meldno).

Zatrzymaliśmy się nad temi nazwiskami dosyć długo, bo sądzimy, że autor, gdyby był podawał nazwiska polskie, byłby wyświadczył wielką usługę historyi i geografii krajowéj. Aby zaś uniknąć ciagłego powtarzania dzisiejszych nazw niemieckich w nawiasach, powinien był dać na czele swego dzieła opis dokładny Szlązka, w którym mógł zapoznać czytelników z położeniem i nazwami miejsc wciąż w jego dziele przytaczanych. Na-

zwiska miejscowe dziś jeszcze wśród ludu polskiego w Szlązku używane podaje: J. G. Knie: Alphabetisch-statistisch-topographische Übersicht der Dörfer, Flecken, Städte etc. der Provinz Schlesien. Wrocław. 1845. (Drugie wydanie).

Nazwiska nawet osób słowiańskich przekręcone w źródłach niemieckich temu samemu podlegają losowi co miejscowości; bo zdaniem autora oczywiście piękniéj brzmi „Czenko Howrat z Leipy" (III, 85), przyczém przypuszczaćby można, że był hofrathem t. j. radcą dworu, aniżeli „Zdenko Hovora z Lipy."

We wstępie do pierwszéj części roztrząsa autor stosunki wewnętrzne szlązkie lub raczéj polskie w najdawniejszych czasach; są to zdania urywkowe, które jasnego obrazu nie dają i dziś po wyjściu dzieła Hubego: „Prawo polskie w trzynastym wieku" nikogo zadowolić nie mogą.

Pożądaném byłoby także, aby nas autor był objaśnił, dlaczego instytucya wojewodów na Szlązku się nie rozwinęła i dlaczego i kiedy kasztelanie znikły.

Do pierwszéj części swego dzieła miał autor do dyspozycył bardzo obfity materyał źródłowy; w drugiéj i trzeciéj części móg korzystać z późniejszych kronik szlązkich, oraz z kilku monografii, z których mianowicie rozprawy Biermanna zasługują na wszelkie uznanie.

Ale wartość wewnętrzna „Szkiców historycznych" zależy nietylko od wartości dzieł, z których autor czerpie; lecz także od umiejętnego i krytycznego zużytkowania tychże.

Pierwszym obowiązkiem autora jest obeznanie się z całą literaturą tyczącą się przedmiotu, o którym pisze. Autor „Szkiców" tego nie uczynił; wie on, że w publikacych Akademii umiejętności wiedeńskiéj, tak w *Archiv* jako też w *Fontes rerum Austriacarum* są rozprawy i materyały, które go obchodzą, lecz o nie nie postarał się; nawet profesora Caro „*Liber cancellariae Stanislai Ciołek*" co w osobnéj odbitce wyszło, nie miał w ręku. Autor zna „Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens," ale jedenasty tom, który w latach 1871 i 1872, więc jeszcze przed rozpoczęciem druku „Szkiców" wyszedł, nie jest mu znany, choć w nim niemało jest dobrych rozpraw tyczących się okresów przezeń traktowanych, mianowicie Grotefenda, Biermanna, Grünhagena, Schimmelpfenniga, Schultza, Markgrafa, dra Otto, Perlbacha, Rösslera i wielu innych. Rozprawy te zawierają wiele nowych szczegółów i wyjaśniają niejeden fakt przez autora na podstawie dawnych kronik mylnie przedstawiony. Nie znał autor także: *Abhandlugen der schlesischen Gesellschaft für vaterlän-*

dische Cultur, gdzie w roczniku z r. 1872/73 mieści się bardzo ważna praca Grotefenda: *Zur Genealogie und Geschichte der breslauer Piasten* (str. 51—119 oraz cztery tablice genealogiczne), która wielką część dat przez autora przytoczonych podaje w wątpliwość, bo Grotefend jako archiwaryusz lepsze źródła miał pod ręką niż autor.

. Nawet z polskich zbiorów dokumentów, autor nie wszystkie uwzględnił, choć w kodeksach mogilskim i tynieckim, oraz w aktach grodzkich i ziemskich wydawanych przez professora Liskiego niejeden ciekawy szczegół mógł znaleźć, w ostatnich mianowicie o Opolczyku i jego działaniach na Rusi.

Wymagamy także od autora, żeby miał własne zdanie, żeby, gdzie chodzi o fakta wątpliwe, sąd swój wypowiedział i naukowo umotywował, bo dziś już nam nie wystarcza, że to i owo „miało“ być lub że o tém „podanie niesie“ (I, 77, 92 i t. p.). Nie wystarcza nam również, że autor różnice zachodzące w źródłach tylko zestawia; mamy prawo żądać, ażeby nam powiedział, która wiadomość zasługuje na wiarę i dla czego.

Nie wyjaśnił sobie autor także, jaki cel mają cytaty i przypiski, które mianowicie pierwszą część przeciążają. Należało przy każdym rozdziale zaraz z góry powiedzieć, których dzieł pomocniczych się trzyma, a w przypiskach umieszczać to, co ze względów artystycznych autor w tekscie poopuszczał.

Również są cytaty zupełnie na miejscu, gdzie autor coś nowego podaje; gdzie zaś autor od swych poprzedników odmiennego jest zdania, należałoby w przypiskach zdanie swe udowodnić i wykazać źródła, na których się opiera. Ale autor nieraz owych źródeł, które cytuje, sam nie zna, lecz podaje je z drugiéj ręki, co zresztą sam przyznaje. W taki sposób cytuje on *Liber cancellariaa Stanislai Ciołek*, Dobnera *Monumenta*, nawet Długosza, bo cytata Długosza bez dodania tomu i stronnicy żadnego nie ma znaczenia, również jak ryczałtowe cytaty jak np. Stenzel, *Urkunden* str. 66 i dalsze do 249, str. 66 do 257. (ob. I, 70, przyp. 5).

Jeżeli zaś I, 54, przyp. 2 w taki sposób cytuje Boguchwała że podaje *Monumenta Poloniae* II bez oznaczenia stronnicy, to łatwo mu udowodnić, że wyjął tę cytatę z Schelza, *Geschichte der Ober-und Nieder-Lausitz* I, 168. Schelz cytuje tekst Boguchwała wedle Sommersberga a autor zaniechał go odszukać w *Mon. Pol.* i sprawdzić. Podobnych przykładów wiele jeszcze przytoczyć można.

Nie uważa autor także na ważność dzieła, które cytuje. Każda książka drukowana ma dlań równą wagę, a nawet nie waha

się cytować podręczników szkolnych jak Weltera *Weltgeschichte* (ob. III, 58, 77).

Dzieła takie jak niniejsze Szkice przepełnione są datami, jak to inaczéj być nie może; od dokładności dat zależy także po większéj części znaczenie, jakie dzieła takie mieć mogą dla historyków i badaczy.

Na datach jednak, które autor podaje, niezawsze polegać można, bo najprzód korrekty starannie nie przeprowadzono; liczne znajdują się w jego dziele błędy drukarskie; łatwo je poprawić, gdzie różnica wynosi setki lat; trudno zaś, gdzie chodzi o lat kilkanaście lub kilka.

Niepodobna nam było sprawdzić wszystkich dat i faktów przez autora podanych dlatego, że niewszystkie kroniki szlązkie mamy pod ręką. Ale spostrzeżenia, które zrobiliśmy, sądzę, są wystarczające, aby scharakteryzować całe dzieło:

I, 28, przyp. 4 powiada autor: „Konrad (syn Bolesława Wysokiego) *umarł 1201 r. jako proboszcz katedralny wrocławski* (Długosz) 5 Czerwca (Nekrolog czesko-szlązki i Mon. Lub. 16,47) *a um. 1203 r. jako biskup bamberski 19 Lutego* (Grünhagen Reg. 65).“

Zestawienie takie charakteryzuje trafnie niekrytyczność autora. Daty są sprzeczne i nie mogą się odnosić do jednéj osoby. Konrad, o którym tu mowa, tylko raz w dokumentach występuje r. 1198. (Grünhagen Reg. 62), a z Monum. Lub. wynika, że umarł dnia 5 Lipca (III nonas Julii). Długosz zaś tom II, str. 161 (wyd. Przezdzieckiego, to samo także lipskie wydanie) podaje, że umarł III nonas Junii r. 1201. Autor widząc, że w Mon. Lub. rozwiązano datę III nonas Julii 5 Lipca, sądzi, że w każdym miesiącu tak samo jest i pisze „5 Czerwca“ zamiast „3 Czerwca.“

W tym samym przypisku umiera Jan brat Konrada według Długosza 10 Lutego 1201 r. Długosz zaś podaje „sexto idus Martii t. j. 10 Marca co i Mon. Lub. mają.

III, 10, przyp. 2 zaś rozwiązuje autor datę „II ante cal. Septembris,“ dniem 2-gim Września. Te fakta już pokazują, że autor nawet rzymskich dat nie umie rozwiązać.

I, 48—49, przyp. 3. Elżbieta żona Przemysława gnieźnieńskiego nie umiera jak autor chce r. 1245, lecz według Boguchwała (Mon. Pol. II, 589) r. 1265.

I, 64, przyp. 1. Bolesław Łysy umarł 17-go Stycznia 1278 i pochowany został u Dominikanów w Lignicy. Na dowód tego cytuje autor Stenzla, Pola i Mon. Lub. 16 (ma być 17 lub 10); powinien zaś był cytować Długosza II, 446, który podaje rok śmierci i miejsce pogrzebu, oraz Pola, który przytacza dzień.

Pierwsza żona Bolesława, Jadwiga, umarła r. 1259 a nie 1289, co oczywistym jest błędem drukarskim.

I, 71 przyp. 3. Stenzel, *Urkunden* 238 zamiast 241, i 245 zamiast 243, a na następnéj stronie Heine str. 555 zamiast 558.

I, 74. Bitwa Łokietka ze szlązkimi książętami odbywa się dnia 26 Lutego r. 1288, a na str. 104 tegoż dnia 1289. Roepell zaś i Stenzel podają dnia 24 Marca r. 1289. Mojém zdaniem nie należało takiéj różnicy milczeniem pominąć.

I, 127. Mówiąc o książętach braniborskich, jednę gałęź ich nazywa autor mylnie „Stende," ma być „Stendal."

I, 138. Jeżeli autor Niemcom w Krakowie zamieszkałym już w XIII wieku przypisuje dążności anneksyjne i wielką miłość „ku Rzeszy niemieckiéj, téj ojczyznie, do któréj należeć wzdychali," to po prostu sądzi ich według dzisiejszego ich usposobienia; wówczas chodziło im głównie o zachowanie odrębności, przywilejów supremacyi uzyskanéj, ale z pewnością wcale nie o Rzeszę niemiecką.

II, 3. Autor powiada, że Mikołaj I książę opawski i raciborski z drugiéj żony Elżbiety miał trzech synów; to nie jest dokładne: z niéj miał tylko jednego syna Mikołaja; Wacław zaś i Przemko byli synami z trzeciego małżeństwa tegoż księcia z Julią księżniczką niemodlińską. Śmierć zaś Jana I syna Mikołaja I-go nie przypada na r. 1382, lecz wcześniéj, bo od końca r. 1379 dokumenta o nim już nie wspominają; śmierć jego nastąpiła więc już r. 1379 lub 1380. Niedokładną także jest wiadomość (II, 9, 320), o pójściu za mąż Barbary księżny oświęcimskiéj za Jerzego Schellendorfa; nie Barbara poszła za niego, lecz córka jéj, któréj imię nieznane. Ob. Biermann, *Geschichte von Teschen* 230 — 231, którego autor powinien był się trzymać.

II, 355. Większa część dat na téj stronnicy umieszczonych nie jest dokładną. Jan Jerzy, syn Jerzego II księcia brzeskiego, urodził się nie 1556, lecz r. 1552; siostra jego Elżbieta dnia 17 Listopada 1562 a nie 16 Października; poszła zaś za mąż 30 Września 1585; a nie 1 Października, a zmarła nie w r. 1632, lecz dnia 1 Lutego r. 1630. Jerzy II umarł 7 Maja a nie 8-go Maja r. 1586.

Wiadomości te wyjął autor z Pola; niemając Pola pod ręką, sprawdzić nie możemy, czy w tém już Pol zawinił. W ogóle jest dużo dat z Pola wyjętych, które o jeden dzień się różnią od rzeczywistych jak np. II, 362, 363, 364, 368, 369. III, 10, 11.

III, 14. Na dowód tego, że Karol II książę oleśnicki umarł *7 Stycznia r. 1619* cytuje autor „Luca *Schlesiens Denkwürdigkeiten* str. 1894. Luca w przywiedzionem miejscu podaje *dzień*

17 Stycznia r. 1617. I ta data jest niedokładna, bo śmierć jego nastąpiła dnia 28 Stycznia 1617 r.

III, 74 przyp. 3, oraz str. 96. Daty tyczące się potomstwa Jana Krystyana księcia brzeskiego wyjął autor dość starannie z Luca, bo tylko jedna jest pomylona (Anna Elżbieta urodziła się 1 Kwietnia a nie 1 Marca 1615 r.). Ale dokładniejsze daty byłby znalazł w rozprawie Schimmelpfeniga: Herzog Johann Christians von Brieg zweite Ehe mit Anna Hedwig von Litsch etc. w XI tomie Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens. Wrocław 1871.

Z tego wszystkiego, cośmy przytoczyli, okazuje się, że autor biorąc się do swéj pracy, nie posiadał potrzebnego wykształcenia fachowego, aby umiejętnie korzystać ze źródeł i prac swych poprzedników; że nie miał dosyć bystrości, aby plan, który miał przed oczyma i który był dobry, przeprowadzić; że zamało posiadał zmysłu krytycznego, aby ocenić, które źródło lub która wiadomość na większą zasługuje wiarę; że często bierze z drugiéj ręki, czego powinien był szukać u samego źródła; że nie obeznał się należycie z całą literaturą tyczącą się Szląska, w skutku czego wiele ustępów straciło już z góry wszelką wartość: jedném słowem, że praca jego jest w najwyższym stopniu nieudolną. A gdy dodamy, że—na nieszczęście dla autora—Dr. K. Grotefend w zeszłym roku wydał „Stammtafeln der schlesischen Fürsten bis zum Jahre 1740. Wrocław 1875, 4°, str. 64., które opierają się na materyałach archiwalnych i innych autentycznych zapiskach naszemu autorowi nieprzystępnych, że Biermann już r. 1874 ogłosił: Geschichte der Herzogthümer Troppau und Jägerndorf, że XI i XII tom Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens zawiera kilkanaście nowych rozpraw tyczących się przedmiotów przez autora traktowanych; to aż żal, że tyle dobrych chęci, tyle pracy i mozołu, które autor swemu przedmiotowi poświęcił, dziś już nikomu na nic się nie zda, wyjąwszy wiadomości z metryki koronnéj — jedném słowem, że dzieło jego przy saméin wyjściu na świat już było przestarzałém.

Dr. Wojciech Kętrzyński.

---

1. Woda, jéj kształty i przeobrażenia jako obłoki i rzeki, lód, lodniki przez J. Tyndall'a, przełożył Karol Jurkiewicz, Warszawa, 1874 r.
2. Zasada zachowania energii, przez Balfoura Stewart'a, tłómaczył Wł. Kwietniewski, Warszawa, 1875 r.
3. Ruchy zwierzęce, czyli chodzenie, latanie i pływanie, wraz z rozprawą o aeronautyce, przez J. Bell Pettigrewa, przekład professora Nawrockiego, Warszawa, 1875 r.
4. Nauka o pochodzeniu gatunków i darwinizm, przez Oskara Schmidta, przełożył A. Wrześniowski, Warszawa, 1875 r.
5. Umysł i ciało. Mniemania o ich wzajemnym stosunku, przez Alexandra Bain'a, tłómaczenie z angielskiego, Warszawa, 1874 r.
6. O początku narodów, przez Waltera Bagehot'a, tłómaczenie z angielskiego, Warszawa, 1875 r.

Przed czterema, mniéj więcéj laty, ogłosili księgarze zagraniczni prospekt na wydawnictwo zbiorowe, któremu dali tytuł *Biblioteki naukowéj międzynarodowéj*. Prospekt zapowiadał około czterdziestu dzieł z zakresu rozmaitych nauk, zawiadamiał oraz, że się miały ukazywać równocześnie w trzech językach: angielskim, francuzkim i niemieckim. Do spółpracownictwa zostali zaproszeni uczeni angielscy, francuzcy, niemieccy i amerykańscy. Spółka księgarzy zagranicznych, dotrzymuje obietnicy i dotychczas wydała już 15 znanych nam książek większych lub mniejszych, przedstawiających rozmaite gałęzie wiedzy ludzkiéj. Oprócz wymienionych powyżéj w polskiém tłómaczeniu wyszły już i inne, jako to: *Herberta Spencera*, Wstęp do nauki społecznéj; *H. Maudsley'a*, Zbrodnia i obłąkanie umysłu; *Drapera*, Walka wiedzy z wiarą; *L. Dumont'a* Teorya czucia, *Whitney'a* Zycie i rozwój mowy i t. d. Cała ta *Biblioteka* nie stanowi całości zamkniętéj w sobie i skończonéj, nie przedstawia całości wiedzy ludzkiéj choćby w streszczeniu. Jest w niéj jednak pewna myśl przewodnia łącząca wszystkie dzieła duchowym, że tak powiem, związkiem. Przebija się ona mniéj lub więcéj wyraźnie we wszystkich dotychczas ogłoszonych książkach. Myślą tą jest hypoteza Darwina zwana teoryą ewolucyi lub teoryą transformizmu. Niektórzy z autorów wyraźnie się do tego przyznają i na hypotezie owéj opierają swoje wywody; inni dają znać, że wiedzą o niéj, ale nie uważając jéj za dogmat, wahają się czy stanąć po stronie darwinizmu stanowczo, czy też się wstrzymać dopóki nowe dowody nie poprą lub nie zbiją owéj hypotezy. Tymczasem jednak wspomniona *Biblioteka* potwierdza fakt dawno obserwowany w naukach, że gdy nowa hypoteza wypłynie na powierzchnią fal, jakiemi się kołysze ocean wiedzy ludzkiéj, przejmuje

ona sobą wszelkie odnogi badań naukowych i poglądowi naszemu na cały wszechświat inny nadaje kierunek. Kierunek ten zadawala na pewien czas umysły szukające prawdy, ale podlegając jak wszystkie sprawy ludzkie prawu starzenia się, ustępuje z widowni zapasów umysłowych do historyi nauk, zostawiając po sobie ślad niczém niezatarty: bo w świecie umysłowym, tak jak i w świecie fizycznym, nic nie ginie, jedno się przekształca, przestawia, porządkuje i nową szatę przybiera. Można przewidywać, że to samo się stanie z hypotezą Darwina; śladem po niéj będzie obecnie nowy, a za lat kilkadziesiąt stary już pogląd na świat, oraz szereg dzieł w duchu tego poglądu napisanych.

* *

*

Spółka księgarzy warszawskich, otrzymawszy z zagranicy prospekt na mającą wychodzić *Bibliotekę*, zapowiedziała tłómaczenie niektórych objętych nią książek na język polski, i ten w ciągu blizko dwóch lat wydała. Ponieważ rzeczona *Biblioteka* nie przedstawia, jak już wspomniano, jakiejś całości w sobie zamkniętéj; ztąd oczywiście i tłómaczone na nasz język dzieła nie są również żadną jednolitą całością, lecz zbiorkiem przypadkowym. Można sobie nawet było życzyć, ażeby *Spółka* nasza wybrała inne dzieła do tłómaczenia, albo wydawszy kilka z nich nie zaprzestawała daléj ciągnąć swojego przedsięwzięcia: są bowiem pośród ogłoszonych za granicą niektóre książki téj *Biblioteki* mogące więcéj budzić zajęcia w naszych czytelnikach. Do takich możnaby zaliczyć np. Herberta Spencera *Naukę społeczną*, Whitney'a *Życie i rozwój mowy*. Że jednak *Spółka* zaniechała dalszego wydawnictwa, miała prawdopodobnie swoje przyczyny; u nas bowiem do dziśdnia każdy artykuł trochę głębszy i naukowy nie smakuje rozwydrzonym na romansach umysłom. Ruchomy grunt nasz umysłowy jeszcze się nie zsiadł, jeszcze się na nim żadna cięższa budowa oprzeć nie może. Trudno znów od księgarzy wymagać ofiar pieniężnych na wydawnictwa, które ledwie może po kilkuset liczą czytelników. Trzeba więc przestać na tém co nam dano i przyjrzeć się po kolei treści wymienionych w powyższym tytule książek.

Najwcześniéj wyszło dziełko J. Tyndall'a *O wodzie* i jéj przeobrażeniach. Z treści należy ono do fizyki i meteorologii. Tyndall liczy się do najznakomitszych spółczesnych fizyków w Anglii. Odczyty jego o głosie, cieple (te ostatnie tłómaczone i na polskie), o świetle, fragmenta, tudzież ogłaszane w pismach peryodycznych

angielskich artykuły bądź specyalne, bądź ogólniejszéj treści, świadczą, że sława autora jest dobrze zasłużona. Tyndall łączy niezrównany talent popularnego, a jednak nie płytkiego wykładu i jasnego tłómaczenia się w najzawilszych pytaniach. Przytém fakta szczegółowe łączy w ogólniéjsze teorye i tym sposobem nadaje pracom swoim formę naukową. Nie jest to rutynista-fizyk, który zrobiwszy pewne doświadczenie lub postrzeżenie, na tém poprzestaje, nie troszcząc się o związanie go z innemi podobnemi faktami ogólniejszém pojęciem. Tyndall jest, jeżeli tak wolno powiedzieć, fizyk-filozof, który jednak metafizyki z gruntu nienawidzi. Taka jest ogólna charakterystyka autora. Co się tycze dziełka, którego tytuł na czele położono, dowiadujemy się z przedmowy, że myśl do niego nasunęła autorowi podróż po lodowych górach Szwajcaryi, gdzie już przed dwunastu laty podobną odbywał wycieczkę. Ponieważ woda będąca przedmiotem wykładu we wspomnianéj książce, przybiera różne postaci, tworzy ona bowiem obłoki, deszcz, śnieg, pary i t. d., ztąd autor objaśniwszy powstawanie tych zjawisk przyrodzonych pod wpływem ciepła, roztrząsnąwszy rozmaite teorye zmrażania, głównie i szerzéj zastanawia się nad powstawaniem i ruchem lodowców. Rysunki w tekscie zamieszczone przynajmniéj w części pomagają do zrozumienia opisywanych miejsc i tłómaczonych faktów.

Drugą książką z szeregu objętego *Biblioteką* w polskiém tłómaczeniu jest niewielki traktat z fizyki pod tytułem *Zasady zachowania energii* prof. Balfoura Stewart'a. Czytelnik spojrzawszy na tytuł, sądziłby że ma do czynienia z jakąś rozprawą etyczną: tymczasem spotyka rozdziały z mechaniki i fizyki. I rzeczywiście w dotychczasowém używaniu wyrazu „energia" tkwiło pojęcie pewnéj mocy umysłu, dzielności charakteru. Dopiero niedawno fizycy angielscy, a za nimi inni, wprowadzili do terminologii naukowéj wyraz „energia" w znaczeniu zupełnie odmiennném od dotychczasowego.

Jakież więc jest to nowe znaczenie „energii?" Nim na to odpowiemy, zobaczmy, co autor mówi sam o zadaniu jakie sobie założył rozebrać w swojéj książce. „Wszechświat, pisze on, możemy uważać jako wielką machinę fizyczną; i stosownie do tego poglądu, naukę o nim możemy rozdzielić na dwa wielkie działy. Jeden z tych działów obejmuje to wszystko co wiemy o budowie saméj machiny; drugi zaś to, co wiemy o sposobie w jaki ona wykonywa pracę. Zdaje się, że w dziełku tego rodzaju jak niniejsze, oba te działy nauki powinny być traktowane. . i taka właśnie myśl była przyjęta za podstawę wykładu. Autor uważał wszechświat,

złożony z atomów połączonych z sobą pewnym środkiem eterycznym, za machinę: prawa zaś energii, za prawa, podług których machina ta wykonywa pracę.“ Zadanie, jak widzimy, olbrzymie, bo do wytłómaczenia świata choćby tylko fizycznego, choćby tylko ze strony jego mechaniki, potrzeba niezmiernego mnóstwa wiadomości—a co ważniejsza, że na wiele, bardzo wiele pytań i bardzo ważnych, dzisiaj jeszcze nauka odpowiada z autorem: nie wiem—jestem w najgłębszéj niewiadomości. I tak, nie wiemy co jest materya, a co siła, co są atomy, jaka jest wewnętrzna budowa cząsteczek składających rozmaite ciał rodzaje, co jest eter? Wiemy jak te agregaty materyi działają; ale gdy chodzi o elementa tych agregatów, mamy tylko domysły, hypotezy, które wprawdzie dość dobrze przystają do faktów i zjawisk postrzeganych—ale zawsze nie tłómaczą wszystkiego, i są tylko czasowemi przystankami dla badacza. „Największe ciała wszechświata mają z najmniejszemi tę wspólną własność, że są po za obrębem bezpośredniego badania za pomocą naszych zmysłów: pierwsze dlatego, że są zadaleko, drugie dlatego, że są tak małe... W rzeczy samej, pomiędzy molekułami odbywa się nieustanna wojna i ustawiczne uderzanie się o siebie. Ciągle się one ranią wzajemnie, a jednak w jednéj chwili wracają napowrót do zdrowia i t. d.“ Poetyczny to obraz, ale tylko obraz. Konkluzya zaś wcale niepocieszająca taka: „Tak więc widoczną jest rzeczą, że nic albo przynajmniéj bardzo mało wiemy o kształcie i wielkości molekuł, równie jak i o siłach, ktore na nie działają.“ Nie przeszkadza to jednak fizykom i chemikom mówić o atomach i siłach. Jakoż Balfour Stewat prawi nam już nietylko o siłach, ale i o energiach. Siły w znaczeniu mechanicznem i fizycznem znane były oddawna; ale co jest energia, a nawet mnoga liczba energii? Oto autor takie daje pojęcie energii: Ciało jakieś, ważące dajmy na to kilogram, rzucone w górę zatrzymało się na wierzchołku domu. Gdy je strącimy, będzie ono dążyło do ziemi z taką samą prędkością, a więc z taką samą energią, jaką posiadało podczas wyrzucenia go w górę. W tem wyniesionem położeniu ciało nie jest bez energii, ale znajduje się ona niby zawieszona, a gdy zechcemy, możemy jéj użyć do wbicia pala w ziemię, lub w inny sposób spożytkować. Przyczyną jéj jest jéj położenie, czyli raczéj położenie ciała na wierzchołku domu. Położenie to nie jest takie samo, jak położenie owego ciała na ziemi; w pierwszym razie ma ono energią, może wykonać taką pracę, dać taki skutek, jakich znajdując się na ziemi nie sprawi. Położenie takie jest *korzystne* dla ciała. Strzała oparta na cięciwie napiętego łuku, nakręcony zegarek, są przykładem energii wy-

nikającéj z położenia korzystnego: a gdy strzała została puszczona i zegarek idzie, zamienia się w energią ruchu. Gdy bogaty człowiek płaci robotnikowi za pracę wykonywaną dla siebie—przemienia on część swojéj energii położenia na energią rzeczywistą, zupełnie jak młynarz, który wypuszcza część wody ze swojego stawu, aby za pomocą niéj wykonać pewną robotę. Przykłady te dostatecznie objaśniają, co autor rozumie przez energią w znaczeniu fizycznėm. Czyby *energii* nie można zastąpić *siłą* dodając jéj określenie *możebna?* Czy na wprowadzeniu nowego terminu do oznaczenia faktów dawno znanych zyskała nauka, nie śmiemy wyrokować. Zdaje nam się przecież, że możnaby się obejść bez energii ale to rzecz fizyków. Po wyłożeniu znaczenia, jakie przywiązał do wyrazu energia, autor zastanawia się nad zamianą jednego rodzaju energii w drugi tak w świecie nieorganicznym jak i organicznym, a w konkluzyi dochodzi do rezultatu, że słońce jest ostatecznėm źródłem wszelkiéj energii, a więc i „energii naszego ciała, oraz jego delikatnéj budowy,“ że zatém przyszłość rodzaju ludzkiego zależy od przyszłości słońca.

W związku niejakim z poprzednią książką zostaje dziełko J. B. Pettigrew'a pod tytułem *Ruchy zwierzęce*. Mówimy w związku, dlatego, że i ten traktat da się odnieść do fizyki i mechaniki. Wprawdzie mowa w nim tylko o ruchach zwierzęcych, ale podstawą tych ruchów są prawa i zasady ruchu mechanicznego. Zapewne niejeden, co się zastanawiał nad ruchami zwierząt, nie wpadłby na myśl, żeby zwierzęta uważać pod względem ruchu za machiny, a organa ich za rozmaite części tych machin, bardzo wpradzie skomplikowanych, ale zawsze przypominających dźwignię, równię pochyłą, śrubę i t. d. Autor nim przystąpił do objaśnienia ruchów zwierzęcych, przypomniał czytelnikowi wiadomości z mechaniki, a głównie z nauki o ruchu, nadmienił o elementach, śród których zwierzęta odbywają swoje ruchy, mianowicie o ziemi, wodzie i powietrzu, o organach przyjmujących udział w tych ruchach, jako to: o kościach, stawach, mięśniach, tudzież o nogach, rękach, skrzydłach, płetwach i t. d. Stanowi to wstęp do szczegółowego wykładu ruchu na ziemi odbywanego przez czworonożne i dwunożne zwierzęta; następnie objaśnił ruchy wykonywane na wodzie i w wodzie przez rozmaite zwierzęta wodne, przyczém nadarzyła się sposobność mówienia o ruchach człowieka podczas pływania; nareszcie najszerzéj stosunkowo rozwiódł się o ruchach zwierząt powietrznych. Wiele tu ciekawych doświadczeń i postrzeżeń, osobliwie gdy autor mówi o rozmaitych liniach opisywanych skrzydłami ptaków i owadów. Dodatek obejmuje uwagi nad aero-

nautyką, jéj przyszłością i rozmaitemi przyrządami obmyślanemi w celu podróżowania po powietrzu. Niepodobna nam tu po szczególe powtarzać lub streszczać pojedynczych rozdziałów téj książki, gdyż sama jest dość treściwa. Możemy jedynie polecić jéj czytanie jako obchodzącéj każdego człowieka, boć ruch, jaki codziennie wykonywamy, nie powinien być zagadką dla ludzi nawet niewiele zajętych naukowemi badaniami. Liczne rysunki pomieszczone w tekscie, a przedstawiające rozmaite organa ciała zwierzęcego w rozmaitych położeniach podczas ruchu będące, znacznie ułatwiają rozumienie wykładu. Słowem z wyliczonych tu trzech dziełek, ostatnie to jest może najciekawsze i powinno być najpoczytniejsze.

Najobszerniejszą z wydanych w polskiém tłómaczeniu książek z *Biblioteki międzynarodowéj* jest Oskara Schmidta *Nauka o pochodzeniu gatunków*. Przedmiot to w ostatnich dziesięciu latach nadzwyczaj zajmujący umysły w całym cywilizowanym świecie. I w starożytnym świecie nie było całkiem głucho w téj sprawie; pytano się i zastanawiano, czy samorodztwo jest możebne, czy początek istot organicznych i przeróżne ich kształty i postaci są raz na zawsze i naprzód postanowionemi formami, czy też kolejno jedne z drugich się rozwijały. A chociaż pytanie to nie było wyrażone tak jasno jak przez Lamarcka i Darwina—jednak tkwiło *implicite* w spekulacyi starożytnych filozofów i naturalistów. I dzisiaj byłoby to pytanie pozostało przedmiotem rozmyślań i doświadczeń między uczonymi, gdyby nie wciągnięto do metamorfozy i człowieka. Ale konsekwencya nie pozwalała go wyłączyć z szeregu istot organicznych, a tém samém nie zastosować do niego tych wyników, jakie uważano za prawdziwe ze względu na niższe od człowieka organizmy zwierzęce. Po ogłoszeniu dzieł Darwina i fanatycznego jego apostoła Haeckla, rzecz o zmienności form gatunkowych i pochodzeniu człowieka stała się dla jednych dogmatem, na który w imieniu mistrza przysięgają, dla drugich zaś przedmiotem zgrozy i oburzenia nieznającego granic. Co się tycze autora książki, o któréj obecnie mówimy, ten jest bezwarunkowym zwolennikiem transformizmu, a chociaż spokojniéj niż Haeckel, broni jednak przy pomocy paleontologii i zoologii Darwinowskiéj hypotezy. Więcéj o książce jego powiedzieć nie możemy, bo wypadałoby powtarzać już nawet i u nas ile tyle znane wywody Darwina.

Ostatnie dwie książki z wyliczonych na początku, tyczą się świata bardziéj ludzkiego, albowiem przedmiotem ich są zjawiska umysłowe czyli psychologiczne oraz fakta etnograficzne. Przyjrzyjmy się i im pokrótce.

W dziełku zatytułowaném *Umysł i Ciało*, Alexander Bain, jeden z najznakomitszych spółczesnych myślicieli angielskich, postanowił rozważyć jedno pytanie z zakresu psychologii, mianowicie jaki jest związek między umysłem a ciałem. Pytanie to, jak wiadomo z ogólnych dziejów filozofii i z króciutkiéj historyi téj sprawy zamieszczonéj przez autora w książce, o któréj mowa, od wieków zajmowało umysły uczonych. Wiedziano dobrze, iż czém inném są zjawiska umysłowe, a czém inném fizyczne, a bliżéj fizyologiczne, że za podstawę pierwszych brano duszę, a za fundament drugich ciało; ale dzięki abstrakcyi, mocą któréj rozerwano oba szeregi zjawisk, nie można było między niemi wynaleźć mostu. Wyobrażano więc sobie, że albo oba szeregi onych zjawisk są niezawisłe od siebie, objawiają się swoim porządkiem — albo że umysł i ciało są jak dwa równocześnie nakręcone i zgodnie idące zegary, albo że Stwórca urządził między umysłem i ciałem harmonią przedwieczną i ztąd pochodzi ich zgoda. W tych wszystkich pomysłach dążących do wytłómaczenia związku umysłu z ciałem popełniano błąd głównie przez to, że je trzymano w zbyteczném oddaleniu. Dopiero gdy fizyologowie w naszych już prawie czasach wzięli się do rozważania tego przedmiotu, spłynęło nieco światła na to zawiłe i skomplikowane zagadnienie. Bain skorzystał z rezultatów otrzymanych przez fizyologów i przyjął za pewnik, oraz za fundament psychologii to postrzeżenie, iż zjawiska umysłowe i cielesne są nierozerwalnie z sobą połączone, że jedne drugim odpowiadają, że zachodzi między niemi parallelizm, a chociaż są w gruncie od siebie różne, atoli stanowią jakoby dwie twarze, dwie połowy fenomenu zwanego życiem ludzkiém. Ponieważ fizyczną podstawą, gruntem naszych umysłowych czynności jest całe ciało, a szczególniéj układ nerwowy; dlatego autor rozważył i rysunkiem objaśnił elementa tkanek nerwowych, oraz przypuszczalny rozbieg wrażeń otrzymywanych przez zmysły i doprowadzanych po włókach i komórkach nerwowych do mózgu, gdzie się stają świadomemi umysłowi naszemu. Rzeczy te nie były całkiem obce starożytnym uczonym, a nawet Arystoteles rozumiał ów ścisły związek umysłu z ciałem; ale przy braku lepszych wiadomości o stronie fizycznéj, o podstawie materyalnéj, cielesnéj, pojmował go może mniéj wyraźnie niż dziś jesteśmy do tego zdolni. Jest to ważny krok w rozwoju psychologii empirycznéj. Drugi, niemniéj ważny, a który uczynili psychologowie angielscy, jest odmienne zapatrywanie się na same zjawiska umysłowe. Gdy bowiem w dawniejszéj spekulacyjnéj psychologii nawynajdowano rozmaitych władz czyli zdolności, i te przyczepiono niejako mechanicznie

do duszy, psychologowie angielscy, a na ich czele Bain, odróżniają w umyśle tylko trzy zasadnicze zdolności, do których dają się zredukować wszystkie zjawiska umysłowe. Temi trzema zdolnościami są: zdolność upatrywania w rzeczach podobieństwa, zdolność upatrywania różnicy, i nareszcie zdolność przyswajania ich sobie czyli pamiętania. Traktuje zatém i Bain o tych zdolnościach umysłowych, rozważając jak się one zachowują w trzech naczelnych czynnościach umysłowych t. j. w czuciu, rozumowaniu (rozumie) i chceniu (woli). Znakomite są jego uwagi tyczące się pamięci i podatności umysłu do pracy, mianowicie gdy dowodzi, że umysł nasz tylko pewną ilość wiadomości, mniéj więcéj odpowiednią ilości elementów nerwowych przyswoić sobie może; że mózg jako warsztat, w którym się przerabiają najrozmaitsze wrażenia zmysłowe i zkąd wychodzą wszelkie rozkazy do organów ciała, o ile zyskuje w jednym kierunku, o tyle traci w drugim, nabywa jednych wiadomości, zapomina drugich; słowem, że władze umysłowe i zdolność ich nabywcza mają kres i granicę, niejednakową u wszystkich indywiduów, ale zawsze granicę zakreśloną prawdopodobnie wagą mózgu. Co się tycze głównego pytania, mianowicie jaki jest ten związek umysłu z ciałem, jak go sobie wyobrażać, Bain przyznaje, że niewszystko tu wyjaśnione. Związek jest, tego niemylnie dowodzi wzajemne oddziaływanie ciała na umysł a znowóż umysłu na ciało — ale jak go sobie wyobrażać? Oto sądzi on, że najwłaściwiéj pojmować go jako *stany* umysłu i ciała, na wzór tego jak gdy mówimy, że ktoś znajduje się w *stanie* zadowolenia lub niezadowolenia; słowem że związek ten musimy sobie wyobrażać jako następujący w *czasie*, nie w *przestrzeni*. „Jedynie odpowiedniém wyrażeniem do oznaczenia tego związku jest, gdy powiemy, że jest to zmiana *stanu*.... a odejmiemy mu ten mimowolnie nasuwający się charakter, jakoby to był związek w *przestrzeni*; gdy go sobie wyobrażamy jako istniejący w *czasie*, gdy go uważamy za nieprzerwaną nić życia świadomego.“ Ostatni rozdział poświęcił autor wyłożeniu mniemań o duszy, doprowadzając ich historyą do ostatnich czasów. Trzeba przyznać, że Bain jest nietylko bystrym i trzeźwym obserwatorem w tych sferach, ale i umiarkowanym w zdaniu, dalekim od metafizycznéj zaciekłości i cynicznego materyalizmu. Oddając co się należało mózgowi i nerwom, nie roztapia w nich umysłu, lecz odrębności natury jego rozumnie broni.

Ostatnią książką z *Biblioteki międzynarodowéj*, ogłoszoną w polskiém tłomaczeniu jest Waltera Bagehota: *O początku narodów.* Autor dodając pod tym głównym tytułem swéj pracy wyrazy:

„czyli myśli o wpływie doboru naturalnego i dziedziczności na rozwój społeczności politycznéj, uprzedza czytelnika, że hypotezę Darwina o powstaniu gatunków zamierza stosować do objaśnienia pytania, jak się potworzyły narody, odpowiadające niby gatunkom w świecie roślinnym i zwierzęcym. Jakoż w istocie Bagehot lubo ostrożnie przenosi poglądy Darwina w świat społeczny i polityczny. Nie wdając się w poszukiwanie zkąd i jak powstał człowiek, ile jest ras ludzkich, czy one są produktem rozmaitych części globu ziemskiego, czy z jednéj pary ludzi powstały; słowem zostawiając te pytania nierozstrzygnione: wyobraża sobie świat ludzki jako złożony z kilku ras i mnóstwa plemion, które długie zapewne okresy przeżyły na ziemi, nim się pokształtowały w narody. Ten okres przedhistoryczny dzięki badaniom archeologii, znamy cokolwiek lubo nietyle, żeby niezawodne czynić wnioski o jego postaci. Bądź co bądź jednak był to ważny przystanek w dziejach podróżującéj ludzkości. Pierwsze podstawy życia ludzkiego zostały wtenczas położone. Jako takie podstawy można uważać rozmaite wynalazki, które wyprowadziły człowieka ze stanu na pół zwierzęcego; rozmaite zabobony, gusła, religijne wróżby, które chociaż dziś wydają nam się straszne lub śmieszne, były jednak w swym peryodzie początkiem nieodzownym do dalszego rozwoju. Te gromady ludzkie, dzięki przyrodzonym zdolnościom, lub korzystniejszemu położeniu, liczebnéj głów i rąk przewadze, wytępiły słabszych spółzawodników, resztki ich w siebie wcieliły, a przekazując następcom swoim wyrobione w sobie zdolności, uczyniły ich zdolniejszymi do walki i dalszego tępienia słabszych. Tym sposobem te gromady które celowały nad innemi przymiotami umysłu i ciała, wzięły górę i powoli ukształtowały się w dzisiejsze narody. Ażeby taka zwycięzka gromada mogła utworzyć naród, potrzeba jéj przedewszystkiém wyjść z jarzma zabobonnych zwyczajów i przejść pod jarzmo prawa. Jest to krok nadzwyczaj trudny do zrobienia. Gromada, która zdołała wyrobić w sobie ten *nerw prawny*, to poczucie konieczności ulegania choćby i twardym z początku ustawom, będzie miała wyższość nad gromadami żyjącemi swawolnie. Jeżeli do tego potrafi zorganizować liczną siłę zbrojną, ujarzmi inne, stanie na czele narodów. Odniosła zwycięztwo nad słabszemi i gorszemi, bo sama była lepsza i więcéj warta, a więc słusznie zwyciężyła. Tym sposobem zapasy, wyścigi i walka o życie, o zachowanie swojéj indywidualności okazują się być najdzielniejszym środkiem do tworzenia narodów. Przypomina to słowa ks. Bismarcka: *durch Blut und Eisen.* Ale podobno inaczéj się nie dzieje

i nigdy inaczéj nie było. Może to bolesne, ale najpodobniejsze do prawdy. Takim sposobem w tworzeniu się narodów czynna jest jedna z zasad Darwinowskich zwana *walką o byt*. Druga, t. j. zasada *dziedziczności*, przejawia się taką mniéj więcéj drogą: Układ nerwowy w tych gromadach przez wzajemne zapasy wysortowanych, wybrakowanych, udoskonala się wiekami. Wprawa mechaniczna, nagromadzona wiedza, doświadczenie, wszystko to przelewa się w pokolenia następne, czyniąc je sposobniejszemi do wytrzymania spartańskiéj edukacyi i wzięcia góry nad spółzawodniczącemi plemionami. Ale prawem związane i siłą zbrojną zabezpieczone narody znów muszą krok uczynić naprzód. Gdzie jeden radzi o wszystkiéj czeladzi, tam czeladź jest tylko potulną gromadą, choćbyśmy ją nazwali narodem. Dopiero gdy jednostki składające społeczność zainteresują się sprawami publicznemi, gdy w ich kierunku udział przyjmą, zaczyna naród nową dla siebie epokę, którą autor nazywa *wiekiem rozpraw*, dyskussyi. W tym stanie już nietyle siła pięści, co rozum o sprawach ludzkich decyduje.

F. K.

KONIEC ZESZYTU TRZECIEGO.

Redaktor i Wydawca *H. Benni*.

---

i mogły inaczej nie było. Może to bolesne, ale najpodobnie
prawdy. Takim sposobem wytworzenia się narodów, czyn
jedna z zasad Darwinowskich zwana walką o byt. Druga,
sada naśladowczości, przejawia się także mniej więcej drogą
utrwalony w tych gromadach przez wzajemne zapasy wyso
nych, wytrakowanych, udoskonala się wiekami. Wprawa
ukocha, nieprzezwyciężona wiedza, doświadczenie, wszystko to pr
się w pokolenia następne, czyniąc je sposobniejszemi do
[illegible] ludzkiej edukacyi i wzięcia góry nad społeczeństwo
[illegible] Ale prawem związane i siłą zbrojną
ne narody zlów muszą krok uczynić naprzód. Gdzie jes
dzi o wyższej czeladź tam czeladź jest tylko potulną gr
chcielibyśmy ją nazwać narodem. Dopiero gdy jednostki skł
społeczne zainteresują się sprawami publicznemi, gdy w i
rzeczy udział przyjmą, zaczyna naród nową dla siebie epokę
autor nazywa wiekiem rozumu, dyskusyi. W tym stanie j
tyle siła pięści, co rozum o sprawach ludzkich decyduje.

A. A.

KONIEC ZESZYTU TRZECIEGO.

Redaktor i Wydawca *H. Benn*